

WYDAWA
Fantastyka

ORSON SCOTT
CARD

Mistrz Pieśni



Przełożyła: I. S. J.

ORSON SCOTT CARD

Mistrz Pieśni

Tłumaczyła: Danuta Górka

Dla Bena Bovy,

*mistrza pieśni, który tak samo
troszczy się o rozwój młodych głosów,
jak o własną pieśń*

PROLOG

Nniv nie wyszedł na spotkanie kosmolotu Mikala. Zamiast tego czekał w rozległym Domu Pieśni, słuchając melodii kamiennych ścian, szeptu setki młodych głosów z Izb i Komnat, zimnego rytmu przeciągów. Niewielu w galaktyce ośmielało się żądać od Mikala, żeby fatygował się do nich osobiście. Nniv nie był jednak zuchwalcem. Po prostu uważał, że Mistrz Pieśni nie powinien wychodzić komuś na spotkanie.

Za murami Domu Pieśni mieszkańcy planety Tew nie przyjęli wizyty tak spokojnie. Kiedy statek kosmiczny Mikala wysłał w dół gigantyczne strumienie energii i delikatnie, majestatycznie osiadł na lądowisku, czekały na niego tysiące ludzi. Gość mógł być ukochanym przywódcą, witany przez orkiestry i wiwatujące tłumy, które zapełniły lądowisko, jak tylko dostatecznie ostygło. Mógł być bohaterem narodowym, któremu rzucano kwiaty pod nogi, a dygnitarze kłaniali się, oddawali honory i usiłowali sprostać sytuacji, jakiej nie przewidział żaden protokół dyplomatyczny obowiązujący na Tew.

Lecz hołdy i wiwaty nie wynikały z miłości. Za powitalnymi ceremoniami kryła się niewygodna świadomość faktu, iż Tew z opóźnieniem poddawała się Dyscyplinie Frey. Ambasadorzy Tew na innych światach knuli intrygi i zawierali przymierza, które tworzyły ostatni, żalostny front oporu przeciwko najsilniejszemu, niezwykłemu zdobywcy w historii. Żadna z intryg do niczego nie doprowadziła. Upadło zbyt wiele potężniejszych aliansów i narodów, i żaden wewnętrzny świat nie stawiał teraz oporu, kiedy przybywały statki Mikala; nie dopuszczano do jakichkolwiek przejawów wrogości.

Co prawda strach nie gościł w sercach dygnitarzy, którzy niezręcznie brnęli przez zaimprovizowane ceremonie. Czasy okrutnego podboju planet minęły. Teraz, po zdławieniu resztek oporu, Mikal udowodnił, że potrafi rządzić mądrze, brutalnie i sprawnie, konsolidując imperium, z którego mógł sięgnąć dalej w głąb galaktyki, do odległych światów i konfederacji, gdzie jego imię było zaledwie pogłoską. Dopóki dygnitarze zachowają ostrożność, rządy Mikala na Tew będą stosunkowo łagodne, na ogół sprawiedliwe i uczciwe do obrzydliwości.

Niektórzy zastanawiali się, dlaczego Mikal w ogóle fatygował się na Tew. Wyglądał na znudzonego, kiedy kroczył po dywanie z kwiatów, a jego świta i gwardziści utrzymywali tłum w bezpiecznej odległości. Nie spojrzął ani w lewo, ani w prawo, szybko zniknął we wnętrzu pojazdu, który zawiózł go do siedziby rządu. Nie sam Mikal, lecz jego asystenci przesłuchiwali, zatrudniali i zwalniali, informowali i objaśniali nowe prawa i no-wy porządek, pospiesznie zrewidowali system polityczny planety, żeby pasował do schematu pokojowego, sprawnie zarządzanego imperium Mikala. Właściwie, po co przyjechał sam Mikal?

Lecz odpowiedź powinna być oczywista i wkrótce stała się oczywista dla osób najlepiej poinformowanych, kiedy odkryto, że Mikal zniknął z budynku, gdzie miał zamieszkać. W gruncie rzeczy Mikal nie różnił się od innych turystów, którzy odwiedzali Tew. Planeta była raczej prowincjonalna, niewiele znaczyła w planach imperialnych. Z wyjątkiem Domu Pieśni. Mikal przyjechał do Domu Pieśni. A dla człowieka mającego władzę i bogactwo istniał tylko jeden powód takiej wizyty.

Oczywiście chciał dostać Słowika.

- Pan nie może dostać Słowika - powiedziała nieśmiało młoda kobieta w poczekalni.

- Nie zamierzam się wyklócać z odźwiernymi.

- Z kim pan chciałby się kłócić? To nic nie da.

- Z Mistrzem Pieśni, Nnivem.

- Pan nie rozumie - tłumaczyła młoda kobieta. - Słowiki dostają tylko ci, którzy naprawdę umieją je docenić. Zachęca-my ludzi, żeby je przyjęli. Nie spełniamy zamówień.

Mikal zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

- Ja nie składam zamówienia.

- Więc co pan tu robi?

Mikal nie powiedział nic więcej. Po prostu stał i czekał. Młoda kobieta próbowała z nim dyskutować, ale nie odpowiadała. Próbowała go zignorować i zająć się własną pracą, ale on czekał ponad godzinę, aż nie mogła dłużej wytrzymać. Wstała i wyszła bez słowa.

- Jaki on jest? - zapytał Nniv cichym, spokojnym głosem.

- Niecierpliwy - odparła.

- A jednak czekał na ciebie - poprawił ją Nniv bez odrobiny krytycyzmu w głosie. „Ach, on jest dobrym panem”, pomyślała dziewczyna, ale zachowała tę myśl dla siebie.

- On jest surowy - powiedziała. - Jest władcą i nigdy nie uwierzy, że nie może czegoś dostać, nie może kimś rządzić, nie może wypełnić jakiegoś miejsca swoją obecnością.

- Każdy człowiek, który podróżuje w kosmosie - odparł łagodnie Nniv - musi wiedzieć, że są miejsca, których nie można wypełnić.

Dziewczyna skłoniła się.

- Co mam mu powiedzieć?

- Powiedz mu, że go przyjmę.

Była zaskoczona. Była zmieszana. Zabrakło jej słów, więc wyśpiewała swoje zmieszanie. Pieśń brzmiała słabo i nierówno, ponieważ dziewczyna nigdy nie miała zostać mistrzynią ani nawet nauczycielką; bez słów pytała Nniva, dlaczego zgodził się rozmawiać z takim człowiekiem, dlaczego ryzykował, że reszta ludzkości pomyśli: Dom Pieśni traktuje wszystkich jednakowo, ocenia tylko wartość człowieka, nie jego władzę - z wyjątkiem Mikala.

- Nie dam się skorumpować - zaśpiewał łagodnie Nniv.

- Odeślij go - błagała.

- Przyrowadź go do mnie.

Wówczas przełamała Kontrolę i wybuchnęła płaczem; oświadczyła, że nie może tego zrobić. Nniv westchnął.

- Więc przyślij mi Esste. Przyślij mi Esste, a potem zwalniam cię z obowiązków aż do wyjazdu Mikala.

Godzinę później Mikal wciąż stał w poczekalni, kiedy drzwi znowu się otworzyły. Tym razem nie zjawiała się odzwierna. Weszła inna kobieta, bardziej dojrzała, z podkrążonymi oczami, promieniująca siłą.

- Mikal? - zapytała.

- Czy ty jesteś Mistrzynią Pieśni? - zapytał Mikal.

- Nie, nie ja - odparła i przez chwilę Mikal czuł dojmujący wstyd, że tak pomyślał. Ale czego mam się wstydić, powiedział sobie i stłumił to uczucie.

Dom Pieśni rzuca czary, mawiali prości ludzie z Tew, co wprawiło Mikala w zaniepokojenie. Kobieta, nucąc, wyszła z pokoju. Nie powiedziała nic, lecz melodia przekazała Mikalowi, że powinien pójść za nią. Wątku nic muzyki poprowadziła go przez zimne kamienne komnaty. Tu i ówdzie otwarte drzwi; okna, przez które wpadał ponury odblask szarego zimowego nieba, i żadnego innego oświetlenia. Podczas całej wędrówki po Domu Pieśni nie spotkali innej osoby, nie usłyszeli innego głosu.

Wreszcie, pokonawszy liczne schody, dotarli do wysokiej sali. A raczej do Wysokiej Sali, chociaż nikt o tym nie wspomniał. W jednym końcu pokoju, na kamiennej ławie, nie osłonięty od zimnego wiatru dmuchającego przez otwarte okno, siedział Nniv. Był stary, twarz miał obwisłą, rysy zamazane, co zaskoczyło Mikala. Starzec. Przypominał Mikalowi o śmiertelności, którą właśnie zaczynał sobie uświadamiać czterdziestoletni władca. Miał jeszcze przed sobą sześćdziesiąt lat, lecz nie był już młody i wiedział, że czas pracuje przeciwko niemu.

- Nniv? - zapytał.

Nniv skinął głową, a jego głos wymruczał niskie „mmmm”. Mikal odwrócił się do kobiety, która go przyprowadziła. Wciąż nuciła.

- Zostaw nas samych - rozkazał.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca i patrzyła na niego, jakby nie rozumiała. Mikal poczuł gniew, ale nic nie powiedział, ponieważ jej pieśń nagle doradziła mu milczenie, nalegała na milczenie, więc odwrócił się do Nniva.

- Każ jej przestać nucić - powiedział. - Nie chcę, żeby mną manipulowano.

- W takim razie - odparł Nniv (a jego pieśń zdawała się dźwięczeć śmiechem, chociaż głos pozostał spokojny) - w takim razie nie chcesz żyć.

- Grozisz mi?

- O nie, Mikalu - uśmiechnął się Nniv. - Ja tylko zauważyłem, że wszystkie żywe istoty są manipulowane. Wola każdego człowieka podlega nieustannym naciskom i ograniczeniom. Tylko umarłym przyznaje się luksus wolności, ponieważ oni niczego nie pragną, więc nie można im niczego odebrać.

Wówczas Mikal spojrział zimno na starca i przemówił, silnie akcentując słowa, głosem brzmiącym chropawo i nieharmonijnie w porównaniu z muzyką słów Nniva:

- Mogłem przybyć tu z całą potęgą, Mistrzu Pieśni. Mogłem przywieźć ze sobą potężne armie i broń, i nałożyć okup na Dom Pieśni, żeby przeprowadzić swoją wolę. Gdybym zamierzał cię zniewolić, zastraszyć lub znieważyc w inny sposób, nie przyszedłbym samotnie, narażony na ciosy zabójców, żeby prosić o to, czego pragnę. Przyszedłem do ciebie z szacunkiem i żądam, żeby mnie traktowano z szacunkiem.

Nniv tylko spojrział na kobietę i powiedział:

- Esste.

Przestała nucić. Jej głos był tak przenikliwy, że kiedy umilkła, ściany aż zadźwięczały od nagłej ciszy. Nniv czekał.

- Chcę dostać Słowika - powiedział Mikal. Nniv nie odpowiedział.

- Mistrzu Nnivie, podbiłem planetę zwaną Deszcz. Na tej planecie mieszkał bardzo bogaty człowiek, który miał Słowika. Zaprosił mnie, żebym posłuchał śpiewu tego dziecka.

Na to wspomnienie Mikal nie mógł się opanować. Zaszlochał.

Jego płacz zaskoczył Esste i Nniva. To nie był Mikal Groźny. Niemożliwe. Ponieważ Słowiki, chociaż zachwycaly wszystkich, mogły w pełni dotrzeć tylko do pewnych ludzi, tych, których ukryte wewnątrz wibrowało ową najpotężniejszą muzyką. Wiadomo było w całej galaktyce, że Słowik nigdy nie pójdzie do kogoś, kto zabijał, kto folgował chciwości lub żądzy, kto kochał władzę. Tacy ludzie nie mogli usłyszeć prawdziwej muzyki Słowika. Lecz nie ulegało wątpliwości, że Mikal zrozumiał Słowika. I Nniv, i Esste zbyt wyraźnie usłyszeli jego mimowolną pieśń, żeby się pomylić.

- Wyrządziłeś nam krzywdę - oznajmił Nniv głosem pełnym żalu.

Mikal próbował się opanować.

- Ja wam wyrządziłem krzywdę? Nawet wspomnienie waszego Śpiewaka odbiera mi siły.

- Dodaje ci sił.

- Burzy moje opanowanie, które jest dla mnie warunkiem przetrwania. Jak was skrzywdziłem?

- Udowadniając, że naprawdę zasługujesz na Słowika. Z pewnością rozumiesz, co się teraz stanie. Wszyscy wiedzą, że Dom Pieśni nie poddaje się władzy w kwestii Słowików. A jednak... damy ci Słowika. Jakbym ich słyszał: „Nawet Dom Pieśni sprzedaje się Mikalowi”. - Głos Nniva idealnie naśladował ochryplą, niechlujną wymowę przeciętnego człowieka, chociaż oczywiście takie stworzenie nie istniało w galaktyce. Mikal parsknął śmiechem.

- Uważasz, że to zabawne? - spytała Esste, a ostrze jej głosu przeszło Mikala do głębi, aż zamrugał.

- Nie - odpowiedział.

Nniv zaśpiewał łagodnie, uspokajając Esste i Mikala:

- Ale wiesz także, Mikalu, że nie wyznaczamy daty dostawy. Musimy znaleźć dla ciebie odpowiedniego Słowika, a jeśli go nie znajdziemy za twój życia, nie możesz się skarżyć.

Mikal kiwnął głową.

- Ale pośpieszcie się. Pośpieszcie się, jeśli możecie. Esste zaśpiewała głosem dźwięczącym pewnością:

- Nigdy się nie spieszymy. Nigdy się nie spieszymy. Nigdy się nie spieszymy.

Pieśń stanowiła odprawę dla Mikala. Wyszedł i sam znalazł drogę do bramy, kierowany faktem, że wszystkie drzwi prócz właściwych były zamknięte na klucz.

- Nie rozumiem - zwrócił się Nniv do Esste po wyjściu Mikala.

- Ja rozumiem - oświadczyła Esste.

Nniv wyszeptał swoje zdumienie w ostro wznoszącym się syku, który wzbudził echa wśród kamiennych ścian i stopił się z wiatrem.

- On jest człowiekiem potężnym, o wielkiej sile osobistej - wyjaśniła. - Ale nie jest zepsuty. Wierzy, że potrafi użyć swojej potęgi dla czynienia dobra. Pragnie tego.

- Altruista? - Nniv nie mógł w to uwierzyć.

- Altruista. A to - ciągnęła Esste - jest jego pieśń. - Potem zaśpiewała, czasami używając słów, lecz częściej kształtując głosem sylaby bez znaczenia lub wyśpiewując dziwne samogłoski, lub nawet wykorzystując ciszę, wiatr i kształt własnych ust, żeby wyrazić swoje zrozumienie Mikala.

Wreszcie jej pieśń dobiegła końca, a Nniv wyśpiewał swoją reakcję głosem ciężkim, pełnym emocji. Potem on też skończył śpiewać i powiedział:

- Jeśli on naprawdę jest taki, jakiego wyśpiewałaś, to ja go kocham.

- Ja też - wyznała Esste.

- Kto znajdzie dla niego Słowika, jeśli nie ty?

- Ja znajdę Słowika dla Mikala. - I nauczysz go?

- I nauczę go.

- Więc czeka cię praca całego życia.

A Esste, przyjmując niezwykle trudne zadanie (i związany z nim niewyobrażalny zaszczyt), wyśpiewała swoje posłuszeństwo oraz poświęcenie, po czym zostawiła Nniva samego w Wysokiej Sali, żeby słuchał pieśni wiatru i odpowiadał najlepiej, jak potrafił.

Przez siedemdziesiąt dziewięć lat Mikal nie miał Słowika. W tym czasie podbił galaktykę i narzucił Dyscyplinę Frey całej ludzkości, ustanowił Pokój Mikala, żeby każde narodzone dziecko miało rozsądną szansę na osiągnięcie dojrzałości, i wyznaczył najlepsze rządy dla każdej planety, każdej prowincji, każdego okręgu i miasta.

I wciąż czekał. Co dwa lub trzy lata wysyłał posłańca na Tew i zadawał Mistrzowi Pieśni jedno pytanie: „Kiedy?”

A odpowiedź zawsze brzmiała: „Jeszcze nie”.

Esste postarzała się przez te lata, przygnieciona ciężarem zadania. Dzięki jej poszukiwaniom odkryto wiele Słowików, lecz żaden nie śpiewał w harmonii z własną pieśnią Mikala.

Dopóki nie znalazła Ansseta.

ESSTE

Rozdział 1

Z rozmaitych powodów dzieci trafiały na dziecięcy rynek Doblaj-Me. Oczywiście wiele spośród nich było prawdziwymi sierotami, chociaż teraz, kiedy Pokój Mikala zakończył wojny, społeczny status sieroty przyznawano znacznie rzadziej. Niektóre dzieci sprzedali zdesperowani rodzice, chcąc zdobyć pieniądze - lub musieli pozbyć się dziecka - a nie mieli serca popełnić morderstwa. Większość była bękartami ze światów i narodów, gdzie religia lub zwyczaj zabraniały kontroli urodzin. A inne wśliznęły się tylnymi drzwiami.

Do takich należał Anset, kiedy znalazł go poszukiwacz z Domu Pieśni. Został porwany, ale kidnapery wpadli w panikę i wybrali szybki zysk na dziecięcym rynku zamiast znacznie bardziej ryzykownej wymiany za okup. Kim byli jego rodzice? Zapewne bogaczami, bo inaczej kidnaperom nie opłaciłoby się porwanie. Należeli do białej rasy, ponieważ Anset miał bardzo jasną skórę i włosy. Lecz miliardy ludzi odpowiadały temu opisowi, i żadna rządowa agencja nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialność za zwrócenie dziecka rodzicom.

Tak więc Anset, którego wieku nie znano, ale który miał nie więcej niż trzy lata, znalazł się w grupie tuzina dzieci przywiezionych na Tew przez poszukiwacza. Wszystkie dzieci dobrze zdały kilka prostych testów - rozpoznanie wysokości dźwięku, powtórzenie melodii i reakcja emocjonalna. Dostatecznie dobrze, żeby uznać je za potencjalne talenty muzyczne. A Dom Pieśni kupił - nie, nie kupił, na rynku dzieci nie kupuje się ludzi - Dom Pieśni adoptował je wszystkie. Czy zostaną Słowikami, czy zwykłymi śpiewakami, mistrzami czy nauczycielami, nawet jeśli nie wykażą żadnych muzycznych zdolności, Dom Pieśni będzie je wychowywał, utrzymywał, opiekował się nimi przez całe życie. In loco parentis, orzekło prawo. Dom Pieśni był matką, ojcem, nianią, rodzeństwem, potomstwem oraz - do-póki dzieci nie osiągnęły pewnego poziomu rozwoju - Bogiem.

- Nowi - zaśpiewała setka małych dzieci we Wspólnej Sali, kiedy wprowadzono Anseta razem z innymi zakupionymi dziećmi. Anset nie wyróżniał się spośród innych. Owszem, był przerażony - tak jak reszta. Chociaż jego nordycka skóra i włosy stawiały go na najdalszej granicy rasowego spektrum, takie cechy ignorowano i nikt nie wyśmiewał się z niego bardziej, niż wyśmiewano by się z albinosa.

Rutynowo został przedstawiony innym dzieciom; rutynowo wszystkie zapomniały jego imię, jak tylko je usłyszały; ruty-nowo zaśpiewały powitanie w tonacji i melodii tak chaotycznej, że bynajmniej nie ukoilo to strachu Anseta; rutynowo chłopca przydzielono do Rruk, pięciolatki, która znała zasady.

- Możesz dzisiaj spać obok mnie - powiedziała Rruk, a Anset tępo kiwnął głową. - Jestem starsza - dodała. - Już niedługo, za kilka miesięcy, dostanę izbę. - To nic nie znaczyło dla Anseta. - W każdym razie nie sikaj do łóżka, bo nigdy nie śpi-my w tych samych łóżkach dwie noce pod rząd.

Trzyletnią dumę Anseta zraniły te słowa.

- Nie sikam do łóżka - oświadczył, ale bez gniewu, bardziej z obawą.

- Dobrze. Niektórzy sikają ze strachu.

Zbliżała się pora spoczynku; nowe dzieci zawsze przywożono o tej porze. Anset nie zadawał pytań. Kiedy zobaczył, że inne dzieci się rozbierają, on też się rozebrał. Kiedy zobaczył, że wyjmują nocne

koszule spod koców, on też wyjął nocną koszulę i nałożył ją, chociaż niezręcznie. Rruk próbowała mu pomóc, ale Ansset odtrącił jej ręce. Rruk przez chwilę wydawała się urażona, potem zaśpiewała mu pieśń miłości.

Nigdy cię nie skrzywdzę.

Zawsze ci pomogę.

Jeśli jesteś głodny,

Oddam ci jedzenie.

Jeżeli się boisz,

Zostanę przy tobie.

Kocham cię teraz,

A miłość nie ma końca.

Słowa i koncepcje przekraczały zdolność pojmowania Ans-seta, lecz nie ton głosu. Uścisk Rruk mówił jeszcze wyraźniej. Ansset oparł się na jej ramieniu, wciąż milczał, ale nie płakał.

- Toaleta? - zapytała Rruk.

Ansset kiwnął głową i Rruk zaprowadziła go do dużego po-mieszczenia sąsiadującego ze Wspólną Salą, gdzie woda szybko płynęła w korytach. Dopiero tam odkrył, że Rruk jest dziewczyną.

- Nie patrz - powiedziała. - Nikt nie patrzy bez pozwolenia.

Ponownie Ansset nie zrozumiał słów, ale ton głosu był wyraźny. Zrozumiał ton głosu instynktownie, jak zawsze; to był jego największy dar: rozpoznawanie emocji. Lepiej nawet niż osoba, która je odczuwała.

- Dlaczego mówisz tylko wtedy, kiedy jesteś wściekły? - spytała go Rruk, kiedy leżeli w sąsiednich łóżkach (obok setki innych dzieci).

Wówczas Ansset nie wytrzymał. Potrząsnął głową, potem odwrócił się, zakrył twarz kocem i płakał, dopóki nie zasnął. Nie widział dookoła innych dzieci, spoglądających na niego z niesmakiem. Nie słyszał, jak Rruk nuci melodię, która znaczyła: „Zostawcie go, dajcie mu spokój, pozwólcie płakać”.

Poczuł jednak, że Rruk pogłaskała go po plecach, i odebrał ten gest jako gest przyjaźni; dlatego nigdy nie zapomniał swojej pierwszej nocy w Domu Pieśni i dlatego zawsze czuł tylko miłość do Rruk,

choć wkrótce znacznie przewyższył talentem jej, raczej ograniczone, zdolności.

- Dlaczego pozwalasz tej Rruk łączyć za tobą, chociaż ona nie jest nawet Bryzą? - zapytał raz inny uczeń, kiedy Anset miał sześć lat.

Anset nie odpowiedział słowami. Odpowiedział pieśnią, która przełamała Kontrolę pytającego, aż rozplakał się publicznie, ku swojemu wielkiemu upokorzeniu. Nikt inny nie próbował kwestionować praw Rruk do Anseta. Właściwie Anset nie miał prawdziwych przyjaciół, ale jego pieśń dla Rruk była zbyt potężna, żeby rzucać mu wyzwania.

Rozdział 2

Anset zachował dwa wspomnienia swoich rodziców, chociaż nie wiedział, czy owi ludzie ze snu są jego rodzicami. Nazwał ich Białą Damą i Olbrzym, kiedy wreszcie postanowił nadać im imiona. Nigdy nikomu o nich nie opowiadał i myślał o nich tylko wtedy, kiedy przyśnili mu się w nocy.

Pierwsze wspomnienie ukazywało Białą Damę łkającą na łożu z wielkimi poduszkami. Wpatrywała się w pustkę i nie widziała Anseta, który wszedł do pokoju niepewnym krokiem. Nie wiedział, czy nie rozgniewa się na niego za to, że przyszedł. Lecz jej ciche, urywane jęki przyciągnęły go do niej, ponieważ nie mógł się oprzeć tym odgłosom. Stał obok łóżka, gdzie leżała opierając głowę na ramieniu. Wyciągnął rękę i pogłaskał jej ramię. Nawet we śnie poczuł skórę rozpaloną od gorączki. Biała Dama spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Anset sięgnął do jej oczu, dotknął brwi, przesunął niżej małe paluszki, zamknął jej oczy i wygładził powieki tak delikatnie, że nawet nie drgnęła. Westchnęła tylko, a on pieścił jej całą twarz, póki jej jęki nie złagodniały do cichego nucenia.

Od tego momentu sen stawał się jakiś dziwny i pokręcony. Zawsze pojawiał się Olbrzym, ale to, co robił, było zagadką huczącego głosu, uścisków, krzyków. Czasami leżał w łóżku z Białą Damą. Czasami brał Anseta na ręce i razem przeżywali dziwne przygody, które kończyły się przebudzeniem. Czasami Biała Dama całowała go na pożegnanie. Czasami nie zwracała na niego uwagi, odkąd Olbrzym wszedł do pokoju. Ale sen zawsze zaczynał się tak samo, a ta część, która nigdy się nie zmieniała, była wspomnieniem.

Drugie wspomnienie dotyczyło chwili porwania. Anset znajdował się w bardzo dużej sali z wysokim sklepieniem, na którym wymalowano dziwne zwierzęta i ludzi o zniekształconych

kształtach. Głośna muzyka dobiegała z oświetlonego miejsca, gdzie wszyscy się ruszali. Potem rozległ się ogłuszający hałas, wokół zrobiło się pełno światła, rozmów i hałasu, a Biała Dama i Olbrzym przeszli przez tłum. Wśród popychania i poszturchiwania ktoś wszedł pomiędzy Białą Damę i Anseta, rozrywając uścisk ich dłoni. Biała Dama odwróciła się do obcego, lecz w tej samej chwili Anset poczuł silną rękę chwytającą jego dłoń. Szarpnięty brutalnie do tyłu, zderzył się z tłumem. Potem ręka pociągnęła go w górę, wykręcając mu ramię; przez chwilę, zawieszony nad głowami ludzi, Anset po raz ostatni widział Białą Damę i Olbrzyma, jak przepychają się przez tłum, z przerażeniem na twarzach, z ustami rozwartymi do krzyku. Ale nie pamiętał ich głosów. Uderzył go podmuch gorącego powietrza, drzwi się zamknęły i otoczyła go upalna, parna noc: wtedy zawsze budził się drżąc, ale nie płacząc, ponieważ słyszał głos powtarzający: „Cicho, Cicho, Cicho”, tonem, który oznaczał strach, upadek, ogień i wstyd.

- Ty nie płaczesz - powiedział nauczyciel głosem cieplejszym niż blask słońca.

Anset potrząsnął głową.

- Czasami - powiedział.

- Przedtem - oświadczył nauczyciel. - Ale teraz nauczysz się Kontroli. Kiedy płaczesz, marnujesz swoje pieśni. Spalasz swoje pieśni. Topisz swoje pieśni.

- Pieśni? - powtórzył Anset.

- Jesteś małym kociołkiem pełnym pieśni - wyjaśnił nauczyciel - a kiedy płaczesz, kociołek pęka i wszystkie pieśni brzydko się wylewają. Kontrola oznacza trzymanie pieśni w kociołku i wypuszczanie ich po jednej.

Anset znał kociołki. Jedzenie pochodziło z kociołka. Pomyślał wtedy o pieśniach jak o jedzeniu, chociaż wiedział, że były muzyką.

- Czy znasz jakieś pieśni? - zapytał nauczyciel. Anset potrząsnął głową.

- Żadnych? Ani jednej? Anset spuścił wzrok.

- Pieśni, Anset. Nie słowa. Pieśń, która nie ma słów, tylko po prostu śpiewasz, o tak: aaa... - nauczyciel zanucił krótką melodyjkę, która przemówiła do Anseta i powiedziała: Ufaj. Ufaj. Ufaj.

Anset uśmiechnął się i zaśpiewał nauczycielowi tę samą melodię. Przez chwilę nauczyciel słuchał z uśmiechem, potem zdziwił się, potem wyciągnął rękę i z niedowierzaniem dotknął włosów Anseta. Gest był pełen czułości. Więc Anset zaśpiewał nauczycielowi miłosną pieśń. Nie słowami, bo wtedy jeszcze nie potrafił zapamiętać słów. Ale zaśpiewał melodię, którą usłyszał od Rruk, a nauczyciel zapłakał. To była pierwsza lekcja Anseta pierwszego dnia w Domu Pieśni, a nauczyciel zapłakał. Dopiero później Anset zrozumiał, co to znaczyło: że nauczyciel stracił Kontrolę i przeżywałby swój wstyd tygodniami, gdyby talentu Anseta nie oceniono tak wysoko. Wiedział tylko, że kiedy zaśpiewał pieśń miłości, został zrozumiany.

Rozdział 3

- Cull, jesteś ponad tym - powiedziała Esste ze smutkiem, współczuciem i naganą. - Jesteś dobrym nauczycielem i dlatego powierzyliśmy ci nowych.

- Wiem - powiedział Cull. - Ale, Esste...

- Płakałeś przez kilka minut. Minuty upłynęły, zanim odzyskałeś Kontrolę. Cull, czy jesteś chory?

- Jestem zdrowy.

- Czy jesteś nieszczęśliwy?

- Nie byłem, dopiero potem, kiedy... potem. Nie płakałem z żalu, Matko Esste, płakałem z...

- Z jakiego powodu?

- Z radości.

Esste wymruczała irytację i brak zrozumienia.

- To dziecko, Esste, to dziecko.

- Anset, tak? Ten blondyn?

- Tak. Zaśpiewałem mu zaufanie, a on mi odśpiewał.

- W takim razie zapowiada się obiecująco, a ty zламаłeś przy nim Kontrolę.

- Jesteś niecierpliwa. Esste pochyliła głowę.

- Masz rację.

Jej postawa wyrażała zawstydzienie. Jej głos mówił, że wciąż była zniecierpliwiona i tylko trochę zawstydzona. Nie mogła okłamać nauczyciela.

- Wysłuchaj mnie - poprosił Cull.

Słucham, odpowiedziało uspokajające westchnienie Esste.

- Anset odśpiewał mi zaufanie nuta w nutę, idealnie. Prawie minuta śpiewu, i to niełatwego. I nie powtórzył samej melodii. Powtórzył ton. Powtórzył niuans. Powtórzył każdą emocję, którą mu przekazałem, tylko że mocniejszą. Zupełnie jakbym zaśpiewał w długiej sali i moja pieśń powróciła, głośniejsza i wyraźniejsza.

- Nie przesadzasz? - zapytało mruczenie Esste.

- Byłem wstrząśnięty. A jednak zachwycony. Ponieważ w jednej chwili zrozumiałem, że mamy prawdziwie cudowne dziecko. Kogoś, kto może zostać Słowikiem.

- Ostrożnie, ostrożnie - ostrzegł syk wydobywający się z ust Esste.

- Wiem, że decyzja nie zależy ode mnie, ale ty nie słyszałaś jego odpowiedzi. Pierwszy dzień, pierwsza lekcja... a przecież to nic nie było, zupełnie nic w porównaniu z tym, co zrobił później. Esste, on zaśpiewał mi pieśń miłości. Rruk zaśpiewała mu tylko raz, wczoraj. Ale on powtórzył całą pieśń...

- Słowa?

- On ma dopiero trzy lata. Zaśpiewał melodię i miłość, i Esste, Matko Esste, nikt nigdy nie zaśpiewał mi takiej miłości. Niekontrolowanej, całkowicie otwartej, w pełni oddanej, i nie mogłem nad tym zapanować. Nie mogłem, Esste, a sama wiesz, że nigdy jeszcze nie zawiodła mnie Kontrola.

Esste słyszała pieśń Culla i wiedziała, że nauczyciel nie kłamie we własnej obronie. Dziecko było niezwykle. Dziecko było potężne. Postanowiła je bliżej poznać.

Po krótkim spotkaniu z Ansetem w mesie przy śniadaniu zdecydowała, że sama zostanie jego nauczycielką. Co do Culla, konsekwencje utraty Kontroli okazały się dla niego znacznie łżejsze niż zazwyczaj. Ucząc Anseta dzień po dniu, Esste przekazała wiadomość, żeby Culla stopniowo awansowano, aż po kilku tygodniach znowu został nauczycielem nowych dzieci. Esste ogłosiła publicznie, żeby nikt nie krytykował Culla: „Przy tym dziecku każdy nauczyciel straciłby Kontrolę”.

I w jej krokach pojawiła się taneczna lekkość, a w jej głosie zagościło ciepło, które powiedziały każdemu nauczycielowi, mistrzowi i nawet Mistrzowi Pieśni w Wysokiej Sali, że Esste żywi nadzieję, może nawet wiarę, iż dzieło jej życia wreszcie się spełni. „Słowik Mikala?”, pewnego dnia odważył się zapytać drugi Mistrz Pieśni, chociaż melodia powiedziała jej, że nie musi odpowiadać, jeśli nie chce.

Esste tylko zanuciła cienko i oparła głowę o kamień, przyłożyła dłoń do policzka, aż Mistrz Pieśni parsknął śmiechem. Jednak otrzymał odpowiedź. Esste mogła żartować i udawać, żeby ukryć swoje nadzieje, lecz samym udawaniem i błaznowaniem wyraziła dostatecznie wiele. Esste była szczęśliwa. Nawet dzieci zdumiały się tą niezwykłą przemianą.

Rozdział 4

To było niesłychane, żeby Mistrz Pieśni uczył nowicjuszy. Oczywiście nowi tego nie wiedzieli, przynajmniej na początku, dopóki nie nauczyli się na tyle podstaw, żeby awansować do klasy Mruków. W klasie były inne Mruki, niektóre nawet pięcio- lub sześćioletnie, i podobnie jak wszystkie dzieci, stworzyły własną społeczność, posiadającą własne prawa, własne zwyczaje, własne legendy. W klasie Ansseta każdy szybko nauczył się, że można było bezpiecznie wyklócać się z Dzwoncem, ale nigdy z Bryzą; nie miało znaczenia, gdzie sypiasz, ale przy stole siadałeś z przyjaciółmi; jeśli kolega Mruk zaśpiewał ci melodię, musiałeś naumyślnie powtórzyć ją z błędem, żeby nie pomyślał, że się popisujesz.

Ansset szybko opanował wszystkie reguły, ponieważ był bystry, i wszyscy w klasie go polubili, ponieważ był miły i uprzejmy. Nikt prócz Esste nie zauważył, że Ansset nie szeptał sekretów w toalecie, nie przyłączał się do żadnego tajnego kółka, które nieustannie powstawały i rozpadały się. Zamiast tego Ansset ciężko pracował nad doskonaleniem własnego głosu. Nucił niemal bez przerwy. Nadstawiał ucha, kiedy mistrzowie i nauczyciele rozmawiali bez słów, porozumiewając się tylko za pomocą melodii. Skupiał uwagę nie na dzieciach, które nie mogły go niczego nauczyć, tylko na dorosłych.

Chociaż dzieci nie uświadamiały sobie jego separacji, nieświadomie na nią przyzwały. Ansset budził w nich respekt. Prześladowania ze strony Dzwonców (nie, nie przy nauczycielach - przy nauczycielach to były Dzwonki), zwykle polegające na obsikiwaniu Mruka, żeby musiał znowu brać prysznic, albo rozlewaniu jego zupy dzień po dniu, aż narażał się kucharzom - te prześladowania jakoś omijały Ansseta.

Bardzo szybko trafił do mitologii Mruków. Istniały inne legendarne postacie - Jaffa, który rozgniewany na nauczyciela, wtargnął pewnego dnia do Komnaty i zaśpiewał solo, po czym, zamiast zostać ukarany, awansował na Bryzę i nawet nie musiał być Dzwoncem; Moom, który pozostał Mrukiem do dziewiątego roku życia, a potem nagle złapał dryg i w ciągu tygodnia awansował poprzez Dzwonki do Bryz, przeszedł do Izb i Komnat, i zanim ukończył dziesięć lat, opuścił Dom jako śpiewak; i Dway, która miała talent i powinna była zostać Słowikiem, ale wciąż się buntowała i uciekała z Domu Pieśni tak często, że wreszcie ją wyrzucono, umieszczając w zwyczajnej szkole, i nigdy już nie zaśpiewała ani jednej nuty. Ansset nie był tak barwną osobowością. Lecz jego imię podawano sobie z klasy do klasy i z rocznika do rocznika, toteż kiedy był Mrukiem zaledwie od miesiąca, nawet śpiewacy w Izbach i Komnatach wiedzieli o nim, podziwiali go i sekretnie nienawidzili.

On zostanie Słowikiem, głosiła rosnąca legenda. A dzieci w jego wieku nie miały tego za złe; wprowadzić wszystkie miały nadzieję zostać śpiewakami, ale Słowiki pojawiały się jedynie raz na kilka lat, i niektóre dzieci przechodziły ze Wspólnych Sal do Izb i Komnat nawet nie znając żadnego Słowika. Co więcej, obecnie w Domu Pieśni nie było ani jednego Słowika - najnowszy, Wymmyss, odszedł na nowe miejsce kilka tygodni przed przyjazdem Anseta, więc nikt z jego klasy nawet nie słyszał śpiewu Słowika.

Oczywiście wśród nauczycieli i mistrzów znajdowały się byłe Słowiki, ale to nie pomagało, ponieważ ich głosy się zmieniły. Jak można zostać Słowikiem? Mruki pytały Dzwonców, a Dzwonce pytały Bryz, i nikt nie znał odpowiedzi, a niewielu ośmielało się marzyć, że kiedyś osiągną taką pozycję.

- Jak zostać Słowikiem? - zaśpiewał Anset do Esste pewnego dnia, a Esste nie potrafiła całkowicie ukryć zaskoczenia, nie samym pytaniem, chociaż rzadko które dziecko odważyło się otwarcie zapytać, lecz melodią, która pytała również: Czy ty byłaś Słowikiem, Esste?

- Tak, byłam Słowikiem - odpowiedziała, a Anset, który jeszcze nie opanował Kontroli, zdradził się przed nią, że właśnie to chciał wiedzieć. Chłopiec uczył się śpiewomowy, więc Esste musiała ostrzec innych mistrzów i nauczycieli, żeby nie używali przy nim tego języka, jeśli nie chcą zostać zrozumiani.

- Co robiłaś? - zapytał Anset.

- Śpiewałam.

- Śpiewacy śpiewają. Dlaczego Słowiki są inne? Esste przyjrzała mu się zmrużonymi oczami.

- Dlaczego chcesz zostać Słowikiem?

- Bo one są doskonałe.

- Jesteś dopiero Mrukiem, Anset. Masz przed sobą wiele lat. - Wiedziała, że marnuje słowa. Anset mógł śpiewać, mógł słuchać melodii, ale wciąż był małym dzieckiem, które nie pojmowało upływu czasu.

- Dlaczego mnie kochasz? - zapytał ją Anset, tym razem przy całej klasie.

- Kocham was wszystkich - odparła Esste i wszystkie dzieci uśmiechnęły się słysząc miłość w jej głosie.

- Więc dlaczego śpiewasz dla mnie więcej niż dla innych? - upierał się Anset, a Esste usłyszała w jego głosie ukrytą wiadomość: Inni nie są moimi przyjaciółmi, ponieważ mnie wyróżniłaś.

- Nie śpiewam dla nikogo więcej niż dla innych - odparła i w śpiewomowie dodała: Będę bardziej ostrożna. Czy rozumiał? Przynajmniej wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi i nie zadawał więcej pytań.

Jednakże Ansset stał się legendarną postacią, kiedy otrzymał promocję z Mruków do Dzwonców wcześniej niż reszta jego klasy - zaś Esste, zamiast zostać z klasą, przeniosła się razem z Anssetem. Wtedy zrozumiał, że nie tylko niezwykle jest dla Mistrza Pieśni wykonywać pracę nauczyciela, ale że Esste uczyła jego, nie klasę. Jego, Ansseta. Esste uczyła Ansseta.

Inne dzieci odkryły to co najmniej równie szybko jak Ansset, który zauważył, że chociaż wszystkie były dla niego miłe, wszystkie go wychwalały, wszystkie szukały jego towarzystwa, chciały z nim rozmawiać i siedzieć obok niego przy posiłkach - żadne nie zaśpiewało mu pieśni miłości. I żadne nie było jego przyjacielem, po prostu ze strachu.

Rozdział 5

Lekcja.

Esste zabrała swoją klasę Dzwonków na wycieczkę. Pojechali ślizgaczem, żeby wszyscy mogli oglądać krajobraz. Dla nich to było jak cud: wyrwać się z zimnych kamiennych murów Domu Pieśni. Mruków nigdy nie wypuszczano na zewnątrz; Bryzy nawet często; a Dzwonki wiedziały, że przejażdżki ślizgaczem stanowią zaledwie przedsmak przyszłych podróży.

Jechali przez gęsty las, wąską ścieżką wyciętą wśród wysokich drzew, ślizgając się po leśnej ściółce. Ptaki dotrzymywały im tempa, a zwierzęta gapiły się na nich w zdumieniu.

Jednakże dla dzieci szkolonych w śpiewie cud rozpoczął się, kiedy wyszli ze ślizgacza. Esste kazała kierowcy, który miał dopiero osiemnaście lat i dlatego powrócił właśnie z występów poza Domem, zatrzymać się obok małego wodospadu. Zaprowadziła dzieci na brzeg strumienia. Nakazała im ciszę, a ponieważ Dzwonki opanowały już rudymenty Kontroli, potrafiły zachować całkowity bezruch i milczenie. Słyszały śpiew ptaka, na który pragnęły odpowiedzieć; bulgotanie wody na kamieniach i występach wzdłuż brzegu; szept wiatru w liściach i trawie.

Siedziały przez piętnaście minut, co niemal wyczerpało ich limit Kontroli, a potem Esste zaprowadziła je bliżej wodospadu. Spacer nie był długi, ale zrobiło się ślisko i wilgotno, ponieważ mgła unosiła się u stóp wodospadu. Wiele lat temu obsunął się tutaj grunt, dlatego zamiast spadać do basenu, który wyżłobiła w skale, kaskada rozbijała się na kamieniach rozpryskując we wszystkie strony. Dzieci siedziały tylko kilka metrów dalej, więc woda przemoczyła im ubrania.

Znowu cisza. Znowu Kontrola. Tym razem jednak usłyszały tylko huk wody na kamieniach. Widziały latające ptaki, widziały liście poruszane wiatrem, ale nic do nich nie docierało.

Esste zwolniła je już po kilku minutach.

- Co teraz robimy? - zapytało jedno z dzieci.

- Co chcecie - odpowiedziała Esste.

Więc brodziły ostrożnie przy brzegu basenu, a kierowca pilnował ich bezpieczeństwa. Kilkoro zauważyło, że Esste odeszła; tylko Ansset poszedł za nią.

Prowadziła go, chociaż niczym nie okazała, że wie o jego obecności, ścieżką biegnącą po stromym zboczu na szczyt wodospadu. Ansset obserwował ją uważnie, żeby sprawdzić, dokąd idzie. Zaczęła się wspinać. On wspinał się za nią. Niełatwo mu to przychodziło. Ręce i nogi miał wciąż po dzieciennemu niezdarne i szybko się męczył. Zdarzały się trudne miejsca, gdzie Esste musiała tylko zrobić krok w górę, Ansset natomiast musiał wdrapywać się na przeszkody w połowie tak wysokie, jak on. Ale nie stracił Esste z oczu, ona zaś nie szła zbyt szybko. Dla ułatwienia wspinaczki podkasała szatę i Ansset spoglądał ciekawie na jej nogi. Były białe i chude, kostki wydawały się niemal zbyt cienkie, żeby ją utrzymać. A jednak Esste wspinała się całkiem zręcznie. Ansset nigdy przedtem nie pomyślał, że miała nogi. Dzieci miały nogi, ale mistrzowie i nauczyciele nosili długie szaty, zamiatające podłogę. Widok nóg, takich samych jak u dziecka, kazał Anssetowi podejrzewać, że Esste nie różni się od dziewcząt pod prysznicem i w toaletach. Wyobraził ją sobie przykucniętą nad korytem. Wiedział, że taki widok jest zakazany, jednakże w myślach pogwałcił dobre maniery i gapił się bezwstydnie.

I znalazł się twarzą w twarz z Esste na wierzchołku wzgórza.

Zaskoczony, okazał wyraźne zmieszanie. Esste wymruczała tylko kilka uspokajających dźwięków. Czekałam na ciebie, mówiła jej piosenka. Potem odwróciła głowę, a Ansset podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Za nimi falowały zalesione wzgórza, lecz przed nimi rozciągało się jezioro, omywające krawędzie wielkiej niecki. Drzewa otaczały je zewsząd, z wyjątkiem kilku polanek. Jezioro nie było bardzo duże, ale dla Ansseta stanowiło całą wodę świata. Zaledwie kilkaset metrów dalej woda przelewała się przez krawędź skały, tworząc wodospad. Lecz tutaj nic nie zdradzało bliskości huczącej kaskady. Tutaj jezioro było spokojne, a wodne ptaki pływały, nurkowały, pluskały się bez troski i pokrzykiwały od czasu do czasu.

Esste zanuciła pytającą melodię, a Ansset odpowiedział:

- Jest wielkie. Wielkie jak niebo.

- Nie tylko to powinieneś zobaczyć, Ansset, mój synu - powiedziała Esste. - Powinieneś zobaczyć góry wokół jeziora, które je powstrzymują.

- Jak się robi jezioro?

- Rzeka wpada do doliny, wlewa się woda. Woda nie ma jak wypłynąć, więc napełnia dolinę. Dopóki nie przeleje się

przez krawędź. Woda nie może sięgnąć wyżej niż najniższy punkt. Anset, to jest Kontrola.

To jest Kontrola. Dziecięcy umysł Anseta borykał się z metaforą.

- Dlaczego to jest Kontrola, Anset?

- Bo jest głębokie - odpowiedział Anset.

- Zgadujesz, nie myślisz.

- Bo - spróbował ponownie Anset - wszystko trzyma się wszędzie z wyjątkiem jednego miejsca, więc wypływa tylko po trochu.

- Bliżej - przyznała Esste. Co znaczyło, że nie miał racji. Anset spojrział na jezioro, szukając natchnienia. Ale widział tylko jezioro.

- Przestań patrzeć na jezioro, Anset, jeśli jezioro nie mówi ci niczego.

Więc Anset spojrział na drzewa, na ptaki, na wzgórza. Rozejrzał się dookoła. I wiedział, co Esste chce mu przekazać.

- Woda przelewa się w najniższym miejscu.

- I co? - Jeszcze za mało?

- Gdyby najniższe miejsce było wyżej, jezioro byłoby głębsze.

- A gdyby najniższe miejsce było niżej?

- Wtedy nie byłoby jeziora.

Wówczas Esste przerwała rozmowę. A raczej zmieniła język i zaśpiewała, zanuciła triumfalną melodię. Piosenka była cicha i stłumiona, ale mówiła bez słów o radości; o znalezieniu po żmudnych poszukiwaniach, o złożeniu ciężaru dźwiganego zbyt długo; o zaspokojeniu głodu, kiedy już myślała, że nigdy nie zdobędzie jedzenia. Pragnęłam ciebie, a teraz jesteś ze mną, mówiła piosenka.

Anset zrozumiał każdą nutę piosenki i wszystko, co kryło się za nutami, i on także zaśpiewał. Dzwonków nie uczono harmonii, lecz Anset zaśpiewał harmonię. Była to zaledwie kontr-melodia, pełna błędów i zgrzytów, dysonans wobec pieśni Esste, a jednak odbijała i wzmacniała jej radość; i chociaż wyśpiewane przez Anseta echo najgłębszych uczuć mogło obezwładnić zwykłego nauczyciela ze słabszą Kontrolą, Esste jednak miała dostatecznie silną Kontrolę, żeby ujarzmić ekstazę w pieśni. Pieśń stała się tak potężna, Anset zaś tak na nią wrażliwy, że poddał się, zapłakał i przywarł do kobiety, wciąż próbując śpiewać przez łyzy.

Uklęła przy nim, objęła go i szeptała, aż zasnął. Mówiła do niego we śnie, a wypowiedane słowa daleko przekraczały jego możliwości zrozumienia, lecz w ten sposób przecierała ścieżki w umyśle dziecka. Budowała sekretne miejsca w jego umyśle, a w jednym z nich zaśpiewała mu pieśń miłości, zaśpiewała ją tak, żeby w chwili wielkiej potrzeby pieśń powróciła, żeby przypomniał ją sobie i poczuł spełnienie.

Kiedy się zbudził, wcale nie pamiętał o utracie Kontroli; nie pamiętał też słów Esste. Ale wyciągnął do niej rękę, a ona sprowadziła go ze wzgórze. Czuł, że ma prawo trzymać ją za rękę, chociaż taka poufałość pomiędzy dziećmi a nauczycielami była zabroniona - częściowo dlatego, że jego ciało zachowało niejasne wspomnienie trzymania za rękę kobiety, której całkowicie ufał, a częściowo dlatego, iż wiedział, że Esste nie ma nic przeciwko temu.

Rozdział 6

Kya-Kya była Głucha. W wieku ośmiu lat ciągle pozostawała na poziomie Mruków. Kontrolę miała słabą. Skalę głosu ograniczoną. Nie chodziło o brak wrodzonych zdolności - poszukiwacz, który ją znalazł, nie popełnił błędu. Po prostu nie potrafiła dostatecznie skupić uwagi. Nie zależało jej.

Tak mówiono. Ale jej bardzo zależało. Przejmowała się, kiedy dzieci w jej wieku i młodsze o rok, a nawet o dwa lata pozostawiały ją w tyle. Wszyscy traktowali ją życzliwie i niewiele rozpaczało, ponieważ było powszechnie wiadome, że niektórzy śpiewają później od innych. Jeszcze bardziej jej zależało, kiedy powiedziano jej grzecznie, że nie ma sensu tego ciągnąć. Była Głucha nie dlatego, że nie mogła słyszeć, tylko dlatego, jak powiedział jej nauczyciel, że „słyszac, nie słyszała”. I tyle. Inny nauczyciel, inne dzieci, inne obowiązki. Głuchych było niewiele, ale dostatecznie dużo, żeby utworzyć klasę. Uczyli się od najlepszych nauczycieli, jakich dostarczała Tew. Ale nie uczyli się muzyki.

Dom Pieśni dba o wszystkie swoje dzieci, myślała często, czasami z goryczą, czasami z wdzięcznością. Dbają o mnie. Uczą mnie pracy, wyznaczając mi obowiązki w Domu Pieśni. Uczą mnie matematyki i historii, i języków, i jestem w tym piekielnie dobra. Na zewnątrz doceniono by moje zdolności. Ale tutaj jestem Głucha. Im szybciej odejdę, tym lepiej.

Miała odejść już wkrótce. Skończyła czternaście lat. Zostało jej tylko parę miesięcy. W wieku piętnastu lat wyjedzie. Otrzyma przyzwoite stypendium. Drzwi wielu uniwersytetów staną przed nią

otworem. Pieniądze będzie dostawała do dwudziestego drugiego roku życia. Dłużej, gdyby potrzebowała. Dom Pieśni dbał o swoje dzieci.

Lecz pozostało jeszcze kilka miesięcy, a jej obowiązki były dostatecznie interesujące. Pracowała w ochronie, sprawdzała zabezpieczenia i alarmy, dzięki którym Dom Pieśni utrzymywał izolację od reszty planety. Dawniej takie urządzenia nie zawsze były potrzebne. Były nawet czasy, kiedy Mistrz Pieśni z Wysokiej Sali rządził całą planetą. Ale nie minęło jeszcze sto lat, odkąd rabusie próbowali splądrować Dom Pieśni w niemądrej zмовie z piratem, który zapragnął słynnych bogactw Domu. Potem założono zabezpieczenia, a ich kontrola zajmowała cały rok. Kya-Kya samotnie patrolowała obwód strefy, wyprawa dłuższa niż podróż dookoła świata; na skuterze przemierzała lasy, pustynie i wybrzeża terenów należących do Domu Pieśni.

Dzisiaj sprawdzała urządzenia monitorujące w samym Domu Pieśni. W pewien sposób czuła się wywyższona wiedząc to, czego nie wiedziało żadne dziecko i tylko niewielu spośród mistrzów i nauczycieli - że kamień nie jest pełny, tylko naszpikowany drutami i przewodami, że prymitywny z pozoru, obskurny kamienny zabytek w rzeczywistości należy do najnowocześniejszych budowli na Tew. Dostęp do schematów okablowania odkrywał przed dziewczyną informacje, które zdumiałyby każdego z gorzej poinformowanych śpiewaków. Lecz kiedy wpadała w dumę z powodu swojej ukrytej wiedzy, natychmiast musiała sobie przypominać, że udostępniono jej tę wiedzę w tak młodym wieku tylko dlatego, iż została usunięta poza obręb dyscypliny i studiów Domu Pieśni. Była Głucha - znała tajemnice, ponieważ nigdy ich nie wyśpiewa, więc to nie miało znaczenia.

Takie myśli krążyły jej w głowie, kiedy weszła do Wysokiej Sali. Zapukała obcesowo, ponieważ była zdenerwowana. Brak odpowiedzi. Dobrze, stary mistrz Nniv wyszedł. Pchnęła drzwi. W Wysokiej Sali panowało przenikliwie zimno, wszystkie okiennice otwarte na oścież. To szaleństwo, żeby zostawiać pokój w takim stanie - kto mógł tutaj pracować? Zamiast podejść do paneli, gdzie znajdowały się ukryte monitory, Kya-Kya podeszła do najbliższego okna, wychyliła się, żeby chwycić okiennice - i uświadomiła sobie, że patrzy w dół, chyba przez wieczność, na dachy niższych budynków. Nie zdawała sobie sprawy, jak wysoko dotarła. Oczywiście od wschodniej strony Dom Pieśni był wyższy, więc schody do Wysokiej Sali nie były tak strasznie długie. Ale teraz spoglądała z wysoka, a wysokość ją fascynowała. Upadek - jakie to uczucie? Czy przypomina latanie, z przyspieszeniem równie gwałtownym jak skuter zjeżdżający ze wzgórza?. Czy raczej wzbudza strach?

Znieruchomiała z jedną nogą za parapetem, z ramionami wpartymi we framugę. Co ja robię? Wstrząs omal nie wystarczył, żeby ją wypchnąć na zewnątrz. Opamiętała się, chwyciła framugę, zmusiła się, żeby powoli wciągnąć nogę na parapet, cofnęła się od okna i wreszcie uklękła, opierając głowę o kamienny występ pod oknem. Dlaczego to zrobiłam? Co ja zamierzałam?

Odejść z Domu Pieśni.

Zadrżała na tę myśl. Nie w ten sposób. Nie odejdę tak z Domu Pieśni. Odejście stąd nie będzie kresem mojego życia.

Nie uwierzyła w to. A nie wierząc, mocno uchwyciła kamień i nie chciała puścić.

W pokoju było zimno. Dziewczyna zdrętwiała; świsł wiatru, wpadającego przez okna i hulającego po wszystkich zakamarkach, przyprawił ją o dreszcz strachu. Jakby ktoś ją obserwował.

Obejrzała się. Nikogo tam nie było. Tylko sterty ubrań, książki, kamienne ławy, i stopa wystająca spod jednego stosu szmat, stopa, która była sina; Kya-Kya podeszła bliżej, i odkryła pod szmatami nieszczęsne, straszliwie wychudzone ciało Nniva, sztywne, zamrożone od zimowego wiatru. Oczy miał otwarte i wpatrywał się w kamień przed swoją twarzą. Kya-Kya pisnęła, ale potem wyciągnęła rękę i położyła na jego biodrze, jakby chciała go obudzić. Przetoczył się na plecy, ramię sterczało w powietrzu, nogi zaledwie się poruszyły i Kya-Kya wiedziała, że on nie żyje, że był martwy przez cały czas, odkąd weszła do pokoju.

Mistrz Pieśni w Wysokiej Sali rzadko umierał. Nie znała żadnego innego. To Nniv ostatecznie zdecydował o jej losie. Uznał ją za Głuchą i postanowił, że ona opuści Dom Pieśni bez pieśni. Nienawidziła go głęboko w sercu, chociaż rozmawiała z nim tylko parę razy, odkąd skończyła osiem lat. Teraz jednak czuła tylko wstręt do trupa, i więcej, odrazę do przyczyny jego śmierci. Czy tutaj zawsze panowało takie koszarne zimno? Jakim cudem on żył tak długo? Czy to należało do dyscypliny, żeby zarządca Domu Pieśni mieszkał w takich nędznych warunkach?

Jeśli ten wyniszczony, zamrożony trup stanowił szczyt możliwości Domu Pieśni, niezbyt jej zaimponował. Nniv wyglądał upiornie. Wargi miał rozchylone, siny język wywalony aż na brodę. Ten język, pomyślała, był niegdyś częścią pieśni. Znanej jako najdoskonalsza pieśń w galaktyce, może w całym wszechświecie. Lecz czymże była ta pieśń, jeśli nie gardłem, ustami, płucami i językiem, teraz zamrożonymi na lód; jeśli nie mózgiem, teraz obumarłym?

Nie mogła śpiewać z powodu płuc, gardła, ust i języka, i ponieważ w duszy nie była tak prostolinijna, żeby stać się tym, czego wymagał Dom Pieśni. Ale cóż to znaczyło?

Nie czuła triumfu z powodu śmierci Nniva. Była dostatecznie dorosła, by wiedzieć, że sama też umrze, a jeśli miała przed sobą jeszcze stulecie, to oznaczało tylko czas, w którym mogła stać się równie niedbale okrutna jak Nniv. Kya-Kya nie uważała się za wyjątkowo szlachetną osobę. Jedyne za wyjątkowo wartościową osobę, na czym nie poznał się nikt oprócz niej. I uświadomiła sobie, że chociaż Nniv nie potrafił docenić jej wartości (a może właśnie potrafił?), wcale się przez to nie zmieniła.

Zostawiła go, zeszła po schodach i znalazła dyżurnego Ślepcę, staruszka imieniem Hrrai, który rzadko wychodził z biura.

- Nniv nie żyje - poinformowała go, zastanawiając się, czy w jej głosie słyhać szczęście (ale wiedząc, że Hrrai nie odczyta jej zbyt dokładnie, ponieważ jest Ślepcem). Nikt nie powinien usłyszeć, że jestem szczęśliwa, pomyślała. Nie cieszę się z jego śmierci. Cieszę się ze swojego życia.

- Nie żyje? - Niewzruszony Hrrai okazał tylko lekkie zdziwienie. - No więc musisz zawiadomić jego następcę.

Hrrai pochylił się nad stołem i zaczął wodzić piórem tam i z powrotem po papierze.

- Ale, Hrrai... - odezwała się Kya-Kya.

- Ale co?

- Kto jest następcą Nniva?

- Następny Mistrz Pieśni z Wysokiej Sali - odparł. - To oczywiste.

- Oczywiście, akurat! Skąd mam wiedzieć, kto to jest? Jak mam odgadnąć, jeśli mi nie powiesz?

Hrrai podniósł wzrok, teraz bardziej zdziwiony niż na wiadomość o śmierci Nniva.

- Nie wiesz, jak się to załatwia?

- Skąd mam wiedzieć? Jestem Głucha. Nigdy nie wyszłam poza Mruki.

- No, no, niepotrzebnie się złościysz. Wiesz, to nie jest żadna tajemnica. Ktokolwiek znajdzie ciało, będzie wiedział, to wszystko. Ktokolwiek odkryje, że Mistrz Pieśni z Wysokiej Sali nie żyje, będzie wiedział.

- Skąd mam wiedzieć?

- Sama zrozumiesz. Po prostu idź i powiedz jej albo jemu, że ma się zająć przygotowaniami do pogrzebu. Całkiem proste. Ale musisz działać szybko. Dom Pieśni nie powinien zbyt długo pozostawać bez Mistrza Pieśni w Wysokiej Sali.

Wrócił do pracy ze stanowczością, dając do zrozumienia dziewczynie, że powinna odejść, powinna załatwić swoje sprawy, a jemu nie zawracać głowy. Wyszła. I powędrowała korytarzami. Miała porzucić Dom Pieśni za kilka miesięcy, najmniej ważna mieszkanka tego domu, i oto nagle kazano jej wybrać przywódcę. Co za zwariowany system, pomyślała. Co za parszywe szczęście, że akurat na mnie trafiło, niech to szlag!

Ale to nie był zwykły przypadek, gdyż wędrując kamiennymi korytarzami, w których panował lodowaty ziąb, uświadomiła sobie, że nikt nie wchodził do Wysokiej Sali bez wezwania... oprócz ludzi z obsługi, a wszyscy ludzie z obsługi byli Głusi albo Ślepi, nie dostali się do najwyższych śpiewaczych sfer. Nie potrafili śpiewać, nie potrafili uczyć - dlatego to jeden z nich miał potknąć się o ciało i jako osoba bezstronna, nie należąca do grupy wybrańców, wskazać najlepszego kandydata na Mistrza Pieśni w Wysokiej Sali.

Kogo?

Weszła do Wspólnej Sali i zobaczyła nauczycieli spacerujących wśród uczniów, i wiedziała, że nie może nagle wynieść nauczyciela ponad jego rangę; kusiła ją zemsta, wybór na chybił-trafił, wyznaczenie niekompetentnej osoby do zarządzania Domem Pieśni, ale to byłoby okrutne wobec owej osoby i nie mogła nikogo ukarać w ten sposób. Wiedziała dostatecznie dużo, żeby rozumieć, że okrucieństwem jest zarówno wywyższyć kogoś ponad jego stan, jak i narzucić mu zbyt niską pozycję. Nie chciała być sprawcą nieszczęścia.

Ale Mistrzowie Pieśni, grupa, spośród której powinna logicznie wybrać - nie znała żadnego z nich, tylko z reputacji. Onn, utalentowany nauczyciel i śpiewak, lecz zawsze wyznaczany na konsultanta dla innych, ponieważ nie potrafił przestrzegać stałego rozkładu zajęć, nie tolerował wokół siebie niemiłych ludzi, a nade wszystko nie znosił podejmować decyzji. Znacznie lepiej udzielać rad. Nie, Onn nie był odpowiednim kandydatem, chociaż bez wątpienia najbardziej sympatycznym. A Chuffyun był za stary, o wiele za stary. Wkrótce miał odejść jak Nniv.

Właściwie wybór był oczywisty, tak jak mówił Hrrai. Ale wcale jej to nie cieszyło, wcale a wcale. Esste, traktująca wszystkich zimno z wyjątkiem małego chłopca, którego szkolila na Słowika Mikala. Esste, która zniżyła się do poziomu Wspólnych Sal i została nauczycielką, chociaż musiała zarządzać połową Domu Pieśni, wszystko dla pewnego małego chłopca. Dla mnie nikt tak się nie poświęcał, pomyślała Kya-Kya z goryczą. Ale Esste była wielką śpiewaczką, potrafiła rozpać ogniem serca wszystkich mieszkańców Domu Pieśni - albo zdławić ten ogień, jeśli zechciała. Esste była ponad drobne zazdrości i rywalizacje, endemiczne dla Domu Pieśni. Esste wzniosła się duchowo ponad takie rzeczy - a teraz zostanie wywyższona również formalnie.

Kya-Kya zatrzymała mistrzynię (która była szczerze zdumiona, że zaczepia ją Głucha) i zapytała, gdzie można znaleźć Esste.

- Z Anssetem. Z tym chłopcem.

- A gdzie on jest?

- W swojej izbie.

Izba. Chłopiec otrzymał promocję. Nie ukończył jeszcze sześciu lat, a już przeszedł do Izb i Komnat. Kya-Kya zagryzła wargi, żołądek jej się ścisnął. Ale po chwili rozpogodziła się. Chłopiec został awansowany przez Esste, to wszystko. Spędzi całe życie w Domu Pieśni, z wyjątkiem kilku lat na występach. Natomiast ona będzie wolna, zobaczy całą Tew - więcej, zobaczy inne planety, może nawet samą Ziemię, gdzie Mikal rządzi wszechświatem w niepojętej chwale!

Kilka pytań. Kilka wskazówek. Znalazła izbę Ansseta, identyczną jak wszystkie inne, różniącą się tylko numerem na drzwiach. Zza drzwi dochodził śpiew. To była rozmowa - Kya-Kya rozpoznała śpiewomowę. Esste była w środku. Kya-Kya zapukała.

- Kto? - padło pytanie... pytał chłopiec, nie Mistrzynie Pieśni.

- Kya-Kya. Z wiadomością dla Mistrzynie Esste.

Drzwi się otwały. Chłopiec, znacznie niższy niż Kya-Kya, wpuścił ją do środka. Esste siedziała na stołku przy oknie. Wystrój pokoju uderzał prostotą i surowością - trzy gołe drewniane ściany, prycza, stół, stołek i jedno okno w kamiennej ścianie, wychodzące na dziedziniec. Każda izba nie różniła się niczym od innych. Lecz kiedyś Kya-Kya sprzedałaby duszę za taką izbę i wszystko, co się z nią wiązało. Chłopiec miał sześć lat.

- Wiadomość?

Esste była zimna jak zawsze, siedziała na stołku idealnie wyprostowana; szata zawirowała wokół jej stóp.

- Esste, przychodzę z Wysokiej Sali.

- On chce mnie widzieć?

- On nie żyje.

Twarz Esste niczego nie zdradziła. Mistrzynie posiadała Kontrolę.

- On nie żyje - powtórzyła Kya-Kya. - Mam nadzieję, że zajmiesz się przygotowaniami do pogrzebu.

Esste siedziała przez chwilę w milczeniu, zanim odpowiedziała.

- Ty znalazłaś ciało? - Tak.

- Oddałaś mi złą przysługę - oświadczyła Esste, wstała i wyszła z pokoju.

Co teraz? - zastanawiała się Kya-Kya, stojąc przy drzwiach w izbie Ansseta. Nie sięgała wyobraźnią poza fakt zawiadomienia Esste. Spodziewała się jakiejś reakcji; przynajmniej oczekiwała, że powiedzą jej, co ma robić. Tymczasem stała tutaj w izbie obok chłopca, który stanowił jej przeciwieństwo, który osiągnął sukces tam, gdzie ona poniosła klęskę.

Spojrzał na nią badawczo.

- Co to znaczy?

- To znaczy - odparła Kya-Kya - że Esste jest Mistrzynią Pieśni w Wysokiej Sali.

Chłopiec nic po sobie nie pokazał. Kontrola, pomyślała Kya-Kya. Ta przekłeta Kontrola.

- Czy to nic nie znaczy dla ciebie? - zapytała.

- A co powinno znaczyć? - zapytał Ansset głosem utkanym z niewinności.

- Powinno przynajmniej sprawić ci trochę satysfakcji, mały - oznajmiła Kya-Kya z pogardą, na jaką czasem można sobie pozwolić wobec lepszego od siebie, korzystając z jego bezradności. - Esste niańczyła cię na każdym kroku. Popychała cię w górę, więc unikałeś wszelkich przykrości, przez które inni mu sieli przejść. A teraz cała władza należy do niej. Będiesz Słowikiem, chłopaczkę. Będiesz śpiewał dla największych ludzi w galaktyce. A potem wrócisz do domu, a twoja Esste dopilnuje, żebyś nigdy nie musiał męczyć się jako opiekun czy wychowawca, żebyś od razu został nauczycielem, albo mistrzem, albo nawet - kto wie? - wyższym mistrzem od samego początku, i przed dwudziestką zostaniesz Mistrzem Pieśni. Więc czemu nie odrzucisz Kontroli i nie okażesz zadowolenia? Spotkało cię to, co najlepsze! - Mówiła gniewnie i z goryczą, bez śladu muzyki w głosie, nawet bez mrocznej muzyki furii.

Ansset przyglądał się jej spokojnie, potem otworzył usta, nie żeby mówić, lecz żeby śpiewać. Na początku postanowiła natychmiast wyjść; wkrótce nie była w stanie niczego postanowić.

Kya-Kya słyszała przedtem wielu śpiewaków, lecz żaden tak dla niej nie śpiewał. Śpiewał słowami, ale ona nie słyszała słów. Słyszała tylko dobroć, zrozumienie i pociechę. W pieśni Ansseta nie poniosła klęski. Była mądrą kobietą, która wyświadczyła wielką przysługę Domowi Pieśni, która zasłużyła na miłość wszystkich przyszłych pokoleń. Poczła się dumna. Poczła, że Dom Pieśni wyśle ją w świat nie jako wyrzutka okrytego hańbą, tylko jako emisariuszkę. Opowiem im o muzyce, pomyślała, i dzięki mnie Dom Pieśni zdobędzie jeszcze większy szacunek wszystkich, którzy o nim usłyszą. Ponieważ została stworzona przez Dom Pieśni tak samo, jak każdy śpiewak i Słowik. Kipiała w niej radość i duma. Nie była taka szczęśliwa od lat. Nigdy w życiu. Objęła chłopca i szlochała przez kilka minut.

Jeśli Ansset potrafi dokonać czegoś takiego, wart jest wszelkich pochwał, pomyślała. Przecież ten chłopiec jest pełen miłości, nawet do mnie. Nawet do mnie. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, i zobaczyła...

Nicość.

Spoglądał na nią równie spokojnie jak przedtem. Kontrola. Wypuścił z wnętrza Pieśń, ale nic więcej. Nie było w nim niczego ludzkiego, kiedy nie śpiewał. Wiedział, co chciała usłyszeć, dał jej to i nie potrzebował robić nic więcej.

- Czy oni cię nakręcają? - zapytała, patrząc w jego pustą twarz.

- Nakręcają?

- Może umiesz śpiewać - rzuciła z gniewem - ale nie jesteś człowiekiem!

Znowu zaczął śpiewać i melodia od razu zabrzmiała uspokajająco, ale Kya-Kya zerwała się i odskoczyła od niego.

- Nie! Drugi raz mnie nie nabierzesz! Śpiewaj kamieniom i doprowadzaj je do płaczu, ale ja nie dam się więcej ogłupić!

Uciekła z pokoju, zatraskując drzwi za jego pieśnią, za jego pustą twarzą. To dziecko było potworem, nie prawdziwym człowiekiem. Nienawidziła go.

Pamiętała również jego pieśń i kochała go, pragnęła wrócić do izby, żeby słuchać go przez wieczność.

Tego samego dnia poprosiła Esste, żeby wypuściła ją wcześniej. Chciała odejść, zanim będzie zmuszona ponownie wysłuchać śpiewu Ansseta. Esste wydawała się zdumiona, zażądała wyjaśnienia. Kya-Kya powtarzała tylko, że jeśli nie pozwolą jej odejść, popełni samobójstwo.

- Więc możesz odejść jutro - powiedziała nowa Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali.

- Przed pogrzebem?

- Dlaczego przed pogrzebem?

- Bo on wtedy będzie śpiewał, prawda?

Esste przytaknęła.

- Zaśpiewa pięknie.

- Wiem - przyznała Kya-Kya i jej oczy napełniły się łzami na wspomnienie pieśni. - Ale to nie będzie śpiewała istota ludzka. Żegnaj.

- Będziemy za tobą tęsknić - powiedziała Esste cicho, miękko i czule.

Kya-Kya już wychodziła, ale odwróciła się i spojrzała Esste w oczy.

- Och, mówisz tak słodko. Widzę, gdzie Ansset się tego nauczył. Maszyna ucząca maszynę.

- Nie rozumiesz - oświadczyła Esste. - To cierpienie uczy cierpienie. Po cóż innego jest Kontrola?

Ale Kya-Kya wyszła. Nie zobaczyła już ani Esste, ani Ansseta, zanim tramwaj zabrał ją, jej bagaż i jej pierwszą miesięczną pensję z Domu Pieśni.

- Jestem wolna - powiedziała cicho, kiedy minęła bramę prowadzącą do Tew i popatrzyła na rozpościerające się przed nią uprawne pola.

Kłamiesz, kłamiesz, odpowiedział jej rytm silnika.

Rozdział 7

Maszyna ucząca maszynę. Te słowa pozostawiły po sobie niesmak, który towarzyszył Esste przez cały czas przygotowań do pogrzebu. Maszyna. No, pod pewnym względem to prawda, ale pod innym względem - całkowita nieprawda. Maszynami byli ludzie, którzy nie posiadali Kontroli, których głos zdradzał wszelkie sekrety i nie mówił nic o intencjach. Ale ja kontroluję siebie, czego nie potrafi żadna maszyna.

Lecz rozumiała także, o co chodziło Kyi-Kyi. Istotnie, wiedziała już, co ją przerażało: że Ansset całkowicie nauczył się Kontroli i to w tak młodym wieku. Obserwowała go, kiedy śpiewał na pogrzebie Nniva. Nie był jedynym śpiewakiem, ale najmłodszym i spotkał go ogromny zaszczyt, niemal bez precedensu. Nastąpiło poruszenie, kiedy wystąpił, by zaśpiewać. Lecz kiedy skończył, nikt nie miał wątpliwości, że zaszczyt był zasłużony. Tylko nowi, Mruki i kilka Dzwonków płakało - na pogrzebie Mistrza Pieśni nie należało nikogo doprowadzać do złamania Kontroli. Lecz pieśń wyrażała jednocześnie smutek, miłość i tęsknotę, szacunek dla wszystkich obecnych, nie tylko dla Nniva, który umarł, lecz dla Domu Pieśni, który Nniv pomógł zachować przy życiu. Och, Ansset, jesteś mistrzem, pomyślała Esste, lecz zauważyła również rzeczy, których inni nie zauważali. Jak zachowywał kamienną twarz przed i po śpiewie; jak stał sztywno, skupiony wyłącznie na wydobyciu właściwego tonu. On nami manipuluje, pomyślała Esste, manipuluje nami, ale nawet w połowie nie tak zręcznie, jak manipuluje sobą. Zauważyła, jak wyczuwał każde poruszenie, każde spojrzenie publiczności, jak karmił się nimi i zwracał je po stokroć. On jest jak powiększające lustro, pomyślała Esste. Powiększające lustro, które wchłania twoją miłość i odbija ją znacznie silniejszą, ale samo się nie angażuje. On jest kaleką.

Podszedł do Esste i usiadł obok niej. Miał do tego prawo, ponieważ była jego mistrzynią. Nie powiedziała ani słowa, westchnęła tylko w sposób, który przemówił do wrażliwego ucha Ansseta: „Ładne, ale banalne”. Niespodziewana i niezasłużona krytyka nie zmieniła wyrazu jego twarzy. Chłopiec odpowiedział tylko pomrukiem, który znaczył: „Nie musiałaś mi mówić, sam wiem”.

Kontrola, pomyślała Esste. Rzeczywiście nauczyłeś się Kontroli.

Rozdział 8

Ansset nie zaśpiewał więcej publicznie w Domu Pieśni. Z początku tego nie zauważył. Po prostu nie nadeszła jego kolej, żeby wykonać solo, duet, trio lub kwartet w Komnacie. Lecz kiedy wszyscy z jego komnaty wystąpili dwukrotnie lub trzykrotnie, a Ansseta nikt nie prosił o śpiew, chłopca to zdumiało, potem poczuł się zaniepokojony. Nie zadawał pytań, ponieważ tutaj nie uznawano ochotników. Tylko czekał. I czekał. A jego kolej wciąż nie nadchodziła.

Nie minęło wiele czasu, zanim zauważył, że inni w Komnacie zaczynają to komentować, najpierw pomiędzy sobą, potem wobec niego. „Czy zrobiłeś coś złego?”, pytali go przy posiłkach, w korytarzach lub w toalecie. „Dlaczego cię ukarano?”

Ansset odpowiadał tylko wzruszeniem ramion albo dźwiękiem, który znaczył: „Skąd mam wiedzieć?” Lecz kiedy wciąż utrzymywano zakaz występów, zaczął reagować na pytania lodowatym chłodem, który szybko nauczył pytających, że ten temat jest zakazany. Sam również nie pozwalał sobie na spekulacje dotyczące owego tajemniczego zakazu - po prostu część Kontroli. Kontrola nie pozwalała mu także zadawać pytań. Esste mogła to ciągnąć tak długo, jak chciała. Cokolwiek to znaczyło, cokolwiek chciała osiągnąć, Ansset zniesie wszystko bez zmrużenia oka.

Oczywiście przychodziła co dzień do jego izby, tak jak przedtem. Stanowisko Mistrzyni Pieśni w Wysokiej Sali oznaczało dla niej dodatkowe obowiązki, nie zwolnienie z dotychczasowych zajęć. Odnalezienie i wytrenowanie Słowika Mika-la było jej życiowym zadaniem, którego podjęła się z własnej woli przed dziesiątkami lat. Nie przerwie pracy, nie zrzuci z siebie ciężaru tylko dlatego, że Nniv umarł, a ta przekłeta idiotka Kya-Kya miała czelność wyznaczyć ją na następczynię. Opowiedziała o tym Ans setowi, pragnąc zapewnić chłopca, że pozostanie przy nim. Lecz on przyjął nowinę na pozór zupełnie obojętnie i wykonywał codzienne czynności, jakby nic się nie stało.

„A dlaczego miałby zachować się inaczej?” Dopóki Kya-Kya nie wygłosiła swojej kwestii przed odejściem, Esste wcale się nie martwiła. Ansset wspaniale opanował Kontrolę, ponieważ był wspaniały pod każdym względem, więc nawet nie warto o tym wspominać. Teraz jednak Esste postrzegała Kontrolę w taki sposób, jakby każdy przejaw pozornej obojętności Ans-seta stanowił dla niej cios.

Sam Ansset nie miał pojęcia, co się dzieje w umyśle Esste. Ona również posiadała wspaniałą Kontrolę i nie zdradziła przed chłopcem swoich obaw ani podejrzeń. Tak powinno być, upewniał sam siebie Ansset. Jestem jeziorem, myślał, i moje brzegi są wysokie. Nie mam niskiego miejsca. Codziennie robię się głębszy.

Nie przyszło mu do głowy, że może utonąć.

Rozdział 9

Lekcja.

Esste zabrała Ansseta do pustego pokoju bez okien. Nagi kamień, kilkanaście metrów kwadratowych, i grube drzwi, które nie przepuszczały dźwięków. Usiedli na kamiennej podłodze, a ponieważ wszystkie podłogi były z kamienia, poczuli się wygodnie, a przynajmniej swojsko, i Ansset mógł się

odprężyć.

- Śpiewaj - powiedziała Esste i Ansset zaśpiewał. Jak zwykle ciało miał sztywne, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji; jak zwykle, pieśń wyrażała intensywne emocje. Tym razem śpiewał o ciemności i zamkniętych miejscach, śpiewał ze smutkiem. Esste często zdumiewała się głębią zrozumienia, jakie przejawiał Ansset dla rzeczy, których w tak młodym wieku nie mógł znać.

Pieśń rezonowała i odbijała się echem od ścian.

- Dzwoni - powiedziała Esste.

- Mmmm - przytaknął Ansset.

- Zaśpiewaj tak, żeby nie dzwoniło.

Ansset zaśpiewał ponownie, tym razem prostą melodyjkę bez słów, która tańczyła lekko wokół najniższych rejestrów jego głosu (niezbyt niskich) i wydobywała się z ust bardziej jak oddech niż jak dźwięk. Piosenka nie wzbudziła echa.

- Śpiewaj - poleciła Esste - na tyle głośno, żebym słyszała cię tutaj przy ścianie, jakbym stała obok ciebie, ale tak, żeby nie było echa.

- Nie umiem - odparł Ansset.

- Umiesz.

- A ty umiesz?

Esste zaśpiewała i pieśń wypełniła pomieszczenie, ale nie wzbudziła echa.

Więc Ansset zaczął śpiewać. Przez godzinę, przez kolejną godzinę próbował odnaleźć głos dokładnie pasujący do pokoju. Wreszcie, pod koniec drugiej godziny, odnalazł go.

- Jeszcze raz.

Zaśpiewał jeszcze raz. A potem zapytał:

- Dlaczego?

- Nie śpiewasz tylko w ciszy. Śpiewasz także w przestrzeni. Musisz zaśpiewać dostosowując się do przestrzeni, jaką dysponujesz. Musisz ją wypełnić tak, żeby wszyscy cię usłyszeli, a przy tym utrzymać dźwięk czysty i wolny od echa, żeby każdy słyszał dokładnie to, co płynie z twojego gardła.

- Muszę to robić za każdym razem?

- Po pewnym czasie, Ansset, to stanie się odruchem. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. A potem Ansset powiedział cicho:

- Chciałbym spróbować wypełnić w ten sposób Komnatę. Esste wiedziała, o co pytał, ale nie odpowiedziała na jego prawdziwe pytanie.

- Chyba teraz Komnata jest pusta. Możemy tam pójść.

Ansset walczył ze sobą przez chwilę - przynajmniej Esste tak zakładała, ponieważ chociaż długo milczał, jego twarz nie wyrażała niczego.

- Matko Esste - powiedział w końcu - nie wiem, dlaczego mnie ukarano.

- Czy zostałeś ukarany? Spokojnie:

- Przecież wiesz.

Esste odniosła drobne zwycięstwo. W końcu zmusiła go, żeby zapytał. Lecz było to pozorne zwycięstwo. Ansset nie stracił Kontroli; po prostu uznał, że nie powinien dłużej tego przemilczać. Esste oparła się o kamienną ścianę, nie uświadamiając sobie, że szuka odprężenia w reakcji na sztywną postawę chłopca.

- Ansset, jaka jest twoja pieśń?

Spojrzał na nią pustym wzrokiem. Czekał. Wyraźnie nie rozumiał.

- Ansset, ciągle śpiewasz dla nas nasze pieśni. Bierzesz to, co ludzie czują, wzmacniasz i oddajesz nam z nawiązką, ale, dziecko, która pieśń jest twoja?

- Wszystkie.

- Żadna. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś zaśpiewał pieśń, która należałaby tylko do ciebie.

Nie stracił Kontroli. Z pewnością powinien się rozgniewać. Ale on tylko spojrzał na nią pustymi oczami i powiedział:

- Jesteś w błędzie.

Dzieciak miał dopiero sześć lat i mówił: „Jesteś w błędzie”.

- Nie wystąpisz więcej publicznie, dopóki nie zaśpiewasz mi pieśni, która będzie twoja.

- Jak to poznasz?

- Nie wiem, Ansset. Ale poznam.

Wciąż mierzył ją nieruchomym spojrzeniem, a ona dzięki własnej Kontroli nie odwróciła wzroku. Niektóre dzieci przed nim źle znosiły Kontrolę i zazwyczaj kończyły jako Głuche. Kontrola nie była łatwa dla nikogo, lecz konieczna dla pieśni. Oto jednak było dziecko, które - podobnie jak większość dobrych śpiewaków i Słowików - szybko nauczyło się Kontroli i stosowało ją w naturalny sposób.

Zbyt naturalny. Kontrola nie służyła temu, by zerwać wszelką więź pomiędzy śpiewakiem a ludźmi, lecz by utrzymać tę więź czystą i nieskażoną. Zamiast regulować natężenie emocji, Anset stworzył z Kontroli nieprzebyty mur.

„Pokonam twój mur, Anset - przyrzekła mu milcząco Esste. - Zaśpiewasz dla mnie swoją pieśń”.

Lecz jego kamienna, obojętna twarz mówiła tylko: Przegrasz.

Rozdział 10

Riktors Ashen był wściekły, kiedy wszedł do Wysokiej Sali.

- Posłuchaj, pani, czy wiesz, co to jest?

- Nie - odparła Esste głosem obliczonym na uspokojenie gościa.

- To nakaz wejścia. Od imperatora.

- I wszedłeś. Dlaczego się denerwujesz?

- Wszedłem dopiero po czterech dniach! Jestem osobistym wysłannikiem imperatora, mam bardzo ważne zadanie...

- Riktorsie Ashenie - przerwała mu Esste (ale cicho, spokojnie) - masz ważne zadanie, ale nie tutaj. Tutaj tylko zatrzymałeś się po drodze...

- Cholerna racja - warknął Riktors - i ta drobna sprawa opóźniła mnie o cztery dni.

- Może, Riktorsie Ashenie, powinieneś poprosić o spotkanie ze mną.

- Nie muszę prosić. Mam imperatorski nakaz wejścia.

- Nawet imperator prosi, zanim tutaj wejdzie.

- Wątpię.

- To fakt historyczny, przyjacielu. Osobiście przyprowadziłam go do tego pokoju.

Riktors już trochę ochłonął. Nawet poczuł się zawstydzony swoim wybuchem. Nie żeby nie miał racji - Esste wiedziała, że ten człowiek potrafi skutecznie posługiwać się gniewem. Nie bez powodu awansował na wysokie stanowisko we flocie. Czuł się zawstydzony, ponieważ naprawdę się rozłościł; w grę wchodziła duma. Oto młody człowiek, który wciąż się uczył. Spodobał się Esste. Nawet pomimo tego, że ów młody człowiek gotów był zabijać, żeby zdobyć, czego zapragnął. Śmierć czekała w jego spokojnych dłoniach, za jego chłopięcą twarzą.

- Historia to gówno - oświadczył zwięźle Riktors. - Przyjechałem dowiedzieć się o Słowika dla Mikala.

- Cesarz nie ma Słowika.

- Dokładnie w tym problem - odparł Riktors z lekką ironią. - Zdajecie sobie sprawę, ile lat upłynęło, odkąd obiecaliście mu Słowika? Mikal skończy w tym roku sto osiemnaście lat. Naturalnie zakładamy bardzo uprzejmie, że imperator będzie żył wiecznie, lecz sam Mikal kazał mi powiedzieć, że uświadamia sobie własną śmiertelność i ma nadzieję, iż nie umrze, nie usłyszawszy śpiewu swojego Słowika.

- Rozumiesz, że Słowiki są bardzo starannie dobierane do gospodarzy. Zwykle najpierw mamy Słowika, a potem szukamy dla niego odpowiedniego miejsca. Ten przypadek był niezwykle i aż do chwili obecnej nie mieliśmy odpowiedniego Słowika.

- Aż do chwili obecnej?

- Chyba mamy Słowika, który nadaje się dla Mikala.

- Zaraz go obejrzę.

Esste wybrała uśmiech. Riktors Ashen także się uśmiechnął.

- Oczywiście za twoim pozwoleniem - dodał.

- Chłopiec ma dopiero sześć lat - oznajmiła Esste. - Daleko mu do końca nauki.

- Chcę go zobaczyć, przekonać się, że istnieje.

- Zaprowadzę cię do niego.

Zeszli krętymi schodami i zapuścili się w labirynt korytarzy.

- Tyle tutaj korytarzy - odezwał się Riktors - że chyba zostało wam niewiele miejsca na pokoje.

Esste nic nie powiedziała, dopóki nie dotarli w pobliże Izb. Tam zatrzymała się na chwilę i zaśpiewała długą, wysoką nutę. W oddali zamknęły się drzwi. Potem poprowadziła cesarskiego wysłannika do drzwi Ansseta i zanuciła coś bez słów.

Drzwi otwały się i Riktors Ashen gwałtownie wciągnął powietrze. Anset był chudy, a jego jasna karnacja i blond włosy sprawiały wrażenie, że słońce wpadające przez okno celi przeświała go na wylot. Miał rysy twarzy piękne, nie po prostu regularne; na widok takiej twarzy serca mężczyzn topniały równie szybko jak serca kobiet. Szybciej.

- Wybrano go z powodu głosu czy z powodu twarzy? - zapytał Riktors Ashen.

- U trzyletniego dziecka - odparła Esste - przyszły wygląd stanowi tajemnicę. Lecz głos rozwija się łatwiej. Anset, przywiodłam tego człowieka, żeby posłuchał jak śpiewasz.

Anset spojrzał obojętnie na Esste, jakby jej nie rozumiał, ale nie chciał prosić o wyjaśnienie. Esste natychmiast zorientowała się w jego zamiarach. Riktors nie.

- Ona chce, żebyś dla mnie zaśpiewał - odpowiedział.

- Chłopiec nie potrzebuje powtarzania. Usłyszał moje polecenie i postanowił nie śpiewać.

Twarz Ansseta niczego nie zdradzała.

- Czy on jest głuchy? - zapytał Riktors.

- Chodźmy już - zaproponowała Esste. Odeszli. Lecz Riktors zwlekał do ostatniej chwili, oglądając się na Ansseta.

- Piękny - powtórzył kilkakrotnie, kiedy wędrowali przez kolejne korytarze w stronę bramy.

- On ma zostać cesarskim Słowikiem, Riktorsie Ashenie, nie cesarskim utrzymankiem.

- Mikal posiada liczne potomstwo. Jego gusty nie są tak eklektyczne, żeby obejmowały małych chłopców. Dlaczego chłopiec nie śpiewał?

- Ponieważ nie chciał.

- Zawsze jest taki uparty?

- Często.

- Hipnoterapia poradzi sobie z tym. Dobry fachowiec potrafi nałożyć blokadę mentalną, która zabroni oporu...

Esste zaśpiewała melodię, od której Riktors zaniemówił. Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, dlaczego nagle przestraszył się tej kobiety.

- Riktorsie Ashenie, ja ci nie mówię, jak masz kierować swoją kosmiczną flotą pomiędzy planetami.

- Oczywiście. Tylko sugerowałem...

- Żyjesz w świecie, gdzie oczekuje się od ludzi tylko posłuszeństwa, dlatego wasi hipnoterapeuci i blokady wystarczają do waszych celów. Lecz tutaj, w Domu Pieśni, tworzymy piękno. Nie możesz zmusić dziecka, żeby odnalazło swój głos.

Riktors Ashen odzyskał zimną krew.

- Dobra jesteś. Ja muszę bardziej się namęczyć, aby zmusić ludzi, żeby mnie słuchali.

Esste otworzyła drzwi do poczekalni.

- Mistrzynie Pieśni Esste - odezwał się Riktors - powiem imperatorowi, że widziałem jego Słowika i że chłopiec jest piękny. Lecz co mam powiedzieć, kiedy przyślecie chłopca?

- Przyślemy chłopca, kiedy będę gotowa - oświadczyła Esste.

- Może lepiej przyślijcie go, kiedy on będzie gotowy.

- Kiedy ja będę gotowa - powtórzyła Esste miłym, pełnym wdzięku głosem.

- Imperator dostanie swojego Słowika przed śmiercią.

Esste syknęła cicho, żeby Riktors podszedł bliżej. Przysunął się do niej tak blisko, że tylko on usłyszał, co powiedziała:

- Oboje musimy jeszcze tyle zrobić przed śmiercią Mikala Imperatora, prawda?

Potem Riktors Ashen szybko wyszedł, żeby dokończyć załatwianie spraw imperatora.

Rozdział 11

Brew kradnie twój umysł,

Bay kradnie ci życie,

Bóg kradnie pieniądze,

Wood kradnie dziewice.

Stivess jest lodem,

Water jest piekłem,

Overlook chce ciebie,

A Norumm nie chce.

- Co to za piosenka? - zapytał Anset.

- Traktuj ją jak przewodnik. Dawniej śpiewały ją dzieci ze Step, żeby wyśmiewać inne wielkie miasta na Tew. Step nie jest już wielkim miastem. Ale te, z których sobie żartowano, wciąż istnieją.

- Dokąd pojedziemy?

- Masz osiem lat, Anset - powiedziała Esste. - Czy pamiętasz inne życie, innych ludzi poza Domem Pieśni?

- Nie.

- Po tej podróży będziesz pamiętał.

- Co znaczy ta piosenka? - zapytał Anset. Ślizgacz zatrzymał się w miejscu przesiadki, gdzie pojazdy należące do Domu Pieśni zastępował transport komercyjny. Esste wzięła Anseta za rękę, chwilowo ignorując jego pytanie. Trzeba było kupić bilety, zaś ich bagaż, chociaż skąpy, musiał być przeszukany, oznakowany i wpisany do komputera, żeby w przyszłości uniknąć fałszywych roszczeń o odszkodowanie. Esste pamiętała swoją pierwszą wyprawę poza tereny Domu Pieśni, wiedziała więc, że Anset nic z tego nie rozumiał. Próbowwała mu wyjaśnić kilka spraw, a on wydawał się nieźle orientować. Pieniądze oraz samą ideę pieniądza pojął w mgnieniu oka. Ubranie uznał za niewygodne; ciągle zdejmował buty, dopóki Esste mu tego nie zabroniła. Nie przygotowała go wcześniej na zmianę diety. Przez kilka dni będzie cierpiał na rozstrój żołądka - w Domu Pieśni nie wyrobił w sobie apetytu ani tolerancji na cukier.

Nie dziwiła się, że tak spokojnie wszystko przyjmował. Podróż oznaczała, że już za rok wyślą go na miejsce przydziału; on jednak nie okazywał żadnego podniecenia czy choćby zainteresowania swoim losem. Przez ostatnie dwa lata jego twarz zaczęła wreszcie wyrażać odrobinę emocji, jednak Esste, która znała go najlepiej, nie dała się zwieść. Nakładał maskę emocji, żeby uniknąć podejrzliwych komentarzy. Żadna nie była prawdziwa. Wyglądał dokładnie tak, jak tego oczekiwano, jak należało wyglądać w danej chwili. Esste rozpaczała. Sama umieściła w umyśle Anseta sekretne ścieżki i miejsca, teraz jednak nie mogła do niego dotrzeć. Nie mogła go zmusić, żeby mówił o sobie; nie mogła go nakłonić, żeby uzewnętrzniał chociaż cień przeżywanej emocji. Kiedyś, na wzgórzu ponad jeziorem połączyło ich poczucie bliskości; Anset nigdy nie zdradził tego wspomnienia, lecz jednocześnie nigdy nie pozwolił Esste zrobić choćby kroku po ścieżce, na której mogła go

wprowadzić w lekki trans i wreszcie coś osiągnąć albo przynajmniej czegoś się dowiedzieć.

Załatwiwszy sprawy w miejscu przesiadki, musieli poczekać na autobus - ślizgacz, którym za opłatą każdy mógł pojechać. Dopiero wtedy Esste skorzystała z wolnej chwili, żeby odpowiedzieć na pytanie Ansseta. Jeśli był zdumiony lub wdzięczny, że o tym pamiętała, niczym tego nie okazał.

- Brew to jedno z Morskich Miast... Homefall, Chop, Brine i Brew... które słyną z piwa i porteru. Mają także reputację pijaków; eksportują bardzo niewiele swoich produktów, ponieważ sami mnóstwo piją. Piwo i porter zawierają alkohol. To wrogowie Kontroli; jeśli je pijesz, nie możesz śpiewać.

- „Bay kradnie ci życie?” - podpowiedział Ansset, który jak zwykle zapamiętał piosenkę.

- W Bay panował niefortunny zwyczaj, żeby co sobotę organizować publiczną egzekucję, bez względu na to, czy akurat znalazł się zbrodniarz skazany na śmierć. Żeby nie tracić zbyt wielu własnych obywateli, wykorzystywali obcych. Ostatnio powstrzymano te praktyki. W Wood istniał obowiązkowy rynek żon. Zdumiewające rzeczy. Tew jest bardzo dziwną planetą. Dlatego mógł tutaj powstać Dom Pieśni. Byliśmy bardziej normalni niż większość miast, więc zostawiono nas w spokoju.

- Miast?

- Dom Pieśni powstał jako miasto. Powstał jako miasto ludzi, którzy kochali śpiew. Od tego wszystko się zaczęło.

- A reszta miast?

- Stivess leży na dalekiej północy. Water leży równie daleko na południu. Jedynym towarem Overlook są piękne widoki, więc miasto żyje z zamożnych ludzi, którzy przyjeżdżają tam dokonać żywota. Norumm ma cztery miliony mieszkańców. Dawniej miało dziewięć milionów. Ale wciąż obawiają się przepelnienia i nie chcą wpuszczać więcej niż kilka osób rocznie.

- Czy tam pojedziemy? -Nie.

- „Bóg kradnie pieniądze”. Co to znaczy?

- Sam się dowiesz. Właśnie tam jedziemy.

Autobus nadjechał, wsiedli i autobus odjechał. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, Ansset zobaczył ludzi spoza środowiska Domu Pieśni. Autobusem jechało niewiele osób. Chociaż to była główna droga z Seawatch do Bóg, większość ludzi podróżowała ekspresami, które nie zatrzymywały się w miejscu przesiadki Domu Pieśni - ani nawet w Step. Ten zwykły autobus zatrzymywał się wszędzie.

Tuż przed nimi siedziała rodzina: matka, ojciec i syn, starszy co najmniej o rok od Ansseta. Dzieciak jechał już zbyt długo i nie mógł usiedzieć spokojnie.

- Mamo, muszę iść do toalety.

- Dopiero co byłeś. Siedź na miejscu.

Ale chłopiec obrócił się, ukląkł na ławce, żeby gapić się na Esste i Ansseta. Ansset wytrzymał jego wzrok bez mrugnięcia. Zniecierpliwiony chłopiec zaczął się wiercić. Wyciągnął rękę, żeby trzepnąć Ansseta po twarzy. Gest mógł być w zamierzeniu przyjazny, lecz Ansset zanucił krótką, szorstką melodię, która niemal zwała chłopca na siedzenie. Kiedy matka prowadziła syna do toalety na końcu autobusu, dzieciak zerkał na Ansseta z przerażeniem i trzymał się od niego jak najdalej.

Esste zdziwiła się widocznym strachem dziecka. Owszem, melodia brzmiała karcąco. Ale reakcja chłopca była zupełnie nieproporcjonalna. W Domu Pieśni każdy zrozumiałby piosenkę Ansseta, lecz dzieciak spoza Domu powinien ją zrozumieć tylko częściowo - głównym celem tej podróży była nauka dostosowania do obcych. Jednak Ansset w jakiś sposób porozumiał się z chłopcem, i to lepiej niż z Esste.

Czy Ansset naprawdę potrafi kierować swoją muzyką do jednej konkretnej osoby? - zastanawiała się Esste. To wykraczało nawet poza sztukę śpiewomowy. Nie, nie. Widocznie chłopiec po prostu bardziej się koncentrował na Anssecie niż Esste, dlatego piosenka uderzyła go z większą siłą.

Zamiast się martwić tym incydentem, Esste nabrała otuchy. Podczas pierwszego spotkania z obcym Ansset poradził sobie znacznie lepiej, niż się spodziewała. Słusznie, że wybrała go na Słowika Mikala. I nie tylko.

Chociaż las nie rósł tutaj tak bujnie jak w Dolinie Pieśni, gdzie Ansset zawsze jeździł na wycieczki, wysokie drzewa sprawiały imponujące wrażenie, a brak poszycia stwarzał inny rodzaj piękna - jakby surową świątynię, gdzie kolumny pni wznoszą się w nieskończoność, a liście tworzą gęste sklepienie. Ansset obserwował drzewa bardziej uważnie niż ludzi. Esste próbowała odgadnąć, co się dzieje w jego nieprzeniknionym umyśle. Czy świadomie unikał patrzenia na ludzi? Może wolał zignorować ich obcość, dopóki nie zdołał ich zaakceptować. Czy też naprawdę był obojętny, bardziej interesowały go drzewa niż istoty ludzkie?

Może popełniłam błąd, pomyślała Esste. Może zawiodła mnie intuicja. Może powinnam była pozwolić Anssetowi na występy. Przez dwa lata nie miał innej publiczności oprócz mnie. Jeśli dawniej wyjątkowe traktowanie odsunęło od niego dzieci, późniejszy zakaz zrobił z niego wyrzutka. Nikt nie wiedział, jakie wykroczenie popełnił Ansset, ale po triumfalnym występie na pogrzebie Nniva nie usłyszano więcej jego głosu, więc wszyscy doszli do wniosku, że ta niełaska stanowi karę za coś strasznego. Niektórzy nawet śpiewali o tym w komnacie. Jeden chłopiec, Ller, nawet ośmielił się zaprotestować, zaśpiewać gniewnie, że to niesprawiedliwe skazywać Ansseta na tak długie milczenie. Lecz nawet Ller unikał Ansseta, jakby cierpienie przyszłego Słowika było zaraźliwe.

Jeśli popełniłam błąd, zło już się stało, zdecydowała Esste. Za rok Ansset pojedzie do Mikala, gotowy czy nie. Ansset zostanie Słowikiem obdarzonym najwspanialszym, najpiękniejszym głosem, jaki kiedykolwiek za ludzkiej pamięci wyszedł z Domu Pieśni. Lecz będzie niełudzka istotą, niezdolną do okazywania zwykłych ludzkich uczuć. Śpiewającą maszyną. Mam jeszcze rok, pomyślała Esste. Jeden rok, żeby pokonać jego bariery, nie łamiąc mu serca.

Lasy ustąpiły miejsca zadrzewionym preriom, bezludnym równinom, gdzie wciąż żyły dzikie zwierzęta. Ciśnienie demograficzne na Tew nigdy nie było tak wielkie, żeby sprowadzić licznych osadników na ten płaskowyż, gdzie zimy były niezwykle surowe, a lata nieznośnie upalne. Znajdowali się o godzinę drogi od Krawędzi, wielkiego klifowego urwiska, długiego na tysiące kilometrów i wysokiego prawie na kilometr. Tutaj jednakże skraj płaskowyżu rozszczepiał się na dwie części, a pomiędzy nimi skalne tarasy opadały znacznie łagodniej. Miasto Step wyrosło u podnóża kamiennego rumowiska, gdzie drogi lądowe musiały zastąpić transport rzeczny. Niewielu farmerów mogło sobie pozwolić na ślizgacze. Nawet kiedy Step przestało być głównym miastem, zachowało duże lokalne znaczenie.

Autobus jechał po krętej drodze, wyciosanej przed wiekiem w skale. Nawierzchnia była wyboista, ale pasażerowie prawie tego nie czuli, czasami tylko pojazd przechylał się na stromych odcinkach. Anset ciągle oglądał krajobraz, a teraz nawet Esste spojrzała na rozległe pola uprawne u podnóża urwiska. To, co na płaskowyżu spadało jako śnieg, poniżej Krawędzi zmieniało się w deszcz, a miejscowi farmerzy karmili świat, jak lubili o sobie mówić.

Samo Step wydawało się nudne i przygnębiające. Wszystkie budynki były stare, a zniszczone szyldy na prawie pustych ulicach najgłośniej informowały o rozkładzie. Niemniej należało odbyć lekcję. Esste zabrała Anseta do ponurej restauracji, złożyła zamówienie i zapłaciła za obiad. „Nawet ceny tutaj są depresyjne”, skomentowała. Anset ją zignorował.

Restauracja była wypełniona nie bardziej niż ulice. Widocznie wszyscy ludzie poszli gdzie indziej. Jedzenie podano szybko. Nie było złe, ale straciło smak gdzieś po drodze pomiędzy farmą a stołem. Anset zjadł niewiele. Esste zjadła jeszcze mniej. Zamiast tego obserwowała ludzi. Początkowo odniosła wrażenie, że wszyscy są starzy, ale policzyła ich, ponieważ nie ufała wrażeniom. Tylko sześć osób miało siwe włosy lub łysiny - pozostali tuzin stanowili ludzie młodzi lub w średnim wieku. Niektórzy milczeli, większość jednak rozmawiała. Niemniej restauracja wyglądała staro, a w głosach klientów dźwięczało znużenie. Niezrozumiały smutek ogarnął Esste. Pieśni odeszły z tego miejsca, jeśli kiedyś tutaj rozbrzmiewały. Teraz pozostały tylko jęki.

I zaledwie Esste o tym pomyślała, usłyszała, że Anset jęczy. Dźwięk był cichy, lecz przenikliwy, niczym stłumiony warkot kuchennych maszyn przerabiających jedzenie. Dzięki Kontroli Esste powstrzymała się od spojrzenia na chłopca, tylko słuchała. Pieśń stanowiła idealne echo nastrojów panujących w tym miejscu, idealne odbicie nie rozpaczy, nie, lecz znużenia istot ludzkich. Stopniowo jednak Anset wplatał w melodię wznoszącą nutę, dziwny, zaskakujący element, który wzbudzał zainteresowanie, a przynajmniej zachęcał słuchacza do zainteresowania się czymkolwiek. Esste natychmiast zrozumiała, co Anset zrobił. Złamał zakaz. Wystąpił publicznie. I znowu pieśń nie należała do niego - była tym, co wszyscy ludzie w restauracji, nie wyłączając Esste, chcieli usłyszeć, chcieli odczuć.

Rytm pieśni Anseta zabrzmiał wyraźniej. Ludzie, którzy dotąd milczeli, zaczęli rozmawiać; rozmowy już trwające nagle się ożywiły. Ludzie uśmiechali się do siebie. Brzydka młoda kobieta przy kontuarze wdała się w pogawędkę z kelnerem. Nawet żartowała. Nikt jakby nie zauważył, że Anset śpiewa.

Chłopiec ściszył głos, pozwolił, żeby melodia zamarła w połowie nuty, tak że zdawała się trwać w

ciszy. Nawet Esste nie miała pewności, kiedy Ansset umilkł, chociaż ona jedna słuchała go uważnie. Lecz efekt pieśni pozostał. Esste umyślnie zwlekała, bo chciała się przekonać, jak długo ludzie zachowają pogodny nastrój. Wychodzili z restauracji uśmiechnięci.

- Gratuluję ci wspaniałego występu - powiedziała Esste. Twarz Ansseta nie drgnęła. Jego głos odpowiedział:

- Trudniej ich zmienić niż ludzi z Domu Pieśni.

- Jakbyś próbował iść przez wodę, tak? - zagadnęła Esste.

- Albo przez błoto. Ale potrafię to zrobić.

Ani odrobiny chępliwości. Tylko zwykłe stwierdzenie faktu. Ale ja cię znam, chłopcze, pomyślała Esste. W duchu skaczesz z radości. Świetnie się bawisz, kiedy możesz mnie przechytryć i jednocześnie udowodnić, że dajesz sobie radę w każdej sytuacji. Dopóki nie dotyczy cię osobiście.

Autobus zawiózł ich przez noc z powrotem do Krawędzi, ale tym razem na zachód. Panowały jeszcze ciemności, kiedy dotarli do Bóg. To znaczy niebo było ciemne. Światła miasta sięgały aż do brzegu morza. Miejscami zlewały się ze sobą, jakby miasto zmieniło się w kobierzec jaskrawego blasku, odłamek słońca. Chmury ponad miastem jaśniały niczym lampiony. Nawet morze zdawało się świecić.

Ulice były tak zatłoczone, nawet w ostatnich godzinach przed świtem, że autobusy, ślizgacze i nawet skutery musiały korzystać z wiaduktów wijących się wysoko wśród budynków. Olśniewający widok. Podniecający widok. Ludzka ciżba kipiała gorączkowym, rozpaczliwym pośpiechem, wyczuwalnym nawet z wnętrza autobusu. Ansset przespał całą drogę, obudził się tylko na chwilę, kiedy Esste chciała mu pokazać miasto. „Światła”, mruknął tonem oznaczającym wyraźnie: wolę spać.

- Możecie iść na górę i wyspać się - poradził urzędnik w hotelu. - Tutaj nic się nie dzieje w dzień. Nawet interesy. Nie dostaniecie przyzwoitego posiłku, najwyżej w tych obskurnych całodziennych jadłodajniach.

Ale zaledwie po kilku godzinach snu Ansset nalegał, żeby wyszli.

- Chcę teraz zobaczyć miasto.

- Wygląda lepiej w elektrycznym świetle - powiedziała Esste.

- Właśnie. - Właśnie dlatego chcę je zobaczyć.

- Tak? - Wolałabym odpocząć.

- Tutaj łóżka są za miękkie - oświadczył Ansset. - Plecy mnie bolą. Po obiedzie w Step musiałem cztery razy chodzić do toalety, i jedzenie wyglądało lepiej niż na talerzu. Chcę wyjść.

Chcę zobaczyć miasto, zanim się wystroi, żeby nabierać głupców.

Masz osiem lat, powiedziała sobie w duchu Esste. Zachowujesz się jak zgryźliwy osiemdziesięciolatek.

Obejrzeni Bóg (bog (ang.) - bagno, trzęsawisko) w blasku dnia.

- Nazwa? - zapytał Ansset.

- Miasto leży w ujściu rzeki Salway. Większość gruntów wznosi się zaledwie kilka centymetrów nad poziom morza, a ziemia wciąż się zapada. - Pokazała mu, jak architektura dostosowała się do warunków. Wszystkie budynki miały główne wejścia prowadzące w pustkę na poszczególnych piętrach. W miarę jak dom się zapadał, korzystano z wejść na kolejnych kondygnacjach. Niektóre budynki wystawały tylko kilka stóp ponad poziom ulicy - zwykle na ich dachach wznoszono następne.

W dzień wyłączano świetlne szyldy, na ulicach było bardzo mało ludzi.

- Równie ponure jak Step - stwierdził Ansset.

- Za to ożywa w nocy.

- Czyżby?

Na niektórych ulicach brodzili po kostki w warstwie śmieci. Śmieciarki pełzły przez miasto, z rykiem pochłaniając stosy odpadków. Nieliczni przechodnie wyglądali, jakby mieli za sobą nie przespaną noc - albo wstali zbyt wcześnie. Poprzedniej nocy odbywał się karnawał; dzisiaj miasto zmieniło się w cmentarz.

Park. Usiedli na ławce z masytu, który po chwili dostosował się do kształtu ich ciał. Niedaleko siedziała stara kobieta, machając nogami w stawie. Trzymała linkę, której koniec ginął w wodzie. Obok niej podrygiwał w koszu brzydki węgorz. Kobieta pogwizdywała.

Melodia była prymitywna, nieharmonijna, pełna powtórzeń. Ansset zaczął śpiewać tę samą piosenkę, w tej samej tonacji - wysokiej, drżącej, niepewnej. Naśladował każde drżenie, każdą piskliwą nutę. A potem nagle pojawił się dysonans, który boleśnie zgrzytnął w uszach. Stara kobieta obejrzała się, przetaczając przed sobą wielki brzuch. Zaśmiała się, a jej piersi podskoczyły i opadły.

- Znasz tę piosenkę? - zawołała.

- Czy znam? - odkrzyknął Ansset. - Ja ją napisałem!

Znowu się roześmiała. Ansset zaśmiał się razem z nią, naśladowując jej cienki śmiech, głębokie zachłyśnięcia i krótkie, głośne wybuchy dźwięku. Słuchała go z rozkoszą, podobnie jak słuchała samej siebie.

- Chodź tutaj! - zawołała.

Ansset podszedł do niej, a Esste ruszyła za nim, nie mając pewności co do zamiarów staruchy. Nie mając pewności, dopóki nie usłyszała ponownie jej głosu.

- Nowy - powiedziała stara. - Widzę, kto jest tutaj nowy. Twoja matka? Piękny chłopiec. Nie puszczaj go samego w nocy. Jest dostatecznie ładny na utrzymanka. Chyba że właśnie tego chcesz, w którym to wypadku życzę ci, żebyś zmieniła się w węgorza, a skoro o nim mowa, może kupicie go ode mnie?

Węgorz wykręcił się obscenicznie, jakby chciał zademonstrować swoje wdzięki.

- On jeszcze żyje - skomentował Ansset.

- One umierają godzinami. I bardzo dobrze. Im dłużej się wiją, tym więcej sikają i mięso lepiej smakuje. Pełno ich w tym stawie. Ma bezpośrednie połączenie z systemem ścieków. One żyją w ściekach. Razem z gorszymi stworami. Bóg wytwarza więcej gówna niż innych towarów, wystarczy, żeby utrzymać przy życiu milion tych stworzeń. A dopóki one żyją, ja nie umrę z głodu.

Zaśmiała się ponownie i Ansset zaśmiał się razem z nią, a potem szybko przerobił jej śmiech na zwariowaną piosenkę, która pobudziła ją do jeszcze większego śmiechu. Esste musiała przywołać na pomoc Kontrolę, żeby nie śmiać się razem z nimi.

- Ten chłopiec to śpiewak.

- Ten chłopiec ma wiele talentów.

- Dom Pieśni? - zapytała starucha. Lepiej skłamać.

- Nie chcieli go przyjąć. Mówiłam im, że on ma talent, nawet geniusz, ale te ich przeklęte testy nie wykryją geniusza, choćby zaśpiewał arię.

- Nic nie szkodzi. Tutaj jest wielki popyt na śpiewaków, innego rodzaju niż z Domu Pieśni, no wiesz. Jeśli on zgodzi się rozebrać, może zarobić fortunę.

- Przyjechaliśmy tylko z wizytą.

- Albo w niektórych miejscach może sporo zarobić, jeśli będzie się ubierał. Mamy tutaj wszystko, do wyboru, do koloru. Ale wy nie jesteście z miasta. Wszyscy wiedzą, że nie chodzi się do parku w dzień. Za mało policji na patrole. Nawet monitory nie pomagają... tylko kilkoro ludzi ma dyżur, zresztą i tak oczy im się kleją z niewyspania. Noc żyje, ale dzień zabija. Tak mówią.

Śpiewny ton w jej głosie powiedział nawet więcej. Lecz Ansset widocznie nie mógł się powstrzymać. Zanucił te słowa kilka razy, za każdym razem coraz bardziej zabawnie.

- Noc żyje, ale dzień zabija.

Zaśmiała się, ale jej oczy szybko spoważniały.

- Tutaj, na brzegu, jest trochę lepiej. Mnie nigdy nie zaczepiają. Ale wy uważajcie.

Ansset podniósł węgorza, przyjrzał mu się chłodno. W oczach węgorza była rozpacz.

- Jak to smakuje? - zapytał Ansset.

- A jak myślisz? One odżywiają się gównem. Smakują jak gówno.

- I ty to jesz?

- Sól, cukier, przyprawy... umiem nadać węgorzowi taki smak, jaki zechcę. Okropny, ale przynajmniej nie smakuje jak węgorz. Węgorz to elastyczne mięso. Można je zginać i kształtować do woli.

- Aha - powiedział Ansset.

Dla starej kobiety jego „aha” nic nie znaczyło. Dla Esste to znaczyło: Jestem dla ciebie węgorzem. Możesz mnie zginać, ale stawię ci opór.

- Chodźmy - powiedziała Esste.

- Dobry pomysł - przyznała starucha. - Tutaj nie jest bezpiecznie.

- Żegnaj - powiedział Ansset. - Cieszę się, że cię spotkałem.

W jego głosie brzmiała tak autentyczna radość, że stara kobieta była zdumiona. Kiedy odchodzili, uśmiechała się z zadowoleniem.

Rozdział 12

- To nudne - oświadczył Ansset. - Musi być coś więcej do oglądania.

Esste spojrzała na niego ze zdumieniem. Kiedy sama przyjechała tutaj jako początkujący Słowik, przedstawienia, tańce, śpiewy i śmiech były dla niej cudowną niespodzianką. Nie przypuszczała, że Ansset tak szybko dozna przesytu.

- Więc dokąd pójdziemy?

- Na tyły.

- Na tyły czego?

Nie odpowiedział. Wstał już z miejsca i przesuwał się pomiędzy rzędami. Jakaś kobieta wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. Zignorował ją całkowicie i szedł dalej. Esste próbowała go dogonić, ale on znacznie szybciej prześlizgiwał się przez ruchliwy tłum, nieustannie kłębiący się w przejściu. Zobaczyła, jak wpadł w drzwi, skąd wychodzili i wchodzili kelnerzy. Nie mając wyboru, ruszyła za nim. Gdzie się podziała nieśmiałość i obawa przed obcymi, które zwykle trzymały w ryzach dzieci z Domu Pieśni?

Znalazła go w towarzystwie kucharzy. Śmiali się i żartowali, a on odbijał ich wesoły nastrój i jeszcze bardziej ich rozśmieszał, wygadując jakieś horendalne bzdury. Byli zachwyceni.

- Pani syn?

- Mój syn.

- Dobry chłopiec. Cudowny chłopiec.

Ansset przyglądał się, jak gotowali. W kuchni panował nieznośny żar. Kucharz objaśniał swoją pracę:

- Większość lokali stosuje szybkie piece. Ale tutaj stawiamy na dawne metody. Stare, dobre potrawy. To nasza specjalność.

Pot skapywał z brody Ansseta, wilgotne kędziory włosów przykleiły mu się do czoła i karku. Zdawał się tego nie zauważać, ale Esste dostrzegła i tonem wykluczającym sprzeciw powiedziała:

- Idziemy.

Ansset nie stawiał oporu, lecz kiedy Esste ruszyła w stronę drzwi, którymi oboje weszli, on nieomylnie skierował się w stronę innych drzwi. Prowadziły na rampę przeładunkową. Tragarze spojrzeli na nich ciekawie, lecz Ansset zanucił bezmyślną melodię i zostawili go w spokoju.

Za rampą wewnętrzna uliczka obsługiwała wszystkie budynki w tej okolicy. Było to miasto w mieście: wszystkie fasady lśniły dla gości, graczy, turystów, podczas gdy za fasadami, we wnętrzu budynków tragarze, kucharze, kelnerzy, lokaje, zarządcy, artyści estradowi biegali tam i z powrotem, przejeżdżali rozklekotanymi taksówkami, opróżniali kubły na śmieci. Była to brzydota wytwarzana przez wszystkie cuda Bóg, ukryta przed płacącymi klientami za szeregiem drzwi, na których widniał napis: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU.

Esste ledwie dotrzymywała Anssetowi kroku. Już nie udawała, że go prowadzi. On odnalazł to miejsce i jego muzyka obłaskawiała tych, którzy mogliby go powstrzymać. Esste musiała z nim zostać; chciała z nim zostać, ponieważ była podekscytowana jego odkryciami, znacznie bardziej

podekscytowana niż on, przynajmniej na pozór.

Punkt przetwarzania odpadków; burdel; opancerzony samochód ładujący utarg domu gry z ostatniej godziny; dentystę wyspecjalizowany w naprawianiu zębów osobom, które musiały się uśmiechać i nie mogły opuścić pracy na dłużej niż kilka minut; przesłuchania do występu komików; i setki tragarzy, którzy wnosili żywność i wynosili śmieci. I kostnica.

- Tutaj nie wolno wchodzić - powiedział balsamator, lecz Ansset tylko uśmiechnął się i powiedział: „Nam wolno”, i wy śpiewał niezachwianą pewnością. Balsamator wzruszył ramiona mi i powrócił do pracy. Wkrótce zaczął mówić.

- Czyszcę ich - powiedział. Ciała podjeżdżały na taśmo-ciągu. Balsamator przetaczał je na stół, rozcinał brzuchy i usuwał wnętrzności. - Bogaci i biedni, wygrani, przegrani, przy pracy i przy zabawie, setka ich umiera co noc w tym mieście, a tu-taj ich ładnie czyścimy, żeby się nie zepsuli. Flaki zawsze wyglądają tak samo. Śmierdzą tak samo. Goluteńcy jak noworodki. - Wnętrzności wpadły do worka. Mężczyzna wypełnił jamę brzuszną sztywną plastikową wełną i zaszył skórę zakrzywioną igłą. Jedno ciało zabrało mu tylko dziesięć minut. - Inny facet robi oczy, a jeszcze inny widoczne rany. Jestem specjalistą.

Esste chciała wyjść. Pociągnęła Ansseta za ramię, ale on nie ruszył się z miejsca. Patrzył, jak oporzędzano cztery ciała. Czwarte nadszedły zwłoki starej kobiety z parku. Balsamator chwilowo zmęczył się gadaniem. Rozciął potężny brzuch. Smród był gorszy.

- Nie znoszę grubych - wyznał balsamator. - Zawsze trzeba odsuwać tłuszcz. To opóźnia robotę. Wypadam z rytmu. - Mu-siał sięgnąć przez zwały ciała, żeby odnaleźć jelita; zaklął, kiedy pękły. - Przy grubych robię się niezręczny.

Twarz kobiety zastygła w grymasie, który mógł oznaczać uśmiech. Poderżnięto jej gardło.

- Kto ją zabił? - zapytał Ansset, ani głosem, ani wyrazem twarzy nie zdradzając innej emocji poza ciekawością.

- Ktokolwiek. Skąd mam wiedzieć? Zwyczajny truposz. Mogli ją zarżnąć z byle powodu. Ale ta stara była biedna. Znam ten zapach. Zjadała węgorze. Zdechłaby na raka, gdyby nie mordercy. Widzisz? - Wyciągnął żołądek, ropiejący i rozdęty przez wielką narośl. - Taka gruba, że nawet nie wiedziała, że ma raka. Szybko by ją wykończył.

Balsamator musiał sporo się namęczyć i użyć mocniejszej nici, zanim na powrót zszył brzuch trupa. Na taśmociągu przyjechało już kolejne ciało.

- Cholera - burknął mężczyzna. - Będą dzisiaj skargi, już to widzę. Znowu nie wyrobię normy. Nie znoszę grubych.

- Chodźmy już - powtórzyła Esste, umyślnie rozluźniając na chwilę Kontrolę, dostatecznie, żeby zdumiony Ansset pozwolił się wyprowadzić na uliczkę.

- Wystarczy - oświadczyła Esste. - Idziemy.

- Ona się pomyliła - odparł Ansset. -Kto?

- Ta kobieta. Pomyliła się. Nie zostawili jej w spokoju.

- Ansset.

- To była ciekawa podróż - powiedział Ansset. - Dużo się nauczyłem.

- Naprawdę?

- Przyjemność jest jak pieczenie chleba. Mnóstwo ciężkiej, brudnej pracy w kuchni dla kilku kęsów przy stole.

- Bardzo dobrze. - Próbowwała go prowadzić dalej.

- Nie, Esste. Możesz mnie ukarać w Domu Pieśni, ale tutaj nie możesz mnie zmusić do milczenia.

Wyrwał się jej i pobiegł do zakulisowego wejścia teatru. Esste pobiegła za nim, ale nie była już młoda i chociaż starała się utrzymać formę, kobieta w jej wieku nie mogła dogonić chłopca zdecydowanego na ucieczkę. Przynajmniej zbliżyła się na tyle, że zobaczyła, dokąd wszedł.

Orkiestra grała przed pełną salą, a na scenie tańczyła naga kobieta; nagi mężczyzna czekał w kulisach. Ansset wyprostował się, stanął za jedną z dekoracji i zaśpiewał. Zaśpiewał czysto i głośno, a kobieta na scenie usłyszała go i przestała tańczyć, a potem usłyszeli go członkowie orkiestry i przestali grać. Ansset przeszedł przez dekorację, stanął na scenie, wciąż śpiewając.

Śpiewał im to, co czuli, co orkiestra próbowała odegrać z żalosną nieudolnością. Śpiewał o żądzy, chociaż sam nigdy jej nie doświadczył, a oni płonęli i tracili opanowanie, publiczność, orkiestra, naga kobieta i mężczyzna. Esste patrzyła na to ze smutkiem. On dawał im wszystko, czego chcieli.

Ale potem zmienił melodię. Wciąż bez słów opowiedział im o spoconych kucharzach w kuchni, o dentyście, o nędzy ukrytej za budynkami. Dał im odczuć ból, zmęczenie i upokorzenie tych, co służą niewdzięcznikom. I na koniec zaśpiewał o starej kobiecie, zaśpiewał jej śmiech, jej samotność i ufność, zaśpiewał jej śmierć i balsamowanie na zimnym, lśniącym stole w kostnicy. To była agonia; publiczność płakała i jęczała, a ci, którzy mogli utrzymać się na nogach, uciekli z teatru.

Głos Ansseta docierał w każdy zakamarek sali, ale nie budził echa.

Kiedy sala opustoszała, Esste weszła na scenę. Ansset spojrział na nią wzrokiem równie pustym jak opustoszały teatr.

- Zjadłeś to - powiedziała Esste - i zwymiotowałeś jeszcze paskudniejsze niż przedtem.

- Zaśpiewałem to, co było we mnie.

- W tobie? Nic z tego nie dotarło do ciebie. Dotarło do muru, a ty to odrzuciłeś.

Ansset nie odwrócił spojrzenia.

- Wiedziałem, że nie poznasz, kiedy zaśpiewani od siebie.

- To ty nie poznałeś - odparła Esste. -Wracamy do domu.

- Miałem wyjechać na miesiąc.

- Nie potrzebujesz miesiąca. Nic stąd ciebie nie zmieni.

- Czy jestem węgorem?

- Czy jesteś kamieniem?

- Jestem dzieckiem.

- Pora, żebyś o tym pamiętał.

Nie stawiał oporu. Zaprowadziła go do hotelu, spakowali bagaże i opuścili Bog przed wschodem słońca. Wszystko zawiodło, myślała Esste. Liczyłam, że ten ludzki tygiel go otworzy. Lecz on znalazł tutaj jedynie to, co już posiadał. Nieludzkość. Nieprzebyty mur. I dowód, że potrafi robić z ludźmi, co chce.

Zbyt łatwo odczytał obcą publiczność. Coś takiego nigdy jeszcze nie zdarzyło się w Domu Pieśni. Ansset był nie tylko utalentowanym śpiewakiem. Słyszał pieśni w sercach ludzi, nawet kiedy milczeli; wchłaniał je, wzmacniał je, oddawał je z nawiązką. Wciśnięto go przemocą w formę Domu Pieśni, lecz on nie był stworzony z tak podatnej gliny jak inni. Forma nie pasowała.

Co się rozpadnie? - zastanawiała się Esste. Co się rozpad-nie pierwsze?

Nie wierzyła ani przez chwilę, że pierwszy rozpadnie się Dom Pieśni. Ansset, mimo całej pozornej siły, był znacznie bardziej kruchy. Jeśli teraz pojedzie do Mikala, uświadomiła sobie Esste, wszystkie moje plany pójdą na marne. Mikal jest silny, może nawet dostatecznie silny, żeby oprzeć się perwersyjnemu talentowi Ansseta. Ale inni: Ansset ich zniszczy. Oczywiście niechcący. Będą pili coraz zachłanniej z jego studni, nie wiedząc, że piją samych siebie, aż wypiją wszystko do dna.

Ansset zasnął w autobusie. Esste objęła go, przytuliła i śpiewała mu pieśń miłości, śpiewała w jego śnie.

Rozdział 13

- Nie mam na to czasu - oświadczyła Esste, nie kryjąc irytacji w głosie.
- Ani ja - odparła wyzywająco Kya-Kya.
- Szkoły na Tew są doskonałe. Twoje stypendium wystarczy aż nadto.
- Zostałam przyjęta do Rządowego Instytutu w Princeton.
- Koszty twojego utrzymania na Ziemi wzrosną dziesięć razy. Nie mówiąc o kosztach przejazdu. I kłopotach związanych z koniecznością opłaty ryczałtowej.
- Zarabiacie dziesięć razy więcej za roczne usługi jednego Słowika.

Święta racja. Esste westchnęła w duchu. Za dużo tego dzisiaj. Nie byłam przygotowana na dyskusję z tą dziewczyną. Czego nie odebrał mi Ansset, zniszczyło wyczerpanie.

- Dlaczego Ziemia? - zapytała wiedząc, że Kya-Kya rozpozna w tym pytaniu ostatnią linię oporu.
- Ziemia, ponieważ w swojej specjalności jestem Słowikiem. Wiem, że trudno ci przyznać, że ktoś może naprawdę robić coś wspaniałego i nie śpiewać, ale...
- Dobrze, jedź. Zapłacimy.

Ton głosu oznaczał odprawę. Zwycięstwo, przyznane tak nagle i obojętnie, smakowało niemal jak porażka. Kya-Kya czekała przez chwilę, potem ruszyła do drzwi. Przystanąła. Odwróciła się i zapytała:

- Kiedy?
- Jutro. Przyślij do mnie kwestora. - Esste powróciła do papierów na stole.

Kya-Kya skorzystała z jej nieuwagi, żeby rozejrzeć się po Wysokiej Sali. Wybrałam ciebie na to miejsce, pomyślała, pragnąc wzbudzić w sobie poczucie wyższości. Nie podziałało. Dokonała oczywistego wyboru - tak, jak powiedział Hrrai. Każdy, kto znał Dom Pieśni, wybrałby Esste na zarządzającą.

W pokoju panował chłód, ale przynajmniej okiennice były zamknięte. Wszędzie hulały przeciągi, ale nie wiatr. Widocznie Esste nie zamierzała wkrótce umierać. Kya-Kya spojrzała na okno, z którego kiedyś omal nie wypadła. Z zamkniętymi okiennicami wyglądało jak zwyczajne okno albo część

ściany. Pokój nie znajdował się wiele kilometrów nad ziemią, tylko nisko jak w każdym zwykłym budynku; Dom Pieśni był zwykłym budynkiem; nie obchodziło jej, czy jeszcze kiedyś tu wróci, nie czuła przywiązania do tych murów, nie chciała za nimi tęsknić, nie zamierzała nawet zniżyć się do tego, żeby oczernić Dom przed swoimi kolegami na uniwersytecie.

Wychodząc, musnęła kamienną ścianę czubkami palców.

Esste podniosła wzrok na odgłos zamykanych drzwi. Wreszcie sobie poszła. Sięgnęła po dokument, który obchodził ją znacznie bardziej niż potrzeby Głuchej, usiłującej pomścić swoją klęskę.

Mistrzynie Pieśni Esste:

Mikal wezwał mnie na Ziemię, do służby w gwardii pałacowej. Polecił mi również, żebym przywiózł ze sobą jego Słowika. Rozumiem, że chłopiec ma obecnie dziewięć lat. Nie mogę odmówić wykonania rozkazu. Jednakże ułożyłem trasę podróży w ten sposób, że Tew będzie moim ostatnim przystankiem. Zostaje wam dwadzieścia dwa dni od daty tej wiadomości. Żałuję, że to przyszło tak nagle, ale muszę wypełniać rozkazy.

Riktors Ashen

List odebrano tego ranka. Dwadzieścia dwa dni. A co najgorsze, Ansset jest gotowy. Gotowy. Gotowy.

Ja nie jestem gotowa.

Dwadzieścia dwa dni. Nacisnęła guzik pod stołem.

- Przyślijcie do mnie Ansseta.

Rozdział 14

Rruk właśnie awansowała do Komnat i Izb, zgodnie z harmonogramem. Brakowało jej siły głosu, ale śpiewała słodko i sprawiała przyjemność każdemu, kto jej słuchał. A jednak bała się. Izby i Komnaty stanowiły większy krok do przodu, niż awans z Mruka na Dzwonka lub z Dzwonka na Bryzę. Tutaj należała do najmłodszych, a w swojej komnacie rzeczywiście była najmłodsza. Tylko jedno pomagało jej pokonać nieśmiałość - to była siódma komnata. Komnata Ansseta.

- Czy Ansset przyjdzie? - zapytała Rruk chłopca siedzącego obok niej.

- Nie dzisiaj.

Rruk nie okazała rozczarowania; wyśpiewała je.

- Wiem - przyznał chłopiec. - Ale to bez znaczenia. I tak on tutaj nigdy nie śpiewa.

Rruk słyszała takie plotki, ale nie uwierzyła. Nie pozwolić Anssetowi śpiewać? Ale to była prawda. Zanuciła piosenkę o niesprawiedliwości i krzywdzie wyrządzanej Anssetowi.

- Jakbym nie wiedział - burknął chłopiec. - Raz zaśpiewałem taką samą piosenkę w Komnacie. Nazywam się Ller.

- Rruk.

- Słyszałem o tobie. Ty pierwsza zaśpiewałaś Anssetowi pieśń miłości.

Łączyła ich więź - oboje odważyli się coś zrobić dla Ansseta. Potem zaczęła się lekcja i przestali rozmawiać. Tego dnia Ller występował w trio. Wykonywał partię sopranową, śpiewał cienkim, wysokim, monotonnym głosem, prawie na jednym tonie. Niemniej to on prowadził trio, stanowił ośrodek, do którego dwa pozostałe głosy wciąż powracały. Podporządkowując im swoją wirtuozerię sprawił, że występ był wyjątkowo udany. Rruk polubiła go jeszcze bardziej, teraz dla niego samego, nie ze względu na Ansseta.

Po lekcji, nie podejmując żadnej określonej decyzji, poszli razem do izby Ansseta.

- Przed samą lekcją wezwano go do Mistrzynie w Wysokiej Sali. Może już wrócił. Zwykle Esste przychodzi do niego jako nauczycielka, więc może wezwała go, żeby zdjąć zakaz.

- Mam nadzieję - powiedziała Rruk.

Zapukali do drzwi Ansseta. Drzwi się otwały i Ansset stanął w progu, spoglądając na nich nieobecny wzrokiem.

- Ansset - zaczął Ller, a potem umilkł. Każdego innego dzieciaka zapytałby wprost. Lecz długa izolacja Ansseta, jego niedziecinny wyraz twarzy, widoczna obojętność - nie ułatwiały porozumienia.

Kiedy milczenie zbyt długo się przedłużało, Rruk palnęła:

- Słyszeliśmy, że byłeś w Wysokiej Sali.

- Byłem - potwierdził Ansset.

- Czy zdjęto zakaz?

Ansset ponownie spojrzął na nich i nie odpowiedział.

- Och - powiedziała Rruk. - Tak mi przykro. - Głosem wyraziła, jak bardzo jej przykro.

Dopiero wtedy Ller zauważył, że koce Ansseta są zwinięte.

- Wyprowadzasz się? - zapytał. - Tak.

- Dokąd? - nalegał Ller.

Ansset podszedł do pryczy, zabrał koc i wrócił do drzwi.

- Do Wysokiej Sali - powiedział. Potem minął ich i ruszył korytarzem.

Żeby tam zamieszkać? - zawołał za nim Ller.

Ansset nie odpowiedział.

Rozdział 15

- To nie była robota dla poszukiwacza - oświadczył poszukiwacz.

- Wiem - przyznała Esste i zaśpiewała mu przeproszająco, że to było konieczne.

Udobruchany poszukiwacz złożył raport.

- Wydałem zarobki dekady śpiewaków, żeby uzyskać dostęp do tajnych dokumentów dziecięcego rynku. Na Doblaj-Me łatwo robić interesy. Jeśli masz dosyć pieniędzy i wiesz, komu je dać, możesz wszystko załatwić.

- Znalazłeś?

- Ansset został porwany. Jego rodzice żyją, i oddaliby chyba wszystko, żeby go odzyskać. A kiedy go porwano, był dostatecznie duży, żeby zapamiętać rodziców. Żeby zapamiętać, że nie chcieli go

stracić. Został porwany w teatrze. Kidnaper, z którym rozmawiałem, jest teraz drobnym urzędnikiem państwowym; podatki czy coś takiego. Musiałem wynająć kilku płatnych morderców, żeby go nastraszyć i zmusić do gadania. Paskudna robota. Od wielu tygodni nie mogę śpiewać.

- Jego rodzice?

- Bardzo bogaci. Matka to kobieta pełna miłości. Ojciec... jego pieśni są bardziej dwuznaczne. Wiesz, nie bardzo umiem oceniać dorosłych. Nie potrzebowałem tego. Ale mam wrażenie, że dręczą go ukryte wyrzuty sumienia. Chyba mógł zrobić więcej, żeby odzyskać Ansseta. A może wyrzuty sumienia dotyczą całkiem innej sprawy. Nie związanej z Anssetem. Zgodnie z prawem teraz, kiedy o tym wiemy, zatrzymanie chłopca stanowi poważne przestępstwo.

Esste spojrzała na niego, zanuciła kilka fraz i oboje się roześmiali.

- Wiem - przyznał poszukiwacz. - Kto raz trafi do Domu Pieśni, nie ma już rodziców, nie ma już rodziny.

- Rodzice niczego nie podejrzewają?

- Dla nich Byrwyn jest ich synkiem. Powiedziałem im, że psychotyczne dziecko w naszym szpitalu na Murray ma inną grupę krwi niż oni.

Pukanie do drzwi. -Kto?

- Ansset - padła odpowiedź.

- Mogę go zobaczyć? - zapytał poszukiwacz.

- Możesz go zobaczyć. Ale nie rozmawiaj z nim. A kiedy wyjdiesz, zarygluj drzwi z drugiej strony. Powiedz Slepcom, żeby przysyłali mi posiłki przez maszyny. Niech nikt nie wchodzi. Wiadomości przez komputer.

Poszukiwacz był zaskoczony.

- Po co ta izolacja?

- Przygotowuję Słowika Mikala - oświadczyła Esste.

Potem wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je. Wszedł Ansset, niosąc niedbale zwinięty koc. Spojrzał na poszukiwacza bez ciekawości. Poszukiwacz również spojrzał na niego, ale nie tak obojętnie. Dwa lata tropienia przeszłości chłopca nadały mu wyjątkowe znaczenie w odczuciach poszukiwacza. Lecz teraz, kiedy zobaczył pustkę w twarzy Ansseta, pozwolił sobie okazać żal i zaśpiewał krótki lament do Esste. Zabroniła mu mówić, ale niektórych rzeczy nie można, nie należy przemilczeć.

Poszukiwacz wyszedł. Rygiel opadł na miejsce po drugiej stronie drzwi. Ansset i Esste zostali sami.

Ansset długo stał przed Esste i czekał. Tym razem jednak Esste nie miała nic do powiedzenia. Po

prostu patrzyła na niego równie obojętnym wzrokiem, chociaż z powodu wieku jej twarz, naznaczona liniami i zmarszczkami, nie mogła wyrażać takiej pustki jak twarz Ansseta. Czekanie, w odczuciu Esste, nie miało końca. Chłopiec wykazywał większą cierpliwość niż wielu dorosłych. Wreszcie jednak zrezygnował. Wciąż milcząc, podszedł do kamiennej ławki pod oknem i usiadł.

Pierwsze zwycięstwo.

Esste mogła teraz wrócić do pracy przy stole. Papiery wysuwały się z komputera; Esste sporządzała dla siebie odręczne notatki; wpisywała do komputera wiadomości. Ansset siedział spokojnie na ławie, dopóki nie zeszywniał z zimna. Wtedy wstał i przespacerował się po pokoju. Nie próbował otworzyć drzwi ani zamkniętych okiennic. Zupełnie jakby już zrozumiał, że to będzie pojedynek woli, próba sił pomiędzy jego Kontrolą a Esste. Drzwi i okna nie stanowiły drogi ucieczki. Jediną ucieczką było zwycięstwo.

Na dworze zapadł zmrok, zgasły smugi światła wpadające przez szpary w okiennicach. Paliło się jedynie światło nad stołem, którego prawie nikt nie widywał - starannie podtrzymywano iluzję prostoty, dlatego tylko personel techniczny i Mistrz Pieśni wiedzieli, że Wysoka Sala nie była wcale taka surowa i prymitywna, jaka się wydawała. Lecz celem tej iluzji nie było okłamywanie ludzi. Mistrz Pieśni z Wysokiej Sali wywodził się nieodmiennie spośród tych, którzy wyrosli w lodowatych kamiennych izbach i komnatach Domu Pieśni. Nagły luksus rozpraszałby uwagę, zamiast sprawiać przyjemność. Toteż Wysoka Sala wydawała się pusta i niegościnna z wyjątkiem tych chwil, kiedy trzeba było skorzystać z nowoczesnych udogodnień.

Ansset siedział w ciemnym kącie Wysokiej Sali, dopóki Esste wreszcie nie skończyła pracy i nie rozłożyła własnych koców na podłodze. Jej ruch dał mu prawo do tego samego. Ansset rozpostarł koce w najdalszym kącie, owinał się nimi i zasnął pierwszy.

Następny dzień minął w kompletnym milczeniu, podobnie jak trzeci. Przez większość czasu Esste pracowała przy komputerze. Ansset siedział, stał lub spacerował, kiedy miał ochotę, a dzięki Kontroli nie uронił ani słowa. W milczeniu zjadali posiłki z maszyny, w milczeniu korzystali z toalety w kącie pomieszczenia, gdzie nieprawdopodobnie kosztowny pochłaniacz w ścianach i podłodze usuwał ich odchody.

Jednakże Esste z trudnością mogła skupić się na pracy. Jeszcze nigdy w życiu nie obywatła się tak długo bez muzyki. Nigdy tak długo nie obywatła się bez śpiewu. A przez ostatnie lata nie spędziła ani jednego dnia bez głosu Ansseta. Wiedziała, że ulega nałogowi - chociaż Anssetowi zakazano publicznego śpiewania w Domu Pieśni, jego głos zawsze dźwięczał w kamiennej izbie i oboje często godzinami rozmawiali. Lecz wspomnienie tych rozmów podtrzymało jej decyzję. Intelkt absolutnie nieproporcjonalny do wieku, ogromna zdolność rozumienia ludzi, lecz ani śladu własnych uczuć, płynących z serca. Trzeba to zrobić, pomyślała. Tylko w ten sposób zburzę jego mur, powiedziała sobie. I muszę być dostatecznie silna, żeby potrzebować go mniej, niż on potrzebuje mnie, po to, żeby go uratować, krzyczała w milczeniu.

Uratować?

Tylko po to, żeby wysłać go do stolicy ludzkości, do władcy wszystkich ludzi. Jeśli Ansset przedtem

nie znajdzie sposobu, żeby otworzyć ujście dla własnego źródła, nigdy już nie ucieknie. Tam sama jego obecność będzie podziwiana, uwielbiana, oklaskiwana. Anset robi karierę, lecz kiedy jako piętnastolatek powróci do Domu Pieśni, nie znajdzie tu niczego. Nigdy nie będzie mógł uczyć, jedynie śpiewać. I zostanie Ślepcem. To go zabije.

To mnie zabije.

Tak więc Esste zachowała milczenie przez trzy dni, a czwartej nocy wyrwał ją ze snu głos Anseta. Głos jakoś znalazł ujście, chociaż chłopiec wcale się nie obudził. Śpiewał przez sen, nucił bezsensowne urywki melodii, dziecięce piosenki, których uczono nowe dzieci i Mruki. We śnie jego Kontrola odrobinę się rozluźniła.

Czwarty dzień znowu zaczął się w całkowitym milczeniu, jakby ten wzór miał się powtarzać w nieskończoność. Lecz widocznie w ciągu dnia Anset podjął decyzję i po południu, kiedy w Wysokiej Sali było najcieplej, przemówił.

- Na pewno masz powód do milczenia, ale ja nie mam żadnego powodu oprócz twojego milczenia. Więc jeśli tylko próbujesz przełamać mój upór i zmusić mnie, żebym mówił, mówię.

Głos był idealnie opanowany, niuanse sugerowały kapitulację pro forma, ale nie prawdziwą porażkę. Drobne zwycięstwo, zaledwie drobne zwycięstwo. Esste niczego po sobie nie pokazała. Jednakże była wdzięczna nie dlatego, że posunęła się o krok do przodu, tylko dlatego, że znowu usłyszała głos Anseta. Anset mówiący z zachowaniem pełnej Kontroli spełniał jej oczekiwania tylko odrobinę lepiej, niż Anset milczący z zachowaniem pełnej Kontroli.

Ponieważ nie odpowiedziała, Anset znowu pogrążył się w milczeniu. Jak przedtem, wykonywał ćwiczenia gimnastyczne i nie odzywał się przez kilka godzin. Lecz wieczorem, kiedy oboje rozłożyli już koce, Anset zaczął śpiewać. Tym razem nie śpiewał przez sen. Z rozmysłem dobrał melodie, łagodne i kojące, które sprawiały Esste wielką przyjemność. Kazały jej wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że niepotrzebnie się martwiła, że Anset świetnie sobie poradzi. Po chwili uwierzyła nawet, że Anset jest w porządku, że ze zrozumiałych powodów wyolbrzymiała swoje obawy, ponieważ troszczyła się o jego przyszłość w nowym, nieznanym otoczeniu.

Drgnęła. Dzięki Kontroli nie zdradziła się niczym, lecz w środku kipiała ze złości. Anset używał przeciwko niej swojego głosu, wykorzystywał swój talent. Wyczuł jej niepokój, pragnienie bezpieczeństwa i grał na tych uczuciach, próbując uspić jej czujność.

On mnie przerasta o kilka klas, pomyślała. Jestem jak Mruk próbujący śpiewać w duecie ze Słowikiem. Czy moje milczenie może zmierzyć się z jego śpiewem jako broń w tej walce?

Tej nocy śpiewał przez wiele godzin, a ona leżała rozbudzona i próbowała się opierać, koncentrując się na problemach Domu Pieśni. Naciski ze strony Stivess, żeby udostępnić północny sektor, z którego Dom Pieśni prawie nie korzystał, do poszukiwań ropy. Skargi z Wood, że piraci założyli bazę na bezludnych wyspach na południowym zachodzie, skąd urządzają rabunkowe wyprawy na zatokę. Pytanie, gdzie zainwestować ogromne sumy, które imperator będzie płacił corocznie za Słowika. Zło, które się stanie, kiedy Mikal Groźny wreszcie dostanie Słowika, a reszta ludzkości, dla której Dom

Pieśni stanowił ostatnią niepodległą instytucję w galaktyce, stracił wiarę i uznał, że pieniądze lub groźba wpłynęły nawet na obniżenie wymagań Domu Pieśni.

W normalnych okolicznościach takie rozmyślenia mogły zająć Esste wiele dni, nawet tygodni. Lecz śpiew Anseta ją rozpraszał i chociaż już mu nie ulegała, nie mogła całkowicie go zignorować. Anset dawno już zrezygnował i zasnął, a ona wciąż leżała rozbudzona, lękając się następnego dnia. Martwiłam się, jak to wpłynie na chłopca, pomyślała z ironią. To ja tracę Kontrolę, nie on.

Następnego dnia Anset śpiewał od czasu do czasu, a ona odkryła, że w dzień łatwiej potrafi się przed nim obronić niż wieczorem, zmęczona pracą. Lecz opór pochłaniał jej siły, a kiedy nadszedł wieczór, była tak bardzo zmęczona, że ledwie wytrzymała kolejną próbę.

Nie złamała jednak Kontroli i chociaż Anset wyczuwał emocje, które jej Kontrola ukrywała przed innymi, widocznie nie zorientował się, jak bliski był sukcesu. Szóstego dnia ponownie zapadł w milczenie, ku wielkiej uldze Esste. Zaczął zdradzać objawy napięcia. Częściej ćwiczył. Częściej patrzył na nią. I dwukrotnie dotknął drzwi.

Rozdział 16

Czy ona oszalała? Niejeden raz Anset zadawał sobie to pytanie. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego trzymała go tutaj w całkowitym milczeniu. Ani milczenie, ani śpiew nie pomogły. Czego ona chciała?

Czy ona mnie nienawidzi? Anset często zastanawiał się nad tym przez ostatnie kilka lat. Skazany na milczenie, z najwyższym trudem znosił nieznośną karę. Ale ufał jej - komu innemu miałby ufać? Okropna była świadomość, że wszyscy próbują odgadnąć, co złego zrobił, podczas gdy on wiedział, że nie zrobił nic złego, ale nie mógł nikomu powiedzieć. I jej zwariowane opinie o jego psychice - często nie rozumiał, do czego ona zmierza, ale czasami trochę się domyślał. Oskarżała go, że nie śpiewa od siebie. A przecież wiedział, że śpiew był dla niego szczęściem, jedyną wielką radością jego życia. Patrzeć na ludzi, rozumieć ich i śpiewać dla nich, i zmieniać ich; niemal tworzył ich od nowa, niemal czuł, że potrafi ich przerobić, poprawić, ulepszyć. Czy to oznaczało brak zaangażowania?

A teraz milczenie. Milczenie, aż głowa go rozbolała. W całym swoim życiu nie zaznał takiego milczenia i nie wiedział, jak zareagować. Dlaczego stałaś mi się tak bliska, jeśli zamierzałaś mnie odepchnąć? A jednak ona go nie odepchnęła; przecież mieszkał tutaj, w Wysokiej Sali, spędzał z nią

każdą chwilę. Nie, ona nie chciała zwyczajnie go skrzywdzić. Miała w tym jakiś cel. Jakiś obłąkany cel.

A jednak nie potrafiła go zrozumieć. Zasmucało Ansseta, że wszyscy tak uparcie odmawiali mu zrozumienia. Od dzieci nie mógł tego wymagać, mistrzowie i nauczyciele prawie go nie znali; ale Esste? Esste znała go tak dobrze jak nikt. Zaśpiewałem jej każdą swoją piosenkę, a ona wszystkie odrzuciła. Pokazałem jej, że mogę zaśpiewać w teatrze pełnym obcych ludzi i zmienić ich, a ona powiedziała, że zawiodłem. Nie chciała przyznać, że potrafię zrobić coś dobrze.

Czy jest zazdrosna? Sama była Słowikiem. Czy ona widzi, że jestem od niej lepszy, i dlatego chce się na mnie odegrać? Ten pomysł przemawiał do Ansseta, ponieważ stanowił racjonalne wyjaśnienie. Mógł być prawdą, podczas gdy szaleństwo było zupełnie wykluczone, chociaż próbował w nie uwierzyć. Zazdrość.

Gdyby to rozumiała, przestałaby go prześladować. Mogliby znowu zostać przyjaciółmi, jak tamtego dnia nad górskim jeziorem, kiedy nauczyła go Kontroli. Zrozumiał to dopiero teraz. Ale jezioro - to było jasne, to wyjaśniło powód Kontroli. Nie w tym rzecz, żeby powstrzymać się od płaczu, od śmiechu, żeby stać spokojnie, kiedy ci każą - te wszystkie bezsensowne ograniczenia, z którymi walczył podczas nauki we Wspólnych Salach, które go oburzały i których nienawidził. Kontrola nie miała go skępować, tylko napełnić. Tamtego dnia nad jeziorem odprężył się, zaczął akceptować Kontrolę, nie coś z zewnątrz, co go przygniatało, ale coś wewnątrz niego, co zapewniało mu bezpieczeństwo. Nigdy nie byłem szczęśliwszy. Życie nigdy nie było łatwiejsze, myślał wtedy. Zupełnie jakby gniew i strach, które przedtem nieustannie go dręczyły, nagle znikły. Stałem się jeziorem, pomyślał, i tylko kiedy śpiewam, coś ze mnie wypływa na zewnątrz. Nawet wtedy śpiewanie jest łatwe, przychodzi lekko i naturalnie. Dzięki Kontroli widzę smutek i znam jego pieśń. Już się go nie boję, tak jak przedtem - on daje mi muzykę. Śmierć jest muzyką i ból, i radość, każde ludzkie uczucie - wszystko jest muzyką. Wchłaniam te wszystkie rzeczy, wypełniają mnie i tylko muzyka wydobywa się na zewnątrz.

Co ona chce osiągnąć? Sama nie wie.

Muszę jej pomóc. Używałem swojej muzyki, żeby pomóc obcym w Step, żeby obudzić uspięne dusze w Bóg. Ale nigdy, żeby pomóc Esste. Ona się martwi i nie wie, dlaczego, i myśli, że to przeze mnie. Pokażę jej, czego ona naprawdę się boi, a wtedy może mnie zrozumie.

Kiedy przedtem śpiewałem, próbowałem uwolnić ją od strachu. Tym razem pokażę go jej tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy go nie widziała.

Podjąwszy tę decyzję, Ansset zasnął ósmej nocy swojego pobytu w Wysokiej Sali. Oczywiście żadnym słowem ani gestem nie zdradził swoich myśli. Jego ciało pozostało we śnie równie sztywne jak wtedy, kiedy śpiewał.

Rozdział 17

W ósmym dniu zamknięcia Anset nie usiadł pod ścianą ani nie ćwiczył sporadycznie jak przedtem. Usiadł na środku podłogi, dokładnie przed biurkiem, i spojrzał na pracującą Esste. Dzisiaj zaatakuje, natychmiast odgadła Esste i zmobilizowała się wewnątrz. Lecz nie była przygotowana. Żadna mobilizacja nie mogła jej przygotować na to, co zrobił Anset tego dnia.

Odnalazł melodię nostalgii. Jego śpiew brzmiał słodko, lecz nie uspokajał, tylko nieubłagane przywoływał wspomnienia. Esste (pozornie obojętna) usiłowała skupić się na pracy. Ale przeglądając sprawozdania o wyrębie drzew w Białym Lesie nie czuła się już jak Esste, stara Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali. Czuła się jak Esste, Słowik Polwee, a zamiast kamiennych ścian kątem oka widziała kryształ.

Kryształowy pałac zbudował Polwee dla swojej rodziny na zboczu granitowej góry okrytej śniegiem - pałac, który wyglądał bardziej naturalnie niż skały wokół niego. Cały świat wydawał się sztuczny, odkąd ujrzała dom Polwee. Lecz pamiętała lepiej jego wnętrze niż fasadę. Słońce oświetlające każdy pokój przez tysiąc pryzmatów, setka księżyców wschodzących w nocy nad dachem, podłogi jakby niewidzialne, pokoje o proporcjach całkowicie błędnych, a jednak doskonałych, a ponad całym pięknem pałacu dominująca piękność ludzi.

Polwee był najłatwiejszym klientem, jakiego pamiętano. Przybył do Domu Pieśni prosić o Słowika albo śpiewaka zaledwie parę tygodni wcześniej, zanim Esste ukończyła szkolenie. Rozmawiał z Mistrzynią Pieśni Blunne, która już po minucie powiedziała: „Możesz dostać Słowika”. Nigdy nie zapytał o cenę, a kiedy nadeszła pora zapłaty, nigdy nie narzekał, że cena wynosiła połowę jego majątku. „Warta byłaś całego mojego majątku”, powiedział jej, kiedy wracała do Domu Pieśni w wieku piętnastu lat. Tylko dobrzy ludzie przychodzili, tylko mili ludzie; w pałacu Polwee zawsze panowała radość i miłość, i o tym śpiewała Esste.

Radość, miłość i Greff, syn Polwee.

(Nie mogę tego pamiętać, powiedziała część umysłu i Esste próbowała wrócić do pracy, lecz teraz Wysoka Sala przesunęła się na skraj pola widzenia, a kryształ i światło stały się rzeczywistością. Esste siedziała sztywno przy stole, dzięki Kontroli nie zdradzając żadnych emocji, lecz całkowicie niezdolna do pracy lub udawania, że pracuje, ponieważ pieśń Anseta dotarła zbyt daleko, zbyt głęboko.)

Greff był nieodrodnym synem swego ojca. Troszczył się o jej szczęście bardziej niż o własne, odkąd tylko zjawiała się w pałacu. Miał dziesięć lat, a ona dziewięć; w ostatnim roku skutki pigułek zaczęły zanikać i Esste osiągnęła dojrzałość na kilka miesięcy przed terminem. Dojrzałość nie wpłynęła na jej głos i tylko nieznacznie zmieniła jej ciało. Lecz Greff, któremu sypał się młodzieńczy zarost,

okazywał jeszcze więcej czułości, dotykał jej tak nieśmiało, że ogarniała ją niezmierna błogość, i po raz pierwszy kochali się przypadkiem, pewnej zimy, gdy śnieg opadał na kryształowy dach pałacu.

To nie było zakazane, nawet nie naruszało Kontroli - przez cały czas Esste śpiewała i nauczyła się nowych melodii. Ale nie chciała go opuścić. Odkryła, że Greff znaczy dla niej więcej niż wszyscy mieszkańcy Domu Pieśni. Kto ją kochał tak jak on? Kogo ona tak kochała? Próbowała zachować rozsądek, tłumaczyła sobie, że spędziła prawie siedem lat, niemal połowę życia z Greffem jako najbliższym przyjacielem, że cokolwiek czuła do niego, należała do Domu Pieśni i nie mogła żyć szczęśliwie gdzie indziej.

Nic nie pomagało. Mistrz Pieśni przyjechał ją zabrać do domu, a ona odmówiła.

Mistrz Pieśni był cierpliwy. Nniv jeszcze się nie zestarzał; dopiero wiele lat później został Mistrzem Pieśni z Wysokiej Sali i stał się bardziej szorstki, co pomagało mu dźwigać zwiększony ciężar obowiązków. Więc zamiast dyskutować, Nniv tylko zapytał Polwee, czy może zatrzymać się u niego na kilka dni. Polwee był zmartwiony. „Nic nie wiedziałem”, powtarzał, ale jak Nniv później zaśpiewał do Esste: „Cóż mógł poradzić, gdyby nawet wiedział?” Oczywiście, że nic. Esste pokochała Greffa już od pierwszych wspólnych dziecięcych zabaw w kryształowym pałacu.

Im dłużej Nniv czekał, im bardziej cierpliwie, tym ważniejsze stawało się dla Esste wspomnienie Domu Pieśni. Zaczęła przypominać sobie nauczycieli, mistrzów, śpiewanie w Komnacie. Zaczęła spędzać coraz więcej czasu z Nnivem. Pewnego dnia zaśpiewali w duecie. Następnego dnia wróciła do domu.

(Pieśń Ansseta nie traciła mocy. Esste od wielu lat nie wspominała tamtego dnia. I nigdy nie pamiętała go tak wyraźnie. Ale nie mogła oprzeć się melodii i przeżywała to jeszcze raz.)

- Odchodzę, Greff.

A Greff spojrział na nią zdumiony i zapytał z bólem w głosie:

- Dlaczego? Przecież cię kocham.

Co mogła wyjaśnić? Że dzieci Domu Pieśni potrzebują innych śpiewaków równie mocno, jak potrzebują śpiewu? On tego nigdy nie zrozumie. A jednak próbowała mu tłumaczyć.

- Esste, Esste, to ja cię potrzebuję! Bez twoich piosenek...

No właśnie, kolejna sprawa. Piosenki... zawsze będzie musiała występować, wiecznie, jeśli zostanie z Greffem. Nie mogła odmówić śpiewu, ale już teraz, zaledwie po siedmiu latach śpiewania dla ludzi, których pieśni wyrażały jedynie prostackie przybliżenia myśli i uczuć albo (co gorsze) kłamstwa, czuła znużenie.

- Nie musisz śpiewać, jeśli nie chcesz! - wykrzyknął Greff z rozpaczą w głosie, ze łzami w oczach. - Esste, co ci zrobił ten Mistrz Pieśni? Gotowa byś walczyć przeciwko całej armii, byle tylko zostać ze mną, a dzisiaj nagle przestałem cię obchodzić, bez chwili namysłu chcesz mnie opuścić.

Pamiętała jego objęcia, jego pocałunki, jego błagania, ale nawet wtedy zadziałała jej Kontrola. Wreszcie cofnął się, zraniony ponad wytrzymałość, ponieważ jej ciało pozostało zimne. Cierpliwie wytłumaczyła mu jedyny powód, jaki potrafił zrozumieć. Powiedziała mu o pigułkach, które opóźniają dojrzewanie o całe lata, które nie wywołują żadnych trwałych skutków ubocznych poza jedynym, jaki się liczył - śpiewacy i Słowiki zostają bezpłodni do końca życia.

- Jak myślisz, dlaczego sprowadzamy dzieci z zewnątrz? Dzieci nie powinny się rodzić w Domu Pieśni. Rodzice bardziej troszczyliby się o nie niż o śpiew. Nie mogę wyjść za ciebie. Nie będzie dzieci.

On jednak nalegał, żądał. Nie zależy mu na dzieciach, zależy mu tylko na niej, aż wreszcie zrozumiała, że miłość nie oznacza tylko dawania, oznacza także...

(Nie chcę tego pamiętać! Ale pieśń Ansseta nie ustępowała...)

Oznacza także własność, posiadanie, zależność, poddanie. Esste odwróciła się i wyszła z pokoju, poszła do Nniva, powiedziała mu, że wraca do Domu Pieśni. Greff wpadł do pokoju z buteleczką pigułek w rękę, grożąc, że odbierze sobie życie, jeśli Esste wyjedzie. Nie znalazła dla niego odpowiedzi, żałowała tylko, że ludzie spoza Domu Pieśni nie nauczyli się Kontroli, która łagodziła ból jak nic innego w życiu. Więc powiedziała mu:

- Odchodzę, ponieważ Nniv i ja śpiewaliśmy wczoraj w duecie. Nigdy nie będziesz ze mną śpiewał, Greff. Dlatego nie mogę zostać z tobą.

Odwróciła się i wyszła. Nniv powiedział jej później, że Greff połknął truciznę. Oczywiście odratowano go - trudno popełnić samobójstwo w domu pełnym służby, a Greff nie chciał naprawdę umrzeć, chciał tylko zmusić Esste do pozostania.

Jednakże Esste musiała wezwać na pomoc całą swoją Kontrolę, żeby nie zawrócić, żeby nie zmienić zdania przed wejściem do kosmolotu, żeby nie prosić o szansę pozostania z Greffem.

Kontrola ją uratowała. A pieśń Ansseta nalegała:

Pozostaw mi Kontrolę. Nie łam mojej Kontroli.

Zapadła noc. Esste siedziała za stołem, nad jej głową paliło się elektryczne światło. Ansset spał w swoim kącie. Nie wiedziała, jak dawno temu poszedł spać, jak dawno temu skończył śpiewać ani jak długo ona sama siedzi zeszywniała przy stole. Bolały ją ramiona i plecy, ledwie powstrzymywane przez Kontrolę łązy cisnęły się do oczu i wiedziała, że dzisiejsze zwycięstwo należało do Ansseta. On nie mógł wiedzieć, które fragmenty jej przeszłości były najbardziej bolesne - lecz jego śpiew i tak przywoływał te wspomnienia. Esste lękała się poranka. Lękała się następnego dnia i pieśni, które zaśpiewa Ansset, jednak położyła się i zasnęła natychmiast, bez snów, i noc minęła jak jedna chwila.

Rozdział 18

Riktors Ashen przybył nie zapowiedziany na planetę Garibali, swój ostatni przystanek przed Tew. Wolał zjawiać się bez uprzedzenia w imieniu Mikala. Lecz nie zauważył żadnych oznak wzburzenia, żadnej paniki, kiedy przedstawił swoje papiery uwierzytelniające na cle. Urzędnik tylko skłonił się, zapytał o preferencje względem hotelu i zamówił prywatny samochód, żeby zawiózł tam gościa. Taka reakcja zaniepokoiła Riktorsa, ponieważ oznaczała, że sytuacja przedstawia się gorzej, niż sugerowały raporty. Kłopoty mogły dotyczyć tylko narodu Scale, gdzie wylądował, albo też obejmować całą planetę - jednak spodziewano się tutaj imperialnego posłańca, a na nominalnie wolnym świecie to oznaczało, że istniały powody uzasadniające tę wizytę.

Ktoś zadał sobie trud, żeby zatelefonować. Personel hotelowy czekał na niego. Riktors obserwował z rozbawieniem, jak spod wymuszonej uprzejmości chwilami przebija strach - przynajmniej w hotelu nie spodziewano się emisariusza Mikala.

W pokoju czekała na niego kobieta.

Riktors zamknął drzwi.

- Jesteś urzędniczką czy kurwą? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Może urzędową kurwą? Uśmiechnęła się. Była naga.

Nie zrobiła wrażenia na Riktorsie. Wprawdzie miejscowi działali bardzo sprawnie, ale z pewnością brakowało im gustu.

- Talaso - powiedział.

- Tak? - zapytała zdumiona.

- Chcę się z nim spotkać.

- Och nie - zaprotestowała bezradnie. - Tego nie mogę zrobić.

- Chyba możesz. I chyba zrobisz.

- Ale nikt nie spotyka się z Talaso bez umowy...

- Jestem umówiony. - Wyciągnął rękę i niemal pieszczotliwie dotknął jej szyi. Lecz w dłoni ukrywał małą strzałkę i chociaż kobieta skrzywiła się od nagłego, piekącego ukłucia, narkotyk podziałał szybko.

- Talaso? - zapytała sennym głosem.

- Natychmiast.

- Nie wiem.

- Ale wiesz, kto wie.

Wyprowadziła go z hotelu. Nie pofatygował się, żeby ją ubrać; pod wpływem narkotyku nie odczuwała żadnego wstydu, a jemu to odpowiadało. Symboliczny gest oznaczający, że cały świat stanął przed nimi nagi.

Trzeba było znarkotyzować jeszcze jednego skonsternowanego urzędnika, zanim Riktors Ashen stanął przed drzwiami gabinetu Talaso. Oczywiście recepcjonista wezwał ochronę i pojawiło się trzech żołnierzy z bronią w pogotowiu, gotowych zabić Riktorsa, zanim otrzyma pozwolenie wejścia. Lecz wtedy drzwi otworzyły się i na progu stanął Talaso we własnej osobie, pełen powagi i godności.

- Proszę wpuścić pana Ashena. Miałem spotkać się z nim jutro, ale skoro jest taki niecierpliwy, przyjmę go teraz.

Strażnicy niechętnie przepuścili Riktorsa, który wszedł do pokoju. Natychmiast rozpoczął formalne oskarżenie.

- Wiadomo, że budujesz statki kosmiczne zdolne do prowadzenia działań militarnych. Wiadomo, że zawyżasz podatki. Jesteś podejrzany o posiadanie sił policyjnych trzykrotnie przekraczających maksymalną legalną liczebność. Jesteś oskarżony o uciskanie co najmniej czterech innych narodów na Garibali i wymuszanie od nich haraczu. Te fakty, podejrzenia i oskarżenia wystarczą, żeby postawić cię przed sądem imperatora. Jeśli stawisz opór przy aresztowaniu, mam prawo samodzielnie wydać orzeczenie i wykonać wyrok. Aresztuję cię pod zarzutem zdrady.

Talaso nie przestawał się uśmiechać. Może, pomyślał Riktors, może on nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia. Albo wydaje mu się, ponieważ mówiłem tak rzeczowo, że będzie mógł zwlekać, opierać się lub dyskutować.

- Panie Ashen, to są poważne oskarżenia.

- Natychmiast pójdziesz ze mną - oświadczył Riktors.

- Oczywiście szanuję wolę imperatora, ale...

- To nie jest twój proces i nie mam czasu wysłuchiwać twoich protestów, które nic nie pomogą.

Idziemy, Talaso.

- Panie Ashen, mam swoje obowiązki. Nie mogę tak po prostu wszystkiego zostawić.

Riktors spojrzął na zegarek.

- Każda dalsza zwłoka lub próba zwlekania zostanie uznana za zbrodnię uchylenia się od aresztu imperialnego, przestępstwo równe zdradzie i karane śmiercią.

- Zapomina pan - powiedział Talaso - że mam trzech żołnierzy za pana plecami, a pan popełnił głupi błąd przyjeżdżając samotnie do mojego państwa, do mojego miasta.

- Dlaczego uważasz, że jestem sam? - zapytał spokojnie Riktors.

Talaso wydawał się zirytowany; Riktors wiedział, że to była pierwsza oznaka niepewności.

- Jest pan jedynym pasażerem, który zszedł z zarejestrowanego pasażerskiego statku.

- Żołnierze imperatora przejęli już całkowitą kontrolę nad kosmoportem, Talaso.

- To statek pasażerski! - gniewnie rzucił Talaso. - Nie nabierzesz mnie! Zapieczętowany identyfikator podaje, że to statek pasażerski. Identyfikatorów absolutnie nie można sfałszować...

- Na mocy dekretu imperatora - dokończył Riktors.

- Zastrzelcie go - powiedział Talaso do strażników, którzy stali z laserami w rękach. Ale strażnicy już się przewracali od narkotyku, który Riktors uwolnił zaciskając mięśnie pośladków i jednocześnie szurając butami po podłodze. Talaso, nagle pokonany przez strach, roztrzęsionym głosem wzywał pomocy i niezdarnie próbował odnaleźć broń w szufladzie biurka.

- Jesteś winny zdrady, skazany na śmierć; spójrz na mnie.

Talaso chciał ukryć się za biurkiem, ale spojrzął przelotnie na Riktorsa, tylko raz. Ta chwila wystarczyła, żeby strzałka Riktorsa trafiła go w oko.

Talaso chwycił się za twarz; potem trucizna podziałała. Zaczął gwałtownie wymiotować, tak gwałtownie, że wywichnął sobie szczękę. Rzygał rozciągnięty na biurku, dopóki nie nastąpiły drgawki. Mięśnie jego ciała kurczyły się spazmatycznie. Rzucił się i podskakiwał jak ryba wyciągnięta z wody, aż wreszcie kolejny, wyjątkowo silny skurcz złamał mu kark. Ciało zamarło w bezruchu, z włosami unurzczanymi w wymiocinach, z głową wykręconą pod takim kątem, jakiego nigdy nie mogłaby przyjąć w sposób naturalny.

Riktors skrzywił się. Obowiązki emisariusza Mikala nie były przyjemne. Lecz wypełniał je dobrze w minionych latach i wreszcie otrzymał awans do gwardii pałacowej. Mógł dostać przydział do grupy zabójców, fachowców od symulowania naturalnej śmierci - paskudna robota, żadnych widoków na awans. Riktors wiedział, że byłby dobrym zabójcą, miał nawet dobrych przyjaciół w tej najbardziej ekskluzywnej grupie - wolał jednak rządzić. To właśnie najbardziej lubił w swojej pracy i dziękował

Bogu, że imperator skierował go na tę drogę zamiast tamtej.

Odwrócił się i otworzył drzwi. Nadchodzili następni strażnicy. Riktors zabił ich wszystkich, a także recepcjonistę Talaso oraz urzędową kurwę i urzędnika, którzy go tutaj przyprowadzili.

Potem wezwał innych biurokratów z sąsiednich pokojów. Wpuścił ich do gabinetu Talaso i pokazał im trupa.

- Zakładam, że holograficzny rejestrator pracuje - zwrócił się do nich i otrzymał potwierdzenie. - Powielić zapis i natychmiast rozesłać po Scalę i całej planecie. - Urzędnik, na którego patrzył, wydawał się oszołomiony. - Mój przyjacielu - powiedział Riktors - nie obchodzi mnie, jaką pracę przedtem wykonywałeś. Teraz ja rządzę Scalę w imieniu imperatora Mikala, więc będziesz mnie słuchał albo umrzesz.

Otoczające go trupy stanowiły wystarczający dowód władzy. Urzędnik szybko wyszedł, a Riktors dalej wydawał rozkazy, inicjując niezliczone zmiany, które zgodnie z planem miały nastąpić w ciągu tygodniowego pobytu, zmiany tak gruntowne, żeby przez następne stulecia żaden nowy dyktator nie mógł wyrosnąć na Garibali. Podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z portem. Jego zastępca czekał na telefon.

- Wykonuj dalej - polecił Riktors. - Mam tutaj Talaso, oczywiście martwego, i wszystko idzie dobrze.

- A ja mam wiadomość dla ciebie od imperatora. Agenci na Clিকে odkryli, że pogłoski były bezpodstawne, więc twoją wizytę odwołano. Rozkazuje ci wyruszyć na Tew po zakończeniu obecnego zadania.

Tew. Dom Pieśni i Słowik Mikala.

- Więc zechciej poinformować Dom Pieśni, że przylecimy tydzień wcześniej, niż planowaliśmy. - Nie należy zapominać o uprzejmości, jeśli machina rządowa ma kręcić się gładko.

Dom Pieśni. Ta lodowata, przerażająca kobieta, Esste, i piękne dziecko, które nie chciało dla niego śpiewać. Drobnych polityków i awanturników w rodzaju Talaso łatwo pokonać. Ale jak walczyć ze śpiewakami, jak zdobyć dar, który wręcza się tylko dobrowolnie - na te pytania Riktors nie znajdował odpowiedzi. To nie będzie rutynowe zadanie i jeśli Riktors zdoła je wypełnić, to dlatego, że oni się zgodzili, a jeśli poniesie klęskę, nastąpi kres jego kariery, żalostny koniec jego ambicji, tylko dlatego, że kiedyś przypadkiem znalazł się najbliżej Tew ze wszystkich zaufanych ludzi Mikala Imperatora.

Przeklęty pech.

Usiadł za biurkiem recepcjonisty i zaczął reorganizację rządu Scalę, podczas gdy jego żołnierze przejmowali kontrolę nad pozostałymi rządami planety, jeden za drugim, i składali w ręce Riktorsa władzę nad dwoma miliardami istnień ludzkich. Rozkoszując się rządzeniem, Riktors wkrótce odsunął problem Słowika w najdalszy zakątek umysłu, aby nie myśleć o tym i przestać się martwić. Przynajmniej na razie.

Rozdział 19

Mijał czwarty dzień, odkąd Ansset torturował Esste. Na dworze zapadał zmrok, w Wysokiej Sali zrobiło się zimno. Ansset przestał śpiewać przed godziną, ale nie mógł się ruszyć. Siedział na środku podłogi, patrzył na Esste i bał się.

Ona siedziała spokojnie, z otwartymi oczami, patrząc przed siebie, lecz nie widząc niczego. Dłonie oparła na stole. Nie zmieniła tej pozycji od rana, odkąd Ansset zaczął śpiewać.

Teraz ogarnęły go wątpliwości. Nie rozumiał, co się z nią dzieje. Za pierwszym razem był podniecony, ponieważ zdołał ją zmienić. Chociaż utrzymała Kontrolę i zachowała milczenie, przestała pracować, nie mogła się skoncentrować na komputerze, przegrała walkę. Myślał, że następnego dnia to się skończy. Ale następnego dnia Esste wciąż się trzymała, i następnego dnia, aż dzisiaj Ansset zrozumiał, że ona się nie załamie. Wiedział, że to jego pieśni obudziły w niej strach. Ale nie miał pojęcia, jakie lęki przywołał.

Co wieczór kładł się spać, kiedy ona siedziała sztywno przy stole; co rano budził się i widział ją śpiącą pod kocem. Po przebudzeniu nic nie mówiła, prawie na niego nie patrzyła, po prostu wstawała, jadła śniadanie, siadała przy stole i zaczynała pracę. Codziennie zaczynał śpiewać i codziennie, każdego dnia trochę wcześniej, przerywała pracę i przybierała całodzienną pozę wystudiowanej obojętności.

Co ja jej robię?

Ansset odczuwał niepokój, potrzebę ruchu. Zawlekał (Kontrola), a kiedy wstał, podniósł się powoli (Kontrola) i zamiast spacerować tam i z powrotem, podszedł prosto do okna, próbował otworzyć okiennicę, po czym uświadomił sobie, że taka próba oznacza osłabienie Kontroli. Natychmiast skoncentrował się na kamiennych murach w swoim wnętrzu, ujrzał głębokie, spokojne jezioro, coraz głębsze za murami. Ale coś się poruszało na dnie jeziora.

Dotknął zimnej kamiennej ściany pomiędzy oknami i usłyszał zawodzenie wiatru na dworze. Pewnie nadchodziła pierwsza jesienna burza. Dlaczego Esste sprowadziła go tutaj? Co chciała osiągnąć?

Co jej zrobiłem?

Spojrzał w głąb jeziora, spojrzał uważnie i zaczął rozumieć, co się z nim dzieje. Po jedenastu dniach w Wysokiej Sali zaczynał się bać. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie mógł wyjść. Nie mógł zmusić Esste, żeby do niego przemówiła, żeby chociaż zapłakała albo w ogóle pokazała, że coś czuje. (Dlaczego to takie ważne, żeby okazała jakieś uczucie?) A teraz za murami własnej Kontroli wyczuwał rzeczy, które tam nie przynależały. Na dnie jego spokoju ocknął się strach. Strach nie przed tym, co się z nim stanie w Wysokiej Sali, lecz przed tym, co mógł zrobić Esste. Nie potrafił ująć tego w słowa, wiedział jednak, że jeśli coś się jej stanie, coś stanie się również jemu. Istniało połączenie. Łączyła ich jakaś więź, tego był pewien. A budząc jej lęki, obudził także własne. Krążyły. Czyhały. Kryły się za murami w jego wnętrzu, a on nie potrafił nad nimi zapanować.

Przemów do mnie, Esste, błagał milcząco. Mów do mnie, krzycz, żądaj, żebym się zmienił, obrażaj mnie albo wychwalaj, albo śpiewaj idiotyczne piosenki o miastach Tew, ale przestań się ukrywać przede mną!

Nie wyglądała jak człowiek ani nawet jak żywa istota z tą pustą twarzą, z nieruchomym ciałem. Ludzie poruszają się, ich twarze coś wyrażają.

Nie złamię Kontroli.

- Nie złamię Kontroli - zaśpiewał cicho. Lecz w tej samej chwili wiedział, że to nieprawda. Strach w jego wnętrzu powoli uniósł głowę.

Rozdział 20

Była więźniem własnego dziecinnego koszmaru. Ryk w uszach i ogromna niewidzialna kula, która rosła i rosła, toczyła się do niej, żeby ją zmiażdżyć połknąć napęlić opróżnić...

Kula dotarła do niej, rycząc jak sztorm na oceanie. Esste, mała dziewczynka, leżała na plecach z szeroko otwartymi oczami, kurczowo podciągając koc do samej szyi, widząc i nie widząc sufitu Wysokiej Sali, słysząc i nie słysząc potężnego ryku wypełniającego przestrzeń. Rozwarła dłonie, żeby odepchnąć kulę, lecz kula była zbyt ciężka, dziewczynka nie mogła udźwignąć ciężaru. Zaciśnęła dłonie w pięści, lecz materia kuli nie poddawała się tak łatwo, prześliznęła się pomiędzy palcami do wnętrza dłoni, więc zamiast odpychać, dziewczynka przytrzymała kulę. Gdyby otworzyła usta, kula wdarłaby się do jej wnętrza. Gdyby zamknęła oczy, kula mogłaby się zmienić w coś gorszego. Więc dziewczynka leżała bez ruchu, godzina za godziną, dopóki sen jej nie zmorzył, albo

krzyczała, krzyczała i krzyczała.

Lecz nikt nigdy nie przyszedł, ponieważ krzyczała bezgłośnie.

Z cienia wynurzyły się kamienne ściany. Była ciemna noc, znikło światło wpadające przez szpary w okiennicach. Anset nie siedział już na środku pokoju. Widziała, że zasnął na siedząco w kącie, owinięty kocem. Na dworze gwizdał wiatr; było zimno. Wyciągnęła sztywne, obolałe palce do komputera i podwyższyła temperaturę w pokoju. Ona uodporniła się na zimno, ale Anset był jeszcze dzieckiem. Gdyby zamarł na śmierć, nie osiągnęłaby niczego.

Wstała powoli, żeby jej ciało zdążyło przystosować się do zmiany pozycji. Plecy zaprotestowały. Lecz fizyczny ból nic nie znaczył. Dzisiejszy dzień był najgorszy, zamiast wspomnień z przeszłości powróciły lęki dzieciństwa, po stokroć silniejsze. Nie wytrzymam jeszcze jednego dnia.

To samo powtarzała sobie wczoraj, a jednak wytrzymała.

Czym ja się różnię od niego, pytała samą siebie. Ja także ukrywam się za moją Kontrolą, ja także jestem niedostępna, nie pokazuję po sobie niczego, jeśli sama nie zechcę. Może gdybym się ugięła, gdybym chociaż trochę rozluźniła Kontrolę, on również wyszedłby zza muru i stał się bardziej ludzki.

Wiedziała jednak, że nie odważy się na taki eksperyment. Anset musiał otworzyć się pierwszy. Gdyby ona ustąpiła, zmarnowałaby wszystko; następnym razem on byłby silniejszy, a ona słabsza. Gdyby doszło do następnego razu. Dwadzieścia dwa dni. Mijała dwunasta noc, jutro będzie dwunasty dzień, zużyła już ponad połowę czasu i nie osiągnęła niczego istotnego, jedynie wyczerpała własne siły i nie wiedziała, czy wytrzyma kolejny dzień.

Podeszła do swojego posłania, rozłożyła koce na podłodze i chciała się położyć. Lecz pochylając się, zerknęła w kąt pokoju, gdzie sypiał Anset, a potem szybko spojrzała jeszcze raz, wyczerpała wzrok i zobaczyła, że Anset nie śpi. Oczy miał otwarte. Patrzył na nią.

Nie śpiewaj! - krzyknęła bezgłośnie. Pozwól mi odpocząć Nie zaśpiewał. Tylko patrzył. A potem cichym, opanowanym głosem, nie wyrażającym żadnych emocji, zapytał: - Czy możemy już przestać?

Czy możemy już przestać? Gdyby nie Kontrola, Esste wybuchnęłaby histerycznym śmiechem. On prosi ją o litość? Głos miał wciąż zimny; walka wciąż trwała; ale chciał ją zakończyć i Esste poczuła, że jednak poczyniła jakieś postępy. Nie. Ona nie dokonała żadnego postępu. To on dokonał postępu. Więc może to wszystko wreszcie się skończy. Tej nocy spała trochę lepiej.

Rano w komputerze czekała wiadomość. Riktors Asher z zalem zawiadamiał, że przybędzie na Tew tydzień wcześniej, niż zapowiadał, ponieważ imperator odwołał niektóre inne zadania. Imperator wyraził się całkiem jasno. Dom Pieśni obiecał mu Słowika. Potrzebował Słowika natychmiast. Jeśli Riktors Ashen nie wyjedzie ze Słowikiem, Mikal będzie wiedział, że Dom Pieśni nie zamierza dotrzymać obietnicy złożonej przez Mistrza Nniva.

Tydzień wcześniej. Za trzy dni.

W milczeniu zjadła śniadanie z Anssetem, zastanawiając się, czy istnieje jakaś nadzieja, żeby doprowadzić sprawę do końca.

Zasiadając za stołem do całodziennej pracy, Esste uzbroiła się wewnątrz. Czekwała, że Ansset usiądzie na środku pokoju i zacznie ją niszczyć śpiewem. Dzisiaj Ansset nie usiadł na podłodze. Dzisiaj krążył bez celu po pokoju, gładził kamienne ściany, siadał i wstawał niemal natychmiast, próbował otworzyć drzwi, próbował otworzyć okiennice. Nucił przez cały czas ale melodia nie wyrażała prawie niczego, jedynie lekkie zniecierpliwienie, pod którym krył się jeszcze bardziej ulotny cień strachu. Nie próbował jednak manipulować nią za pomocą głosu. Początkowo czuła niewyobrażalną ulgę, wkrótce jednak, zamiast nadrabiać trzydniowe zaległości w pracy, znowu zaczęła martwić się o Ansseta. Teraz, kiedy pozwolił jej odetchnąć, kiedy nie musiała lękać się o siebie, mogła lękać się o niego.

W jego twarzy uwidoczniło się napięcie. Oczy nie spoglądały już obojętnie. Rzucił niespokojne spojrzenia we wszystkie strony, niezdolny skupić się dłużej na jednym przedmiocie. Od czasu do czasu przygryzał policzek. Kontrola się załamywała. Dlaczego teraz? Co mu się stało?

Muszę go obserwować bardzo uważnie. Igram z ogniem, spaceruję po skraju przepaści. Muszę rozpoznać moment, kiedy powinnam do niego przemówić. Nie mogę pozwolić, żeby pogrążył się w rozpacz.

Trzy dni.

Po południu bezsensowne nucenie Ansseta zmieniło się w słowa. Początkowo Esste ledwie go słyszała, nie wiedziała nawet, czy do niej mówił. Wkrótce jednak słowa zabrzmiały wyraźniej; zauważyła, że jego głos dokładnie wypełnił Wysoką Salę, nie za cichy i nie za donośny. Głos nadal znajdował się pod Kontrolą; wyrażał uczucia, ale tylko te, które Ansset chciał wyrazić.

- Proszę proszę proszę - mówił starannie modulowany głos - proszę proszę proszę mam już dosyć proszę czy mogę wyjść albo: proszę powiedz coś do mnie nie wiem co chcesz osiągnąć niczego nie rozumiem ale proszę już nie mogę wytrzymać proszę proszę proszę...

Ansset mówił monotonnie, nie patrząc na Esste; spoglądał na ściany, okna i podłogę, i na własne ręce, które nie drżały, kiedy na nie spojrział, ale dygotały leciutko, kiedy odwracał wzrok. Od lat nie widziała, żeby śpiewając poruszył choćby jednym mięśniem. Ten ruch nie był świadomy, ale istniał i stanowił wymowne świadectwo, że w umyśle Ansseta dzieje się coś okropnego. Esste chciała wyciągnąć ramiona, przytulić chłopca, powstrzymać drżenie mięśni. Nie zrobiła tego. Została przy komputerze, pracowała i słuchała monotonnego głosu.

- Przepraszam że cię nastraszyłem przepraszam przepraszam przepraszam czy nie można tego skończyć proszę boję się ciebie boję się tego pokoju pozwól mi usłyszeć twój głos Esste Esste Esste proszę...

Wreszcie głos rozplątał się w ciszy i Ansset usiadł przy drzwiach, przyciskając twarz do szorstkiego drewna.

Rozdział 21

Błagałem a ona nie odpowiedziała. Wieloryby pływają głęboko we mnie a ona nie pomaga. Potrzebuję pomocy. Wszystkie potwory na świecie są wewnątrz mnie zamiast na zewnątrz dałem się oszukać i wpadłem w pułapkę i one są wewnątrz moich murów nie na zewnątrz moich murów są we mnie w środku a ona nie chce mi pomóc. Moje mięśnie drżą kiedy przestaję o nich myśleć. Moje lęki atakują kiedy przestaję o nich myśleć. Tonę a jezioro robi się coraz głębsze i głębsze i głębsze i nie wiem jak się wydostać nie mogę przejść przez mur chociaż próbuję się wspinać nie mogę rozwalić muru a ona nie odzywa się do mnie.

Anset przyciskał twarz do drewnianych drzwi, aż zaczęło go strasznie boleć i ten ból pomógł.

Pamiętał. Pamiętał śpiew. Słyszał wszystkie głosy. Słyszał głos Esste krytykujący jego piosenki. Słyszał inne dzieci w Komnacie. Słyszał głosy swojej klasy Bryz i swojej klasy Dzwonków, i swojej klasy Mruków. Głosy przy posiłkach. Głosy w toalecie. Obce głosy w Step i Bóg. Głos Rruk, kiedy go uczyła, jak należy się zachowywać w Domu Pieśni. Wszystkie głosy śpiewały mu jednocześnie, tylko jednego głosu nie potrafił rozpoznać, nie potrafił usłyszeć wyraźnie - odległy, stłumiony głos, którego nie rozumiał.

Ale ten głos nie należał do Domu Pieśni. Był szorstki i surowy, śpiewał bezsensowną, nic nie znaczącą piosenkę. Ale nie był pusty, był pełen znaczenia. Nie był bezsensowny, ponieważ Anset wiedział, że gdyby chociaż raz usłyszał ten głos, naprawdę usłyszał go poprzez zgiełk innych głosów, zrozumiałby znaczenie piosenki i to by pomogło. Chociaż szorstki i surowy, ten głos wcale go nie drażnił. Sprawiał mu taką przyjemność jak sen, jak posiłek, jak zaspokojenie wszelkich żalosnych potrzeb. Anset wytężał słuch, przyciskał twarz do drewna, ale głos nie brzmiał wyraźniej.

Przez wiele godzin daremnie starał się usłyszeć głos. Szorował twarzą po drewnie, rzucał się na kamienną podłogę, żeby ból wypędził wszystkie inne głosy z jego głowy, żeby pozwolił mu usłyszeć ten jeden głos, którego poszukiwał, ponieważ ten głos mógł uratować go od grozy, która z każdą chwilą podpływała coraz bliżej do powierzchni, gdzie czekał bezradnie.

Rozdział 22

Czuwanie trwało przez całą noc. Esste patrzyła, jak Anset wbijał sobie drzazgi w nos, czoło i policzki, dopóki nie pocięła krew. Patrzyła, jak darł kamień palcami, dopóki nie połamał sobie paznokci. Patrzyła, jak walił zakrwawioną twarzą o ścianę, dopóki nie przestraszyła się, że wyrządzi sobie trwałą krzywdę. Zdawało się, że Anset nigdy nie zaśnie. A w przerwach pomiędzy samookaleczaniem, sztywny jak deska pomimo ciągłego drżenia, powtarzał drewnianym, opanowanym głosem: „Proszę. Proszę. Pomóż mi”. To była Kontrola, ale nic więcej. Żadnej muzyki. Jego pieśni odeszły.

Tylko na chwilę, powtarzała sobie Esste. Tylko na chwilę. Jego pieśni, jego dobre pieśni wrócą, jeśli tylko zaczekam, aż poprawa sama przyjdzie, jak przesilenie w gorączce.

Nadszedł ranek, a Ansset ciągle nie spał. Przestał się rzucać, więc Esste poszła do maszyny po jedzenie. Postawiła przed nim śniadanie, ale on nie jadł. Przysunęła mu kawałek do ust, ale zamiast ugryźć jedzenie, ugryzł ją w rękę, wbił zęby z całej siły. Ból był rozdzierający, ale Esste nawet nie drgnęła - w jej wieku fizyczny ból najłatwiej poddawał się Kontroli. Czekwała cierpliwie, nic nie mówiąc. Krew płynęła z jej palców i ściekała z ust Ansseta przez długie minuty, kiedy patrzyli na siebie w milczeniu. I to Ansset pierwszy wydał dźwięk, skowyt, który brzmiał jak powolne pęknięcie skały, pieśń mówiąca tylko o cierpieniu i nienawiści do siebie. Powoli rozwarł szczęki. Ból popłynął w górę ramienia.

Oczy Ansseta straciły wszelki wyraz. Przestał ją widzieć. Esste podeszła do maszyny i posmarowała dłoń maścią. Czuła się wyczerpana po bezsennej nocy, a zwierzęcy atak Ansseta wstrząsnął nią znacznie bardziej niż sam ból. Wystarczy, zdecydowała. Posunęłam się za daleko. Ręka jej drżała pomimo Kontroli, pomimo narzuconego sobie spokoju. Nie mogę tego dłużej ciągnąć, powiedziała stanowczo.

Ale milczała od dwunastu dni i słowa nie przychodziły jej łatwo. Przychodziły z takim trudem, że kiedy spojrzała na pustą twarz Ansseta, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zamiast tego położyła się na kocu, nie używanym poprzedniej nocy, i zasnęła. Obudziło ją wycie wiatru hulającego po Wysokiej Sali. Było jej zimno, przeraźliwie zimno nawet pod kocem. Dopiero po chwili zrozumiała, co to znaczy. Zerwała się z podłogi. Było popołudnie, wietrzne, mroczne i pochmurne. Chmury wisiały tak nisko, że każdy podmuch wiatru wpędzał strzępy mgły do Wysokiej Sali, a ziemia w dole była niewidoczna. Wszystkie okiennice na wszystkich oknach były otwarte, niektóre stukały o zewnętrzny mur.

Wyskoczył z wieży - krzyknęło coś w umyśle Esste. Głośno wciągnęła powietrze.

Na jej westchnienie odpowiedział jęk. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Ansseta, który leżał na stole, zwinięty w kłębek; ssał kciuk i mały palec prawej dłoni, przyciskając resztę palców do czoła i oczu w nieświadomej pozycji płodowej. Poczowała taką ulgę, że oparłszy się o stół, oddychała głęboko i spazmatycznie. Prysła wszelka iluzja Kontroli. Ansset zwyciężył, musiała ustąpić, zanim osiągnęła swój cel.

Zimno ponagliło ją do działania. Pozamykała wszystkie okna, wychylając się daleko za parapety, żeby dosięgnąć uchwyty na okiennicach. Mgła była tak gęsta, że zdawała się pochłaniać jej rękę, kiedy sięgała za okno. Lecz w duchu Esste śpiewała. Ansset nie wyskoczył.

Zamknawszy okna, wróciła do stołu i dopiero teraz zauważyła, że Ansset śpi. Dygotał z zimna i prawdopodobnie z wyczerpania, ale nie widział jej paniki, jej ulgi, nie słyszał jej westchnień. W pierwszej chwili poczuła wdzięczność, potem jednak uświadomiła sobie, że chyba byłoby lepiej, gdyby zobaczył, jak lęk o jego bezpieczeństwo pokonuje nawet żelazną rezerwę Esste. Co się stało, to się nie odstanie, powiedziała sobie i znalazła w jego lewej dłoni klucz do okiennic, obeszła pokój i pozamykała wszystkie okna, a potem zawiesiła klucz z powrotem na łańcuszku, który Ansset zdjął z jej szyi, kiedy spała, i upuścił na podłogę.

Podeszła do komputera i podkręciła ogrzewanie w Wysokiej Sali. Natychmiast kamienie pod jej stopami zrobiły się ciepłe.

Potem nakryła chłopca leżącego na stole swoim kocem i jego kocem. Poruszył się lekko, jęknął i zamamrotał, ale spał dalej.

Rozdział 23

Ansset miał zeszywniałą twarz, kiedy się obudził. Nie czuł już zimna. Głowa go bolała, a twarz niezdolnie piekła w miejscach, gdzie powbijał sobie drzazgi. Poczuł coś chłodnego dotykającego twarzy, a pod tymi dotknięciami pieczenie ustępowało. Spojrzał spod przymkniętych powiek. Esste pochylała się nad nim, smarując maścią jego twarz. Na chwilę Ansset zapomniał wszystko złe i powiedział do niej ostrożnie:

- Nie skoczyłem. Kazali mi skoczyć, ale nie skoczyłem.

Nie odpowiedziała. Nie powiedziała nic, absolutnie nic, i jej milczenie uderzyło go jak cios, zepchnęło z powrotem w głąb siebie. Znowu walczył. Woda wzbierała pod jego nogami, olbrzymi wir wznoszący się coraz wyżej, a on stał na szczycie i nie miał już dokąd uciekać. Spojrzał w siebie i nie znalazł drogi ucieczki, woda dosięgła go, stracił grunt pod nogami, porwany falą kręcił się w kółko i w kółko, coraz szybciej, aż do zawrotu głowy. Wrzasnął. Jego wrzask wypełnił Wysoką Salę, odbił się echem od ścian i roztrzaskał mglistą ciszę za oknem.

Ansset nie był już w Wysokiej Sali. Wessał go potworny wir. Woda zamknęła się nad jego głową. Wirował coraz szybciej, zanurzał się coraz głębiej, wciągany do paszczy potworów czyhających na dnie. Połykały go jeden za drugim. Czuł, że tkwi w przetyku, że potężna perystaltyka wlecze go do następnych gardzieli, gorących, ciasnych zakamarków, gdzie nie mógł oddychać.

I wchodził do pokoju. Wchodził i wchodził, ale wciąż nie mógł wejść ani kroku dalej. Zupełnie sam, w całkowitej ciszy usłyszał piosenkę, której szukał. Usłyszał piosenkę i zobaczył śpiewaka, lecz tak naprawdę niczego nie słyszał ani nie widział, ponieważ śpiewak nie miał twarzy, którą mógł rozpoznać, a piosenka, choćby najbardziej wytężał słuch, umykała mu w chwili, kiedy ją pochwycił. Nie słyszał melodii w pamięci, tylko w tej chwili, a kiedy spojrzał śpiewakowi w oczy, brwi zniknęły, a kiedy spojrzał na usta, zniknęły również oczy.

Przestał iść, chociaż nie pamiętał, jak dotarł do kobiety leżącej na łóżku. Wyciągnął rękę. Dotykał jej twarzy. Głaskał jej twarz tak delikatnie, wodził palcami wokół oczu i ust, a głos śpiewał: „Bi-lo-bye. Bi-lo-bye”, ale jak tylko zrozumiał te słowa, natychmiast je stracił. Nadpłynęła mgła i pochłonęła

twarz. Chwytał ją mocno, przytrzymał, trzymał z całej siły; nie mogła ukryć się przed nim we mgle, w tych wszystkich białych niewidzialnych twarzach, które ją pochłonęły. Tym razem trzymał mocno i nie zamierzał jej wypuścić, nigdy w świecie.

Znowu usłyszał piosenkę, usłyszał śpiew i to była dokładnie ta sama piosenka, a słowa brzmiały:

Nigdy cię nie skrzywdzę.

Zawsze ci pomogę.

Jeśli jesteś głodny,

Oddam ci jedzenie.

Jeżeli się boisz,

Zostanę przy tobie.

Kocham cię teraz,

A miłość nie ma końca.

Teraz wiedział, gdzie jest. Coś wyciągnęło go z jeziora. Leżał na brzegu jeziora, suchy i bezpieczny, i wreszcie odnalazł piosenkę, której szukał. Wciąż mocno trzymał twarz, ciągnął za włosy, przyciągał twarz bliżej i kiedy pochylała się nad nim, rozpoznał ją wreszcie i zapłakał z radości.

Rozdział 24

Ansset leżał na kolanach Esste, rozpaczliwie ściskając jej włosy, aż wreszcie gwałtowne drżenie ustało, szczęki lekko się rozwarły, oczy skupiły się na twarzy Esste i zobaczyły ją.

- Mamo - zapłakał i w jego głosie nie było żadnych pieśni prócz dzieciństwa.

Esste otwarła usta, łzy popłynęły z jej oczu, spadały na policzki Ansseta, i zaśpiewała z głębi serca:

- Ansset, mój jedyny synu.

Zaszlochał i przywarł do niej, a ona objęła go mocno i nuciła słowa bez sensu, śpiewała mu najczulsze piosenki. Leżeli na kocach w Wysokiej Sali, a na zewnątrz szalała burza. Esste również szlochała, tuląc w ramionach jego posiniaczoną, pokaleczoną twarz; ponieważ odsłoniły się dwa sekretne miejsca i sama nie wiedziała ani nie chciała wiedzieć, które z nich stanowiło większe osiągnięcie. Zamknęła Ansseta w ciszy Wysokiej Sali, żeby go uleczyć; on odpłacił jej tym samym i ona również została uleczone.

Rozdział 25

Było popołudnie czternastego dnia. Słońce wlewało się przez szpary w zachodnich okiennicach. Ansset i Esste siedzieli na podłodze w Wysokiej Sali, śpiewając do siebie.

Pieśń Ansseta załamywała się, chociaż melodia była czysta i wysoka, słowa mówiły tylko o cierpieniu, zagubieniu i samotności, kiedy dorastał; lecz cierpienie uległo przeobrażeniu, zostało przekształcone już w samym śpiewie poprzez harmonię i kontrapunkt bezsłownej pieśni Esste, która mówiła: nie bój się, nie bój się, nie bój się. Dłonie Ansseta tańczyły podczas śpiewania, delikatnie muskały twarz i ramiona Esste, chwytaly i wypuszczały jej ręce. Twarz miał rozświetloną od wewnątrz, oczy żyły, ciało wyrażało równie dużo jak słowa. Kiedy jego głos opowiadał o wspomnieniach strachu, jego ciało mówiło o obecnej miłości.

Rozdział 26

Riktors Ashen nie wiedział, co powinien zrobić. Mikal wyraził się jasno. Słowik musiał wyjechać z Riktorem Ashenem. A jednak Riktors wiedział, że awanturami i pogrózkami nic nie wskóra. To nie była rada narodowa ani próżny dyktator, ani prowincjonalna planeta, gdzie samo imię imperatora budziło grozę. To był Dom Pieśni, starszy niż samo imperium, starszy niż wiele światów, starszy niż wszystkie rządy w galaktyce. Nie uznawał żadnej władzy, żadnej narodowości, żadnej konieczności poza własnymi pieśniami. Riktors mógł tylko czekać, wiedząc, że zwłoka rozwścieczy Mikala, wiedząc, że pośpiech niczego nie zmieni.

Przynajmniej Dom Pieśni potraktował go na tyle poważnie, że przydzielił mu opiekuna, pełnoprawnego Mistrza Pieśni imieniem Onn, którego każde słowo brzmiało przekonująco, chociaż w gruncie rzeczy nie obiecał niczego.

- Pańska wizyta to dla nas zaszczyt - powiedział Onn.

- Wierzę - odparł ubawiony Riktors. - Powtarza to pan po raz trzeci.

- No, wie pan, jak to jest - rzucił wesoło Onn. - Spotykam tak niewielu ludzi z zewnątrz, że nie bardzo wiem, co mówić.

Wątpię, czy zainteresują pana plotki z Domu Pieśni, a tylko na tym się znam.

- Zdziwiłoby pana, jak bardzo interesują mnie plotki.

- O nie. Mamy wyjątkowo nudne plotki. - Po czym Onn zmienił temat i zaczął mówić o pogodzie, która ostatnio bywała na zmianę słoneczna albo deszczowa. Riktorsa ogarnęło zniecierpliwienie. Zapewne pogoda wiele znaczyła dla stałych mieszkańców planety. Dla Riktorsa Ashena stanowiła tylko kolejny powód, żeby żyć w kosmosie.

Drzwi się otwały i weszła Esste we własnej osobie, prowadząc chłopca. Jasnowłosa i piękny. Riktors natychmiast rozpoznał go jako Ansseta, Słowika Mikala. Chciał już to powiedzieć, ale zawahał się. Chłopiec wyglądał jakoś inaczej. Riktors przyjrzał mu się dokładniej. Na twarzy chłopca widniały sińce i zadrapania.

- Co wyście mu zrobili? - zapytał Riktors, przerażony na samą myśl, że ktoś bił chłopca.

Odpowiedział mu Ansset głosem, który wzbudzał absolutne zaufanie. Ten chłopiec nie może kłamać, mówił jego głos.

- Upadłem na stos drewna. Wiem, że nie powinienem tam się bawić. Miałem szczęście, że niczego sobie nie zламаłem.

Riktors odprężył się, a potem zauważył następną, znacznie ważniejszą różnicę w wyglądzie dziecka. Ansset uśmiechał się, twarz miał ożywioną, spojrzenie ciepłe i przyjazne. Trzymał Esste za rękę.

- Czy jesteś gotów, żeby pojechać ze mną? - zapytał Riktors. Ansset uśmiechnął się i westchnął, a

jedno i drugie roztopiło zwykłą rezerwę Riktorsa. Natychmiast polubił chłopca.

- Chciałbym pojechać - powiedział Ansset. - Ale jestem Słowikiem, a to znaczy, że muszę zaśpiewać przed całym Domem Pieśni, zanim odejdę. - Odwrócił się do Esste. - Mogę go zaprosić?

Esste uśmiechnęła się, co zdumiało Riktorsa bardziej niż zmiana widoczna w Anssecie. Nie przypuszczał, że ta kobieta potrafi okazywać coś więcej oprócz surowości.

- Przyjdiesz? - zapytał Ansset.

- Teraz?

- Tak, jeśli chcesz.

Ansset i Esste odwrócili się i wyszli. Riktors zerknął niepewnie na Onna, który uprzejmie odwzajemnił jego spojrzenie. Zostałem zaproszony, stwierdził Riktors, więc mogę iść za nimi. Zaprowadzili go do wielkiej sali, wypełnionej setkami dzieci, które siedziały na twardych ławkach w absolutnej ciszy. Nawet ich białe stopy prawie nie szurały na kamiennej podłodze, kiedy ostatnie z nich zajmowały miejsca. Wśród dzieci rozproszonych było wielu dorosłych i nastolatków, a na kamiennym podwyższeniu z przodu zasiadali najstarsi. Wszyscy nosili podobne ubiory, wyblakłe brązowe szaty sięgające podłogi, chociaż żadne z dzieci nie miało ubrania w odpowiednim rozmiarze. Sprawiali wrażenie ubóstwa, dopóki Riktors nie spojrzał na ich twarze, pełne uniesienia.

Esste i Ansset zaprowadzili go w głąb sali, na koniec środkowego przejścia. Riktors zdziwił się, że posadzono go na tak podrzędnym miejscu; nie wiedział, i nikt go nie powiadomił, że jest pierwszym obcym od wieków, obecnym na ceremonii w wielkiej sali Domu Pieśni.

Nie wiedział nawet, że odbywa się ceremonia. Ansset i Esste po prostu podeszli do podium, trzymając się za ręce. Esste weszła na podium, a potem pomogła wejść Anssetowi. Potem Mistrzynie Pieśni zajęła miejsce na krześle, a Ansset stanął sam z przodu sceny, na wprost przejścia, gdzie Riktors widział go wyraźnie.

I zaśpiewał.

Jego głos wypełnił wszystkie zakamarki sali, lecz żadne echo nie zniekształciło tonu. Prawie nie używał słów, a te nieliczne, które wyśpiewał, wydawały się Riktorsowi pozbawione znaczenia. Lecz imperialny wysłannik słuchał jak zaczarowany. Dłonie Ansseta poruszały się w powietrzu, wznosiły się i opadały, odmierzając dziwny rytm melodii. Twarz również przemawiała tak wyraźnie, że nawet Riktors ze swego odległego miejsca widział, że pieśń wypływa z duszy chłopca.

Nikt na sali nie płakał, nawet najmłodsze Mruki, posiadające najłabszą Kontrolę. Pieśń Ansseta nie zagrażała Kontroli i nie odbijała uczuć publiczności. Przeciwnie, pieśń rozdzieliła publiczność na pojedynczych słuchaczy, ponieważ była tak głęboko osobista, że każdy człowiek odbierał jaw inny sposób. Riktorsowi skojarzyła się z nurkowaniem pomiędzy planetami, chociaż śpiewak nie mógł znać dreszczu i zawrotu głowy doświadczanego przez pilotów. A kiedy Ansset wreszcie zamilkł, pieśń wciąż dźwięczała w powietrzu i Riktors wiedział, że nigdy jej nie zapomni. Nie wylewał łez,

nie odczuwał gwałtownych emocji. A jednak ta pieśń stanowiła dla niego wyjątkowe przeżycie, jedno z największych.

Mikal czekał na to przez całe życie, pomyślał Riktors. Wszystkie dzieci i wszyscy dorośli wstali, chociaż nie otrzymali żadnego znaku. I wszyscy zaczęli śpiewać, jeden za drugim, potem wszyscy razem, aż samo natężenie dźwięku zagęściło powietrze w sali i wypełniło przestrzeń aromatem muzyki. Żegnali się z Anssetem, który jako jedyny milczał, który stał na scenie i nie płakał.

Wciąż śpiewali, kiedy Ansset zszedł ze sceny i nie rozglądając się ani na lewo, ani na prawo, ruszył przejściem do czekającego Riktorsa. Wyciągnął rękę. Riktors ujął dłoń chłopca.

- Zabierz mnie ze sobą - powiedział Ansset. - Jestem gotowy do drogi.

Ręka Riktorsa drżała, kiedy wyprowadzał Ansseta z sali i prowadził do ślizgacza czekającego przed budynkiem, który miał ich zawieźć do kosmolotu. Riktors widział bogactwa, widział przepych pałacu Mikala w Susquehannie, widział tysiące najpiękniejszych rzeczy, które ludzie wytwarzali, kupowali i sprzedawali. Żadna z nich nie była warta piękna, które szło obok niego, które trzymało go za rękę, które uśmiechało się do niego, kiedy drzwi Domu Pieśni zamknęły się za nimi.

MIKAL

Rozdział 1

Susquehanna nie była największym miastem na Ziemi; istniała setka większych miast, może więcej. Ale Susquehanna była miastem najważniejszym. To było miasto Mikala, które zbudował u zbiegu rzek Susquehanny i Zachodniej Susquehanny. Składało się z pałacu i pałacowych gruntów, domów dla

wszystkich ludzi, którzy pracowali w pałacu, oraz infrastruktury do obsługi milionów gości corocznie odwiedzających pałac. Nie więcej niż sto tysięcy stałych mieszkańców.

Urzędy państwowe w większości znajdowały się gdzie indziej, rozproszone po całej Ziemi, więc żadne miejsce nie stanowiło planetarnego ośrodka. Dzięki błyskawicznej komunikacji odległości nie miały znaczenia. Toteż Susquehanna przypominała zwyczajne podmiejskie osiedle - trochę bogatsze niż zwykle, trochę lepiej położone, lepiej oświetlone, lepiej wybrukowane, bez żadnych przemysłowych zanieczyszczeń, bez żadnych slumsów, żadnych śladów nędzy, nawet bez śmieci.

Susquehanna była dopiero trzecim dużym miastem, jakie Anset zobaczył. Brakowało jej ostrego, podniecającego rytmu Bóg, ale nie cuchnęła zmęczeniem jak Step. Zieleń miała tutaj głębszą, bardziej soczystą barwę niż na Tew, więc chociaż las nie sięgał nieba, a zbocza gór opadały sennie i łagodnie, całość sprawiała wrażenie bujnego rozkwitu. Zupełnie jakby świat, który wydał z siebie ludzkość, koniecznie chciał udowodnić, że wciąż jest żyzny i płodny, że wciąż kipi nadmiarem życia, że ludzkość nie była jego jedyną niespodzianką, jedyną sztuczką, jaką spletał wszechświatowi.

- To dumne miejsce - powiedział Anset.

- Co, Ziemia? - zapytał Riktors Ashen.

- Co ja widziałem na Ziemi?

- Cała planeta tak wygląda. Wiesz, Mikal nie zaprojektował tego miasta; dostał je w prezencie.

- Cała planeta tak wygląda? Taka piękna?

- Nie. Wymuskana. Zadzierająca nosa. Ludzie na Ziemi są bardzo dumni ze swojej planety jako „serca ludzkości”. Serce, akurat. To margines, zupełny margines, w dodatku zwariowany, ja ci to mówię. Bronią swoich drobnych nacjonalizmów niczym świętych relikwii. Zresztą to są relikwie. Okropne miejsce na stolicę... ta planeta jest bardziej poszatkowana niż reszta galaktyki. Nawet mamy ruchy niepodległościowe.

- Niepodległość od czego?

- Od Mikala. To jego stolica, a oni uważają, że powinien im oddać kawałek planety. - Riktors parsknął śmiechem.

Anset był szczerze zdumiony.

- Ale jak oni mogą podzielić planetę? Czy mogą podnieść kawałek i zawiesić w kosmosie? Czy mogą zdobyć niepodległość?

- Ustami niewiniątek.

Jechali oczywiście ślizgaczem, całym przezroczystym oprócz podłogi, która zakrywała widok drogi pędzącej pod nogami, żeby pasażerowie nie dostali mdłości. Kosmoport leżał godzinę jazdy od miasta, teraz jednak widzieli już pałac, nieregularną, jakby kamienną budowlę w dziwnym,

skomplikowanym stylu, delikatną jak koronka i jednocześnie masywną jak sama planeta.

- Większość oczywiście jest pod ziemią - powiedział Riktors.

Ansset w milczeniu obserwował coraz bliższy budynek. Riktorsowi przyszło do głowy, że chłopiec pewnie denerwuje się spotkaniem z imperatorem.

- Chcesz wiedzieć, jaki on jest?

Ansset przytaknął.

- Stary. Niewielu ludzi w zawodzie Mikala dożywa takiego wieku. Było ponad osiem tysięcy spisków na życie imperatora. Odkąd zamieszkał na Ziemi.

Dopiero po chwili Ansset wyraził swoje zdumienie w krótkiej piosence bez słów. Potem powiedział tak, żeby Riktors zrozumiał:

- Człowiek, którego śmierci chce tylu ludzi... on musi być potworem!

- Albo świętym.

- Osiem tysięcy.

- Pięćdziesiąt prawie się udało. Dwa razy imperator został ranny. Zrozumiesz środki bezpieczeństwa, które zawsze go otaczają. Ludzie posuwają się do ostateczności, żeby go zabić. Dlatego my także musimy stosować ostateczne środki, żeby go ochronić.

- W jaki sposób - zapytał Ansset - ten człowiek zasłużył sobie na Słowika?

Pytanie zdumiało Riktorsa. Czyżby Ansset naprawdę rozumiał własną unikalną wartość? Czy był tak próżny, że wątpił w imperatorskie prawo do posiadania Słowika? Nie, zdecydował Riktors. Chłopiec został Słowikiem dopiero przed samym przyjazdem na Ziemię. Jeszcze nie zaczął myśleć o sobie jako o Słowiku. A może zaczął?

- Zasłużył? - powtórzył Riktors. - Przyjechał do Domu Pieśni wiele lat temu i poprosił. Według historii, którą słyzałem, prosił o Słowika albo śpiewaka, wszystko jedno. Ponieważ raz usłyszał Słowika i nie mógł dłużej żyć bez piękna tej muzyki. Rozmawiał ze starym Mistrzem Pieśni, Nnivem. I z nową Mistrzynią Esste. A oni obiecali mu Słowika.

- Ciekawe, dlaczego.

- On już wtedy właściwie skończył z zabijaniem. Reputacja go wyprzedzała. Wątpię, czy dali się na to nabrać. Chyba po prostu coś w nim zobaczyli.

- Oczywiście, że zobaczyli - oświadczył Ansset tonem lekko strofującym, tak że Riktors nagle poczuł się młody i dziwnie zdominowany przez dziecko siedzące obok niego. - Esste nie popełnia błędów.

- Czyżby? - Adwokat diabła, pomyślał Riktors. Dlaczego zawsze muszę grać rolę oponenta? - Wiesz, imperium aż się trzęsie od plotek. Że Dom Pieśni sprzedał się, kiedy cię wysłał do Mikala.

- Sprzedał się? Za jaką cenę? - zapytał spokojnie Ansset. Pogarda w jego głosie dotknęła Riktorsa.

- Wszystko ma swoją cenę. Mikal płaci za ciebie więcej niż za tuzin statków kosmicznych. Nie przyjechałeś tu za darmo.

- Przyjechałem, żeby śpiewać - odparł Ansset. - Gdyby Mikal był biedny i Dom Pieśni postanowił mu przyznać Słowika, zapłaciliby mu za moje utrzymanie.

Riktors uniósł brew.

- To się zdarzało - dodał Ansset.

- Nie jesteś trochę za mały, żeby studiować historię? - zapytał ubawiony Riktors.

- Która rodzina nie zna własnej przeszłości?

Po raz pierwszy Riktors uświadomił sobie, że izolacja Domu Pieśni nie była zwykłą fasadą lub sposobem na wzbudzenie szacunku. Ansset, a poprzez ekstrapolację wszyscy śpiewacy, w gruncie rzeczy nie uznawał pokrewieństwa z resztą ludzkości. Przynajmniej bliskiego pokrewieństwa.

- Oni są dla ciebie wszystkim, prawda? - zapytał Riktors.

- Kto? - odparł Ansset i wtedy dotarli na miejsce. Dobrze się składało. „Kto” Ansseta brzmiało lodowato i Riktors nie mógłby pytać dalej, nawet gdyby chciał. Dziecko było piękne, zwłaszcza teraz, kiedy sińce i zadrapania całkowicie się zagoiły. Ale nie było normalne. Nie pozwalało na taką poufałość jak inne dzieci. Riktors szczyił się, że łatwo nawiązuje przyjaźnie z dziećmi. Doszedł jednak do wniosku, że Ansset nie jest dzieckiem. Spędzili razem kilka dni na statku, ale fizyczna bliskość wcale ich do siebie nie zbliżyła. Riktors widział Ansseta z Esste, widział miłość tak potężną, jak ryk silników w atmosferze. Widocznie jednak na miłość trzeba zasłużyć. Riktors nie zasłużył.

Wielu ludzi nienawidziło Riktorsa. Dotąd wcale się tym nie przejmował. Ale wiedział, że ponad wszystko pragnie, żeby ten chłopiec go pokochał. Tak jak kochał Esste.

Niemożliwe. Czego ja chcę?, pytał sam siebie Riktors. Zanim jednak odpowiedział na pytanie, Ansset wziął go za rękę i razem wyszli ze ślizgacza, weszli w bramę i Riktors poczuł, jak rozwiewają się resztki poczucia bliskości. Równie dobrze Ansset mógł zostać na Tew, pomyślał. Nawet kiedy trzyma mnie za rękę, dzielą nas lata świetlne. Dom Pieśni przykuł go do siebie nierozzerwalną więzią.

Dlaczego, u diabła, jestem zazdrosny?

Riktors wstrząsnął się wewnątrz i zaczął robić sobie wyrzuty, że pozwolił się omotać czarom Słowika i Domu Pieśni. Tego Słowika nauczono wzbudzać miłość. Dlatego nigdy go nie pokocham. I

to, co postanowione, stało się niemal prawdą.

Rozdział 2

Szambelan był bardzo zajęтым człowiekiem. Ta jego cecha najbardziej rzucała się w oczy. Kiedy stał, balansował lekko na palcach; kiedy siedł, pochylał się do przodu; tak niecierpliwie pragnął dotrzeć do celu, że stopy nie nadążały za resztą ciała. A chociaż podczas ceremonii wypełniał swoje funkcje z wdziękiem i bez pośpiechu, zwykle mówił bardzo szybko, wyrzucał z siebie słowa w takim tempie, że słuchacz musiał wyteńczyć uwagę z obawy, żeby nie stracić czegoś ważnego i nie prosić o powtórzenie - ach, wtedy szambelan wpadał w furję i mogłeś się pożegnać z awansem na cały rok.

Więc podwładni szambelana również działali szybko. Albo raczej sprawiali takie wrażenie. Ponieważ każdy z podwładnych wkrótce się przekonywał, że szybkość szambelana była iluzoryczna. Mówił szybko, ale myślał wolno i dopiero po pięciu lub sześciu rozmowach dochodził do sprawy, którą można było streścić w jednym zdaniu. Doprowadzał do szału swoich podwładnych, którzy stosowali wszelkie możliwe wykręty, żeby tylko uniknąć rozmowy z przełożonym.

Dokładnie o to mu chodziło.

- Jestem szambelanem - poinformował Ansseta, jak tylko zostali sami.

Ansset spojrział na niego obojętnie. Szambelan trochę się zdziwił. Zwykle otrzymywał jakiś błysk rozpoznania, jakiś półuśmiech, zdradzający nerwową świadomość jego władzy i pozycji. Od tego chłopca? Nic.

- Jak ci wiadomo - ciągnął, nie czekając dłużej na odpowiedź - jestem administratorem tego pałacu, a co za tym idzie, całego miasta. Nic więcej. Moja władza dalej nie sięga. Jednakże ty znajdujesz się pod moją władzą. Całkowicie, absolutnie, bez wyjątku. Masz słuchać moich rozkazów.

Ansset nawet nie mrugnął.

Cholera, jak ja nie znoszę użerać się z dziećmi, pomyślał szambelan. One nawet nie należą do tego samego gatunku.

- Jesteś Słowikiem. Jesteś niezwykle cenny. Dlatego nie będziesz wychodził bez zezwolenia. Bez

mojego zezwolenia. Dwaj moi ludzie będą ci towarzyszyli przez cały czas. Przygotowałem dla ciebie rozkład zajęć, który przewiduje liczne możliwości rekreacji. Nie mogę cię spuścić z oka nawet na chwilę. Za cenę, którą zapłaciliśmy za ciebie, mogliśmy wybudować drugi taki pałac i jeszcze wystarczyłoby pieniędzy na wyposażenie całej armii.

Nic. Całkowity brak emocji.

- Nie masz nic do powiedzenia? Anset uśmiechnął się nieznacznie.

- Szambelanie, mam własny rozkład zajęć. Tego będę się trzymał. Inaczej nie mogę śpiewać.

To było niesłychane. Szambelan zaniemówił, odebrało mu głos, a chłopiec wciąż się uśmiechał.

- A co do twojej władzy, Riktors Ashen już wszystko wyjaśnił.

- Czyżby? Co takiego wyjaśnił?

- Nie rządzisz wszystkim, szambelanie. Nie rządzisz gwardią pałacową, bo gwardią dowodzi kapitan wyznaczony przez Mikala. Nie masz żadnego wpływu na imperialne rządy, tylko na administrację pałacową i protokół. I nikt, szambelanie, nie będzie mną rządził. Tylko ja sam.

Szambelan był przygotowany na wiele niespodzianek. Ale do głowy mu nie przyszło, że dziewięcioletni chłopiec, choćby najpiękniejszy, będzie przemawiał bardziej władczo niż admirał floty. A jednak głos chłopca stanowił zadziwiający przykład siły. Szambelan, którego nic nie mogło wytrącić z równowagi, tym razem poczuł się wytrącony z równowagi.

- Dom Pieśni o tym nie poinformował.

- Dom Pieśni nie udziela informacji, szambelanie. Muszę żyć w określony sposób, żeby śpiewać. Jeśli nie będę mógł żyć tak, jak muszę, wrócę do domu.

- To niemożliwe! Trzeba przestrzegać rozkładu! Anset zignorował go.

- Kiedy spotkam Mikala?

- Kiedy rozkład zajęć pozwoli.

- A kiedy to będzie?

- Kiedy ja pozwolę! Ja układam program. Przyznaję dostęp do Mikala albo odmawiam dostępu do Mikala!

Anset tylko uśmiechnął się i zanucił uspokajająco. Szambelan poczuł znaczną ulgę. Później daremnie próbował zrozumieć, dlaczego.

- To już lepiej - powiedział. Poczuł się tak odprężony, że usiadł, a fotel płynnie dostosował się do jego kształtów. - Anset, nie masz pojęcia, jakim ciężarem jest stanowisko szambelana.

- Masz wiele pracy. Riktors mi mówił.

Szambelan był dumny ze swojej doskonałej samokontroli. Zmartwiłby się wiedząc, że Ansset odczytał drgania emocji w jego głosie i odkrył, że szambelan nie przepada za Riktorem Ashenem.

- Zastanawiam się - zaczął szambelan - czy nie mógłbyś zaśpiewać teraz. Wiesz, muzyka łagodzi obyczaje.

- Bardzo chciałbym zaśpiewać dla ciebie - powiedział Ansset.

Szambelan czekał przez chwilę, potem spojrzał pytająco na chłopca.

- Ale, szambelanie - ciągnął Ansset - jestem Słowikiem Mikala. Nie mogę śpiewać dla nikogo, dopóki on nie wyrazi zgody.

W głosie Słowika brzmiało dostatecznie dużo szyderstwa, żeby szambelan poczuł palący wstyd, jakby próbował przespać się z żoną swojego pana, a ona zwyczajnie go wyśmiała. Ten dzieciak będzie koszmarem.

- Porozmawiam o tobie z Mikalem.

- On wie, że tutaj jestem. Słyszałem, że dość niecierpliwie czekał na mój przyjazd.

- Powiedziałem, że porozmawiam z Mikalem!

Szambelan obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju jak burza, lecz dramatyzm tego wyjścia zepsuł spokojny głos Ansseta, który dogonił go bez trudu i szepnął mu do ucha:

- Dziękuję.

„Dziękuję” było pełne szacunku i wdzięczności, więc szambelan nie mógł się dłużej gniewać, właściwie nie widział żadnych powodów do gniewu. Widocznie chłopiec postanowił okazać posłuszeństwo. Widocznie.

Szambelan poszedł prosto do Mikala, przywilej dostępny tylko dla nielicznych, i poinformował go, że przybył Słowik i pragnie go poznać, czarujący chłopiec, chociaż odrobinę uparty, a Mikal powiedział: „Dzisiaj o dwudziestej drugiej”. Szambelan wyszedł, powiedział swoim ludziom, co mają robić, i dostosował rozkład zajęć do tego spotkania, a potem uświadomił sobie:

Zrobiłem dokładnie to, czego chciał ten chłopiec. Zmieniłem wszystko na życzenie chłopca.

On mnie przewyższa o klasę, powiedziało mdlące uczucie w jego żołądku.

Nienawidzę tego małego drania, powiedział chwilę później gorący rumieniec na jego policzkach.

Kontrakt przewidywał sześcioletni pobyt. Szambelan pomyślał o tych sześciu latach, które wydały mu się bardzo długie. Straszliwie długie.

Rozdział 3

Pałac nie miał muzyki.

Ansset wreszcie zrozumiał to z ulgą. Coś go dręczyło od chwili przyjazdu. Nie chodziło o szczegółową rewizję dokonaną przez ochroniarzy ani o bezosobowe traktowanie, jakby wpadł w tryby wielkiej maszyny. Spodziewał się różnic, a ponieważ w porównaniu z Domem Pieśni wszystko było obce, nie odbierał niczego jako „niewłaściwe”. Daleki był od kosmopolityzmu, lecz Dom Pieśni nigdy nie pozwolił mu myśleć, że metody Domu Pieśni są „właściwe”, a wszystko inne należy potępić. Po prostu Dom Pieśni był domem, a to było inne miejsce.

Ale ten brak muzyki. Nawet Bóg miało swoją muzykę, nawet leniwe Step miało własne pieśni. Tutaj sztuczny kamień, twardszy od stali, przynosił niewiele dźwięków; meble bezgłośnie dopasowywały się do ciała; służący w milczeniu spełniali swoje obowiązki, podobnie jak gwardziści; jedynie maszyny wydawały jakieś odgłosy, zresztą bez wyjątku stłumione.

Podczas wizyt w Step i Bóg miał przy sobie Esste. Kogoś, komu mógł śpiewać i kto rozumiał znaczenie pieśni. Kogoś, czyj głos pełen był starannie kontrolowanej modulacji. Tutaj wszystkie głosy brzmiały tak niedbale, tak szorstko, tak prostacko.

Ansset zatęsknił za domem, kiedy przesuwając palcami po ciepłym kamieniu, tak niepodobnym do zimnych kamiennych ścian Domu Pieśni. Zanucił gardłowo, ale te ściany wchłaniały dźwięk, nie odbijały niczego. W dodatku było mu gorąco. Niedobrze. Mieszkał w niedogrzanych pomieszczeniach od trzeciego roku życia. Tutaj było tak ciepło, że mógł zdjąć ubranie i wciąż się pocić. Jak oni mogli to wytrzymać?

Niepokoju Ansseta nie złagodził fakt, że zostawiono go samego, odkąd służący lokaj zaprowadził go do pokoju i powiedział: „To twój”. Żadnych okien, a drzwi nie miały widocznego zamka. Więc Ansset czekał i nie śpiewał, ponieważ obawiał się podsłuchu - Riktors Ashen ostrzegł go przed tym. Siedział samotnie, w milczeniu, słuchając całkowitego braku muzyki, ale nie chciał tworzyć własnej muzyki, dopóki nie spotka Mikala, chociaż nie wiedział, kiedy to nastąpi lub czy nastąpi w ogóle, czy też zostawią go tutaj na zawsze, w miejscu odpowiednim raczej dla głuchego.

Nie.

Nie miał racji.

Tutaj jest muzyka, uświadomił sobie Ansset. Ale stanowi kakofonię, nie harmonię, dlatego wcześniej jej nie rozpoznał. W Step i Bóg panowały jednolite nastroje. Chociaż mieszkańcy mieli własne, indywidualne pieśni, były to wariacje na jeden określony temat i wspólnie tworzyły specyficzny klimat miasta. Tutaj nie było takiej harmonii. Tylko strach i nieufność, posunięte do tego stopnia, że żadne dwa głosy nie brzmiały zgodnie. Jakby samo ujawnienie toku myślenia, sposobu mówienia i środków wyrazu mogło kogoś niebezpiecznie skompromitować, narazić na śmierć lub jeszcze gorszy los. Taka była muzyka pałacu, jeśli można to nazwać muzyką.

Cóż za ponure miejsce stworzył Mikal dla siebie. Jak można mieszkać w takiej ogłuszającej ciszy i bólu?

Ale może dla nich to nie jest bolesne, pomyślał Ansset. Może taki jest cały świat. Może tylko na Tew, gdzie istnieje Dom Pieśni, głosy nauczyły się harmonijnego współbrzmienia.

Pomyślał o miliardach odległych gwiazd, każda z własnym układem planetarnym, a na każdej planecie mieszkają ludzie i żaden z nich nie potrafi zaśpiewać ani usłyszeć cudzej pieśni.

To był koszmar. Odpędził tę myśl. Zamiast tego pomyślał o Esste i ponownie zdumiał się tym, co krył wewnątrz siebie i co dzięki niej wreszcie odnalazł. Wspominając ją, nie widział w wyobraźni jej twarzy - rozstali się zbyt niedawno, żeby ją przywoływać jak ducha. Zamiast tego słyszał jej głos, ochrypli zaraz po przebudzeniu, czysty i silny w ciągu dnia. Ona nie pozwoliłaby się zamknąć. Ona nie dałaby się sprowokować głupiemu szambelanowi i nie powiedziała by więcej, niż powinna. A gdyby tutaj była, pomyślał, nie czułbym się tak...

Gdyby tutaj była, nie pozwoliłaby sobie na takie emocje. Zdarzały się już trudne angaże dla Słowików. Esste, którą kochał i obdarzał zaufaniem, wysłała go tutaj. Zatem tutaj było jego miejsce. Więc spróbuję przetrwać, przystosować pałac do mojej muzyki, zamiast żałować, że opuściłem Dom Pieśni. Do tego zostałem wyszkolony. Odsluszę swój przydział, a potem, kiedy po mnie przyjadą, wrócę.

Drzwi rozsunęły się i do pokoju weszło czterech strażników z ochrony. Nosili inne mundury niż ci, którzy poprzednio rewidowali Ansseta. Niewiele mówili, kazali mu tylko zdjąć ubranie. Ansset zapytał: „Dlaczego?”, ale oni tylko czekali i czekali, aż wreszcie odwrócił się plecami i rozebrał się. Jak różna była nagość wśród innych dzieci, pod prysznicem i w toaletach, od tego obnażenia się przed czterema dorosłymi mężczyznami, którzy obserwowali go uważnie. Przeszukali każdy

zakamarek jego ciała, a chociaż nie zachowywali się brutalnie, ta rewizja nie była przyjemna. Pozwalali sobie na poufałość, jakiej Anset jeszcze nie doświadczył, a mężczyzna, który obmacywał jego genitalia szukając jakichś tajemniczych przedmiotów - Anset nie wyobrażał sobie, co można tam ukryć - dotykał go odrobinę za długo, odrobinę zbyt delikatnie. Anset nie wiedział, co to znaczy, ale wiedział, że to niedobrze. Twarz mężczyzny była pozornie spokojna, kiedy jednak odezwał się do innych, Anset wyczuł drzenie, ślad tłumionej namiętności w szorstkim tonie głosu, i ogarnął go lęk.

Lecz chwila minęła, strażnicy oddali mu ubranie i wyprowadzili z pokoju. Byli wysocy; górowali nad nim, a on poczuł się niezręcznie, niezdolny dotrzymać im kroku, przestraszony, że zapłacie się między ich nogami i że go stratują. Bardziej bał się ich gniewu, gdyby się o niego potknęli, niż ewentualnej krzywdy wyrządzonej przez ich stopy. Ciągłe było mu za gorąco, teraz jeszcze bardziej od szybkiego marszu i napięcia. W Domu Pieśni nic nie mogło przełamać jego Kontroli - oprócz Esste. Tam jednak znał wszystko, potrafił dostosować się do zmian, ponieważ przez całe życie spotykały go zmiany. Tutaj zaczynał rozumieć, że ludzie działają z różnych powodów, że przestrzegają rozmaitych reguł albo nie przestrzegają żadnych; a jednak.

Potrafił manipulować szambelanem. Kontrola była prymitywna, ale podziałała. Istoty ludzkie zawsze pozostaną istotami ludzkimi. Nawet jeśli to potężni żołnierze, którzy drżą dotykając nagiego małego chłopca.

Strażnicy poruszyli krawędź drzwi i drzwi się otworzyły. Anseta zainteresowało, czy jego palce też mogą otwierać drzwi. Potem strażnicy dotarli do drzwi, których nie mogli otworzyć, a przynajmniej nie próbowali. Czy Mikal był po drugiej stronie?

Nie. Tam był szambelan i kapitan gwardii, i kilku innych ludzi, z których żaden nie wyglądał na imperatora. Nie żeby Anset miał określone pojęcie, jak powinien wyglądać imperator, ale zorientował się niemal natychmiast, iż żaden z tych ludzi nie miał dostatecznej siły ani opanowania, żeby rządzić mocą własnego autorytetu. Dotychczas Anset spotkał tylko jednego obcego, który posiadał te cechy - Riktorsa Ashena. Pewnie dlatego, że Riktors był komandorem kosmicznej floty, który zdławił rebelię niemal bez rozlewu krwi. Wiedział, na co go stać. Ci mieszkańcy pałacu nie wiedzieli niczego o sobie.

Zadawali mu pytania. Pozornie przypadkowe pytania. O jego szkolenie w Domu Pieśni, jego wychowanie, zanim trafił na Tew, i dziesiątki pytań, których Anset nawet nie rozumiał, nie mówiąc o odpowiedzi.

Co sądzi o czterech wolnościach?

Czy w Domu Pieśni uczono go o Dyscyplinie Frey?

A co z bohaterami Straży Morskiej? Ligą Morskich Miast?

I wreszcie:

- Czego cię uczyli w tym Domu Pieśni?

- Uczyli mnie śpiewać - odpowiedział Anset, Pytający wymienili spojrzenia. Wreszcie kapitan gwardii wzruszył ramionami.

- Do diabła, dzieciak ma dziewięć lat. Ilu dziewięciolatków wie cokolwiek o historii? Ilu z nich ma poglądy polityczne?

- Martwię się raczej o Dom Pieśni - powiedział człowiek, w którego głosie Anset usłyszał śmierć.

- Założmy, tylko na chwilę - głos kapitana ociekał sarkazmem - że Dom Pieśni rzeczywiście jest apolityczny.

- Nikt nie jest apolityczny.

- Dali Mikalowi Słowika - zaznaczył kapitan. - To bardzo niepopularny postępek, w całym imperium. Słyszałem, że jakiś nadęty dureń na Prowk chce im zwrócić śpiewaka w ramach protestu.

Szambelan podniósł palec.

- Oni nie dali Mikalowi Słowika w prezencie. Zażądali słonej zapłaty.

- Której nie potrzebują - dodał człowiek o głosie dźwięczącym śmiercią. - Mają więcej pieniędzy od każdej instytucji w imperium z wyjątkiem samego imperium. Więc pozostaje pytanie - dlaczego wysłali chłopca do Mikala? Nie ufam im. To spisek.

Spokojny mężczyzna o wielkich oczach wysunął się z kąta i dotknął ramienia szambelana.

- Mikal czeka - powiedział cicho, a na te słowa wszyscy jakby się zasepili.

- Miałem już nadzieję, że Dom Pieśni będzie zwlekał dostatecznie długo, żeby...

- Żeby co? - rzucił wyzywająco kapitan gwardii, prowokując szambelana do popełnienia zdrady.

- Żeby nas ominęło to całe zamieszanie.

Człowiek śpiewający swym głosem śmierć podszedł do Anseta, który siedział spokojnie, z twarzą bez wyrazu. Zimnym wzrokiem spojrzał Ansetowi w oczy.

- Zakładam - powiedział wreszcie - że jesteś taki, jaki się wydajesz.

- A jaki się wydaję? - zapytał niewinnie Anset. Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Piękny - oświadczył wreszcie, a jego głos wibrował zalem. Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju tymi samymi drzwiami, którymi wszedł Anset. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- No, to tyle - mruknął szambelan, a kapitan gwardii wyraźnie się odprężył.

- Mam dowodzić całą kosmiczną flotą, a marnuję godzinę na sprawdzanie, co się kryje w głowie

dziecka. - Parsknął śmiechem.

- Kim był ten człowiek, który wyszedł? - zapytał Anset. Szambelan zerknął na kapitana, zanim odpowiedział.

- Nazywają go Szczur. Jest ekspertem na zewnątrz.

- Na zewnątrz czego?

- Pałacu - odparł kapitan.

- Dlaczego byliście tacy zadowoleni, kiedy wyszedł?

- Dostyc pytań - oznajmił wielkooki mężczyzna głosem łagodnym i wzbudzającym zaufanie. - Mikal czeka na ciebie.

Więc Anset ruszył za nim do drzwi, które prowadziły do małego pokoiku, gdzie gwardziści przesunęli różdkami wzdłuż ich ciał i pobrali próbki krwi, a potem przez następne drzwi weszli do niewielkiej poczekalni. W końcu stary, skrzypiący głos przemówił z głośnika:

- Teraz.

Drzwi podjechały w górę i znikły w ścianie, a oni weszli ze świata sztucznego kamienia w świat naturalnego drewna. Anset jeszcze nie wiedział, że to było najbardziej spektakularne świadectwo bogactwa i potęgi Mikala. Na Tew wszędzie rosły lasy i drewno było tanie. Na Ziemi kradzież drewna z lasu karano śmiercią; to prawo ustanowiono przed dwudziestoma tysiącami lat, kiedy lasy prawie wyginęły. Tylko najbiedniejsi, jak chłopci na Syberii, mogli ścinać drzewa - i Mikal. Mikal robił, co chciał. Mikal dostawał wszystko, czego chciał.

Nawet Słowika.

Na kominku w głębi pokoju płonął ogień (spalanie drewna!). Obok na podłodze leżał Mikal. Był stary, lecz ciało miał smukłe i giętkie. Skóra na twarzy mu obwisała, ale obnażone ramiona były silne, bez śladu zwiótczenia mięśni.

Głębokie oczy spokojnie przyglądały się Ansetowi. Sługa wprowadził chłopca trochę dalej do pokoju, a potem wyszedł.

- Anset - powiedział imperator. Anset pochylił głowę w geście szacunku.

Mikal podniósł się z leżącej pozycji i usiadł na podłodze. W pokoju znajdowały się meble, ale stały daleko pod ścianami. Przed kominkiem była tylko goła podłoga.

- Podejdź - powiedział Mikal.

Anset podszedł bliżej i stanął nieruchomo w odległości około metra od imperatora. Czuł ciepło ognia. Poza tym jednak, jak zauważył, w pokoju panował chłód. Mikal wypowiedział dotąd tylko

dwa słowa, więc Anset nie znał jego pieśni, za mało usłyszał. Rozpoznał jednak dobroć i uczucie lęku. Imperator całej ludzkości lękał się małego chłopca.

- Chciałbyś usiąść? - zapytał Mikal.

Anset usiadł. Podłoga, twarda pod jego stopami, stała się miękka i wygodna, kiedy ciężar ciała rozłożył się na większej powierzchni. Zbyt miękka - Anset nie przywykł do wygod.

- Czy dobrze cię traktowano?

Przez chwilę Anset nie odpowiadał. Słuchał pieśni Mika-la i nie zauważył, że zadano mu pytanie, nie zauważył dopóty, dopóki nie zaczął rozumieć, dlaczego przysłano Słowika do człowieka, który wymordował tyle milionów istnień ludzkich.

- Boisz się odpowiedzieć? - zapytał Mikal. - Zapewniam cię, jeżeli ktokolwiek źle się z tobą obszedł...

- Nie wiem - powiedział Anset - co tutaj uchodzi za dobre traktowanie.

Mikal był ubawiony, ale starał się tego nie okazywać. Anset podziwiał jego kontrolę. Nie Kontrolę oczywiście, ale coś pokrewnego, co wymuszało posłuch.

- A co uchodzi za dobre traktowanie w Domu Pieśni?

- Nikt nigdy nie rewidował mnie w Domu Pieśni - powiedział Anset. - Nikt nigdy nie trzymał mojego penisa, jakby chciał go mieć na własność.

Mikal przez chwilę milczał, ale niczym innym nie zdradził swoich emocji.

- Kto to był? - zapytał spokojnie.

- To był ten wysoki, ze srebrnym pasem. - Anset poczuł

dziwne podniecenie na myśl, że potrafi wskazać tego człowieka. Co zrobi Mikal?

Imperator odwrócił się do niskiego stołu i nacisnął jakieś miejsce na blacie.

- Wśród tych, co przeszukiwali chłopca, był wysoki strażnik, sierżant.

Chwila ciszy, a potem odezwał się miękki głos - Anset rozpoznał głos kapitana - ale jakby złagodzony, pozbawiony szorstkości. Czy to zasługa maszyny? Czy też kapitan używał tego czułego tonu wobec Mikala?

- Callowick - powiedział kapitan. - Co on zrobił?

- Pożądał chłopca. Zdegradować go i odesłać z planety - rozkazał Mikal. Zdjął rękę ze stołu.

Przez chwilę Anset czuł dreszcz rozkoszy. Nie całkiem rozumiał, co zrobił ten strażnik, ten Callowick, tyle że to było nieprzyjemne. Ale Mikal dopilnuje, żeby to się nie powtórzyło, Mikal zatroszczy się o niego, Mikal ukarze tych, którzy spróbują go obrazić. Przy boku Mikala Anset będzie równie bezpieczny jak w Domu Pieśni. Bezpieczniejszy, ponieważ w Domu Pieśni Anset doznał krzywdy, a tutaj nikt nie ośmielił się go skrzywdzić - ze względu na Mikala. Po raz pierwszy Anset zasmakował władzy nad życiem i śmiercią; smakowała wspaniale.

- Masz władzę - powiedział Anset głośno.

- Czyżby? - mruknął Mikal, wpatrując się w chłopca.

- Wszyscy to wiedzą.

- A ty masz władzę? - zapytał Mikal.

- Pewnego rodzaju - odparł Anset, lecz w pytaniu Mikala kryło się coś więcej, jakaś wymówka. Anset poszukał w pamięci tego nowego, dziwnego głosu, żeby odkryć, o co naprawdę pytał Mikal. - Mam pewną władzę, ale ty widzisz jej koniec. Obawiasz się tego.

Tym razem Mikal nic nie powiedział, tylko spojrzał uważnie na chłopca. Przez chwilę Anset czuł strach. Z pewnością nie tego żądała od niego Esste. „To ty musisz zdobywać przyjaciół, mówiła, ponieważ znacznie więcej rozumiesz”. Czyżby? - powątpiewał Anset. Rozumiem trochę, ale ten człowiek ukrywa wiele rzeczy. Ten człowiek jest niebezpieczny; nie jest tylko moim protektorem.

- Musisz teraz coś powiedzieć - odezwał się Anset, na pozór spokojnie. - Nie poznam cię, jeśli nie usłyszę twojego głosu.

Mikal uśmiechnął się, ale oczy miał czujne, podobnie jak głos.

- Więc może najmądrzej byłoby milczeć.

Ten głos oraz zawarte w nim emocje wystarczyły, żeby Anset zrobił następny krok.

- Myślę, że nie obawiasz się utraty władzy - powiedział. - Myślę... myślę...

A potem słowa go zawiodły, ponieważ nie rozumiał tego, co zobaczył i usłyszał w Mikalu, nie potrafił tego wyrazić słowami. Więc zaśpiewał. Użył niewielu słów, głównie melodii i rytmu, które opowiadały o miłości Mikala do władzy. Ty nie kochasz władzy tak, jak głodny człowiek kocha jedzenie, mówiła pieśń. Kochasz władzę tak, jak ojciec kocha syna. Anset śpiewał o władzy, która została stworzona, nie odebrana; stworzona i rozwijana, dopóki nie wypełniła wszechświata. A potem zaśpiewał o pokoju, w którym mieszkał Mikal, wypełnił go głosem aż po drewniane ściany i pozwolił, żeby dźwięk wibrował w drewnie, pozwolił mu tańczyć i żyć, i chociaż to zniekształcało ton, pozwolił mu rozbrzmiewać echem, żeby wzbogacić swoją pieśń o dodatkowe głębie.

I śpiewając pieśń, której właśnie nauczył się od Mikala, Anset nabrał odwagi i zaśpiewał o nadziei na przyjaźń, o ofiarowanym zaufaniu. Zaśpiewał pieśń miłości.

A kiedy skończył, Mikal zmierzył go uważnym spojrzeniem. Przez chwilę Ansset nie wiedział, czy pieśń odniosła skutek. Potem Mikal wyciągnął rękę, która drżała, ale nie ze starości. Wyciągnął rękę, a Ansset także wyciągnął rękę i położył ją na dłoni starego człowieka. Dłoń Mikala była wielka i silna, Ansset miał wrażenie, że ta dłoń go połknie, pochłonie i uwięzi, i już nigdy go nie znajdą. Lecz kiedy Mikal objął kciukiem palce chłopca, dotyk był delikatny, uścisk mocny, lecz łagodny; a potem Mikal powiedział głosem nabrzmiałym od emocji:

- Spełniłeś. Moje nadzieje. Ansset pochylił się do przodu.

- Proszę, nie ciesz się zbyt wcześnie - powiedział. - Twoje pieśni są trudne i jeszcze nie nauczyłem się wszystkich.

- Moje pieśni? Nie mam żadnych pieśni.

- Owszem, masz. Zaśpiewałem je dla ciebie. Mikal wydawał się poruszony.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to są moje...

- Usłyszałem je w twoim głosie.

To wyznanie zdumiało i rozbroiło Mikala.

- Ale w tym, co śpiewałeś, było tyle piękna...

- Czasami - odparł Ansset.

- Tak. I tyle... nie wiem czego. Może... może znalazłeś te pieśni we mnie. - Na jego twarzy malowało się zwątpienie. W jego głosie brzmiało rozczarowanie. - Czy to twoja sztuczka? Nic więcej?

- Sztuczka?

- Posłuchać, co się dzieje w głosie patrona, i zaśpiewać mu to samo. Nic dziwnego, że spodobała mi się ta pieśń. Ale czy nie masz własnych pieśni?

Teraz z kolei Ansset się zdziwił.

- Ale kim ja jestem?

- Dobrze pytanie - przyznał Mikal. - Pięknym dziewięcioletnim chłopcem. - Czy na to właśnie czekali? Ciało, które kazałoby poligamiście żałować, że kiedykolwiek kochał kobietę, twarz, na którą ojcowie i matki patrzyliby z zawiścią, gardząc własnymi dziećmi. Czy chciałem mieć utrzymanka? Chyba nie. Czy chciałem mieć lustro? Może kiedy przed wielu laty rozmawiałem z Mistrzem Pieśni, nie był tak mądry, jak myślałem. A może zmieniłem się od tego czasu.

- Przepraszam, że cię rozczarowałem. - Ansset pozwolił, żeby w jego głosie zabrzmiał prawdziwy strach. To także doradziła mu Esste: „Nie ukrywaj niczego przed swoim patronem”. Po przeżyciach w Wysokiej Sali łatwo było Anssetowi otworzyć serce przed Esste. Tutaj jednak, przy tym obcym

człowieku, któremu nie podobała się pieśń, chociaż poruszyła go głęboko - przełamanie rezerwy wymagało ogromnego wysiłku. Anset czuł się równie bezbronny jak wtedy, kiedy obmacywał go żołnierz, i równie nieświadomy rodzaju niebezpieczeństwa. Jednak okazał strach, ponieważ tak mu kazała Esste, a ona nie mogła się mylić.

Twarz Mikala stwardniała.

- Bynajmniej mnie nie rozczarowałeś. Mówiłem ci. Ta pieśń spełniła moje nadzieje. Ale chcę usłyszeć pieśń o tobie. Na pewno masz własne pieśni.

- Mam - przyznał Anset.

- Zaśpiewasz je dla mnie?

- Zaśpiewam.

I zaśpiewał, z początku nieśmiało, ponieważ przedtem śpiewał te pieśni tylko ludziom, którzy już go kochali, którzy również należeli do Domu Pieśni i dlatego nie potrzebowali wyjaśnień. Lecz Mikal nie wiedział nic o Domu Pieśni, więc Anset sięgnął wstecz swoją melodią, próbował znaleźć sposób, żeby powiedzieć Mikalowi, kim jest, i w końcu uświadomił sobie, że nie potrafi tego powiedzieć, potrafi tylko przekazać znaczenie Domu Pieśni, dotyk zimnego kamienia pod palcami, dobroć Rruk, kiedy płakał ze strachu i zagubienia, a ona zaśpiewała mu zaufanie, chociaż sama była tylko dzieckiem.

Jestem dzieckiem, mówiła pieśń Anseta, słabym jak liść na wietrze, a jednak razem z tysiącem innych liści posiadam korzenie, które tkwią głęboko w skale, w zimnej, żywej skale Domu Pieśni. Jestem dzieckiem i moim ojcem jest tysiąc innych dzieci, a moją matką jest kobieta, która złamała mnie, otworzyła i ogrzała w lodowej burzy, gdzie nagle byłem nagi i nagle nie byłem samotny. Jestem darem ukształtowanym przez moje własne ręce, podarowanym przez innych, i nie wiem, czy mnie przyjmiesz.

I kiedy śpiewał, odkrył, że nieubłagane zbliża się do jedynej pieśni, której nigdy nie zamierzał zaśpiewać. Pieśń o dniach w Wysokiej Sali. Pieśń o jego narodzinach. Nie mogę, pomyślał, kiedy melodie wzbierały mu w gardle i wrywały się pomiędzy zębów. Nie mogę tego znieść, krzyczał w duchu, kiedy nadeszły uczucia, nie pod postacią płaczu, lecz gwałtownych tonów, które rodziły się w najskrytszych miejscach. Nie mogę przestać, pomyślał, kiedy śpiewał o miłości Esste do niego i swoim przerażeniu, że musiał ją opuścić tak szybko, gdy tylko nauczył się na niej polegać.

A w swojej pieśni usłyszał także coś, co go zdumiało. Przez wszystkie emocjonalne wspomnienia przewijała się dysonansowa nuta, nuta mówiąca o ukrytej w nim ciemności. Sięgnął po tę nutę lecz zgubił ją. I stopniowo poszukiwanie obcości we własnej pieśni wydobyło go na powierzchnię, i znowu stał się sobą. Śpiewał, a ogień dogasał i jego pieśń też wreszcie zgasła.

Dopiero wtedy zobaczył, że Mikal leży owinięty wokół niego, obejmuje go jednym ramieniem, a drugim zakrywa twarz, zasłania łzy, zakrywa bezgłośny płacz. Kiedy przebrzmiała pieśń, tylko iskry nuciły w pokoju i ostatnie języki płomieni syczały walcząc o życie.

Och, co ja zrobiłem? - jęknął w duchu Ansset patrząc, jak imperator całej ludzkości, Mikal Groźny, szłocha na jego kolanach.

- Och, Ansset - jęknął Mikal - coś ty zrobił?

Po chwili Mikal przestał płakać, obrócił się na wznak i powiedział:

- O Boże, to zbyt czułe, to zbyt okrutne. Mam sto dwadzieścia jeden lat i śmierć czyha w każdym kącie, próbując mnie przyłapać. Dlaczego nie zjawiałeś się, kiedy miałem czterdziestkę? Ansset nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć.

- Wtedy jeszcze się nie urodziłem - powiedział wreszcie, a Mikal parsknął śmiechem.

- Racja. Wtedy jeszcze się nie urodziłeś. Dziewięć lat. Co oni z tobą robią w Domu Pieśni, Ansset? Jakie okropne metody stosują, żeby wycisnąć z ciebie takie pieśni?

- Czy tym razem podobał ci się mój śpiew?

- Podobał? - powtórzył Mikal, nie wiedząc, czy chłopiec żartuje. - Podobał?

A potem śmiał się długo, złożony głowę na kolanach Ans-seta. Później zasnęli razem, i od tamtej nocy skończyły się rewizje i przesłuchania. Ansset mógł swobodnie wchodzić do Mikala, ponieważ nie było takiej chwili, żeby Mikal za nim nie tęsknił.

Rozdział 4

- Macie szczęście - powiedział im przewodnik, a Kya-Kya westchnęła. Marzyła, że będą mieli tyle szczęścia, żeby wyjechać z Susquehanny po normalnej pięciogodzinnej wycieczce. Ale z pewnością nie o to chodziło przewodnikowi.

- Imperator - oznajmił przewodnik - chce spotkać się z wami. To bardzo wielki zaszczyt. Ale, jak powiedział mi przed chwilą szambelan, wy, studenci Rządowego Instytutu Princeton, jesteście przyszlými administratorami wielkiego imperium. Słuszne jest, żeby Mikal poznał swoich przyszlých pomocników i doradców.

Pomocników i doradców, akurat, pomyślała Kya-Kya. Stary wykorkuje, zanim dostanę dyplom, a potem będę pomagać i doradzać komuś innemu - pewnie draniowi, który go załatwił.

Miała dużo pracy. Niektóre wycieczki były ciekawe i pożyteczne - cztery dni spędzone w centrum komputerowym w Tegucigalpie, tydzień obserwowania operacji na rynku ubezpieczeń społecznych w Rouen. Lecz tutaj, w Susquehannie, nie pokazano im niczego ważnego, nawet w sensie formalnym. Miasto istniało wyłącznie po to, żeby zapewnić Mikalowi wygody i bezpieczeństwo - prawdziwa działalność rządu odbywała się gdzie indziej. Co gorzej, pałac został zaprojektowany przez jakiegoś szaleńca (pewnie przez samego Mikala, pomyślała); korytarze tworzyły istny labirynt, skręcały i zwracały, wznosiły się i opadały w bezsensownych rampach i schodach. Budynek przypominał jedną ogromną barykadę. Nogi ją bolały od długich wędrówek do kolejnych ekspozycji. Kilkakrotnie mogła przysiąc, że przeszli korytarzem z drzwiami po lewej stronie, a potem zawrócili o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyli równoległym korytarzem, również z drzwiami po lewej stronie, prowadzącymi jedynie do korytarza, który właśnie opuścili. Idiotyzm. Obłąd.

- A co więcej - ciągnął przewodnik - szambelan wspomniał, że może otrzymacie przywilej, zarezerwowany zwykle dla ważnych gości spoza planety. Może usłyszycie Słowika Mikala.

Wśród studentów rozległ się szmer zainteresowania. Oczywiście wszyscy słyszeli o Słowiku Mikala - początkowo skandaliczną plotkę, jakoby Mikal zmusił do posłuszeństwa nawet Dom Pieśni, potem wiadomość od tych nielicznych szczęśliwców, którzy słyszeli śpiew chłopca, że Słowik Mikala był największym spośród Słowików, że żaden ludzki głos nigdy nie dokonał takich cudów.

Kya-Kya zareagowała jednak zupełnie inaczej. Nikt z jej kolegów nie wiedział, że pochodziła z Domu Pieśni czy choćby z Tew. Była dyskretna aż do przesady. I wcale nie pragnęła ponownie zobaczyć Ansseta, chłopca, który stanowił jej przeciwieństwo, dawnego faworyta Esste.

Ale nie mogła odłączyć się od grupy. Kya-Kya systematycznie tworzyła własny wizerunek wzorowej studentki - o twórczym umyśle, lecz zdyscyplinowanej. To ją prawie wykończyło, ale miała pewność, że otrzyma entuzjastyczne rekomendacje od wszystkich profesorów, same celujące noty. Trudno było kobiecie zdobyć jakąkolwiek pracę w rządzie Mikala. A pracę, na której zależało Kyi-Kyi, dostawały zwykle kobiety u szczytu kariery, nie na początku.

Więc Kya-Kya nic nie powiedziała, kiedy zajmowali fotele ustawione w podkowę, pomiędzy ramionami której stał tron Mikala. Kya-Kya usiadła na końcu jednego z ramion, skąd mogła widzieć profil Mikala - wołała unikać bezpośredniego kontaktu wzrokowego z ludźmi. Kontakt wzrokowy pozwalał im kłamać.

- Powinniście wstać - poradził im grzecznie przewodnik i oczywiście wszyscy zastosowali się do tej wskazówki. Kilkunastu umundurowanych strażników weszło do sali i zajęło pozycje pod ścianami. Potem wkroczył szambelan i powoli, ceremonialnie ogłosił:

- Przybył do was Mikal Imperator.

Wszedł Mikal. Wyglądał staro, twarz miał pobrużdżoną i obwisłą, ale krok szybki i lekki. Promienny uśmiech zdawał się płynąć z głębi serca. Oczywiście Kya-Kya odrzuciła to pierwsze wrażenie,

ponieważ taką twarz Mikal nosił publicznie, żeby zrobić wrażenie na gościach. Jednak niewątpliwie cieszył się dobrym zdrowiem.

Mikal podszedł do tronu i usiadł, i dopiero wtedy Kya-Kya zauważyła, że towarzyszył mu Anset. Obecność Mikala była tak przytłaczająca, że usunęła w cień nawet pięknego Słowika. Teraz jednakże Mikal wziął chłopca za rękę i delikatnie wypchnął go do przodu. Anset stanął samotnie kilka kroków przed tronem i popatrzył na niewielką publiczność.

Kya-Kya nie patrzyła na Anseta. Obserwowała innych studentów, którzy patrzyli na chłopca. Oczywiście wszyscy się zastanawiali, czy tak piękny chłopiec znalazł drogę do łóżka Mikala. Kya-Kya wiedziała lepiej. Dom Pieśni nigdy nie tolerowałby takich rzeczy. Nigdy nie wysłałby Słowika do kogoś, kto próbowałby napastować dziecko.

Anset przesunął wzrokiem wzdłuż całego rzędu krzeseł i napotkał spojrzenie Kyi-Kyi. Jeśli ją rozpoznał, niczym tego nie zdradził. Ale Kya-Kya wiedziała dostatecznie dużo o Kontroli, żeby móc przypuszczać, że jednak ją rozpoznał.

A potem zaśpiewał. Pieśń była potężna. Opowiadała o nadziejach i szczytnych ambicjach studentów, o służbie dla ludzkości i przyszłych zaszczytach. Słowa były proste, lecz melodia sprawiała, że wszyscy chcieli krzyczeć z uniesienia. Wszyscy oprócz Kyi-Kyi, która pamiętała zebrania w wielkiej sali Domu Pieśni. Pamiętała słuchanie cudzego śpiewu, pamiętała, jak się czuła na pierwszym zebraniu, kiedy uznano ją za Głuchą. Pieśń Anseta nie niosła dla niej nadziei. Zresztą własne rozgoryczenie sprawiało jej pewną przyjemność. Anset oczywiście śpiewał to, co studenci najbardziej pragnęli usłyszeć, próbował wzruszyć swoją publiczność. Ale mnie nigdy nie wzruszy.

Kiedy skończył, studenci wstali, klaskali i wiwatowali. Anset uklonił się nieśmiało, potem opuścił swoje miejsce przed tronem Mikala i stanął pod ścianą. Niecałe dwa metry od Kyi-Kyi. Zerknęła na niego ukradkiem. Zbolało ją, kiedy zobaczyła z bliska, jaki był piękny, jaka łagodna i szczęśliwa była teraz jego twarz. Zdawał się na nią nie patrzeć, więc odwróciła wzrok.

Mikal zaczął wtedy mówić to, co zwykle: że powinni pilnie studiować, żeby nauczyć się rozwiązywać wszelkie znane problemy, a jednocześnie rozwijać wrodzone zdolności, żeby w razie czego poradzić sobie z nieznanym. I tak dalej, pomyślała Kya-Kya, i tak dalej, i tak dalej.

- Słuchaj - powiedział głos w jej uchu. Odwróciła się gwałtownie, ale zobaczyła tylko Anseta, wciąż siedzącego kilka metrów dalej, wciąż nie patrzącego na nią. Ale głos wytrącił ją z zamyślenia; usłyszała Mikala.

- Naturalnie szybko awansujecie na wysokie stanowiska i będziecie kierować ludźmi. Często zirytuje was opieszałość podwładnych. Drobnymi biurokraciami, którzy uwielbiają przetrzymywać możliwie długo każdy kawałek papieru trafiający na ich biurko, zanim przekażą go dalej. Wydają się posiadać mierne umysły, żadnych ambicji, żadnych wizji tego, co rząd powinien robić. Zamarzy wam się, żeby chwycić wielką szczotkę i wymieść drani za próg. Bóg jeden wie, że sam często o tym marzę.

Studenci roześmiali się głośno, nie z powodu tego, co powiedział, ale ponieważ ogromnie im pochlebiało, że Mikal Imperator mówi do nich tak swobodnie, tak otwarcie.

- Ale nie róbcie tego. Nie róbcie tego, dopóki absolutnie nie musicie. Biurokraci to nasz skarb, najcenniejsza część rządu. Wy, obdarzeni wielkimi zdolnościami, awansujecie, dostaniecie przeniesienie, znudzicie się, znowu zmienicie pracę. Gdybyście mieli innego imperatora, niektórzy zostaliby nawet zwolnieni i zesłani na... cóż, nie bardzo umiem sobie wyobrazić miejsce, do którego można zesłać niesfornych administratorów.

Ponownie wybuch śmiechu. Kya-Kya poczuła niesmak.

- Słuchaj - powtórzył głos. Tym razem, kiedy się odwróciła, Anset patrzył na nią.

- Wiem, że takie słowa to zdrada, ale niewątpliwie wszyscy z was zauważyli, że jestem już stary. Rządziłem przez długi czas. Przekroczyłem przeciętną długość ludzkiego życia. Mam powody wierzyć, że pewnego dnia umrę.

Studenci siedzieli sztywno, niepewni, co to ma z nimi wspólnego, ale z pewnością żałując, że muszą wysłuchiwać takich rzeczy.

- Kiedy to nastąpi, kto inny zajmie moje miejsce. Nie pochodzę ze szczególnie długiej dynastii i może powstać kwestia, kto jest moim prawowitym potomkiem. Ta kwestia może spowodować wiele nieprzyjemności. Niektórzy z was ulegną pokusie, żeby poprzeć jedną ze stron. A ci, którzy dokonają złego wyboru, zapłacą za swój błąd. Lecz kiedy rozpęta się burza, nasi papierkowi biurokraci dalej będą kierować rządem na swój ociężały, nieudolny sposób. Obrośli już w taką inercję, że nie mógłbym ich usunąć, nawet gdybym chciał. Kilka zmian tu i tam. Jakieś drobne usprawnienie albo błyskotliwy biurokrata, który zasługuje na awans i koniecznie trzeba go awansować. Ale większość z nich będzie działała jak zwykle, z nieskończoną powolnością, i dzięki temu, moi młodzi przyjaciele, oni uratują imperium. Polegajcie na biurokratach. Szukajcie oparcia w biurokracji. Kontrolujcie ją, jeśli potraficie. Ale nigdy jej nie osłabiajcie. Ona ocali ludzkość, kiedy wszyscy wizjonerzy zawiodą, kiedy wszelkie utopie runą. Biurokracja to jedyna wieczna rzecz stworzona przez ludzkość.

A potem Mikal uśmiechnął się, a studenci znowu wybuchnęli śmiechem, ponieważ zrozumieli, że świadomie przesadzał. Ale zrozumieli również, że w gruncie rzeczy mówił poważnie, i zrozumieli jego wizję przyszłości. Że nieważne, kto stoi za sterem, dopóki załoga sprawnie prowadzi statek.

Ale nikt nie rozumiał go tak dobrze jak Kya-Kya. Nie istniał żaden uświęcony tradycją sposób przyznawania sukcesji do tronu, nie jak w Domu Pieśni, gdzie wybór Mistrza Pieśni z Wysokiej Sali pozostawiono Głuchej i nikt nigdy nie kwestionował jej wyboru. Natomiast władza nad imperium przejdzie w ręce tego, kto okaże się najsilniejszy i najbardziej zdeterminowany w chwili śmierci Mikala. Jak uczy historia, zbyt wielu suwerenów zniszczyło własne imperia, próbując osadzić na tronie krewnych lub faworytów. Mikal nie miał takich zamiarów. Ogłaszał przed studentami Rządowego Instytutu Princeton, że pozwoli prawom doboru naturalnego zdecydować o sukcesji, a jednocześnie próbuje tworzyć instytucje, które przetrwają zamieszanie.

Pierwsze lata po śmierci Mikala będą bardzo interesujące, stwierdziła Kya-Kya i zastanowiła się, dlaczego tak ją ucieszyła perspektywa pracy dla rządu w tych przyszłych czasach, z pewnością pełnych nieszczęścia i przemocy.

Mikal wstał, więc studenci także wstali, a kiedy wyszedł, wybuchnęli gorączkową paplaniną. Kya-Kya była ubawiona widząc, jak łatwo Mikal zamydlił wszystkim oczy swoją szczerością i życzliwością. Czyżby zapomnieli, że ten człowiek wymordował miliardy istnień ludzkich i zniszczył setki planet, że tylko brutalna siła i całkowita bezwzględność wyniosła go do władzy? A przecież musiała go podziwiać za to, że popełniwszy tyle zbrodni, potrafił ukryć własną podłość dość skutecznie, żeby wszyscy studenci oprócz niej - nie, bądź uczciwa, wszyscy studenci - teraz uważali go za ojca. Łagodnego i wyrozumiałego. I mądrego.

No, trzeba to przyznać staremu draniowi. Był dostatecznie cwany, żeby przeżyć, chociaż cała galaktyka pragnęła jego śmierci. Tacy jak oni umierają spokojnie w łóżku.

- Pogarda jest łatwa - odezwał się w pobliżu głos Ansseta. Odwróciła się błyskawicznie, żeby mu odpowiedzieć.

- Myślałam, że wyszedłeś. Jakim prawem kazałeś mi słuchać? - Sama była zdziwiona własnym gniewem.

- Ponieważ nie słuchałaś. - Głos chłopca brzmiał łagodnie, ale usłyszała w nim ton śpiewomowy.

- Nie próbuj tego ze mną. Nie dam się ogłupić.

- Tylko głupca można ogłupić - odparł Ansset. Zauważyła, że urósł. - Udajesz, że nie lubisz Mikala. Ale ze wszystkich obecnych tutaj ludzi jesteś najbardziej do niego podobna.

O co mu chodziło? Była wściekła. Była pochlebiona.

- Czy wyglądam na morderczynię? - warknęła.

- Zdobywasz, czego pragniesz - wyjaśnił Ansset. - I zabijesz dla osiągnięcia celu, jeśli będziesz musiała.

- Nie tylko piosenki, ale na dodatek psychologia. Widocznie twój trening był bardzo wszechstronny.

- Znam twoje pieśni, Kya-Kya - powiedział Ansset. - Słyszałem twój śpiew, kiedy tamtego dnia przysłaś do mojej izby po Esste.

- Nigdy nie śpiewam.

- Nie, Kya-Kya. Ty zawsze śpiewasz. Po prostu nigdy nie słyszysz pieśni.

Ansset odwrócił się, żeby odejść. Ale jego pewność siebie, jego poczucie wyższości rozżłościło Kyę-Kyę.

- Ansset! - krzyknęła, a on zatrzymał się i obejrzał. - Oni cię wykorzystują. Myślisz, że zależy im na tobie, ale oni tylko cię wykorzystują. Narzędzie. Głupie, bezmyślne narzędzie!

Nie podniosła głosu, ale odwróciwszy się zobaczyła, że wielu studentów wodzi spojrzeniem od niej

do Ansseta i z powrotem. Odsunęła się od chłopca i przepchnęła pomiędzy studentami, którzy mieli dość rozsądku, żeby nic nie mówić, niewątpliwie jednak zastanawiali się, jakim cudem nawiązała rozmowę ze Słowikiem Mikala i jak mogła okazać mu gniew.

Wystarczyło tego, żeby dostarczyć studentom materiału do plotek na wiele dni. Lecz zanim Kya-Kya dotarła do drzwi, wszystkie rozmowy umilkły i ponad cichnący gwar wzniósł się głos Ansseta, śpiewający pieśń bez słów, którą tylko ona spośród wszystkich studentów rozpoznała jako pieśń nadziei, przyjaźni i szczerzej życzliwości. Zamknęła swój umysł na sztuczki wychowanka Domu Pieśni i wyszła z pokoju, gdzie czekała w milczeniu obok strażników, dopóki nie przyszedł przewodnik, żeby wszystkich wyprowadzić.

Autobusy, same ślizgacze z Instytutu, zawiozły ich do Princeton z jednym przystankiem w starożytnym mieście Filadelfia, gdzie jednego ze starszych studentów porwano i odnaleziono później, straszliwie okaleczonego, na brzegu rzeki Delaware. Było to piętnaste z fali morderstw, która wstrząsnęła Filadelfią i innymi miastami w okolicy. Reszta studentów w ponurym nastroju powróciła do Princeton i podjęła studia. Ale Kya-Kya nie zapomniała Ansseta. Nie mogła o nim zapomnieć. Śmierć wisiała w powietrzu i chociaż Mikal nie ponosił odpowiedzialności za zbrodnie szaleńca w Filadelfii, Kya-Kya nie mogła odpędzić przecucia, że Ansset również umrze okaleczony. Lecz okaleczenie będzie trwało przez lata. Pomyślała o Anssecie, cierpiącym i zdeformowanym, i chociaż wcale nie zależało jej na Domu Pieśni, a jeszcze mniej na Słowiku Mikala, w głębi duszy żywiła nadzieję, że piękny chłopiec, który pamiętał ją po tylu latach, jakimś cudem uniknie zepsucia w Susquehannie, że powróci do Domu Pieśni czysty i bez skazy.

I denerwowało ją, że wciąż tkwiła w szkole, podczas gdy świat szybko zmierzał w kierunku wielkich wydarzeń, w których ona nie weźmie udziału, chyba że się pospieszy albo świat na nią zaczeka. Miała dwadzieścia lat, była błyskotliwa, niecierpliwa i piekielnie sfrustrowana. Pewnej nocy, kiedy leżała w łóżku wyjątkowo zmęczona, płakała za Domem Pieśni.

Rozdział 5

Ansset spacerował w ogrodzie nad rzeką. W Domu Pieśni ogród oznaczał grządkę kwiatów na dziedzińcu albo warzywnik na tyłach budynków. Tutaj ogród stanowił rozległą połąć trawy, krzewów i wysokich drzew, sięgającą aż do zbiegu dwóch odnóg rzeki Susquehanny. Po drugiej stronie na obu brzegach rósł gęsty, bujny las, a ptaki i zwierzęta często wyłaniały się spomiędzy drzew, żeby pić lub

jeść z rzeki. Szambelan prosił Ansseta, by nie spacerował w ogrodzie. Zbyt wielka przestrzeń, kilometry w każdą stronę, i zbyt gęsta roślinność utrudniały patrolowanie.

Lecz podczas dwóch lat, spędzonych w pałacu Mikala, Ansset wypróbował granice swego życia i przesunął je dalej, niż to się podobało szambelanowi. Pewnych rzeczy Ansset nie robił, nie z powodu przepisów i rozkładów zajęć, ale ponieważ sprawiłby przykrość Mikalowi, a nigdy nie chciał przysparzać mu kłopotów. Nie mógł towarzyszyć Mikalowi na spotkaniach, chyba że został specjalnie zaproszony. Czasami Mikal potrzebował samotności - nigdy nie musiał tego mówić Anssetowi, chłopiec sam wyczuwał jego nastrój i odchodził.

Jednakże przekonał się, że mógł sobie na wiele pozwalać. Chociażby wchodzić do prywatnego pokoju Mikala nie czekając na pozwolenie. Metodą prób i błędów odkrył, że tylko kilka drzwi w pałacu nie otwierało się pod jego palcami. Wędrował po pałacowym labiryncie i poznał go najlepiej ze wszystkich; często zabawiał się w ten sposób, że stawał obok posłańca wysyłanego z wiadomością, a potem wybierał trasę, która doprowadzała go do celu na długo przed posłańcem. Oczywiście to ich irytowało, wkrótce jednak zarazili się duchem współzawodnictwa, ścigali się z nim i czasami wygrywali.

No i Ansset mógł spacerować w ogrodzie, kiedy zechciał. Szambelan próbował dyskutować o tym z Mikalem, ale Mikal spojrzał Anssetowi w oczy i zapytał:

- Czy spacer w ogrodzie są ważne dla ciebie?

- Tak, ojczyźnie Mikalu.

- I musisz spacerować sam?

- Jeśli mogę.

- Więc możesz.

To był koniec dyskusji. Oczywiście ludzie szambelana pilnowali Ansseta z daleka, czasami śmigacz przelatujący nad głową, zazwyczaj jednak chłopiec miał poczucie samotności.

Gdyby nie zwierzęta. Takich doświadczeń Ansset miał niewiele w Domu Pieśni. Od czasu do czasu wycieczka na łąkę, nad jezioro, na pustynię. Ale tam nie napotkał tylu stworzeń i nie słyszał tylu pieśni. Paplanina wiewiórek, krzyk gęsi i sójek, krakanie wron, plusk ryby w rzece. Jak ludzie mogli opuścić ten świat? Ansset nie potrafił wyobrazić sobie impulsu, który kazał jego starożytnym przodkom wsiąść na zimne statki i wyruszyć na planety, które często ich zabijały. Wśród spokoju ptasich pieśni i szmeru wody stawało się niepojęte, że ktoś chciał odejść z tego miejsca, które było domem.

Ale nie było domem Ansseta. Chociaż kochał Mikala tak, jak nie kochał nikogo prócz Esste, i chociaż rozumiał powody, dla których wysłano go do imperatora, wciąż odwracał się plecami do rzeki, spoglądał na pałac z martwego fałszywego kamienia i tęsknił za domem.

A kiedy spoglądał na pałac, usłyszał za sobą dźwięk, który zmroził go jak lodowaty wiatr. Chciał się odwrócić i spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, ale gaz dosięgnął go szybciej, i Ansset upadł, i nie zapamiętał nic ze swego porwania.

Rozdział 6

Nie było żadnych pretensji. Szambelan nie ośmielił się powiedzieć: „A nie mówiłem?”, a Mikal, chociaż dobrze ukrywał swój żal, za bardzo się martwił, żeby robić wyrzuty komuś oprócz siebie.

- Znajdźcie go - powiedział. Nic więcej. Powiedział to do kapitana gwardii, do szambelana i do człowieka zwanego Szczurem. - Znajdźcie go.

Więc szukali. Oczywiście szybko rozeszła się nowina, że Słowik Mikala został porwany. Ludzie, którzy się tym przejmowali, martwili się również, że piękny Słowik padł ofiarą zboczeńca, który wciąż grasował po Filadelfii, Manam i Hisper. Lecz codziennie odnajdowano nowe ofiary zboczeńca, rozdarte na strzępy, i żadna nie była Anssetem.

Zamknięto wszystkie porty, a flota okrążająca Ziemię otrzymała rozkazy, żeby przejąć każdy statek, który spróbuje opuścić planetę, i zatrzymać każdy statek, który spróbuje wylądować. Na Ziemi zakazano podróży pomiędzy miastami i okręgami, zatrzymywano i przeszukiwano tysiące śmigaczy, ślizgaczy i skoczków. Ale nie znaleziono ani śladu Ansseta. I chociaż Mikal zajmował się zwykłymi sprawami, nie mógł ukryć podkrążonych oczu, przygarbionych pleców i chwiejnego kroku, pozbawionego dawnej sprężystości. Niektórzy sądzą, że Ansseta porwano dla okupu albo że zamordował go zboczeniec, tylko jeszcze nie odnaleziono ciała. Lecz ci, którzy mieli dostęp do Mikala, zdawali sobie sprawę, że jeśli ktoś chciał osłabić imperatora, zranić go tak głęboko, jak tylko możliwe, nie mógł wybrać lepszego sposobu niż porwanie Słowika.

Rozdział 7

Okrągła klamka w drzwiach obróciła się. Obiad.

Ansset przekręcił się na twardym łóżku. Bolały go wszystkie mięśnie. Jak zwykle próbował zignorować palące poczucie winy w żołądku. Jak zwykle próbował przypomnieć sobie, co się zdarzyło w ciągu dnia, ponieważ kiedy się budził, resztki dziennego upału zawsze szybko ustępowały przed chłodem nocy. I jak zwykle nie potrafił wyjaśnić poczucia winy ani nie potrafił przypomnieć sobie dnia.

To nie był Siłacz z jedzeniem na tacy. Tym razem przyszedł człowiek zwany Mistrzem, chociaż Ansset nie wierzył, że tak się naprawdę nazywa. Mistrz zawsze był zły i przerażająco silny. Ansset spotkał w życiu niewielu takich ludzi; przy nim czuł się bezbronny jak jedenastoletnie dziecko, którym przecież był.

- Wstawaj, Słowiku.

Ansset powoli wstał. W więzieniu zabrali mu ubranie i tylko duma zabraniała mu zasłaniać się przed twardymi oczami, które obmacywały jego ciało. Tylko Kontrola powstrzymywała palący rumieniec wstydu.

- Wydajemy dla ciebie pożegnalną ucztę, świerszczyku, więc zaćwierkasz dla nas.

Ansset potrząsnął głową.

- Skoro możesz śpiewać dla tego drania Mikala, to możesz śpiewać dla uczciwych wolnych ludzi.

Ansset pozwolił swoim oczom rozblęsnąć i zabarwił głos oburzeniem.

- Uważaj, jak o nim mówisz, zdrajco!

Mistrz postąpił krok do przodu i gniewnie wzniosł ramię.

- Kazali, żebym cię nie kaleczył, świerszczyku, ale mogę ci zadać ból, który nie zostawia blizny, jeśli nie umiesz się odzywać do wolnego człowieka. Teraz zaśpiewasz.

Ansset nigdy w życiu nie został pobity. Lecz nie tyle groźba przemocy, ile furia w głosie mężczyzny kazała mu skinąć głową. Wciąż jednak się kulił.

- Proszę, czy możesz oddać mi ubranie?

- Tam, gdzie idziemy, nie jest zimno - odparł Mistrz.

- Nigdy tak nie śpiewałem - powiedział Anset. - Nigdy nie występowałem bez ubrania.

Mistrz wyszczerzył zęby.

- A co takiego robiłeś bez ubrania? Kochaś Mikala nie będzie miał przed nami sekretów.

Anset nie zrozumiał tego słowa, zrozumiał jednak znaczenie uśmiechu i kiedy szedł za Mistrzem ciemnym korytarzem, jeszcze ciemniejszy wstyd wypełnił mu serce. Zastanawiał się, dlaczego zaprosili go na „pożegnalną ucztę”. Czy zamierzali go wypuścić? Czy Mikal zapłacił za niego jakiś niewyobrażalny okup? Czy też chcieli go zabić?

Anset myślał o Mikalu, martwił się o niego. Nie próżność, tylko znajomość prawdy kazała mu po raz setny stwierdzić, że Mikal będzie szalał z rozpacz, jednak duma i obowiązek wobec państwa nie pozwolą mu niczego pokazać po sobie. Na pewno jednak Mikal nie poskąpi wysiłków, żeby odnaleźć Anseta. Na pewno Mikal przyjdzie po niego.

Podłoga kołysała się lekko, kiedy wędrowali drewnianym korytarzem. Anset już dawno doszedł do wniosku, że uwięziono go na statku, chociaż nigdy dotąd nie znalazł się na łodzi większej od kanoe, w którym uczył się wiosłować na stawie w pobliżu pałacu. Do budowy zużyto taką ilość prawdziwego drewna, która wydawałaby się ostentacyjna i pretensjonalna w domu bogatego człowieka. Tutaj jednak świadczyła tylko o nędzy. Prawo wieśniaków i nic więcej.

Gdzieś w górze Anset usłyszał odległy krzyk ptaka i uporczywy śpiewny dźwięk, który brzmiał jak gwizd wiatru w olinowaniu. Czasami śpiewał sobie tę melodię i dostrajał do niej własny głos.

A potem Mistrz otworzył drzwi i z szyderczym uśmiechem pokazał, że Anset ma wejść pierwszy. Chłopiec zatrzymał się w progu. Wokół długiego stołu zebrało się około dwudziestu mężczyzn, z których kilku już widział, wszyscy ubrani w dziwaczne narodowe stroje czcicieli przeszłości z Ziemi. Anset mimo woli przypomniał sobie, jak Mikal drwił z tych ludzi, kiedy zjawiali się na dworze, żeby stawiać żądania albo prosić o przysługi. „Te wszystkie starożytne kostiumy”, mówił Mikal, leżąc z Ansetem na podłodze przed kominkiem. „Te wszystkie starożytne kostiumy nic nie znaczą. Przodkowie tych ludzi najczęściej nie byli wieśniakami. Przodkowie tych ludzi byli dekadentkami bogaczami z nudnych światów, którzy wrócili na Ziemię w poszukiwaniu sensu życia. Ukradli kilka ostatnich ludowych zwyczajów, zrobili pobieżne badania, znaleźli jeszcze kilka i uznali, że odkryli prawdę. Jakby sranie za stodołą było szlachetniejsze niż sranie do konwertera”.

Wielkie cywilizacje, za których spadkobierców podawali się ci ludzie, w skali galaktycznej stanowiły nic nie znaczący pyłek. Tutaj jednak, kiedy Anset spojrzał z bliska w twarde twarze i oczy pozbawione uśmiechu, zrozumiał, że kimkolwiek byli przodkowie tych ludzi, przekazali w spadku swoim potomkom prymitywną siłę i moc, przypominającą moc Domu Pieśni. Tylko że potężne mięśnie tych ludzi urosły od pracy, która zdumiałaby śpiewaka. Anset stał przed nimi biały, piękny, delikatny i bezbronny, i pomimo Kontroli czuł strach.

Patrzyli na niego tym samym ciekawym, świadomym, pożądlivym wzrokiem, jakim obserwował go Mistrz. Anset wiedział, że jeśli okaże choćby cień zmieszania, tylko ich ośmieli. Więc wszedł dalej do pokoju i nic w jego ruchach nie zdradziło zażenowania czy strachu. Wydawał się obojętny, twarz

miał tak nieruchomą, jakby nigdy w życiu nie odczuwał żadnej emocji.

- Na stół! - ryknął Mistrz za jego plecami i czyjeś ręce postawiły go na drewnianym blacie, wilgotnym od rozlanego wina, szorstkim od okruchów jedzenia. - Teraz śpiewaj, ty mały draniu.

Więc Ansset zaniknął oczy, rozszerzył klatkę żeber wokół płuc i wydał z gardła niski ton. Przez dwa lata śpiewał tylko na żądanie Mikala. Teraz śpiewał dla wrogów Mikala i może powinien zranić ich swoim głosem, powalić ich na kolana swoją nienawiścią. Lecz nienawiść nie narodziła się w Anssecie ani teraz, ani wcześniej, więc zaśpiewał zupełnie co innego. Zaśpiewał cicho, bez słów, wstrzymując dźwięk, żeby ledwie dochodził do uszu słuchaczy.

- Głośniej - ktoś krzyknął, ale Ansset go zignorował. Wkrótce śmiechy i żarty ucichły, a mężczyźni wyężyli słuch.

Melodia była ulotna, prześlizgiwała się wśród tonów i ćwierćtonów swobodnie, z wdziękiem, wciąż ściszone, wznosiła się i opadała rytmicznie. Ansset nieświadomie wykonywał rękami dziwne gesty, które akompaniowały wszystkim jego pieśniom, odkąd w Wysokiej Sali otworzył serce przed Esste. Nigdy nie zauważał tych ruchów - wręcz zdziwiła go notatka z filadelfijskiej gazety, którą przeczytał w pałacowej bibliotece: „Słuchać Słowika Mikala to niebiańska rozkosz, lecz oglądać taniec jego rąk podczas śpiewu to nirwana”. W stolicy Wschodniej Ameryki, niecałe dwieście kilometrów od pałacu Mikala, prasa pisała rozważnie. Ale taką właśnie wizję Słowika Mikala zachowali ci, którzy go pamiętali, Ansset zaś nie rozumiał, nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego widzieli.

Wiedział tylko, co śpiewał, a teraz zaczął śpiewać słowa. Nie były to słowa oskarżenia, raczej opowieść o uwięzieniu. Melodia wznosiła się wysoko, sięgnęła górnych rejestrów, które otwały jego gardło, zacisnęły mięśnie na karku i napięły mu-skuły na udach. Przeszywające dźwięki ślizgały się w górę i w dół natrętnych tercji, a słowa mówiły o ciemnym, tajemniczym poczuciu winy, które przeżywał wieczorami w swoim brudnym, obskurnym więzieniu. Ansset opowiadał o tęsknocie za ojcem Mikalem (choć nie wymówił jego imienia, nie przy tych ludziach), o spokojnych ogrodach nad rzeką Susquehanną i o straconych, zapomnianych dniach, które znikwały z jego pamięci, zanim się obudził.

Ale najwięcej śpiewał o swoim poczuciu winy.

Wreszcie zmęczył się i melodia przeszła w wyszeptaną dorycką skalę, która zakończyła się fałszywą nutą, i ten dysonans rozplątał się w ciszy brzmiącej jak fragment pieśni.

Potem Ansset otworzył oczy. Nawet kiedy śpiewał dla niechcianej, nie lubianej publiczności, nie mógł nic poradzić, musiał dać im to, czego chcieli. Wszyscy, którzy nie płakali, wpatrywali się w niego. Nikt nie chciał przerywać nastroju, dopóki młody człowiek na końcu stołu nie przemówił z ciężkim akcentem:

- Noo, to było lepsze łód szynki i gołombków.

Westchnienia i aprobujące śmiechy przywitały ten komentarz. Spojrzenia, które napotykał Ansset, nie były już szydercze i pożądlive, tylko przyjazne i łagodne. Nigdy się nie spodziewał, że zobaczy takie

spojrzenia u tych szorstkich ludzi.

- Napijesz się wina, chłopcze? - zapytał z tyłu głos Mistrza, a Siłacz nalał. Anset łyknął wina, potem zanurzył palec i strząsnął kroplę w powietrze wdzięcznym gestem, którego nauczył się w pałacu.

- Dziękuję - powiedział i oddał metalowy kubek z taką gracją, jakby odstawiał cenny kielich na dworskiej uczcie. Pochylił głowę, chociaż bolało go okazywanie tym ludziom szacunku, i zapytał:

- Czy mogę już odejść?

- Musisz odejść? Nie możesz jeszcze raz zaśpiewać? - Zupełnie jakby ludzie przy stole zapomnieli, że Anset jest ich więźniem. A on odmówił, jakby miał prawo wyboru.

- Nie mogę śpiewać dwa razy. Nigdy nie śpiewani dwa razy. W każdym razie nie dla nich. A dla Mikala każda pieśń była inna, każda była nowa.

Więc zdjęli go ze stołu i silne ramiona Mistrza zaniósły go z powrotem do celi. Za zamkniętymi drzwiami Anset rozluźnił Kontrolę leżąc na łóżku, pozwolił ciału na drżenie. Ostatnią piosenkę przed dzisiejszym występem śpiewał dla Mikala. Lekka, pogodna piosenka, a Mikal uśmiechnął się czułym, melancholijnym uśmiechem, który gościł na jego twarzy tylko wtedy, kiedy był sam ze swoim Słowikiem. I Anset dotknął dłoni Mikala, i Mikal dotknął twarzy Anseta, a potem Anset wyszedł na spacer nad rzeką.

Anset odpłynął w sen, myśląc o pieśniach w szarych oczach Mikala, nucąc o mocnych dłoniach, które rządziły całym imperium, a jednak umiały głaskać czoło pięknego dziecka i płakać nad smutną melodią. Ach, śpiewał Anset w duszy, ach, płacz smutnych dłoni Mikala.

Rozdział 8

Anset obudził się idąc ulicą.

- Z drogi, włóczęgo! - krzyknął szorstki głos z tyłu. Anset uskoczył w lewo, a ciężarówka przemknęła obok jego prawego ramienia. KIEŁBASKI, krzyczał napis na skrzyni za plecami kierowcy.

Potem Ansetowi zakręciło się w głowie, kiedy uświadomił sobie, że nie jest już więźniem w celi i że jest całkowicie ubrany, chociaż nie w ubranie z Domu Pieśni. Żył, uwolnił się od prześladowców, ale ten krótki wybuch radości natychmiast został zwarzony przez dawne poczucie winy. Konflikt emocji i nagłe uczucie swobody okazały się zbyt przytłaczające dla chłopca; na zbyt długą chwilę zapomniał o oddychaniu, ciemniejąca ziemia usunęła się w bok, dotknęła go, uderzyła...

- Hej, chłopaku, co ci jest?

- Czy ten łobuz cię potrafił, chłopcze?

- Mam numer samochodu. Dostaniemy go!

- Cicho, dochodzi do siebie. Anset otworzył oczy.

- Co to za miejsce? - zapytał. Ależ to Northet, odpowiedzieli.

- Jak daleko do pałacu? - zapytał Anset, niejasno przypominając sobie, że słyszał o Northet jako o przedmieściu Hisper.

- Pałac? Jaki pałac?

- Pałac Mikala... muszę wrócić do Mikala... - Anset próbował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i prawie upadł. Podtrzymały go czyjeś ręce.

- Dzieciak jest naćpany i tyle.

- Pałac Mikala!

- To tylko sześćdziesiąt kilometrów, chłopcze, mam ich zawiadomić, żeby czekali na ciebie z kolacją?

Żart wywołał wybuch śmiechu, ale Anset odzyskał już Kontrolę, odsunął cudze dłonie i stanął o własnych siłach. Narkotyk, który pozbawił go świadomości, prawie wyparował z jego organizmu.

- Znajdźcie mi policjanta - powiedział Anset. - Mikal będzie chciał mnie natychmiast widzieć.

Niektórzy wciąż chichotali, ale inni spojrzeli uważnie na chłopca. Zauważyli, że mówił precyzyjnie, z akcentem spoza planety, że nie zachowywał się jak ulicznik.

- Kim jesteś, chłopcze? - zapytał ktoś.

- Jestem Anset. Słowik Mikala.

Zobaczyli wtedy, że jego twarz rzeczywiście wyglądała jak na zdjęciach w gazetach. Połowa pobięła szukać odpowiednich władz, a druga połowa została, żeby wpatrywać się w twarz Anseta, zaglądać w jego piękne oczy, wykorzystać do końca tę chwilę, o której będą opowiadać swoim dzieciom i wnukom. Widziałem na własne oczy Anseta, Słowika Mikala, będą mówili, a kiedy

dzieci zapytają: Jaki był ten Słowik?, oni odpowiedzą: Ach, był piękny, był najcenniejszym ze wszystkich skarbów Mikala Groźnego, najśłodsza twarz pod słońcem i pieśni, które mogły sprowadzić deszcz w upalny dzień albo wyczarować kwiaty spod śniegu.

Wyciągali ręce, a on dotykał ich dłoni i uśmiechał się do nich, i próbował odgadnąć, czego się po nim spodziewali - obojętności na ich podziw czy zakłopotania? Odczytywał pieśni w ich głosach, kiedy szeptali: „Słowik” i „Dziękuję”, i „Prześliczny”. I zdecydował, że chcieli Słowika pięknego i niedostępnego, pełnego wdzięku i godności, którego mogliby uwielbiać bez przeszkód.

- Dziękuję - mówił Ansset - dziękuję wam. Pomogliście mi wszyscy. Dziękuję.

Nadjechali policjanci, przepaszając wylewnie za brudny ślizgacz, jedyny na posterunku, i czy zechciałby zająć miejsce. Nie zabrali go na posterunek, tylko na rampę, gdzie czekał pałacowy śmigacz. Z pojazdu wyszedł szambelan.

- Tak, to on - powiedział do policjantów, a potem sięgnął po dłoń Ansseta. - Wszystko w porządku? - zapytał.

- Chyba tak - odparł Ansset, nagle zaniepokojony, że coś z nim nie jest w porządku. Wszedł do śmigacza, drzwi się zamknęły; podłoga jakby pchnęła go w górę i znalazł się w powietrzu, leciał do pałacu. Do Mikala.

Rozdział 9

- Dzieciak się niecierpliwi - oznajmił kapitan.

- Mało mnie to obchodzi - fuknął szambelan.

- Mikal też się niecierpliwi.

Szambelan nie odpowiedział, tylko popatrzył na kapitana.

- Mówię tylko, szambelanie, że musimy się pospieszyć. Szambelan westchnął.

- Wiem. Ale ten chłopiec jest potworem. Wie pan, byłem raz żonaty.

Kapitan nie wiedział, ale było mu wszystko jedno. Wzruszył ramionami.

- Miałem syna. W wieku jedenastu lat był złośliwym małym diablem, ale tak przejrzystym, że widziałem go na wylot, choćby kłamał jak najęty. Nawet kiedy próbował ukrywać swoje uczucia, wiadomo było od razu, co ukrywał. Ale ten chłopiec...

- W Domu Pieśni uczą ich panować nad uczuciami - powiedział kapitan.

- Tak, Dom Pieśni. Podziwiam ich trening. Dzieciak potrafi ukryć każde uczucie. Nawet niecierpliwość... okazuje ją świadomie, i nie okazuje niczego więcej.

- Przecież pan go zahipnotyzował.

- Tylko z pomocą narkotyków. A kiedy zacząłem grzebać w jego umyśle, co tam znalazłem, kapitanie?

- Mur.

- Mur. Ktoś wprowadził do jego umysłu bariery, których nie potrafię pokonać.

Kapitan uśmiechnął się.

- Ale nalegał pan, żeby przeprowadzić badanie osobiście. Szambelan spojrzał na niego spode łba.

- Szczerze mówiąc, kapitanie, nie ufam pańskim ludziom. To pańscy ludzie mieli go pilnować tamtego dnia.

Teraz z kolei kapitan się rozżłościł.

- I dobrze pan wie, kto im kazał trzymać się z daleka! Obserwowali całe zajście na optycznej, ale nie mogli zdążyć na miejsce, zanim tamci wciągnęli go pod wodę. Cała akcja poszukiwawcza zaczęła się o sekundę za późno!

- Właśnie w tym problem - stwierdził szambelan. - O sekundę za późno.

- To pan zawiódł przy przesłuchaniach! Mikal chce odzyskać Słowika! Teraz ja przesłucham chłopca!

Szambelan przez chwilę groźnie wpatrywał się w kapitana, potem odwrócił wzrok.

- Zgoda. Chociaż przykro mi to mówić, szczerze panu życzę, żeby się udało.

Kapitan znalazł Ansseta siedzącego na krawędzi kanapy, która falowała bezsensownie wokół niego. Chłopiec podniósł wzrok bez odrobiny zainteresowania.

- Jeszcze raz - powiedział kapitan.

- Wiem - odparł Ansset.

Kapitan przyniósł tacę ze strzykawkami i fiolkami. Przygotowując pierwszy zastrzyk, rozmawiał z

Anssetem. Próbował go uspokoić, chociaż za nic nie potrafił odgadnąć, czy chłopiec jest zdenerwowany.

- Wiesz, że Mikal chce cię zobaczyć.
- A ja chcę zobaczyć jego - odparł Ansset.
- Ale przez pięć miesięcy więzili cię ludzie, którzy raczej nie należą do przyjaciół imperatora.
- Powiedziałem wam wszystko, co wiem.
- Wiem. Mamy nagrania. Myślę, że dość dokładnie wiemy, co robiłeś wieczorami. Znamy każde słowo, które powiedziała do ciebie załoga łodzi. Jesteś wspaniałym naśladowcą. Nasi eksperci właśnie badają akcent załogi. Twoja pamięć do twarzy dostarczyła zajęcia artystom od rekonstrukcji. Dostarczyłeś nam mnóstwo ważnych szczegółów. Jesteś idealnym świadkiem.

Ansset nie zareagował, nawet nie westchnął.

- A jednak musimy znowu przez to przechodzić.
- Problem polega na tym, Ansset, co robiłeś w ciągu dnia. Masz w umyśle blokady...
- Szambelan mi powiedział. Już wiem.
- Musimy je pokonać.
- Chcę tego. Możesz mi wierzyć - powiedział Ansset. -Chcę wiedzieć. Nie chcę być zagrożeniem dla Mikala. Wolę umrzeć niż zrobić mu krzywdę. Ale wolę też umrzeć niż go opuścić.

Słowa brzmiały jak pieśń. Głos był płaski i matowy. Ani odrobiny melodii.

- Czy to z powodu zobowiązań wobec Domu Pieśni? Oni na pewno rozumieją.

Ansset popatrzył na kapitana.

- Dom Pieśni przyjmie mnie z powrotem w każdej chwili.
- Ansset, nie możemy pokonać blokady w twoim umyśle między innymi dlatego, że nam nie pomagasz.
- Próbuję.

- Ansset, nie wiem, jak to powiedzieć. Przez większość czasu masz naturalny, ludzki głos i reagujesz jak normalna osoba. Ale teraz, kiedy najbardziej potrzebujemy porozumieć się z tobą, jesteś jak lód. Kompletnie niedostępny. Nie okazałeś żadnego uczucia, odkąd tu wszedłem.

Ansset wydawał się zdziwiony. Nawet ta drobna reakcja sprawiła, że kapitan zaczął oddychać

szybciej z podniecenia.

- Kapitanie, czy używacie narkotyków?

- Narkotyki to ostateczny środek, Anset, a ty stawiasz im opór. Pewnie ten, kto umieścił blokady w twoim umyśle, wyrobił w tobie odporność. Narkotyki dają nam tylko częściowy dostęp do twojego umysłu. Od pewnego punktu bronisz się przed naszą ingerencją.

Anset patrzył na niego jeszcze przez chwilę, jakby przetrawiając tę informację. Potem odwrócił wzrok i powiedział głucho:

- Żądasz ode mnie, żebym zrezygnował z Kontroli. Kapitan nic nie wiedział o Kontroli. Usłyszał tylko słowo „kontrola” i nie zrozumiał znaczenia swojej prośby.

- Właśnie.

- I to jedyny sposób, żeby sprawdzić, co się kryje w moim umyśle?

- Tak - potwierdził kapitan. Anset milczał przez kolejną chwilę.

- Czy naprawdę jestem zagrożeniem dla Mikala?

- Nie wiem. Może ten, kto cię porwał, nie potrafił tobą manipulować lepiej niż my. Może w twoim umyśle nic się nie kryje poza wiedzą, kim byli porywacze. Może zamierzali cię uwięzić dla okupu, a potem zorientowali się, że nie wyjdą z tego żywi, i resztę czasu poświęcili na zamaskowanie swojej tożsamości. Nie wiem. Ale może za tymi blokadami umieszczono rozkaz, żebyś zabił Mikala. Gdyby chcieli znaleźć idealnego zabójcę, nie mogliby wybrać lepiej. Nikt oprócz ciebie nie widuje Mikala codziennie na osobności. Nikt poza tobą nie cieszy się jego zaufaniem. Sam fakt, że on prosi o spotkanie z tobą, nalega, żebyśmy przyspieszyli przesłuchania i oddali mu ciebie jak najszybciej... chyba rozumiesz, jaki jesteś dla niego niebezpieczny.

- A więc dla Mikala - powiedział Anset i kapitan zdumiał się, jak szybko załamała się Kontrola chłopca. - Powiedz Mikalowi - ciągnął Anset z twarzą wykrzywioną od emocji, że łzami w oczach - że zrobię dla niego wszystko. Nawet to.

I Anset zapłakał, potężny szloch wstrząsnął jego ciałem. Wypłakiwał z siebie miesiące strachu, samotności i poczucia winy. Wypłakiwał obawę, że już nigdy nie zobaczy Mikala. Kapitan patrzył z niedowierzaniem, ponieważ przez pierwszą godzinę Anset w ogóle nie mógł rozmawiać, tylko leżał na kanapie, bełkotał i tarł oczy pięściami jak małe dziecko. Wiedział, że reszta śledczych w punktach obserwacyjnych patrzy z podziwem, jak szybko kapitan przełamał bariery, których nawet narkotyki nie mogły pokonać. Kapitan poczuł rozkoszną nadzieję, że szambelan również patrzy.

Potem Anset trochę się uspokoił i kapitan zaczął przesłuchanie, stosując wszystkie sprytne sztuczki, jakie zdołał wymyślić, żeby obejść bariery. Wypróbował wszelkie możliwe podstępny. Wypróbował najbardziej miażdżące ciosy, pod którymi zazwyczaj pękały blokady. Ale nawet teraz, przy pełnej współpracy Anseta, nie osiągnął niczego. Nawet w najgłębszym transie Anset nie potrafił

powiedzieć, co kryje się w jego umyśle. Kapitan dowiedział się tylko jednego. Sondując okolice pewnej bariery, zapytał:

- Kto postawił tę blokadę?

Ansset, tak głęboko pogrążony w transie, że ledwie mógł mówić, odpowiedział:

- Esste.

Wówczas to imię nic nie znaczyło dla kapitana. Ale miał tylko imię. Godzinę później on i szambelan stanęli przed Mikalem.

- Esste - mruknął Mikal.

- Tak powiedział.

- Esste - poinformował ich Mikal - to imię Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali. Jego nauczycielki w Domu Pieśni.

- Och.

- Te blokady, które z taką lubością drążyliście przez cztery dni, założyła mu nauczycielka wiele lat temu! Nie porywacze w ostatnich miesiącach!

- Musieliśmy się upewnić.

- Tak - warknął Mikal. - Musieliście się upewnić. A teraz oczywiście nie mamy pewności. Jeśli blokady w jego umyśle założyła nauczycielka, dlaczego on nie pamięta, jak spędzał dni w niewoli? Możemy tylko założyć, że niektóre blokady pochodzą z Domu Pieśni, a niektóre od porywaczy. Ale co możemy zrobić?

- Odesłać chłopca z powrotem do Domu Pieśni - zaproponował szambelan.

Twarz Mikala wyglądała strasznie. Zupełnie jakby chciał wrzasnąć, ale nie odważył się tak bardzo poddać emocjom. Więc nie wrzasnął, tylko po chwili wewnętrznej walki powiedział:

- Szambelanie, nie chcę więcej słyszeć takich propozycji. Wiem, że może to będzie konieczne. Ale na razie zatrzymam mojego Słowika przy sobie.

- Panie - powiedział kapitan - zachowałeś życie przez te wszystkie lata, ponieważ nie podejmowałeś takiego ryzyka.

- Zanim pojawił się Ansset - odparł Mikal z bólem - nie wiedziałem, po co zachowałem życie.

Kapitan pochylił głowę. Szambelan chciał przedstawić kolejny argument, nawet już otworzył usta, ale się rozmyślił.

- Przyprawdźcie go do mnie - rozkazał Mikal - przy całym dworze, żeby wszyscy widzieli, jak przyjmuję z powrotem mojego Słowika. Oczyszczam go z podejrzeń. Za dwie godziny.

Wyszli, a Mikal usiadł samotnie na podłodze przed kominkiem i oparł brodę na dłoni. Zestarzał się i plecy go bolały. Próbował zanucić melodię, którą często śpiewał Słowik. Głos miał stary i zgrzytliwy, nie potrafił śpiewać. Ogień zasyczał na niego. Mikal próbował sobie wyobrazić, jak piękny Ansset trzyma laser i celuje w jego serce. On nie będzie wiedział, co robi, przypominał sobie Mikal. W głębi duszy pozostanie niewinny.

Ale ja będę martwy.

Rozdział 10

Kapitan i szambelan przyszli razem, żeby zabrać Ansseta z celi, gdzie spędził ostatnie cztery dni. - On chce, żebyś przyszedł. Ansset odzyskał już Kontrolę. Prawie obojętnie zapytał:

- Czy jestem gotowy?

Przez chwilę milczeli, co stanowiło dostateczną odpowiedź.

- W takim razie nie pójdę - oświadczył Ansset.

- On wydał rozkaz - powiedział szambelan.

- Nie pójdę, jeśli nie wiemy, co się kryje w mojej głowie. Kapitan poklepał Ansseta po ramieniu.

- Lojalna postawa. Ale dowiedzieliśmy się tylko tego, że przynajmniej niektóre blokady założyła twoja nauczycielka.

- Esste? -Tak.

Ansset uśmiechnął się i nagle w jego głosie zadźwięczała pewność.

- Więc wszystko w porządku. Ona życzy Mikalowi jak najlepiej!

- Tylko niektóre blokady. Uśmiech spelzł z twarzy Ansseta.

- Ale pójdiesz. On oczekuje cię na dworze za niecałe dwie godziny.

- Możemy spróbować jeszcze raz?

- To nie ma sensu. Ktokolwiek założył blokady w twoim umyśle, zrobił to dobrze. A Mikal nie będzie dłużej czekał. Nie masz wyboru. Proszę, chodź z nami.

Kapitan wstał. Spodziewał się posłuszeństwa, więc Ansset posłuchał. Przeszli przez pałac do pomieszczeń służby bezpieczeństwa przed oficjalnym wejściem. Tam Ansset nalegał na dokładną rewizję, sprawdzenie pod względem każdej możliwej trucizny i broni.

- I zwiążcie mi ręce - poprosił.

- Mikal nie żądałby tego - powiedział kapitan, ale szambelan kiwnął głową i oświadczył:

- Chłopiec ma rację.

Więc zatrzasnęli kajdany na przedramionach Ansseta. Kajdany szybko dopasowały się do kształtu ciała i szczelnie okryły ręce od łokcia do nadgarstka. Metalowe pręty przytrzymywały je za plecami w odległości dokładnie dwudziestu centymetrów, co początkowo było niewygodne, a stopniowo stawało się coraz bardziej męczące. Spętano również Anssetowi nogi.

- I postawcie strażników z laserami tak daleko ode mnie, żebym nie miał szans dosięgnąć broni.

- Wiesz - powiedział kapitan - że możemy jeszcze znaleźć twoich porywaczy. Rozpoznaliśmy już akcent. Irlandia.

- Nigdy nie słyszałem o takiej planecie - wtrącił szambelan.

- To jest wyspa. Tutaj, na Ziemi.

- Kolejna grupa bojowników o wolność? - rzucił z przekąsem szambelan.

- Mają więcej tupetu niż inni.

- Sam akcent niewiele nam daje.

- Ale coś daje - uciał kapitan.

- Już czas - odezwał się służący przy drzwiach.

Wyszli ze służbowego pomieszczenia i poddali się rutynowej kontroli: detektory nastawione na metal i co pospolitsze trucizny, strażnicy przeszukujący wszystkich, włącznie z Ans-setem, ponieważ kazano im nie robić wyjątków.

A potem Anset minął drzwi i wszedł do wielkiej sali. Podczas wizyty studentów sala była prawie pusta, a krzesła ustawiono w pobliżu tronu. Teraz zebrał się cały dwór, a goście z dziesiątków planet czekali pod ścianami, żeby złożyć petycje, wręczyć podarki lub poskarżyć się na jakiegoś urzędnika czy przepis. Mikal zasiadał na tronie w głębi sali. Nie potrzebował niczego więcej prócz prostego, chociaż eleganckiego krzesła - żadnej podwyższonej platformy, żadnych stopni, niczego poza własną godnością, która wynosiła go ponad wszystkich obecnych. Anset jeszcze nigdy nie podchodził do tronu z tej strony sali. Zawsze stał obok Mikala, zawsze wchodził od tyłu i teraz rozumiał, dlaczego tyłu ludzi idących tą długą drogą ogarniało drżenie, zanim dotarli do końca. Wszystkie spojrzenia skupiały się na nim, a imperator obserwował go ponuro z tronu. Anset chciał podbiec do Mikala, objąć go, zaśpiewać i znaleźć u niego pocieszenie. Wiedział jednak, że we własnym umyśle może przechowywać rozkaz, żeby zabić tego starego człowieka.

Zbliżył się do tronu na dziesięć metrów, ukląkł i pochylił głowę.

Mikal uniósł dłoń w geście rozpoznania. Anset pamiętał, jak imperator śmiał się z rytuałów, kiedy byli sami; teraz jednak majestat dworskich form pomagał chłopcu zachować spokój.

- Mój panie - powiedział Anset czystym, dźwięcznym głosem, który wypełnił salę i uciszył szeptane po kątach rozmowy. - Jestem Anset i przyszedłem prosić o życie.

W dawnych czasach, Mikal kiedyś wyjaśnił chłopcu, ten rytuał coś znaczył i stosowano go wobec władców setek światów. Wielu zbuntowanych panów lub żołnierzy zginęło na miejscu, kiedy suweren odrzucił ich kapitulację. I nawet Mikal traktował poważnie taką formalną prośbę o życie. W ten sposób - jeden z wielu sposobów - nieustannie przypominał swoim podwładnym, że ma nad nimi władzę.

- Dlaczego powinienem cię oszczędzić? - zapytał Mikal głosem starym, lecz mocnym. Dla wszystkich innych stanowił wzór opanowania. Lecz Anset znał jego głos i usłyszał nutę emocji, delikatne drżenie strachu na krawędziach słów.

Rytuał wymagał teraz, żeby Anset przedstawił swoje osiągnięcia w słowach skromnych, lecz sugestywnych. Anset jednak odrzucił rytuał i żarliwie zaśpiewał:

- Ojciec Mikalu, nie powinieneś!

Tłum pod ścianami znowu zaczął szeptać. Widok Słowika spętanego i w kajdanach stanowił dostateczny wstrząs. Ale żeby Słowik błagał o własną śmierć...

- Dlaczego? - zapytał Mikal tonem pozornie obojętnym (lecz Anset wiedział, że imperator ostrzega, mówi: „Nie naciskaj, nie zmuszaj mnie...”).

- Ponieważ, mój panie Mikalu Imperatorze, zrobiono mi rzeczy, które teraz są zamknięte w moim umyśle i nikt, nawet ja sam nie potrafię ich odnaleźć. Zatem ukrywani coś przed tobą. Jestem dla ciebie niebezpieczny, ojciec Mikalu! - Anset z rozmysłem wykrzyknął głośno ostatnie nieformalne zdanie, a groźba zawarta w jego głosie wzbudziła strach wśród zebranych.

- Nic z tego - oświadczył Mikal. - Myślisz, że działasz dla mojego dobra, ale nie wiesz, co jest dla mnie dobre. Nie próbuj uczyć mnie strachu, bo nie boję się ciebie. - Podniósł rękę. - Daruję ci życie.

A Anset, pomimo bólu w wykręconych ramionach, pochylił się i ucałował podłogę, żeby wyrazić wdzięczność dla Mika-la. Tym gestem posługiwali się tylko ulaskawieni zdrajcy.

- Dlaczego jesteś związany? - zapytał Mikal.

- Dla twojego bezpieczeństwa.

- Rozwiążcie go - rozkazał Mikal. Lecz Anset zauważył z ulgą, że kapitan gwardii rozbroił ludzi, którzy podeszli zdjąć pęta i rozpiąć kajdany. Uwolniony Anset wstał. Szeroko rozłożył ramiona, podniósł wzrok na potężne łuki sklepienia i zaśpiewał swoją miłość dla Mikala. Lecz pieśń brzmiała alarmująco, chociaż nie zawierała żadnych bezpośrednich słów ostrzeżenia, i mówiła też o smutku Anseta, ponieważ w swojej mądrości i dla dobra imperium Mikal teraz go odeśle.

- Nie! - krzyknął Mikal, przerywając pieśń. - Nie! Anset, mój synu, nie odeślę ciebie! Wolę śmierć z twojej ręki niż dary z innych rąk. Twoje życie więcej dla mnie znaczy niż własne. -I Mikal wyciągnął ramiona.

Anset podszedł do niego i objął go przed tronem, i razem wyszli z sali, a za nimi pozostała legenda. Po tygodniu całe imperium wiedziało, że Mikal nazwał swojego Słowika synem; wszystkie gazety zamieściły zdjęcia słynnego uścisku; dziennikarze na wszystkich światach wciąż cytowali słowa imperatora: „Twoje życie więcej dla mnie znaczy niż własne”.

Rozdział 11

Drzwi prywatnego pokoju Mikala zamknęły się i Anset zatrzymał się kilka kroków za progiem. Mikal wyprzedził go, przystanął wpatrując się w pustkę, odwrócony plecami do chłopca.

- Nigdy więcej - powiedział.

Głos miał zachrypły od napięcia, plecy zgarbione. Odwrócił się do Anseta, który doznał wstrząsu na widok postarzałej twarzy imperatora. Zmarszczki się pogłębiły, kąciki ust opadły, zapadnięte oczy, wypełnione bólem, spoczywały głęboko w oczodołach niczym klejnoty na ciemnym aksamicie.

Ansset nagle uświadomił sobie, że Mikal umrze pewnego dnia.

- Nigdy więcej - powiedział Mikal. - To się nigdy nie może powtórzyć. Kiedy prosiłeś mnie o wolność od strażników, regulaminów i przepisów, powiedziałem: „Dobrze, rób, co chcesz, Słowika nie można zamknąć w klatce”. Dla mnie, dla moich przyjaciół jesteś piękną melodią w powietrzu. Dla moich wrogów, znacznie liczniejszych od przyjaciół, jesteś narzędziem. Sama utrata ciebie może mnie zabić, Ansset. Nie jestem już młody. Nie wytrzymam tego.

- Przepraszam.

- Przepraszasz. Skąd miałeś wiedzieć? Wychowany w tym przeklętym Domu Pieśni, zupełnie nie znając życia, skąd miałeś wiedzieć, jaka nienawiść kieruje zwierzętami, które chodzą na dwóch nogach i uważają się za rozumne? Ja wiedziałem. Ale odkąd cię poznałem, stałem się głupcem. Żyję już tak długo, tysiąc lat, milion lat, i nigdy nie robiłem tyle błędów, ile popełniłem od twojego przyjazdu.

- Więc odeślij mnie. Proszę. Mikal popatrzył na niego uważnie.

- Czy chcesz odejść?

Ansset chciał skłamać, chciał powiedzieć: Tak, muszę odejść, odeślij mnie do domu. Ale nie mógł okłamać Mikala.

- Nie - powiedział wreszcie.

- Więc załatwione. Ale od tej chwili będziesz strzeżony. Chociaż poniewczasie, ale będziemy cię cholernie dobrze pilnować, za twoją zgodą.

- Tak.

- Niech to szlag, zaśpiewaj dla mnie! Śpiewaj!

Mikal wielkimi krokami przemierzył pokój, wziął na ręce jedenastoletniego chłopca, zaniósł do kominka i trzymał w objęciach, kiedy Ansset zaczął śpiewać. Była to łagodna, krótka piosenka, ale pod koniec Mikal leżał na plecach, wpatrując się w sufit. Strumienie łez płynęły mu z oczu.

- Nie chciałem, żeby piosenka była smutna. Wyraziłem swoją radość - powiedział Ansset.

- Ja też.

Mikal wyciągnął rękę i chwycił dłoń Ansseta.

- Skąd miałem wiedzieć, Ansset, skąd miałem wiedzieć, że teraz, na starość popełnię głupstwo, którego unikałem przez całe życie? Och, kochałem równie namiętnie, jak rządziłem, ale dopiero kiedy cię porwano, odkryłem, że cię potrzebuję, mój synu. - Mikal obrócił się i spojrzał na Ansseta, który wpatrywał się z uwielbieniem w starego imperatora. - Nie patrz na mnie tak czule, chłopcze. Jestem starym draniem, który zabiłby własną matkę, gdyby wrogowie go nie wyręczyli.

- Nigdy mnie nie skrzywdziłeś.

- Krzywdzę wszystkich, których kocham. - Pełna goryczy twarz imperatora złagodniała na wspomnienie strachu. - Baliśmy się o ciebie. Najpierw baliśmy się, że zostałeś kolejną ofiarą tego szaleńca, który terroryzuje obywateli. Wykazuje niestłuchaną zuchwałość. Ciągle się spodziewałem, że znajdą twoje ciało rozdarte na strzępy... - głos mu się załamał. - Ale nie znaleźli, tylko znajdowali inne ciała, coraz więcej ciał, ale żadne nie było twoje. W niektórych musieliśmy nawet sprawdzać zęby lub odciski palców, ale żadne nie było twoje. Wtedy zrozumieliśmy, że ktokolwiek cię porwał, dobrze wybrał porę. Traciliśmy tygodnie, próbując dopasować twoje porwanie do schematu, a zanim się zorientowaliśmy, że popełniamy błąd, ślad zdążył wystygnać. Nikt nie zażądał okupu. Nic. W nocy leżałem bezsennie i całymi godzinami rozmyślałem, co oni z tobą robią.

- Nic mi nie jest.

- Ciągle ich się boisz.

- Nie ich - zaprzeczył Anset. - Siebie. Mikal westchnął i odwrócił wzrok.

- Zacząłem cię potrzebować i teraz najgorsze, co mogą mi zrobić, to odebrać mi ciebie. Stałem się słaby.

Więc Anset zaśpiewał mu o słabości, ale w jego piosence słabość stanowiła największą siłę.

Późną nocą, kiedy Anset myślał, że Mikal zasypia, stary imperator zacisnął pięść i krzyknął z furją:

- Tracę to!

- Co? - zapytał Anset.

- Moje imperium. Czy po to je zbudowałem, żeby upadło? Czy po to spaliłem dziesiątki planet i splądrowałem setki innych, żeby wszędzie zapanował chaos po mojej śmierci? - Pochylił się tak blisko nad Ansetem, że zaledwie centymetry dzieliły ich oczy, i szepnął: - Nazywają mnie Mikal Groźny, ale zbudowałem moje imperium, żeby osłaniało galaktykę jak parasol. Teraz to mają: pokój, dobrobyt i tyle wolności, ile potrafią ogarnąć swymi małymi umysłami. Ale kiedy umrę, oni to wszystko odrzucają.

Anset próbował mu śpiewać o nadziei.

- Nie ma nadziei. Mam pięćdziesięciu synów, trzech prawowitych, ale to głupcy, którzy próbują mi pochlebiać. Nie potrafiliby utrzymać imperium nawet przez tydzień, wszyscy razem i każdy z osobna. Przez całe życie nie spotkałem człowieka zdolnego pokierować tym, co zbudowałem w życiu. Kiedy umrę, wszystko umrze ze mną. - Mikal ze znużeniem osunął się na podłogę.

Tym razem Anset nie śpiewał. Dotknął Mikala, położył dłoń na kolanie starego człowieka.

- Dla ciebie, ojciec Mikalu - powiedział - urosnę silny. Twoje imperium nie upadnie!

Mówił z takim przejęciem, że po chwili zdziwienia obaj parsknęli śmiechem.

- Ale to prawda - powiedział Mikal, pieszczotliwie targając włosy Ansseta. - Ponieważ oddałbym ci imperium, tylko że oni by cię zabili. Nawet gdybym żył dość długo, żeby nauczyć cię rządzić ludźmi, posadzić cię na tronie i zmusić ich, żeby cię zaakceptowali, nie chciałbym tego zrobić. Człowiek, który zostanie moim następcą, musi być okrutny, przebiegły, podstępny i podły, egoistyczny i ambitny, gardzący innymi ludźmi, błyskotliwy w walce, zdolny przechytrzyć i wymanewrować każdego wroga, i wystarczająco silny wewnętrznie, żeby przeżyć całe życie w całkowitej samotności. - Mikal uśmiechnął się. - Nawet ja nie spełniam wszystkich wymagań z tej listy, ponieważ teraz nie jestem samotny.

- Ani ja - odparł Ansset. I zaśpiewał ojcu Mikalowi kołysankę.

Leżąc w ciemnościach Ansset zastanawiał się, jak to jest być imperatorem, którego rozkazów słuchają nie tylko ludzie z najbliższego otoczenia, ale miliardy w całym wszechświecie. Wyobraził sobie tłumy ludzi tańczących w rytmie jego pieśni, planety krążące wokół słońca po orbitach wyznaczonych jego słowem, same gwiazdy przesuwane się w lewo lub w prawo, bliżej lub dalej, zgodnie z jego życzeniem. Potem te wizje przepłynęły w sen, dające odczuć Anssetowi radość z posiadania władzy; wydawało mu się, że leci po nocnym niebie, a cała Susquehanna rozpościera się pod nim w dole, ze światłami błyszczącymi jak gwiazdy.

Obok niego leciał ktoś inny. Znał tę twarz, ale nie pamiętał, skąd. Mężczyzna był wysoki, nosił mundur sierżanta. Patrzył spokojnie na Ansseta, a potem wyciągnął rękę i dotknął go, i nagle Ansset był nagi, samotny i przerażony, a mężczyzna obmacywał jego krocze, więc oburzony chłopiec uderzył go, uderzył z całą mocą imperatora, tak że sierżant spadł z nieba, spadł wrzeszcząc ze strachu, roztrzaskując się na pałacowej wieży. Ansset spojrział na krwawiące, zmasakrowane ciało i nagle poczuł straszliwy ciężar odpowiedzialności. Podniósł wzrok i wszystkie gwiazdy spadały, wszystkie planety tonęły w swoich słońcach, wszystkie tłumy maszerowały na skraj ogromnej przepaści, i chociaż płakał i krzyczał, żeby przestali, nie słuchali; aż obudził go własny krzyk i zobaczył pochyloną nad sobą zatroskaną twarz Mikala.

- To tylko sen - wymamrotał Ansset, jeszcze nie całkiem rozbudzony. - Nie chcę być imperatorem.

Nie bądź - szepnął Mikal. - Nigdy.

Była noc i Ansset znowu szybko zasnął.

Gdyby Wolni Ludzie z Irlandii byli niewinni, czy strzelaliby do pierwszych imperialnych oddziałów, które przyjechały ich zapytać o rzekomą tajną bazę w Antrim? Chyba nie. Ale szambelan powiedział:

- To za głupie, żeby uwierzyć. Kapitan gwardii powściągnął irytację.
- Wszystko pasuje. Akcent wskazywał na Antrim. Siedemnastu członków grupy przebywało we Wschodniej Ameryce z takiego czy innego powodu prawie przez cały czas, kiedy Anset był porwany. I otworzyli ogień, jak tylko zobaczyli oddziały.
- Każda grupa nacjonalistów z miejsca otworzyłaby ogień.
- Nie każda. Znam takie, które nie strzelały.
- To zbyt wygodne - upierał się szambelan, nie patrząc na Mikala, ponieważ już dawno się nauczył, że patrzenie na Mika-la nie pomaga go przekonać. - Wszyscy Wolni Irlandczycy zginęli. Wszyscy co do jednego!
- Sami się pozabijali, kiedy zobaczyli, że przegrywają.
- I uważam, że Anset wciąż jest niebezpieczny dla Mikala!
- Wykryłem spisek i zniszczyłem go!

A potem milczenie, kiedy Mikal się namyślał.

Czy Anset rozpoznał któregoś z ludzi zabitych przez was?

Kapitan lekko się zaczerwienił.

- Wybuchł pożar. Kilka ciał nadawało się do rozpoznania. Pokazałem mu zdjęcia, a on sądzi, że dwóch czy trzech mogło...
- Mogło! - prychnął szambelan.
- Mogło należeć do załogi statku. Zrobiłem, co w mojej mocy. Dowodzę flotą, do cholery, nie ekipą grabarzy!

Mikal spojrzał na niego chłodno.

- Więc powinien pan przekazać dowództwo komuś, kto zna się na rzeczy, kapitanie.
- Chciałem... chciałem się upewnić, że nie popełniono błędów.

Ani Mikal, ani szambelan nie musieli niczego dodawać.

- Co się stało, to się nie odstanie - oświadczył szambelan. - Ale uważam, że nie powinniśmy spocząć na laurach. Wróg był dostatecznie przebiegły, żeby schwytąć Ansseta i ukrywać go przed nami przez pięć miesięcy. Podejrzewam, że nawet jeśli kilku Wolnych Irlandczyków należało do załogi, nie oni zawiązali spisek. Zbyt łatwo ich wykryć. Przez akcent. Pamiętajcie, kidnaper potrafił wymazać każdy dzień z pamięci Ansseta i ukryć przed naszymi sondami. Gdyby nie chciał, żebyśmy znaleźli Wolnych Irlandczyków, zablokowałby także te wspomnienia.

Kapitan nie miał zwyczaju bronić przegranych argumentów.

- Ma pan całkowitą rację. Dałem się nabrać.

- Wszyscy czasem popełniamy błędy - powiedział Mikal, co bynajmniej nie pocieszyło kapitana. - Może pan odejść.

Kapitan pochylił głowę, wstał i wyszedł. Mikal został sam z szambelanem w sali zebrań, z wyjątkiem trzech zaufanych gwardzistów, którzy obserwowali każdy ruch.

- Martwię się - wyznał Mikal.

- Ja też.

- Nie wątpię. Martwię się, ponieważ kapitan nie jest głupcem, a jednak postępował głupio. Zakładani, że kazałeś go śledzić, odkąd otrzymał awans.

Szambelan próbował protestować.

- Jeśli nie kazałeś go śledzić, zaniedbujesz swoje obowiązki.

- Kazałem go śledzić.

- Przejrzyj raporty i porównaj z porwaniem Ansseta. Zobaczymy, co znajdziesz.

Szambelan skinął głową. Odczekał chwilę, a kiedy Mikal nie zwracał na niego uwagi, wstał i wyszedł.

Mikal został sam (z wyjątkiem gwardzistów, ale nauczył się wyrzucać ich ze świadomości, tyle że musiał nieustannie zważać na każde wymówione słowo). Westchnął i przeciągnął się, aż strzeliło mu w stawach. Nigdy mu nie strzelało w stawach, zanim skończył sto lat.

- Gdzie Ansset? - zapytał, a jeden z gwardzistów powiedział:

- Przyprowadzę go.

- Nie przyprowadzaj go. Powiedz, gdzie on jest. Gwardzista przekrzywił głowę, słuchając nieustannego strumienia raportów płynących z implantu w uchu.

- W ogrodzie. Z trzema gwardzistami. Nad rzeką.

- Zaprowadźcie mnie do niego.

Gwardziści próbowali ukryć zdumienie. Mikal nie wychodził z pałacu od lat. Ale zakrzętnęli się sprawnie i pod eskortą pięciu gwardzistów (oraz dalszych stu, dyskretnie patrolujących ogród) Mikal wyszedł z pałacu i udał się nad rzekę. Ansset siedział na brzegu. Wstał na widok Mikala, a potem usiedli razem. Gwardziści czujnie obserwowali ich z daleka, a w górze przelatywały imperialne śmigacze.

- Czuję się jak najeźdźca - powiedział Mikal. - Muszę zabierać ze sobą dwóch gwardzistów, kiedy idę do sracza.

- Ziemskie ptaki śpiewają piękne pieśni - odparł Ansset. - Posłuchaj.

Mikal słuchał przez chwilę, ale nie miał tak wyczulonego ucha jak Ansset, więc szybko się zniescierpliwiał.

- Intrygi ukryte w intrygach - powiedział. - Zaśpiewaj mi o planach i intrygach głupich ludzi.

Więc Ansset zaśpiewał mu historyjkę, którą usłyszał przed kilkoma dniami od biochemika pracującego przy wykrywaniu trucizn. Opowiadała o starożytnym badaczu, któremu po wielu wysiłkach udało się skrzyżować świnię z kurą. Stworzenie składało jajka na szynce, co oszczędzało wiele czasu przy śniadaniu. Kuroświnie (lub świniokury?) nosły się doskonale i spełniały wszystkie nadzieje uczonych. Jedyne kłopot polegał na tym, że młode nie mogły się wykluwać. Tępe ryje kuroświń (albo świniokur?) nie potrafiły rozbić skorupki jajka, dlatego zwierzę nie mogło się rozmnażać i eksperyment zakończył się fiaskiem. Mikal był ubawiony i poczuł się dużo lepiej.

- Wiesz, Ansset, istniało rozwiązanie. Powinien je nauczyć, żeby wierciły w skorupkach ogonami.

Wkrótce jednak twarz Mikala znowu spochmurniała.

- Moje dni są policzone, Ansset. Zaśpiewaj mi o policzonych dniach.

Pomimo wszelkich wysiłków Ansset nigdy nie zrozumiał śmiertelności tak, jak ją rozumieją starzy ludzie. Musiał więc zaśpiewać Mikalowi o uczuciach Mikala. Niewielką stanowiły pociechę.

Przynajmniej jednak Mikal pomyślał, że ktoś go rozumie. Poczuł się trochę lepiej, kiedy tak leżał na trawie i wpatrywał się w bystry nurt Susquehanny.

- Musimy zabrać ze sobą Ansseta. Tylko on może kogoś rozpoznać.
- Nie zamierzam ryzykować, że znowu odbiorą mi Ansseta. Szambelan upierał się przy swoim żądaniu.
- Ja też nie zamierzam ryzykować. Dowody zbyt łatwo ulegają zniszczeniu.

Mikal był zły.

- Nie pozwolę wciągać w to chłopca. Przyjechał na Ziemię, żeby śpiewać, do cholery!
- W takim razie odmawiam dalszej pracy - oświadczył szambelan. - Nie mogę wypełnić zadań, które przede mną postawiłeś, skoro mam związane ręce!
- Więc zabierz go. Ale mnie też musisz zabrać.
- Ciebie?
- Mnie.
- Ale względy bezpieczeństwa...
- Do diabła ze względami bezpieczeństwa. Nikt się nie spodziewa, że pojedę z wami. Zaskoczenie jest najlepszą ochroną.
- Ale, mój panie, narażasz życie...

- Szambelanie! Narażałem życie, zanim jeszcze się urodziłeś, i to w znacznie bardziej niebezpiecznych sytuacjach! Założyłem się o własne życie, że zbuduję imperium, i że sto razy o mało nie przegrałem zakładu. Wyjeżdżamy za kwadrans.

- Tak, mój panie - odparł szambelan. Wyszedł pospiesznie, żeby wszystko przygotować, ale opuszczając pokój Mikala dygotał na całym ciele. Nigdy przedtem nie ośmielił się sprzeciwić imperatorowi. Co w niego wstąpiło? A teraz imperator jedzie razem z nim. Jeśli cokolwiek się stanie imperatorowi, szambelan będzie zgubiony. Po śmierci Mikala nie będzie zgody pod żadnym względem z wyjątkiem jednego: że szambelan musi umrzeć.

Mikal i Ansset razem wsiedli do wojskowego ślizgacza. Żołnierze zeszywnieli z przejęcia, że jadą na akcję z samym imperatorem. Szambelan zauważył, że Mikal był ożywiony i zadowolony. Pewnie przypominał sobie dawne dobre czasy, pomyślał szambelan, czasy podbojów i chwały. No, teraz już niczego nie podbije. Cholera, wolałbym, żeby mi pozwolił samodzielnie to załatwić. Niestety ten, kto

przebywa tak blisko ośrodka władzy, musi się godzić na kaprysy władców.

Chłopiec jednakże wydawał się całkowicie obojętny. Nie po raz pierwszy szambelan pozazdrościł Anssetowi jego żelaznej samokontroli. Zdolność ukrywania własnych uczuć przed wrogami i przyjaciółmi - te dwie grupy często zamieniały się miejscami - stanowiła broń potężniejszą niż setka laserów.

Ślizgacz mknął po Susquehannie z szybkością znacznie wyższą niż przeciętna, wyprzedzając inne statki na rzece. Po godzinie dotarli do Hisper, po następnej godzinie porzucili rzekę i pędzili nad polami i bagnami, aż dotarli do znacznie szerszej rzeki.

- Delaware - szepnął szambelan do Mikala i Ansseta. Mikal kiwnął głową i warknął:

- Zachowaj dla siebie swoje rewelacje. -Wydawał się zirytowany, co znaczyło, że świetnie się bawił.

Po niedługim czasie szambelan kazał oficerowi zatrzymać Ślizgacz na brzegu.

- Tutaj jest ścieżka, która nas doprowadzi do celu.

Grunt był podmokły, więc dwaj żołnierze szli przodem i wyszukiwali bezpieczną trasę. Maszerowali długo, ale Mikal nie kazał zwolnić tempa. Szambelan marzył o odpoczynku, lecz nie ośmielił się prosić o zatrzymanie kolumny. Nie chciał sprawić Mikalowi satysfakcji. Jeśli stary może dotrzymać kroku żołnierzom, pomyślał szambelan, ja też mogę.

Ścieżka doprowadziła ich do ogrodzonego pola, za którym stało kilka budynków gospodarskich. Najbliższy dom stanowił rekonstrukcję w stylu kolonialnym, więc miał co najmniej sto lat. Zaledwie sto metrów dalej płynęła rzeka, a na wodzie kołysała się lekko łódź płaskodenna przycumowana do słupa.

- To jest ten dom - powiedział szambelan - i ta łódź. Niewielkie pole dzielące ich od domu porastały krzaki, mogli więc podejść niepostrzeżenie do samego budynku. Ale dom okazał się pusty, a kiedy wpadli na łódź, jedyny człowiek na pokładzie wycelował laser we własną twarz i spalił ją na popiół. Jednakże Ansset zdążył go rozpoznać.

- To był Siłacz - powiedział, spoglądając na ciało bez śladu emocji. - Człowiek, który mnie karmił.

Potem Mikal i szambelan razem z Anssetem obejrzelili łódź.

- To nie ta sama - powiedział Ansset.

- Oczywiście - zgodził się szambelan. - Próbowali ją zamaskować. Świeżo malowana. Pachnie świeżym drewnem. Niedawno wykonano remont. Czy widzisz coś znajomego?

Ansset widział. Znalazł małeńki pokój, wyglądający jak jego cela, chociaż teraz pomalowany był na jasnożółto i miał nowe okno, przez które wlewał się blask słońca. Mikal obejrzał ramę okienną.

- Nowa - stwierdził imperator. Ansset próbował wyobrazić sobie wnętrze łodzi przed remontem, przed malowaniem, i dzięki temu odnalazł duży pokój, gdzie śpiewał ostatniego dnia swojej niewoli. Nie było tam stołu. Ale pokój miał takie same rozmiary, więc Ansset przyznał, że mógł przebywać na tej właśnie łodzi.

Stojąc w celi Ansseta, usłyszeli śmiech dzieci i po rzece przepłynął ślizgacz, pełen rozbawionych, rozśpiewanych ludzi.

- Dość uczęszczane miejsce - zwrócił się Mikal do szambelana.

- Dlatego przyszliśmy przez las. Żeby nikt nas nie zauważył.

- Jeśli nie chciałeś zwrócić na nas uwagi - powiedział Mikal - powinniśmy przyjechać publicznym autobusem. Nic bardziej nie wzbudza podejrzeń, niż żołnierze kryjący się w lesie.

Szambelan odebrał krytykę Mikala jak cios.

- Nie jestem taktykiem - odparł.

- Jesteś wystarczająco dobrym taktykiem - powiedział Mikal, pozwalając szambelanowi się odprężyć. - Wracamy do pałacu. Czy masz kogoś zaufanego, żeby dokonał aresztowania?

- Tak - potwierdził szambelan. - Już ich uprzedzono, żeby nie pozwolili mu opuścić pałacu.

- Komu? - zapytał Ansset. - Kogo chcecie aresztować? Przez chwilę zwlekali z odpowiedzią. Wreszcie Mikal oznajmił:

- Kapitana gwardii.

- On kierował porwaniem?

- Widocznie tak - powiedział szambelan.

- Nie wierzę w to - oświadczył Ansset, ponieważ uważał, że zna głos kapitana, i nie słyszał w nim innych pieśni poza lojalnością. Ale szambelan nie rozumiałby tego. To żaden dowód. No i przecież znaleźli łódź, która stanowiła dla nich dowód. Więc Ansset nie powiedział nic więcej o kapitanie, dopóki nie było za późno.

Rozdział 14

Jak na więzienie, bywało gorzej. Po prostu cela bez drzwi - przynajmniej od wewnątrz. I chociaż nie było mebli, podłoga ugięła się równie miękko jak podłoga w prywatnym pokoju Mikala.

A jednak trudno było opanować rozgoryczenie. Kapitan siedział oparty o ścianę, nagi, żeby nie mógł zrobić sobie krzywdy za pomocą ubrania. Miał ponad sześćdziesiąt lat i od czterech lat dowodził wszystkimi flotami imperatora, koordynował trasy tysiąca kosmicznych statków w całej galaktyce. Żeby tak wpaść na głupiej pałacowej intrydze, zostać kozłem ofiarnym...

Oczywiście całą intrygę uknuł szambelan. Zawsze szambelan. Ale kapitan mógł udowodnić swoją niewinność tylko pod hipnozą, a kto przeprowadzi zabieg hipnozy, jeśli nie szambelan? Poza tym kapitan wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny - że chociaż głębokie sondowania w jego umyśle nie wykryją żadnych powiązań z porwaniem Ansseta, ujawnią jednak inne, wcześniejsze postęпки, z których każdy mógł zniszczyć reputację kapitana, a wszystkie razem oznaczały dla niego wyrok śmierci równie pewny, jakby to on osobiście porwał chłopca.

Czterdzieści lat niewzruszonej lojalności, a teraz, kiedy jestem niewinny, moje stare zbrodnie nie pozwalają mi ujawnić prawdy. Siedząc oparty o ścianę, przesunął dłonią po swoich starczych udach. Mięśnie zachowały jędrność, ale skóra obwisała, jakby odklejona od ciała. Na tym świecie człowiek powinien dożyć stu dwudziestu lat, pomyślał kapitan. Ja przeżyję niewiele więcej niż połowę tego czasu.

Co ich skłoniło, żeby go uwięzić? Co takiego podejrzanego zrobił? A może nic?

Musiał coś zrobić. Mikal nie był tyranem; przestrzegał prawa, nawet posiadając absolutną władzę. Czy kapitan za często rozmawiał z niewłaściwymi ludźmi? Czy odwiedzał niewłaściwe miasta w nieodpowiednim czasie? Kimkolwiek byli prawdziwi zdrajcy, wiedział, że zmaistrowali przeciwko niemu wiarogodną intrygę.

Nagle światło przygasło do połowy mocy. Poznał więzienie dostatecznie dobrze z zewnątrz, żeby wiedzieć, że to oznacza ciemność za jakieś dziesięć minut. A więc noc i sen. Jeżeli będzie mógł zasnąć.

Położył się, zakrył oczy ramieniem i poczuł, że drzenie w żołądku narasta. Nie zasną tej nocy, pomyślał. Zastanawiał się -chorobliwie drażył temat, ponieważ miał zbyt wiele odwagi, żeby uciekać przed własną wyobraźnią - zastanawiał się, w jaki sposób umrze. Mikal był wspaniałym człowiekiem, ale nie traktował łagodnie zdrajców. Rozdzierano ich na strzępy, a holografy nagrywały ich agonię i rozpowszechniały na każdej planecie. A może uznają, że był tylko niewiele zamieszany w spisek; wówczas jego agonია będzie krótsza i bardziej prywatna. Ale nie bólu się obawiał - stracił lewe ramię w odstępie niecałych dwóch lat i wiedział, że jest odporny, potrafi znieść ból. Natomiast przerażała go świadomość, że wszyscy ludzie, którymi dowodził, odtąd będą go uważali za zdrajcę, umierającego w pohańbieniu.

Tego nie mógł znieść. Imperium Mikala stworzyli żołnierze odznaczający się fanatyczną lojalnością i umiłowaniem honoru, a później kontynuowano tę tradycję. Kapitan przypomniał sobie, jak po raz pierwszy dowodził kosmolotem. Było to podczas rebelii na Quenzie i jego krążownik został zaskoczony na planecie. Dowódca musiał dokonać koszmarnego wyboru: czy wystartować natychmiast, zanim rebelianci zniszczą statek, czy poczekać, żeby uratować kilku ludzi ze swojego oddziału. Wybrał krążownik, ponieważ gdyby poczekał, mógł nie uratować niczego dla imperium. Ale paniczne wrzaski: „Zaczekajcie, zaczekajcie”, brzmiały mu w uszach jeszcze długo potem, kiedy radio umilkło z powodu zbyt dużej odległości. Został odznaczony, chociaż nie dali mu orderu przez wiele miesięcy, w obawie, że może popełnić samobójstwo.

Tak łatwo wtedy myślałem o samobójstwie, wspominał. Teraz, kiedy naprawdę tego potrzebuję, nie mam żadnych szans.

Po prostu zapłacę za swoje zbrodnie. Oni tego nie wiedzą, ale chociaż myślą, że wciągnęli w pułapkę niewinnego człowieka, zasługuję właśnie na taką karę.

Przypomniał sobie...

I światło zgasło...

Próbował zasnąć, ale wciąż sobie przypominał. I pamiętał. I w każdym śnie widział jej twarz. Bez imienia. Nigdy nie poznał jej imienia - to należało do środków bezpieczeństwa, ponieważ jeśli się nie zna imienia, nie wykryją go żadne sondy, nawet najgłębsze. Ale jej twarz - czarniejsza niż jego własna, jakby w żyłach tej kobiety płynęła czysta krew, spuścizna z tajemniczych zakątków Afryki - i jej uśmiech, chociaż niezbyt częsty, tak promienny, że na samo wspomnienie zakręciło mu się w głowie i łzy napłynęły do oczu. Uważał ją za żabo j czynię. W noc poprzedzającą planowane zabicie prefekta zabrała go do swojego domu. Jej rodzice, którzy o niczym nie wiedzieli, spali w innym pokoju; oddała mu się dwukrotnie, zanim wreszcie zrozumiał, że to coś więcej niż rozładowanie napięcia przed trudną misją. Kochała go naprawdę, był tego pewien, dlatego wyszeptał jej do ucha swoje imię.

- Co to znaczy? - zapytała.

- Moje imię - odparł, a jej twarz ściągnęła się jakby z bólu.

- Dlaczego mi powiedziałeś?

- Ponieważ - szepnął, kiedy przesuwała palcami po jego plecach - ufam ci.

Jęknęła pod ciężarem tego zaufania - albo może w końcowych spazmach ekstazy. Może. Nigdy się nie dowiedział. Kiedy wychodził, szepnęła mu w drzwiach:

- Spotkajmy się o dziewiątej rano, spotkajmy się przy pomniku Horusa na Flant Fisway.

Czekał przy pomniku przez dwie godziny, potem poszedł jej szukać i zastał jej dom otoczony przez policję. A także domy dwojga innych konspiratorów, więc wiedział, że zostali zdradzeni. Najpierw

pomyślał, pozwolił sobie pomyśleć, że to ona ich zdradziła i żeby uratować mu życie, umówiła się z nim o tej porze, kiedy miała się zjawić policja. W każdym razie, nawet jeśli była niewinna, przeczytał w gazetach, że zabiła się, kiedy policja po nią przyjechała, roztrzaskała sobie głowę staroświeckim pistoletem na kule w obecności swoich rodziców, kiedy siedzieli w salonie i zastanawiali się, dlaczego policjanci stukają do drzwi. Nawet jeśli zdradziła grupę, nie chciała zdradzić jego -znając jego imię, wołała umrzeć niż je wyjawić pod przymusem.

Nędzna pociecha. Osobiście zabił prefekta, potem opuścił rodzinną planetę i nigdy nie wrócił. Przez kilka lat, zanim nie ukończył dwudziestki, próbował przyłączyć się do buntu, podżegać do buntu, nawet wyszukiwać potencjalnych buntowników gdzieś w młodym jeszcze imperium Mikala. Stopniowo jednak uświadomił sobie, że niewielu ludzi tęskniło za niepodległością. Pod władzą Mikala żyło się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. A kiedy to zrozumiał, zaczął także rozumieć, co takiego osiągnął Mikal.

Zaciągnął się i wykorzystał swoje zdolności, żeby wspiąć się po szczeblach wojskowej hierarchii, aż został najbardziej zaufanym porucznikiem Mikala, kapitanem gwardii. Wszystko na próżno. Wszystko na próżno z powodu ambitnego cywilnego sługusa, który skazał go na śmierć, nie honorową, lecz straszliwie hańbiącą.

Zasługuję na to, pomyślał. Ponieważ wyjawiałem jej moje imię. To wszystko moja wina, dlatego że wyjawiałem jej moje imię.

Widocznie drzemał, bo ocknął się nagle pod wpływem zimnego przeciągu. Czy już przyszli po niego? Nie - przecież włączyliby światło. Tymczasem wszędzie panowała ciemność, nawet w korytarzu, jeśli słusznie się domyślił, że drzwi zostały otwarte.

- Kto tam? - zapytał.

- Ciii - dobiegła odpowiedź. - Kapitanie?

- Tak. - Kapitan usiłował sobie przypomnieć ten głos. -Kim jesteś?

- Pan mnie nie zna. Jestem zwykłym żołnierzem. Pan mnie nie zna. Ale ja pana znam, kapitanie. Przyniosłem coś panu. -Kapitan poczuł rękę macającą po jego ciele, dopóki nie odnalazła ramienia, po czym wcisnęła mu w dłoń ampułkę zakończoną strzykawką.

- Co to jest?

- Honor - odparł żołnierz. Głos miał bardzo młody.

- Dlaczego?

- Pan nie mógł zdradzić Mikala. Ale oni pana załatwią, wiem. I skazą pana na śmierć... jak zdrajcę. Więc jeśli pan zechce... honor.

Potem powiew wiatru, kiedy żołnierz odszedł w ciemność; narastające ciepło, kiedy drzwi się zamknęły i przeciąg ustał. Kapitan trzymał śmierć w dłoni. Ale miał niewiele czasu. Żołnierz był

dzielny i sprytny, ale więzienny system bezpieczeństwa wkrótce zaalarmuje strażników - pewnie już ich zaalarmował - że ktoś się włamał. Pewnie już po niego szli.

A jeśli zdołam udowodnić swoją niewinność? Po co umierać, skoro mogę oczyścić się z zarzutów i przeżyć resztę życia?

Ale przypomniał sobie, co wykryją narkotyki i pytania szambelana, i przed oczami miał tylko jej ciemną, ciemną twarz, kiedy uderzył fiolką o brzuch, mocno, a impet uderzenia złamał pieczęć i chemikalia sprawiły, że trucizna zawarta w strzykawce przeniknęła pod skórę. Normalnie odliczałyby sekundy, żeby przerwać podawanie narkotyku po przyjęciu odpowiedniej dawki, teraz jednak odpowiednią dawkę stanowiła cała zawartość pojemnika.

Wciąż przyciskał fiolkę do brzucha, kiedy rozbłysło światło, drzwi się otwały i do celi wpadli strażnicy. Wyciągnęli mu igłę z brzucha, wyrwali strzykawkę z ręki, podnieśli go i wywlekli na korytarz.

- Za późno - wymamrotał kapitan, ale oni dalej ciągnęli go korytarzem. Kończyny zupełnie mu zdrętwiały; rozpoznał truciznę i wiedział, że to oznacza pewną śmierć, której nie powstrzymają żadne lekarskie zabiegi. Minęli kolejne drzwi, gdzie zobaczył plecy młodego żołnierza, wpychanego przez trzech innych do sali przesłuchań. Kapitan chciał zawołać do chłopca: „Dziękuję”, ale głos miał za słaby, żeby zagłuszyć tupot kroków i odgłosy pospiesznej krzątania.

Położyli go na stole, lekarz pochylił się nad nim, potrząsnął głową i powiedział, że już za późno.

- Mimo wszystko próbujcie! - krzyknął głos, który kapitan mętnie rozpoznał jako głos szambelana.

- Szambelanie - szepnął kapitan.

- Tak, ty draniu! - syknął szambelan głosem pełnym udręki.

- Powiedz Mikalowi, że moja śmierć uwolni więcej spiskowców, niż zabije.

- Myślisz, że on tego nie wie?

- I powiedz mu... powiedz mu...

Szambelan nachylił się niżej, ale kapitan umarł nie wiedząc, czy zdążył przekazać ostatnią wiadomość dla Mikala, zanim umilkł na zawsze.

Ansset patrzył, jak Mikal wściekał się na szambelana. Ansset znał głos Mikala dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że Mikal udaje, iż jego gniew jest przynajmniej częściowo symulowany. Czy szambelan o tym wiedział? Ansset podejrzewał, że tak.

- Tylko głupiec mógł zabić tego żołnierza! - wrzeszczał Mikal. Szambelan, odgrywając przerażonego, wyjąkał:

- Próbowałem wszystkiego... narkotyki, hipnoza, ale on miał blokady, za silne blokady...

- Więc sięgnąłeś po staroświeckie tortury!

- To jeden z rodzajów kary za zdradę. Myślałem, że jeżeli to zastosuję, on wyda pozostałych spiskowców...

- A on umarł i teraz nie mamy szans się dowiedzieć...

- Mówiłem, że miał blokady, co miałem robić?

- Co miałeś robić! - Mikal odwrócił się plecami. Ansset usłyszał nutę zadowolenia w jego głosie. Z czego? To była ponura satysfakcja, do jakiej Mikal nie chciał się otwarcie przyznać.

- Więc dostarczył kapitanowi truciznę, pomimo najlepszej ochrony.

- Przynajmniej to dowodzi winy kapitana - zauważył szambelan.

- Przynajmniej to nie dowodzi niczego! - warknął Mikal i odwrócił się do szambelana, ucinając jego próby rozjaśnienia sytuacji. - Zawiodłeś moje zaufanie i zaniedbałeś swoje obowiązki!

To był początek rytuału. Szambelan posłusznie wykonał następny krok.

- Mój panie imperatorze, postąpiłem jak głupiec. Zasłużyłem na śmierć. Rezygnuję ze stanowiska i proszę, żebyś kazał mnie zabić.

Mikal wypełnił rytuał, ale z gniewem, bez wdzięku, jakby chciał pokazać szambelanowi, że mu przebaczył, ale nie przywrócił go do łask.

- Masz cholerną rację, że jesteś głupcem. Daruję ci życie, ponieważ oddałeś mi ogromną przysługę już samym aresztowaniem zdrajcy. - Mikal przechylił głowę na bok. - A więc, szambelanie, kogo twoim zdaniem powinienem mianować na następnego kapitana gwardii?

Ansset był coraz bardziej zaintrygowany. Szambelan i Mikal coś ukrywali, okłamywali się nawzajem

- a teraz Mikal prosił szambelana o radę w kwestii, która absolutnie nie powinna go obchodzić. I w dodatku Szambelan zamierzał odpowiedzieć.

- Oczywiście Riktorsa Ashena, mój panie. Oczywiście? Ton był impertynencki, samo udzielanie rad wręcz niebezpieczne. Szambelan nie narażał się na ryzyko. Bezpieczna odpowiedź powinna brzmieć: nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nie ośmielę się doradzać imperatorowi w tak istotnej sprawie. A on powiedział: „Oczywiście”.

W normalnych okolicznościach Anset spodziewałby się, że Mikal zareaguje chłodno, odprawi szambelana, nie zechce go widzieć przez wiele dni. Ale Mikal zadał kłam wszystkiemu, co Anset o nim wiedział, ponieważ zwyczajnie rzekł z uśmiechem:

- Ależ oczywiście. Riktors Ashen to oczywisty wybór. Przekaż mu ode mnie, że otrzymał to stanowisko.

Nawet szambelan, który opanował do perfekcji sztukę udawania, przez chwilę wydawał się zdumiony. A na widok jego zdumienia coś zaskoczyło w umyśle Anseta. Szambelan wymienił jedyne go człowieka, którego stanowczo nie życzył sobie na stanowisku kapitana gwardii, pewien, że Mikal natychmiast odrzuci każdą kandydaturę zaproponowaną przez szambelana. Tymczasem Mikal wyraził zgodę wiedząc, że ten człowiek niełatwo podda się wpływowi szambelana.

Mimo woli Anset poczuł zadowolenie. Riktors Ashen to był dobry wybór - oczywiście flota go poprze, ponieważ jako żołnierz Riktors Ashen od lat cieszył się najlepszą reputacją. Imperium go poprze, ponieważ Riktors Ashen udowodnił podczas rebelii na Mantrynn, że stać go na miłosierdzie. Zamiast zemsty i zniszczenia, Riktors zbadał skargi ludności na chciwego zarządcę planety, wytoczył mu proces i kazał go stracić. Naturalnie razem z przywódcami buntu, ale potem osobiście zarządził planetą przez kilka miesięcy, wyplenił korupcję na najwyższych szczeblach władzy i umieścił miejscowych ludzi na wysokich stanowiskach, żeby kontynuowali pracę po jego wyjeździe. Nie było w galaktyce bardziej lojalnej planety niż Mantrynn i żadnego nazwiska we flocie nie wymawiano z taką miłością, jak nazwiska Riktorsa Ashena.

Ale pomimo tych wszystkich słusznych powodów do awansu, Anset najbardziej cieszył się dlatego, że znał tego człowieka, lubił go i ufał mu. Sama Esste powiedziała kiedyś, że spośród wszystkich ludzi we wszechświecie Riktors Ashen najbardziej przypomina Mikala. A teraz, kiedy Anset znał i kochał Mikala, te słowa stanowiły w jego mniemaniu najwyższą pochwałę.

Zanim Anset zdążył przemyśleć sprawę awansu, szambelan wyszedł. Głos Mikala wyrwał chłopca z zadumy.

- Czy wiesz, jakie były jego ostatnie słowa do mnie? Anset od razu zrozumiał, że Mikal mówi o kapitanie.

- Powiedział: „Powiedz Mikalowi, że moja śmierć uwolni więcej spiskowców niż zabije”. A potem... potem powiedział, że mnie kocha. - Mikalowi załamał się głos, łzy napłynęły mu do oczu. - Wyobraź sobie, ten przebiegły stary łajdak powiedział, że mnie kocha. Czy wiesz, że czterdzieści lat temu spiskował, żeby obalić mój rząd? Żałosna konspiracja... jego kochanka zdradziła, a on w końcu

z tego wyrósł. Nie wiedział, że ja wiedziałem. Ale może nie kłamał. Może jednak mnie kochał, na swój sposób.

- Czy ty go kochałeś?

- Nigdy mu nie ufałem ani za grosz, to pewne. Nigdy nie ufam nikomu. Tylko tobie. - Mikal uśmiechnął się do Anseta, potargał jego włosy. Mówił niedbałym tonem, ale Anset wyczuwał smutek maskowany nonszalancją. - Ale kochać? Sam nie wiem. Wiem, że paskudnie się poczułem na wiadomość, że on nie żyje. Kocha mnie. Kochał mnie. Tak, jeśli w ogóle potrafię kochać, to chyba go kochałem. Przynajmniej cieszę się, że znalazł sposób, żeby umrzeć z honorem. - Mikal parsknął śmiechem. - Dziwnie to brzmi, prawda? Jego śmierć zatarła ślady spisku, a jednak się cieszę. Od twojego przyjazdu, Anset, zapominam o pilnowaniu własnych interesów.

- Więc powinienem wyjechać. Mikal westchnął.

- Tra la la. To twoja najnudniejsza piosenka, Anset, zawsze śpiewasz na tę samą nutę.

Mikal wyciągnął się wygodnie w fotelu, który dostosował się płynnie do kształtu jego ciała. Twarz imperatora również wyciągnęła się w grymasie smutku.

- Co się stało? - zapytał Anset.

- Nic - odparł Mikal. - Och, nie ma sensu cię okłamywać. Powiedzmy, że jestem po prostu zmęczony, że z wiekiem sprawy państwowe coraz bardziej mnie przytłaczają.

- Dlaczego - zapytał Anset, żeby zmienić temat... i żeby

zaspokoić własną ciekawość, musiał to przyznać w duchu - dlaczego aresztowano kapitana? Skąd wiedziałeś?

- Ach, to. Ludzie szambelana śledzili kapitana. Odwiedzał regularnie tamto miejsce. Przyjaciołom opowiadał, że spotykał się z kobietą, która tam mieszkała. Ale wszyscy sąsiedzi zeznali pod narkozą, że nigdy nie mieszkała tam żadna kobieta. A kapitan był mistrzem w zakładaniu blokad mentalnych. Ale wszystko mogło być zbiegiem okoliczności, nawet podobny statek, gdybyś nie rozpoznał człowieka, który się zabił. Siłacz?

- Siłacz. - Anset spuścił wzrok. - Nie chcę myśleć, że przyczyniłem się do zguby kapitana.

- Nikomu to nie sprawiło przyjemności.

- Przynajmniej zniszczyliśmy spisek - powiedział Anset, zadowolony, że uwolni się od nieustannej obserwacji strażników.

- Zniszczyliśmy? - prychnął Mikal. - Ledwie go nadgryźliśmy. Żołnierz zdołał dostarczyć truciznę kapitanowi. To znaczy, że w pałacu ciągle są spiskowcy. Dlatego wydam polecenie Riktorsowi Ashenowi, żeby cię dobrze pilnował.

Ansset nie próbował nawet ukryć rozczarowania.

- Wiem - przyznał Mikal ze znudzeniem. - Wiem, jak to cię drażni. Ale w twoim umyśle wciąż kryją się tajemnice, Ansset, i dopóki się nie ujawnią, co innego mogę zrobić?

Rozdział 16

Tajemnice wyszły na jaw następnego dnia.

Mikal przyjmował dwór w wielkiej sali. Na jego żądanie Ansset stał razem z szambelanem w pobliżu tronu. Czasami po południu Mikal kazał Anssetowi śpiewać. Przez resztę czasu chłopiec z rezygnacją obserwował nudną procesję dygnitarzy, składających uszanowanie imperatorowi. Wszyscy byli rutynowo służalczy i uniżeni, przysięgali Mikalowi wieczną miłość i lojalność. Potem wrócą do domów i będą spekulować, jak długo jeszcze pożyje Mikal Groźny i kto zostanie jego następcą, i jakie są szanse na zagrabienie kawałka imperium dla siebie.

Kolejność dygnitarzy została starannie opracowana, żeby uhonorować lojalnych przyjaciół i upokorzyć parweniuszy, którym należało utrzyć nosa. Drobnym urzędnik z odległej gromady gwiazdnej, którego innowacje w zarządzaniu opieką społeczną zostały wprowadzone w całym imperium, otrzymał oficjalnie wyróżnienie jako pierwszy tego dnia, a potem zaczęła się ceremonialna nuda. Książęta, prezydenci, zarządcy i satrapowie, zależnie od tego, jaki tytuł przetrwał podboje sprzed osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu lat, otoczeni świtą podchodzili do tronu, kłaniali się (ich ukłony pokazywały, jak bardzo się bali Mikala albo jak bardzo chcieli mu pochlebić, albo czy chcieli sprawiać wrażenie dumnych i niezależnych), wymawiali kilka słów, prosząc o prywatną audiencję lub specjalną łaskę, po czym wycofywali się pod ścianę, odprawiani krótko lub uprzejmie przez Mikala.

Aby szczególnie upokorzyć satrapę z Sununuway, poprzedziła go delegacja Czarnej Kinszasy, wystrojona w dziwaczne kostiumy ze starożytnej Ziemi. Kinszasanie upierali się niemądrze, że stanowią suwerenny naród, chociaż szambelan szepnął Anssetowi do ucha, że nawet swój kraj mają w niewłaściwym miejscu, że starożytna Kinszasa leżała w dolinie rzeki Kongo, natomiast ci barbarzyńcy zamieszkują południowy kraniec Afryki. A jednak ciągle grali Mikalowi na nosie, nazywali swojego przedstawiciela ambasadorem i byli tacy śmieszni, że przyznanie im pierwszeństwa stanowiło poważną obrazę dla każdego.

- Te ropuchy z Sununuway będą wściekle - zachichotał szambelan.

Delegaci wyglądali dość egzotycznie: włosy upięte wysoko za pomocą kościanych ozdób, niezliczone sznury paciorków na piersiach i jedynie wąskie przepaski na biodrach dla przyzwoitości. Lecz nawet tak malowniczy widok znudził już Mikala, który gestem zażądał wina.

Szambelan nalał, skosztował trunku zgodnie ze zwyczajem i zrobił krok w stronę tronu. Potem zatrzymał się i skinął na Ansseta. Zdumiony tym wezwaniem, Ansset podszedł do niego.

- Może ty zanieśes wino Mikalowi, słodki Słowiku? - zaproponował szambelan. Zdumienie znikło z oczu Ansseta; chłopiec wziął kielich i zdecydowanie ruszył w stronę tronu.

Jednakże w tej samej chwili wybuchło pandemonium. Posłowie z Kinszasy sięgnęli do swoich wysokich fryzur, wyciągnęli drewniane noże - nie wykryte przez rewizję ani detektory metalu - i rzucili się do tronu. Gwardziści szybko wystrzelili i lasery powaliły pięciu Kinszasan, lecz wszyscy celowali do napastników z przodu, więc trzej ostatni pozostali przy życiu. Pędzili dalej w stronę tronu, wznosząc do ciosu noże, wymierzone prosto w serce Mikala. Rozległy się krzyki i wrzaski. Jeden z gwardzistów zdążył wycelować ponownie i oddać strzał, ale chybił, pozostali zaś wyczerpali ładunek przy pierwszej salwie. Pospiesznie sposobili lasery, ale wiedzieli, że już będzie za późno, że nic nie powstrzyma drewnianych noży zmierzających do serca Mikala.

Mikal zajrzał śmierci w oczy i nie wydawał się rozczarowany.

Ale w tej samej chwili Ansset cisnął puchar z winem w jednego z napastników, po czym dał susa przed imperatora. Lekko wyskoczył w powietrze i kopnął w szczękę pierwszego zabójcę. Wymierzył kopniaka pod idealnym kątem z taką siłą, że głowa Kinszasanina przeleciała pięćdziesiąt stóp i upadła w tłum, ciało zaś sunęło dalej po podłodze, aż drewniany nóż tkwiący w zaciśniętej pięści dotknął stopy Mikala. Ansset opadł na ziemię w samą porę, żeby wbić rękę w brzuch drugiego napastnika tak mocno, że ramię zanurzyło się po łokieć we wnętrznościach, a palce dłoni odnalazły i zmiążdżyły serce.

Trzeci napastnik zawahał się na mgnienie, wytracony z impetu widokiem niespodziewanej jatki, którą sprawił dzieciak stojący tak niewinnie obok tronu Mikala. Ta chwilka wystarczyła, żeby lasery wycelowały, błysnęły i ostatni kinszaski zabójca upadł, dymiąc i rozsiewając popiół.

Cały incydent, od pojawienia się drewnianych noży do upadku ostatniego napastnika, trwał zaledwie pięć sekund.

Ansset stał nieruchomo na środku sali, z wnętrznościami w rękach, cały zbryzgany krwią. Spojrzał na swoje ubabrane dłonie, na ciało, z którego je wyciągnął. Długo tłumione wspomnienia powróciły gwałtownie i zobaczył inne ciała, inne głowy skopywane z karków, innych ludzi, którzy umierali, kiedy Ansset uczył się sztuki zabijania gołymi rękami. Poczucie winy, które dręczyło go, kiedy wieczorami budził się w niewoli, teraz przygniotło go ze zdwojoną siłą, ponieważ teraz znał powód, znał swoją winę.

Wszelkie rewizje nie miały sensu. Środki bezpieczeństwa w niczym nie pomogły. Ansset nie mógł

użyć broni, nie potrzebował broni - sam był bronią, wymierzoną przeciwko ojcu Mikalowi.

Odór krwi i rozszarpanych jelit spotęgował emocje targające jego ciałem. Anset chciał zwymiotować, marzył, żeby zwymiotować. Ale Kontrola podziałała - spełniała swoją powinność właśnie w takich okropnych chwilach. Stał i czekał, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Gwardziści podeszli do niego ostrożnie, niepewni, co mają robić.

Ale szambelan był pewien. Anset usłyszał jego głos, drżący ze strachu spowodowanego świadomością, jak blisko Mikal otarł się o śmierć, jak bliski był śmierci przez cały czas, odkąd zwrócono mu Słowika.

- Trzymajcie go pod strażą. Umyjcie go. Nie wypuszczajcie go z zasięgu strzału ani na chwilę. Za godzinę przyprowadźcie go do sali narad.

Gwardziści spojrzeli na Mikala, bladego i wstrząśniętego, a on kiwnął głową.

Rozdział 17

Mikal siedział wpatrując się w ogień i wspominał pierwszego człowieka, którego zabił. Był wtedy jeszcze dzieckiem, zaledwie dziesięcioletnim, młodszym od Ansseta. Nie. Nie wolno myśleć o Anssecie.

Zaledwie dziesięcioletek, spał wtedy na piętrze. Były to lata terroru na światach Pomocnej Stopy, a tamtej nocy nadeszła ich kolej. Mikal nie słyszał pukania do drzwi, żadnego dźwięku na zewnątrz, tylko trzask wyłamywanych drzwi, krzyk matki, która jeszcze nie spała, pisk siostry, która obudziła się po drugiej stronie sypialni. Nie musiał się zastanawiać, co się dzieje. Miał dopiero dziesięć lat, ale w tamtych czasach takich spraw nie dało się ukryć przed dziećmi; widywał zwłoki kobiet, rozdarte i porzucone na ulicy, widywał męskie genitalia przybite do ściany nad trupem ich właściciela, wyszczerzonym obłąkańczo do ognia, który zwęglił mu wnętrzności.

Maruderzy wędrowali w małych grupkach i podobno byli niepokonani, ale Mikal wiedział, gdzie leży strzelba myśliwska i jak z niej celować. Znalazł ją w pokoju ojca, załadował starannie, podczas gdy matka wciąż krzyczała na dole, a potem czekał cierpliwie, aż usłyszał na schodach kroki dwóch ludzi. Miał tylko jeden strzał, ale jeśli wybierze właściwy moment, jeden strzał wystarczy - pocisk

niał dostateczną siłę rażenia, żeby przebić człowieka na wylot i powalić drugiego z tyłu.

Mężczyźni pojawili się na szczycie schodów. Mikal nie czuł strachu na myśl, że zabije człowieka. Strzelił. Siła odrzutu przewróciła go na podłogę. Kiedy wstał, dwaj mężczyźni zniknęli, stoczyli się ze schodów. Ale on zachował zimną krew. Ponownie załadował broń, potem ostrożnie zbliżył się do schodów. Na dole dwaj mężczyźni klęczeli nad trupami. Podnieśli wzrok. Gdyby Mikal się zawahał, zabiliby go - lasery są szybsze od broni palnej, a ci mężczyźni potrafili ich używać. Ale Mikal nie zawahał się ani na chwilę. Wystrzelił ponownie i tym razem nie upadł od odrzutu, tylko patrzył, jak wybuch powalił obu mężczyzn, kiedy kula trafiła jednego w głowę. To był szczęśliwy strzał - Mikal celował w brzuch drugiego mężczyzny. Co za różnica. Obaj byli martwi.

Mikal nie wiedział, jak zejść ze schodów pod ostrzałem, żeby wykończyć resztę, ale postanowił spróbować. Okazało się, że nie musiał. Trzymali jego ojca i kazali mu patrzeć, jak drugi mężczyzna gwałci jego żonę. Kiedy czterech maruderów nagle padło trupem, ojciec Mikala nie wahał się powiedzieć pozostałej trójce: „Nie macie szans. Na górze jest czterech ludzi, a następnych dziesięciu przed domem”.

Uwierzyli mu; byli jednak maruderami, więc poderżnęli mu gardło i dźgnęli nożem matkę Mikala osiem razy, zanim zwrócili lasery przeciwko sobie, ponieważ wiedzieli, że jeśli się poddadzą, nie czeka ich miłosierdzie ani nawet proces, tylko krótka ceremonia rozdzierania na strzępy. Ojciec Mikala umarł jeszcze przed nimi. Ale matka żyła. I tak w wieku dziesięciu lat Mikal został swego rodzaju bohaterem. Zorganizował w wioskach silny ruch oporu, a kiedy rozeszły się wieści, że żaden maruder nie ma tam wstępu, inne wsie prosiły Mikala, żeby im też przewodził, chociaż był zaledwie dzieckiem. Zanim skończył piętnaście lat, narzucił maruderom traktat, który praktycznie zabraniał im lądować na jego planecie, a przez następne kilka lat pokazał im, że potrafi wyegzekwować warunki traktatu.

Ale w tamtej chwili, kiedy zszedł na dół i zobaczył czterech ludzi, których zabił, zobaczył ojca bluzgającego krwią z szerokiej rany w gardle, zobaczył trzy zwęglone ciała, cuchnące nie dopieczonym mięsem, zobaczył matkę leżącą nago na podłodze z nożem w piersi - poczuł ból, który odtąd kierował całym jego życiem. Na samo wspomnienie tamtej nocy oblewał się potem jeszcze po stu latach. Początkowo powodowała nim nienawiść, kazała mu wysłać flotę na planety maruderów i podbić je, postawiła go na czele grupy silnych, twardych ludzi, wszystkich starszych od niego i gotowych pójść za nim do piekła.

Ale gdzieś po drodze nienawiść go opuściła. Dopiero kiedy zdołali wreszcie otruć jego matkę, dziesiątki lat po nocnym napadzie - pewnie, że ich nienawidził. Proces przebiegał stopniowo, w miarę jak noc śmierci zacierała się w pamięci Mikala, który zaczynał odczuwać odpowiedzialność za miliardy ludzi, żądających od niego prawa, pokoju, bezpieczeństwa. Gdzieś po drodze jego cele się zmieniły. Nie pragnął już karać zbrodniarzy, co dawniej uważał za swoją życiową misję. Teraz pragnął zaprowadzić pokój w galaktyce, chronić ludzkość przed ludzkością, nawet jeśli to wymagało kolejnych krwawych wojen, żeby zmusić skłócone światy i narody do przyjęcia tego, czego rzekomo same chciały. I koniec ze śmiercią w walce.

Zrobiłem to, powiedział sobie Mikal, wpatrując się w płomienie. Zrobiłem to.

A jednak nie do końca. Ponieważ dzisiaj wieczorem stanął przed nim chłopiec z rękami ubroczonymi krwią, spoglądając na ciała ludzi, których zabił. Zacząłem to wszystko, żeby żaden chłopiec nie musiał już popełniać takich czynów.

Mikal poczuł w sobie ból, którego nie mógł wytrzymać. Wsunął rękę do ognia, aż fizyczne cierpienie zagłuszyło ból serca. Potem opatrzył i zabandażował dłoń, zastanawiając się, dlaczego duchowe rany nie goją się tak łatwo.

Rozdział 18

- Słowiku - powiedział Riktors Ashen - zdaje się, że ktoś cię nauczył nowych pieśni.

Ansset stał wśród gwardzistów, którzy trzymali wymierzone w niego lasery. Kontrola nie pozwalała mu okazywać żadnych uczuć, chociaż pragnął krzyczeć z bólu, który rozdzierał go od środka. Moje mury są wysokie, ale czy wystarczą? - zapytał siebie i w głowie usłyszał cichutki śpiew. To był głos Esste, śpiewający pieśń miłości, i ten głos pomógł mu opanować strach, żal i wyrzuty sumienia, pomógł mu zachować Kontrolę.

- Musiałeś uczyć się od mistrza - powiedział Riktors.

- Ja nigdy... - zaczął Ansset, a potem uświadomił sobie, że nie potrafi mówić i jednocześnie zachować Kontroli.

- Nie dręcz chłopca, kapitanie - odezwał się Mikal z kąta sali narad.

Szambelan skorzystał z okazji, żeby złożyć formalną rezygnację.

- Powinienem był zbadać mięśnie chłopca i odkryć jego nowe umiejętności. Składam rezygnację. Błagam, odbierz mi życie, panie.

Widocznie szambelan denerwował się bardziej niż zwykle, pomyślał Ansset, ponieważ poniżał się w obecności imperatora.

- Zamknij się i wstań - rozkazał Mikal. Szambelan podniósł się z poszarzałą twarzą. Mikal nie przestrzegął rytuału. Życie szambelana zawisło na włosku.

- Najwyraźniej - powiedział Mikal - pokonaliśmy niektóre bariery w umyśle mojego Słowika. Zobaczmy, jak wiele.

Ansset patrzył, jak Riktors bierze plik fotografii ze stołu, rozkłada i podsuwa mu do obejrzenia. Ansset spojrział na pierwsze zdjęcie i poczuł mdłości. Nie wiedział, dlaczego każą mu to oglądać, dopóki nie zobaczył trzeciego zdjęcia. Pomimo Kontroli gwałtownie wciągnął powietrze.

- Tego poznałeś - powiedział Riktors. Ansset przytaknął bez słowa.

- Pokaż tych, których poznajesz.

Więc Ansset wskazał prawie połowę, a Riktors sprawdzał ich nazwiska na liście, którą trzymał w ręku, a kiedy Ansset skończył i odwrócił się (powoli, powoli, bo gwardziści z laserami byli nerwowi), Riktors uśmiechnął się ponuro do Mikala.

- Wskazał wszystkich porwanych i zamordowanych po jego porwaniu. Jednak istniał jakiś związek.

- Ja ich zabiłem - powiedział Ansset i tym razem nie mówił spokojnie. Głos mu drżał, czego wcześniej nie słyszał nikt w pałacu. Mikal spojrział na niego, ale nic nie powiedział, nie okazał śladu współczucia. - Kazali mi na nich ćwiczyć - dokończył Ansset.

- Kto kazał ci ćwiczyć? - naciskał Riktors.

- Oni! Głosy... ze skrzynki. - Ansset usiłował schwytać wspomnienie, wcześniej ukryte za blokadą. Teraz wiedział, dlaczego blokada była tak silna - nie mógłby znieść tego, co kryło się w jego umyśle. Lecz umysł został otwarty i Ansset musiał to wytrzymać, przynajmniej dostatecznie długo, żeby złożyć zeznania. Musiał zeznawać, chociaż marzył, żeby z powrotem opuścić zasłonę i zakryć koszmarne wspomnienia na zawsze.

- Jaka skrzynka? - Riktors nie ustępował.

- Skrzynka. Drewniana. Może odbiornik, może nagranie. Nie wiem.

- Czy poznałeś ten głos?

- Głosy. Ciągłe inne. Nawet w tym samym zdaniu. Każde słowo wypowiadał inny głos. Nie mogłem w nich znaleźć żadnych pieśni.

Ansset ciągle widział twarze związanych ludzi, których kazano mu okaleczyć, a potem zabić. Pamiętał, że chociaż protestował krzykiem, nie mógł odmówić, nie mógł się powstrzymać.

- Jak oni cię zmusili, żebyś to robił? - zapytał Riktors i chociaż głos miał łagodny, pytanie brzmiało natarczywie, wymagało odpowiedzi.

- Nie wiem. Nie wiem. Były słowa, a potem musiałem.

- Jakie słowa?

- Nie wiem! Nigdy nie wiedziałem! - Ansset zaczął płakać. Mikal odezwał się cicho:

- Kto cię nauczył zabijać w taki sposób?

- Mężczyzna. Nie wiem, jak się nazywał. Ostatniego dnia był związany tak samo, jak tamci. Głosy kazały mi go zabić. -Ansset walczył ze słowami, walczył jeszcze bardziej zaciekle, kiedy sobie uświadomił, że wówczas zabił swojego nauczyciela nie dlatego, że został zmuszony. Zabił, ponieważ nienawidził tego człowieka. - Zamordowałem go.

- Nonsens - wtrącił szambelan, siląc się na współczucie. -Byłeś narzędziem.

- Kazałem ci się zamknąć - warknął Mikal. - Pamiętasz coś jeszcze, mój synu?

Ansset kiwnął głową, zaczerpnął tchu wiedząc, że chociaż utracił iluzję Kontroli, tylko mury Kontroli nie pozwalają mu rzucić się z wrzaskiem na gwardzistów i zginąć w upragnionym ogniu laserów.

- Zabiłem Mistrza i wszystkich członków załogi, którzy tam byli. Niektórych brakowało. Tych, których rozpoznałem na zdjęciach z Irlandii. I Siłacza. Ale zabiłem całą resztę, oni tam byli, w tym pokoju ze stołem, i sam jeden zabiłem ich wszystkich. Bronili się zaciekle, wszyscy oprócz Mistrza,

który tylko stał i patrzył, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Może oni wcale nie wiedzieli, czego mnie uczono na tej łodzi.

- A potem?

- A potem, kiedy wszyscy umarli, usłyszałem kroki nad głową, na pokładzie.

- Czyje?

- Nie wiem. Skrzynka kazała mi położyć się na brzuchu,

więc posłuchałem, i kazała mi zamknąć oczy, więc zamknąłem i nie mogłem ich otworzyć. Potem kroki na schodach, klepięcie w ramię i obudziłem się idąc ulicą.

Wszyscy umilkli na długą chwilę. Wreszcie szambelan pierwszy zabrał głos.

- Mój panie, na pewno to wielka miłość Słowika do ciebie przełamała blokady, chociaż kapitan już nie żył...

- Szambelanie! - przerwał mu Mikal. - Twoje życie dobiegnie końca, jeżeli jeszcze raz odezwiesz się nie proszony. - Odwrócił się do Riktorsa Ashena. - Kapitanie, chcę wiedzieć, w jaki sposób ci Kinszasanie przeszli przez twoją kontrolę.

Riktors Ashen nie próbował się usprawiedliwić.

- Przy drzwiach stali moi ludzie, którzy przeprowadzili rutynową rewizję i nie wzięli pod uwagę możliwości, że w tych niezwykłych fryzurach kryje się jakaś niezwykła broń. Zastąpiłem ich bardziej sumiennymi strażnikami, a tamtych zamknąłem w więzieniu, gdzie czekają na twoją łaskę.

- Moja łaska - powiedział Mikal - nie nadejdzie prędko.

Ansset częściowo odzyskał Kontrolę. Słuchał pieśni w głosie Riktorsa Ashena i zachwycał się pewnością siebie tego człowieka. Zupełnie jakby nic nie mogło dotknąć Riktorsa Ashena. Wiedział, że to nie była jego wina, wiedział, że nie zostanie ukarany, wiedział, że wszystko dobrze się skończy. Jego pewność siebie udzieliła się Anssetowi, który poczuł się trochę lepiej.

Mikal wydawał kapitanowi precyzyjne rozkazy.

- Przeprowadzimy surowe śledztwo w Kinszasie. Znajdźcie wszelkie powiązania pomiędzy kinszaskim zamachem a porwaniem Ansseta. Każdy członek spisku ma być potraktowany jak zdrajca. Resztę Kinszasan macie deportować na jakąś planetę z nieprzyjemnym klimatem, każdy budynek w Kinszasie macie zrównać z ziemią, wszystkie pola i sady macie zniszczyć, wszystkie zwierzęta pozabijać. Chcę mieć każdy szczegół zarejestrowany na holo, do rozpowszechnienia po całym imperium.

Riktors skłonił głowę.

Potem Mikal zwrócił się do szambelana, który skamieniał ze strachu, chociaż wciąż usiłował zachować godność.

- Szambelanie, co twoim zdaniem powinienem zrobić ze Słowikiem?

Szambelan powrócił do dawnej ostrożności.

- Mój panie, nie zastanawiałem się nad tą kwestią. Nie czuję się powołany udzielać rad w sprawie twojego Słowika.

- Bardzo ostrożnie powiedziane, drogi szambelanie.

Ansset usiłował zachować Kontrolę, kiedy tamci dyskutowali nad jego losem. Mikal podniósł dłoń w rytualnym geście, który darował życie szambelanowi. Ulga szambelana była tak wyraźna, że w innych okolicznościach Ansset parsknąłby śmiechem; teraz jednak nie było mu do śmiechu, ponieważ wiedział, że sam nie uzyska przebaczenia równie łatwo jak szambelan.

- Mój panie - powiedział Ansset, korzystając z przerwy w rozmowie - błagam cię, żebyś skazał mnie na śmierć.

- Do diabła, Ansset, mam dość rytuałów - burknął Mikal.

- To nie jest rytuał - odparł Ansset głosem znużonym i zachrypłym od napięcia. - I to nie jest piosenka, ojciec Mikalu. Jestem dla ciebie niebezpieczny.

- Zauważyłem - stwierdził sucho Mikal. Potem znowu zwrócił się do szambelana. - Każ spakować rzeczy Ansseta i przygotować do podróży.

- Nie mam żadnych rzeczy - powiedział Ansset. Mikal spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nigdy niczego nie posiadałem - wyjaśnił chłopiec. Mikal wzruszył ramionami i dalej wydawał polecenia szambelanowi.

- Zawiadom Dom Pieśni, że Ansset wraca. Przekaż im, że śpiewał pięknie, a ja go zniszczyłem, kiedy sprowadziłem go na mój dwór. Przekaż im, że zapłacę czterokrotnie więcej, niż uzgodniliśmy przedtem, ale że tym nawet w części nie odwdzięczę się za piękno prezentu, który mi podarowali, ani nie wynagrodzę krzywdy, którą wyrządziłem chłopcu. Wykonaj to. Wykonaj to dokładnie.

Potem Mikal odwrócił się, żeby odejść. Ansset nie mógł znieść, że Mikal odchodzi w taki sposób, odwracając się plecami, nawet bez pożegnania.

- Ojciec Mikalu - krzyknął, a raczej chciał krzyknąć. Ale głos był cichy, słowa zabrzmiały melodyjnie i Ansset uświadomił sobie, że zaśpiewał pierwsze nuty pieśni miłości. Tylko w ten sposób mógł się pożegnać.

Mikal wyszedł, niczym nie zdradzając, że usłyszał.

Rozdział 19

- Powiedzieli mi, że nie jesteś więźniem - oznajmił strażnik. - Ale mam cię pilnować, ja i inni, żebyś nie zrobił niczego niebezpiecznego ani nie próbował uciekać. Według mnie to zupełnie jak więzień, ale oni pewnie chcieli, żebym był uprzejmy.

- Dzięki - powiedział Ansset, siląc się na uśmiech. - Czy to znaczy, że mogę chodzić, dokąd zechcę?

- Zależy, dokąd chcesz iść.

- Do ogrodu - wyjaśnił Ansset. Strażnik kiwnął głową i razem z kolegami wyprowadzili Ansseta z pałacu, przez szerokie trawniki, na brzeg Susquehanny. Przez całą drogę powracała Kontrola Ansseta. Przypomniawszy sobie słowa pierwszego nauczyciela: „Kiedy chce ci się płakać, niech łzy ściskają ci gardło. Niech bolą napięte mięśnie ud. Niech smutek dźwięczy i rezonuje w twojej głowie”. Wszystko było pieśnią, a śpiewak potrafił kontrolować każdą pieśń.

Spacerując nad brzegiem Susquehanny, po trawnikach chłodnych w popołudniowym cieniu, Ansset wyśpiewał swój

smutek. Śpiewał cicho, ale gwardziści usłyszeli jego pieśń i mimo woli zapłakali nad nim.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie woda była czysta i chłodna, i zaczął ściągać tunikę, żeby popływać. Gwardzista wyciągnął rękę i powstrzymał go. Ansset zobaczył laser wycelowany w jego stopę.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Mikal wydał rozkaz, że nie wolno dopuścić do twojego samobójstwa.

- Ja tylko chcę popływać - powiedział Ansset głosem budzącym pełne zaufanie.

- Zabiją mnie, jeśli stanie ci się krzywda - sprzeciwił się gwardzista.

- Daję ci słowo, że chcę tylko popływać. Jestem dobrym pływakiem. I nie będę próbował ucieczki.

Gwardziści naradzili się między sobą, ale pewność w głosie Ansseta zwyciężyła.

- Nie odpływaj za daleko - nakazał mu dowódca.

Ansset zdjął bieliznę i zanurkował do rzeki. Woda była lodowata, promieniowała jesiennym chłodem, który z początku kąsał skórę. Ansset szerokimi wymachami ramion płynął pod prąd, wiedząc, że dla strażników na brzegu wygląda już jak mały punkcik na powierzchni wody. Potem zanurkował i wstrzymując oddech, jak to potrafi tylko śpiewak albo poławiacz pereł, popłynął pod wodą z powrotem do brzegu, gdzie czekali gwardziści. Słyszał ich krzyki, stłumione przez wodę. Wynurzył się ze śmiechem. Boże, znowu mógł się śmiać.

Dwaj gwardziści ściągnęli już buty i brodzili w wodzie po pas, gotowi schwytać ciało Ansseta, gdyby przepływało obok. Ansset śmiał się z nich, a oni naprawdę byli rozgniewani.

- Dlaczego się denerwujecie? - zapytał Ansset. - Przecież dałem słowo.

Wtedy gwardziści uspokoiли się, a Ansset nie robił im więcej kawałów, tylko pływał i odpoczywał na brzegu. Jesienny chłód przypominał mu wieczne zimno w Domu Pieśni i chociaż zmarzł, odnajdywał w tym pociechę płynącą z fizycznej niewygody.

Od czasu do czasu nurkował i słuchał zmienionych głosów gwardzistów, kłótni i śmiechów wybuchających pod jego nieobecność. Grali w polys i dowódca ciągle przegrywał, chociaż był dobrym graczem. Czasami ponad odgłosami gry do uszu Ansseta dochodził odległy krzyk ptaka, wyostrzony i jednocześnie zniekształcony przez ustawiczny ryk prądu.

Przypominało to stłumione ptasie głosy, które Ansset słyszał zamknięty w celi na łodzi. Śpiew ptaków stanowił dla niego jedyne świadectwo, że poza więzieniem istnieje jeszcze inny świat, że chociaż wtrącono go w otchłań szaleństwa, dookoła niego toczy się zwyczajne życie.

A potem Ansset dokonał myślowego skojarzenia i zrozumiał, że straszliwie się mylił. Popełnił błąd i musiał natychmiast zawiadomić o tym Mikala, musiał go zawiadomić, zanim stanie się coś strasznego, coś jeszcze gorszego niż niedawny koszmar - śmierć Mikala.

Ansset szybko dopłynął do brzegu, wyskoczył z wody, naciągnął na mokre ciało bieliznę i tunikę i ruszył do pałacu. Gwardziści zawołali go, przerwali grę i pobiegli za nim. Niech biegną, pomyślał Ansset.

- Stój! - krzyczeli gwardziści, ale Ansset nie stanął. Szedł dalej szybkim krokiem. Niech mnie dogonia, pomyślał.

- Dokąd idziesz? - zawołał pierwszy, który go dopędził. Chwycił go za ramię i próbował zatrzymać, ale Ansset wysliznął się z łatwością i przyspieszył kroku.

- Do pałacu - odpowiedział. - Muszę wracać do pałacu! Gwardziści już go otoczyli i kilku wysunęło się do przodu, żeby zastąpić mu drogę.

- Powiedziano wam, że mogę chodzić, dokąd zechcę.

- W dozwolonych granicach - przypomniał mu dowódca.

- Czy wolno mi wejść do pałacu? Chwila milczenia.

- Oczywiście.

- Więc idę do pałacu.

Gwardziści ruszyli za nim, niektórzy z wyciągniętymi laserami. W pałacu Anset poprowadził ich labiryntem korytarzy. Nie wymieniono drzwi - nadal więc bez trudu wszystkie otwierał. Wędrował labiryntem w asyście gwardzistów, którzy okazywali coraz większe zmieszanie.

- Dokąd idziemy?

- Nie wiecie? - zapytał Anset niewinnie.

- Nie wiedziałem nawet, że ten korytarz istnieje, skąd mam wiedzieć, dokąd prowadzi!

Niektórzy zastanawiali się, czy sami potrafią znaleźć drogę powrotną. Anset nie uśmiechnął się, chociaż miał ochotę. Przechodzili obok kuchni, kasyna, żołnierskich kwater, najlepiej znanych im miejsc w pałacu. Lecz Anset zna pałac lepiej i zupełnie zamącił im w głowach.

Zorientowali się dopiero wtedy, kiedy dotarli do pomieszczeń bezpieczeństwa przed prywatnym pokojem Mikala. Dowódca natychmiast rozpoznał otoczenie i z furią zastąpił drogę Ansetowi, wyciągając laser.

- To jest jedyne miejsce, gdzie nie możesz wchodzić - oświadczył. - Marsz z powrotem, no już!

- Przyszedłem do Mikala, Muszę się widzieć z Mikalem! - Anset podniósł głos tak, żeby usłyszano go w całym pokoju, w korytarzu, we wszystkich innych pomieszczeniach ochrony. I oczywiście zjawił się jeden z odźwiernych, który zapytał spokojnie i grzecznie, czym może służyć.

- Niczym - warknął gwardzista.

- Muszę się widzieć z Mikalem! - krzyknął Anset i w jego głosie zabrzmiała pieśń niepokoju, prośba o litość. Prośbom chłopca trudno było się oprzeć. Ale sługa nie zamierzał odmawiać. Po prostu zrobił zdumioną minę i zapytał gwardzistów:

- To nie wy go przyprowadziliście? Mikal go szuka.

- Szuka? - powtórzył gwardzista.

- Mikal chce go natychmiast widzieć w swoim pokoju. I bez straży.

Dowódca gwardzistów opuścił laser, podobnie jak pozostali.

- W porządku - powiedział odźwierny. - Tędy, Słowiku. Anset skinął głową gwardzistom, którzy z zakłopotaniem wzruszali ramionami i odwracali wzrok. Potem poszedł za odźwiernym.

Rozdział 20

Z mokrymi włosami, z tuniką oblepiającą wilgotne ciało, Anset doskonale pasował do wizerunku szaleńca. Nie był przygotowany na widok Mikala, szambelana i Riktorsa Ashena, jedynych obecnych w pokoju. Mikal był nad wyraz swobodny. Przywitał się z Ansetem uściskiem ręki, czego nigdy przedtem nie robił. Głos miał wręcz nieprzyzwoicie wesoły.

- Anset, mój synu, już wszystko dobrze. Głupotą było myśleć, że musimy cię odesłać. Kapitan jako jedyny w spisku znajdował się dostatecznie blisko, żeby dać ci sygnał. Po jego śmierci jestem zupełnie bezpieczny. Co więcej, jak to dzisiaj udowodniłeś, mój chłopcze, jesteś najlepszym ochroniarzem pod słońcem! - Mikal roześmiał się, a szambelan i Riktors Ashen zawtórowali mu, jakby nic ich nie martwiło, jakby nie mogli sobie wyobrazić szczęśliwszego zakończenia. Ale to wszystko brzmiało niewiarygodnie. Anset zbyt dobrze znał głos Mikala. W słowach imperatora dźwięczała ostrzegawcza nuta. Coś tu nie grało.

No tak, coś tu rzeczywiście nie grało i Anset natychmiast powiedział Mikalowi o swoich wnioskach.

- Mikalu, kiedy byłem uwięziony na łodzi, słyszałem na zewnątrz ptaki. Ptaki i nic więcej. Tylko ptaki. Ale kiedy byliśmy na łodzi na Delaware, słyszeliśmy śmiech dzieci na drodze i ślizgacz płynący po rzece! Nigdy mnie tam nie trzymali! To było oszustwo i dlatego zginął kapitan!

Ale Mikal tylko pokręcił głową i roześmiał się. Ten śmiech doprowadzał do szału. Anset chciał potrząsnąć imperatorem, ostrzec go, że ktokolwiek uknuł ten spisek, był sprytniejszy, niż przypuszczali, i wciąż przebywał na wolności...

Ale szambelan podszedł do niego z butelką wina, śmiejąc się zupełnie jak Mikal, a w jego głosie dźwięczała zdrada.

- Mniejsza z tym - oświadczył szambelan. - Ocaliłeś życie Mikala, chłopcze! Musimy to uczcić. Przyniosłem trochę wina. Anset, dlaczego nie nalejesz?

Anset zadygotał od wspomnień, które nie całkiem pojmował.

- Ja? - zapytał zdziwiony, a potem przestał się dziwić. Szambelan podał mu pełną butelkę i pusty kielich.

- Dla Mikala Imperatora - powiedział. Anset krzyknął i rzucił butelkę na podłogę.

- Każcie mu milczeć! - zażądał.

Gwałtowny ruch Anseta sprawił, że laser Riktorsa wyskoczył zza pasa i spoczął w jego dłoni. Riktors przyszedł do prywatnej kwatery Mikala uzbrojony, stwierdził Anset z ulgą.

- Nie pozwólcie szambelanowi mówić! - krzyknął.

- Dlaczego? - zapytał niewinnie Mikal, a Riktors opuścił laser; lecz Anset wiedział, że pytanie nie było niewinne. Mikal udawał, że nie rozumie. Anset pragnął zapaść się pod ziemię i uciec.

Lecz szambelan nie dał za wygraną. Powiedział szybko, nie-mai natarczywie:

- Dlaczego to zrobiłeś? Mam drugą butelkę. Słodki Słowiku, daj się napić Mikalowi!

Słowa wbiły się w mózg Anseta, który błyskawicznie, odruchowo odwrócił się do Mikala. Wiedział, co się dzieje, wiedział i jego umysł protestował niemym krzykiem. Ale ręce uniosły się wbrew jego woli, nogi ugięły się, ciało sprężyło się do skoku tak szybko, że nie mógł tego powstrzymać. Wiedział, że za niecałą sekundę jego ręka roztrzaska twarz Mikala, ukochaną twarz Mikala, pogodną twarz Mikala...

Mikal uśmiechał się do niego czule i bez strachu. Przez lata Kontrola pomagała Ansetowi ukrywać emocje. Teraz pomogła je wyrazić. Nie mógł, nie mógł, nie mógł skrzywdzić Mikala, a jednak coś mu kazało to zrobić, skoczył, uderzył...

Ale jego dłoń nie roztrzaskała twarzy Mikala. Zamiast tego uderzyła w podłogę, rozerwała powierzchnię i zanurzyła się w żelu, który trysnął z dziury. Skóra na ramieniu pękła od impetu; żel straszliwie palił ranę; kość bolała od wstrząsu. Lecz Anset nie czuł bólu. Odbierał tylko ból psychiczny, kiedy walczył z odruchem, który wciąż mu nakazywał: zabij Mikala, zabij Mikala.

Jego ciało uniosło się, ręka śmignęła w powietrzu i oparcie krzesła Mikala pękło pod ciosem. Fotel zadygotał i bluznął żelem, potem otwór sam się zasklepił. Z ręki Anseta również bluznęła krew, sikała strumieniem i rozlewała się na powierzchni żelu, który utworzył kałużę na sflaczałej, zapadniętej podłodze. Ale to była własna krew Anseta, nie Mikala. Anset krzyknął z radości, co zabrzmiało jak wrzask bólu.

Usłyszał odległy głos Mikala, mówiący: „Nie strzelajcie do niego”. I równie nagle, jak się pojawił, przymus zniknął. Ansetowi zakręciło się w głowie, kiedy dotarły do niego cichnące słowa szambelana: „Słowiku, coś ty zrobił!”

Te słowa zwróciły mu wolność.

Wyczerpany i zakrwawiony, Anset leżał na podłodze, brocząc krwią z prawego ramienia. Dopiero teraz poczuł ból i jęknął, ale jego pieśń niosła tyle samo triumfu co cierpienia. Jakimś cudem znalazł w sobie dostatecznie dużo siły, dostatecznie długo stawiał opór, żeby nie zabić ojca Mikala.

Wreszcie przekręcił się i usiadł, podtrzymując ramię. Krwawienie zmniejszyło się do powolnego kapania.

Mikal dalej siedział w fotelu, który sam się naprawił. Szambelan stał w tym samym miejscu, gdzie stał dziesięć sekund wcześniej, na początku akcji Ansseta; kielich w jego ręku wyglądał idiotycznie. Riktors celował do niego z lasera.

- Wezwij gwardię, kapitanie - rozkazał Mikal.

- Już wezwałem - odpowiedział Riktors. Guzik na jego pasie płonął silnym blaskiem. Gwardziści pospiesznie weszli do pokoju.

- Zabierzcie szambelana do celi - rozkazał im Riktors. - Jeśli cokolwiek mu się stanie, umrzecie wszyscy i wasze rodziny też. Zrozumiano?

Gwardziści zrozumieli. Byli to ludzie Riktorsa, nie szambelana. Nie było między nimi miłości.

Ansset podtrzymywał swoje ramię. Mikal i Riktors Ashen czekali, aż przyszedł lekarz i opatrzył ranę. Ból ustąpił. Lekarz wyszedł.

Riktors odezwał się pierwszy:

- Oczywiście wiedziałeś, że to był szambelan, mój panie. Mikal uśmiechnął się nieznacznie.

- Dlatego dałeś mu się przekonać, żeby sprowadzić tutaj Ansseta. Pozwoliłeś mu odkryć karty.

Uśmiech Mikala stał się szerszy.

- Ale, mój panie, tylko ty wiedziałeś, że Słowik będzie dostatecznie silny, żeby oprzeć się nakazowi, który wpajano mu przez pięć miesięcy.

Mikal zaśmiał się i tym razem Ansset usłyszał szczerą radość w jego głosie.

- Riktorsie Ashenie - powiedział Mikal. - Czy będą cię nazywali Riktors Wielki? A może Riktors Uzurpator?

Dopiero po chwili Riktors zrozumiał, co zostało powiedziane. Dopiero po chwili. Ale zanim jego dłoń sięgnęła do lasera, który znowu tkwił za pasem, ręka Mikala trzymała już laser wymierzony w serce kapitana.

- Ansset, mój synu, zechcesz odebrać laser kapitanowi?

Ansset wstał i odebrał laser kapitanowi. W głosie Mikala słyszał pieśń triumfu. Ale nie rozumiał. Co takiego zrobił Riktors? O tym człowieku Esste powiedziała, że ze wszystkich ludzi on najbardziej przypomina Mikala...

A Mikal podbił galaktykę. Och, Esste go ostrzegła, a on tylko nabrał większej pewności!

- Jeden jedyny błąd, Riktorze Ashenie - powiedział Mikal. - Poza tym świetna robota. I naprawdę nie widzę, w jaki sposób mogłeś uniknąć tego błędu.

- Chodzi ci o siłę Ansseta? - zapytał Riktors, usiłując mówić spokojnie, co mu się zadziwiająco dobrze udawało.

- Nawet ja na to nie liczyłem. Gotów byłem go zabić w razie potrzeby. - Te słowa nie zaboląły Ansseta. Wolałby umrzeć niż skrzywdzić Mikala i wiedział, że Mikal o tym wie.

- Więc nie popełniłem żadnych błędów - stwierdził Riktors. - Skąd wiedziałeś?

- Ponieważ mój szambelan, gdyby nie działał pod przymusem, nigdy nie odważyłby się sprzeczać ze mną, nie nalegałby, żeby zabrać Ansseta na tę głupią wojskową ekspedycję, nie śmiałby wymienić twojego nazwiska, kiedy zapytałem, kto powinien zostać nowym kapitanem gwardii. Ale musiałeś go zmusić, żeby zgłosił swoją kandydaturę, prawda? - bo gdybyś nie został kapitanem, nie miałbyś okazji przejąć władzy po mojej śmierci. Szambelan byłby oczywistym winowajcą, a ty zostałbyś bohaterem, który wkroczył w samą porę, żeby nie dopuścić do rozpadu imperium. Najlepszy możliwy początek panowania. Nie ciążyłby na tobie żaden zarzut zabójstwa. Oczywiście połowa imperium natychmiast podniosłaby bunt. Ale ty jesteś dobrym taktikiem i jeszcze lepszym strategiem, cieszysz się popularnością we flocie i wśród obywateli. Dawałem ci jedną szansę na cztery, że osiągniesz cel. A to więcej, niż dałbym komukolwiek innemu w imperium.

- Ja dawałem sobie równe szansę - rzucił swobodnie Riktors, ale teraz Ansset wyraźnie słyszał strach wyzierający spod odważnych słów. Dlaczego nie? Śmierć była teraz pewna, a Ansset nie znał nikogo, może oprócz takiego starego człowieka jak Mikal, kto potrafił przyjąć śmierć, zwłaszcza śmierć oznaczającą również porażkę, bez chociaż odrobiny strachu.

Ale Mikal nie nacisnął guzika na laserze. Nie wezwał gwardzistów.

- Zabij mnie teraz i skończmy z tym - powiedział Riktors, prosząc o honorową śmierć, chociaż wiedział, że na nią nie zasłużył.

Mikal odrzucił laser.

- Tym? Nie jest naładowany. Szambelan zainstalował wykrywacze ładunku nad każdymi drzwiami do mojej kwatery już piętnaście lat temu. Wiedzialby, gdybym był uzbrojony.

Riktors natychmiast postąpił krok do przodu, początek ataku na imperatora. Równie szybko Ansset poderwał się z miejsca pomimo zabandażowanego ramienia, gotów zabijać drugą ręką, stopami, zębami. Riktors zamarł.

- Ach - powiedział Mikal. - Nie miałeś czasu uczyć się u człowieka, który wyszkolił Ansseta. Cóż za strażnika mi podarowałaś, Riktorsie.

Ansset ledwie go słyszał. W uszach dźwięczały mu słowa Mikala: „Nie jest naładowany”. Więc jednak Mikal mu ufał. Mikal postawił w zakład własne życie, że Ansset nie ulegnie nakazowi. Ansset

chciał płakać z wdzięczności za takie zaufanie, z obawy przed straszliwym niebezpieczeństwem, którego ledwie uniknął. Zamiast tego stał spokojnie, poddany żelaznej Kontroli, gotów zareagować na pierwszy ruch Riktorsa.

- Riktorsie - ciągnął Mikal - popełniłeś jedynie drobne błędy. Mam nadzieję, że czegoś cię nauczyły. I kiedy zabójca, równie sprytny jak ty, dokona zamachu na twoje życie, będziesz znał wszystkich swoich wrogów i wszystkich sprzymierzeńców, których możesz wezwać, i będziesz dokładnie wiedział, czego możesz się spodziewać po każdym z nich.

Ansset spojrział na twarz Riktorsa i przypomniał sobie, jaki był zadowolony, kiedy wysoki żołnierz został kapitanem.

- Pozwól mi teraz go zabić - poprosił. Mikal westchnął.

- Nie zabijaj dla przyjemności, mój synu. Jeśli chociaż raz zabijesz dla przyjemności, znienawidzisz sam siebie. Poza tym czy nie słuchałeś? Zamierzam adoptować Riktorsa Ashena jako mojego spadkobiercę.

- Nie wierzę ci - oświadczył Riktors, lecz Ansset usłyszał nadzieję w jego głosie.

- Sprowadzę moich synów... kręcą się przy dworze, bo chcą być blisko, kiedy umrę - powiedział Mikal. - Każę im podpisać zobowiązanie, że uznają cię za mojego spadkobiercę. Oczywiście wszyscy podpiszą i oczywiście żaden nie dotrzyma słowa, i oczywiście każesz ich zabić przy pierwszej sposobności, jak tylko zasiądziesz na tronie. Gdyby któryś z nich miał trochę rozumu, wyjechałby na drugi koniec galaktyki. Ale wątpię, czy wystarczy im rozsądku. Na kiedy zaplanujemy twoją koronację? Trzy tygodnie od jutra to dostatecznie długi termin. Abdykuję na twoją korzyść, podpiszę wszystkie papiery, znajdziesz się na pierwszych stronach gazet. Już widzę, jak wszyscy potencjalni buntownicy wyrrywają sobie włosy ze złości. Ten przyjemny obrazek chcę zabrać ze sobą.

Ansset nic nie rozumiał.

- Dlaczego? On próbował cię zabić!

Mikal tylko się roześmiał. Riktors Ashen odpowiedział zamiast niego:

- On myśli, że potrafię utrzymać imperium w całości. Ale chcę znać cenę.

- Cenę? Co możesz mi dać, Riktorsie, czego i tak nie odebrałbyś z powrotem? Czekałem na ciebie przez sześćdziesiąt lat. Siedemdziesiąt lat, Riktorsie. Ciągle myślałem: na pewno znajdzie się ktoś, kto pożąda mojej władzy i ma dość siły i rozumu, żeby po nią przyjść. I wreszcie przyszedłeś. Dopilnujesz, żeby wszystko, co zbudowałem, nie poszło na marne. Żeby nie rozleciało się jak domek z kart natychmiast, kiedy tylko mnie zabraknie. Nie chcę od ciebie niczego, tylko domu dla mnie i dla mojego Słowika. Oczywiście na Ziemi, żebyś mógł mnie pilnować. I pod zmienionym nazwiskiem, żeby mnie nie nachodzili różni dranie szukający mojej pomocy, żeby cię zrzucić z tronu. A po mojej śmierci odeślesz Ansseta do domu. Proste?

- Zgadzam się - powiedział Riktors.
- Bardzo rozsądnie - stwierdził Mikal i wybuchnął śmiechem.

Rozdział 21

Złożono przysięgi, abdykacja i koronacja odbyły się z wielką pompą, a restauratorzy i hotelarze z Susquehanny wzbogacili się ponad najśmielsze oczekiwania. Wszystkich rywali i pretendentów wyrznięto, po czym Riktors spędził rok na podróżach z systemu do systemu, gdzie tłumiał wszelkie rebelie za pomocą własnej mieszanki brutalności i współczucia. Po spacyfikowaniu kilku pierwszych planet, wymordowaniu rebeliantów i zaspokojeniu potrzeb ludności, większość pozostałych rebelii sama wygasła.

Minął zaledwie dzień, odkąd gazety ogłosiły powrót Riktorsa Ashena, kiedy żołnierze pojawili się przed drzwiami małego domku w Brazylii, gdzie mieszkali Mikal i Anset.

- Jak on mógł! - krzyknął gniewnie Anset, kiedy zobaczył przed domem żołnierzy. - Przecież dał słowo!

- Otwórz im drzwi, mój synu - nakazał Mikal.

- Oni przyszli cię zabić!

- Rok to więcej, niż się spodziewałem. Miałem ten rok. Naprawdę myślałeś, że Riktors dotrzyma słowa? W galaktyce nie ma miejsca na dwie głowy, które znają ciężar imperialnej korony.

- Mogę zabić większość z nich, zanim do ciebie podejda. Gdybyś się ukrył...

- Nie zabijaj nikogo, Anset. To nie twoja pieśń. Taniec twoich rąk jest brzydki bez pieśni w twoim głosie, Słowiku.

Żołnierze zaczęli walić w drzwi, które nie poddawały się łatwo, ponieważ były ze stali.

- Za minutę wyłamią drzwi - powiedział Mikal. - Obiecuj mi, że nikogo nie zabijesz. Nikogo. Proszę. Nie mścij się za mnie.

- Pomszczę cię.

- Nie mścij mnie. Przysięgnij. Na własne życie. Na twoją miłość do mnie.

Ansset przysiągł. Drzwi stanęły otworem. Żołnierze zabili Mikala ogniem laserów, który obrócił jego skórę w popiół. Strzelali, dopóki nie zostało nic prócz popiołu. Potem zebrali popiół Ansset dotrzymał przysięgi, ale żałował z całego serca że nie posiada w swoim umyśle muru, za którym mógłby się ukryć. Niestety był zbyt zdrowy psychicznie.

Rozdział 22

Zabrali dwunastoletniego Ansseta i popioły Mikala do Susquehanny. Popioły umieszczono w wielkiej urnie i wystawiono na pokaz ze wszystkim honorami. Ludziom powiedziano, że Mikal zmarł ze starości, i nikt nie śmiał tego kwestionować.

Zabrali Ansseta na stypę pod ścisłą strażą, z obawy przed tym, czego mogły dokonać jego ręce.

Po posiłku, podczas którego wszyscy udawali smutek, Riktors przywołał do siebie Ansseta. Gwardziści ruszyli za nim, ale

Riktors odprawił ich machnięciem ręki. Korona spoczywała lekko na jego włosach.

- Wiem, że jestem przy tobie bezpieczny - powiedział Riktors.

- Jesteś podłym kłamcą - odparł Ansset cicho, żeby tylko Riktors go usłyszał - i gdybym nie dał słowa komuś lepszemu od ciebie, rozerwałbym cię na pół.

- Gdybym nie był podłym kłamcą - uśmiechnął się Riktors - Mikal nigdy nie oddałby mi imperium.

Potem Riktors wstał.

- Przyjaciele - przemówił, a dygnitarze nagrodzili go oklaskami. - Od tej chwili nazywam się nie Riktors Ashen, ale Riktors Mikal. Nazwisko Mikala przejmą wszyscy moi następcy, na cześć

człowieka, który zbudował to imperium i przyniósł pokój całej ludzkości. - Usiadł wśród oklasków i wiewatów, które brzmiały nawet dość szczerze. Była to całkiem niezła mowa, jak na improwizację.

Potem Riktors poprosił Ansseta o śpiew.

- Wolę umrzeć - odparł Ansset.

- Umrzesz, kiedy przyjdzie czas. Teraz śpiewaj... pieśń, którą Mikal chciałby usłyszeć na swoim pogrzebie.

Więc Ansset zaśpiewał stojąc na stole, żeby wszyscy go widzieli, zupełnie jak podczas ostatniej nocy niewoli na łodzi, kiedy śpiewał dla publiczności, której nienawidził. Zaśpiewał bez słów, ponieważ wszelkie możliwe słowa tej pieśni oznaczałyby zdradę i poderwałyby publiczność do buntu przeciw Riktorsowi. Dlatego Ansset zaśpiewał samą melodię, łagodnie przechodzącą z tonacji w tonację, i z bólem wydzierał z gardła każdą nutę, a każda nuta sprawiała słuchaczom jeszcze słodszy ból.

Pieśń przerwała bankiet, ponieważ biesiadnicy pogrążyli się w smutku, jaki przedtem tylko udawali. Wielu wróciło do domu z płaczem; wszyscy boleśnie odczuli stratę człowieka, którego prochy spoczywały na dnie urny.

Tylko Riktors został przy stole, kiedy pieśń dobiegła końca.

- Teraz - powiedział Ansset - oni nigdy nie zapomną ojca Mikala.

- Ani Słowika Mikala - dodał Riktors. - Ale teraz ja jestem Mikalem, wszystkim, co po nim zostało. Imieniem i imperium.

- Nie ma w tobie nic z ojca Mikala - zimno powiedział Ansset.

- Nie ma? - powtórzył miękko Riktors. - Czy zwiodło cię publiczne okrucieństwo Mikala? Nie, Słowiku. - W jego głosie Ansset usłyszał cień bólu, ukrytego za fasadą twardego, bezlitosnego imperatora.

- Zostań i śpiewaj dla mnie, Słowiku - zaproponował Riktors. Prośba drżała na krawędziach słów.

- Przydzielono mnie do Mikala, nie do ciebie - powiedział Ansset. - Muszę wracać do domu.

- Nie - zaprzeczył Riktors, sięgnął pod ubranie i wyciągnął list. Ansset przeczytał. List, napisany charakterem pisma Esste, informował go, że jeśli sobie życzy, Dom Pieśni przydzielili go Riktorsowi. Ansset nie rozumiał. Ale wiadomość była wyraźna, charakter pisma niewątpliwie należał do Esste. Zaufał Esste, kiedy kazała mu pokochać Mikala. Zaufa jej także teraz.

Ansset wyciągnął rękę i dotknął urny z popiołami, stojącej na stole.

- Nigdy cię nie pokocham - powiedział, pragnąc zranić Riktorsa.

- Ani ja ciebie - odparł Riktors. - Niemniej możemy dać sobie nawzajem coś, czego obaj pragniemy.

Czy Mikal sypiał z tobą?

- Nigdy nie próbował. Nigdy mu nie proponowałem.

- Ja też nie będę próbował - zapewnił Riktors. - Chcę tylko słuchać twoich pieśni.

Ansset nie odnalazł w sobie głosu, żeby oznajmić swoją decyzję. W milczeniu kiwnął głową. Riktors miał dość taktu, żeby powstrzymać uśmiech. On również kiwnął głową i wstał od stołu. Zanim dotarł do drzwi, dogonił go głos Ansseta.

- Co z tym zrobisz?

Riktors spojrział na urnę, na której spoczywała dłoń Ansseta.

- Prochy należą do ciebie. Zrób z nimi, co chcesz. - Potem Riktors Mikal wyszedł.

Ansset zabrał urnę z popiołami do pokoju, gdzie on i ojciec Mikal śpiewali sobie tak wiele pieśni. Długo stał przed kominkiem, nucąc zapamiętane melodie. Zwrócił wszystkie piosenki ojcu Mikalowi, a potem z miłością wysypał zawartość urny prosto w buzujące płomienie.

Popioły zgasiły ogień.

Rozdział 23

- Przemiana jest całkowita - powiedział Mistrz Pieśni Onn do Mistrzynie Pieśni Esste, jak tylko zamknęły się drzwi do Wysokiej Sali.

- Tego się obawiałam - wyznała Esste cicho, drżącą melodią. - Riktors Ashen to mądry człowiek. Ale pieśni Ansseta są silniejsze niż mądrość.

Usiedli razem w zimnym blasku słońca, przefiltrowanym przez okiennice w Wysokiej Sali.

- Ach - zanucił Mistrz Onn melodię miłości do Mistrzynie Esste.

- Nie pochlebiaj mi. To Ansset posiada talent i moc.

- Ale Esste była nauczycielką. W innych rękach Anset mógł stać się narzędziem dla zdobycia władzy, bogactwa. Albo gorzej, mógł się zmarnować. Ale w twoich rękach...
- Nie, bracie Onn. Anset ma w sobie zbyt wiele miłości i lojalności. Każe innym pragnąć tego, czym jest on sam. On jest narzędziem, którego nie można użyć do złych celów.
- Czy kiedyś pozna prawdę?
- Może; na razie chyba nie podejrzewa siły swojego talentu. Lepiej, jeśli nigdy się nie dowie, jak bardzo się różni od innych Słowików. A ta ostatnia blokada w jego umyśle... założyliśmy ją starannie. Nigdy jej nie pokona, więc nigdy nie odkryje, kto włożył koronę na głowę Riktorsa. Nawet nie będzie zadawał takiego pytania.
- Mistrz Pieśni Onn zaśpiewał drżąc o delikatnych wzorach wplecionych w umysł pięciolatka, sześciolatka, dziewięciolatka; wzorach, które mogły się rozpleść w każdej chwili.
- Ale tkaczka działała mądrze i splot wytrzymał.
- Mikal Zdobywca - powiedziała Esste - nauczył się kochać pokój bardziej, niż kochał samego siebie. Riktors Mikal też się nauczy. To wystarczy. Spełniliśmy nasz obowiązek wobec ludzkości. Teraz musimy uczyć innych małych śpiewaków.
- Znowu stare pieśni - westchnął Mistrz Onn.
- Nie - zaprzeczyła Mistrzynie Esste z uśmiechem. - Nauczymy ich pieśni o Słowiku Mikala.
- Anset zaśpiewał już tę pieśń lepiej, niż my potrafimy.
- Więc będziemy mu akompaniować! - szepnęła Mistrzynie Esste, kiedy powoli wyszli z Wysokiej Sali. Ich śmiech spłynął po schodach muzyczną kaskadą.

JOSIF

Rozdział 1

Kya-Kya miała zbyt chude ramiona. Zauważyła to ponownie, kiedy dotknęła klawiszy na swoim komputerowym terminalu; gdyby musiała podnieść coś ciężkiego, złamałaby sobie ręce. Nie jestem stworzona do dźwigania ciężarów, napomniała samą siebie Kya-Kya. Nie wyglądam na poważną osobę i dlatego zaprzęgnięto mnie do takiej niepoważnej pracy.

Już wcześniej podpierała się tym racjonalnym wytłumaczeniem, chociaż wierzyła w nie tylko połowicznie. Ukończyła Rządowy Instytut w Princeton z czwartą najwyższą lokatą w historii szkoły; a kiedy próbowała znaleźć pracę, zamiast zalewu prestiżowych ofert musiała wybierać pomiędzy posadą komputerowego operatora w Centrum Informatycznym w Tegucigalpie albo stanowiskiem zarządcy miasta na jakiejś zapomnianej planecie, której nawet nie znalazła na gwiazdnych mapach. „To tylko praktyka”, powiedział jej doradca. „Kiedy się wykażesz, od razu awansujesz”. Ale Kya-Kya czuła, że nawet doradca nie wierzył we własne słowa. Jakim cudem mogła się wykazać w Tegucigalpie? Pracowała w Opiece Społecznej, Emeryturach, Ubezpieczeniach Socjalnych. A jej wydział nie miał zasięgu imperialnego - tylko planetarny. Ziemia, akurat Ziemia, która może i była stolicą wszechświata, ale w gruncie rzeczy pozostała prowincjonalną dziurą.

Gdyby tylko Kya-Kya potrafiła przekonać samą siebie, że nie dostała lepszej pracy z powodu własnej niekompetencji, słabości, nieodpowiedzialności, czy dlatego, że zrobiła złe wrażenie - mogłaby wtedy uwierzyć, że poprawi swoją sytuację, jeśli udowodni własną siłę, kompetencję i odpowiedzialność. Ale nie miała złudzeń. W Domu Pieśni najpierw Głusi, a w następnej kolejności Ślepi odgrywali drugorzędne i trzeciorzędne role w społeczności. Tutaj, na Ziemi, dyskryminacja dotyczyła młodych, zdolnych, kobiet.

I chociaż młodość sama przeminie, Kya-Kya nie mogła nic poradzić na własną płęć - transseksualizm spotykał się z jeszcze większym potępieniem. A jej zdolności, które rząd powinien wysoko cenić, czyniły z niej obiekt zazdrości, nienawiści, nawet strachu.

Pracowała tutaj już trzeci tydzień i dzisiaj wreszcie miarka się przebrała. Obowiązki służbowe zabierały jej najwyżej jedną trzecią czasu - jeśli umyślnie zwalniała tempo. Więc zaczęła próbować (pod pretekstem, że powinna udowodnić swoje kwalifikacje) dowiedzieć się więcej o systemie, zrozumieć ogólne funkcje wszystkiego, sposoby połączenia wszystkich systemów danych.

- Kto programuje komputery? - zapytała niewinnie Warvela, naczelnika Emerytur.

Warvel zirytował się - nie lubił, kiedy mu przeszkadzano.

- My wszyscy - odparł i natychmiast odwrócił się z powrotem do biurka, gdzie na całej powierzchni tańczyły cyfry pokazujące dokładnie, co się dzieje przy każdym biurku w wydziale.

- Ale kto - upierała się Kya-Kya - zapoczątkował taką metodę pracy? Kto pierwszy je zaprogramował?

Warvel jeszcze bardziej się zirytował. Zmierzył ją gniewnym wzrokiem i rzucił ostro:

- Kiedy będę organizował projekt badawczy, wyznaczę cię do tego tematu. Ale na razie twoim zadaniem jest dopasowanie tabel inflacyjnych do grup emerytalnych, ponieważ rok budżetowy zaczyna się już za sześć miesięcy, a kiedy stoisz przy moim biurku, Kyaren, to znaczy, że ani ty, ani ja nie wykonujemy swojej roboty!

Kya-Kya czekała przez chwilę, patrząc na lekko łysiejący czubek głowy Warvela, który bawił się numerami na swoim biurku, pytając komputer o procedury wyszukiwania. Nie rozumiała, dlaczego odpowiedział tak gwałtownie, takim obronnym tonem, zupełnie jakby go zapytała, czy to prawda, że w wieku pięciu lat został przypadkowo wykastrowany na placu zabaw. Kiedy zauważył, że dziewczyna wciąż stoi obok, wyciągnął rękę i pokazał miejsce na swoim biurku, gdzie nie pojawiały się żadne cyfry.

- Widzisz to puste miejsce? - zapytał. - Tak.

- To ty. To praca, którą właśnie wykonujesz.

Więc Kya-Kya wróciła do biurka i znowu uniosła wątle ramiona nad terminalem, żeby wystukiwać liczby wątlymi palcami, i poczuła się jeszcze słabsza i mniejsza niż przedtem.

Nie chodziło tylko o Warvela czy tylko o pracę. Od pierwszej chwili odnosiła wrażenie, że żaden z kolegów nie zamierza zawierać z nią znajomości. Nikt nie nawiązywał z nią rozmowy; nie mogła zrozumieć biurowych dowcipów; ludzie milkli, kiedy podchodziła do stołu w jadalni albo do fontanny w hallu. Początkowo - i nadal - wierzyła, że to jej młodość i kruchość stanowią przeszkodę w nawiązywaniu przyjaźni. Ale w głębi duszy przez cały czas знаła przyczynę: ponieważ była ambitną kobietą i celująco ukończyła najlepszą szkołę na planecie, ponieważ była ciekawa, chciała się uczyć i zdobywać najwyższe kwalifikacje, co zagrażało im wszystkim, stawiało ich w złym świetle.

Drobni biurokraci z małymi mózdkami, powtarzała sobie, waląc w klawiaturę komputera. Podrzędne umysły kierujące podrzędną planetą, lękające się każdego, w kim wyczuwają potencjalną wielkość - albo nawet potencjalną przeciętność.

Wszyscy obserwowali jej powrót do biurka po incydencie z Warvelem. Nawet kobiety mierzyły ją wzrokiem z pogardą typową dla Ziemianek, jakby oceniając jej ciało wyrażały swoją opinię o jej duszy i umyśle. Na żadnej twarzy nie pojawiło się współczucie.

Kya-Kya przestała walić w klawisze i próbowała się opanować. W ten sposób do niczego nie dojdiesz, Kyaren, powiedziała sobie. Musisz się postarać, musisz dać z siebie wszystko i czekać na jakąś zmianę, na okazję do zabłyśnięcia.

Terminal jaśniał przed nią równym blaskiem, stałym jak jej ambicje, oślepiającym jak jej strach. Nie mogła dłużej skupić na nim uwagi. Więc wystukała przerwę na lunch, otrzymała zezwolenie - w jadalni było dość czynnych stolików - i odeszła od biurka. Znowu wszyscy odprowadzali ją wzrokiem, a wychodząc słyszała początek rozmowy. Podczas jej obecności w biurze zawsze

panowało nieznośne milczenie; po jej wyjściu nastrój zaraz się poprawiał.

Tamtego dnia w jadalni poznała Josifa.

Do największych zalet Tegucigalpy należało położenie. Centrum Informacyjne było niemal niewidoczne z powietrza - na wszystkich dachach zasadzono taką samą roślinność, jaka bujnie krzewiła się na wzgórzach. Sam kompleks stanowił cud zieleni i szkła; ogromne przejrzyste ściany lśniły w słońcu, setki budynków wznosiły się na dwadzieścia, czterdzieści lub osiemdziesiąt metrów. Jadalnia znajdowała się na skraju zbocza, skąd roztaczał się widok prawie na cały kompleks, widać było nawet wioskę, jedyną pozostałość po starożytnym mieście. Kya-Kya, a raczej Kyaren - kiedy się dowiedziała, że będzie pracowała na Ziemi, zmieniła nazwisko, żeby brzmiało bardziej swojsko - zabrała jedzenie z podajnika i niosąc tacę do wolnego stolika, obserwowała jaskrawo upierzonego ptaka, który sfrunął z dachu Wydziału Dochodów i wylądował na małej wysepce na rzece Chultick. Dzięki stworzenie, żyjące w całkowicie dzikim środowisku, przeleciało przed szybą, za którą dziesiątki ludzi wysysało informacje z komputerów, przeżuwało je i wypluwało z powrotem. Dżungla - i elektryczność ukryta wśród drzew, zawierająca całą wiedzę świata.

Pochłonięta obserwacją ptaka i rozmyślaniami o kontrastach, nie zauważyła, że Josif postawił swoją tacę na stoliku. Oczywiście Josif zachowywał się cicho - milczący jak statystyka, powiedziała mu później. Ale patrząc, jak ptak podskakuje na piasku w pozornie bezcelowym tańcu, nagle poczuła na sobie czyjś wzrok.

Odwróciła się i zobaczyła Josifa. Głębokie, lecz pozornie szczere spojrzenie, delikatne rysy i wiecznie uśmiechnięte usta, jakby ten mężczyzna znał jakiś żart, niezbyt śmieszny, którego nie chciał nikomu opowiedzieć.

- Słyszałem, że dzisiaj Warvel zjadł cię żywcem.

Plotki szybko się rozchodzą, pomyślała Kya-Kya - ale pochlebilo jej, że ktoś zupełnie obcy okazał jej zainteresowanie; mimo woli ucieszyła się, że może z kimś porozmawiać nie tylko o sprawach zawodowych.

- Przeżuł mnie - powiedziała - ale jeszcze nie połknął.

- Zauważyłem cię - uśmiechnął się Josif.

- Ja nigdy ciebie nie zauważyłam - odparła Kyaren, chociaż nie mówiła całej prawdy. Widywała go czasami - pracował w Statystyce, Wydział Demograficzny, Sekcja Zgonów, mieszczącej się piętro niżej pod jej biurem. Po prostu jej nie obchodził. Kya-Kya wychowała się w Domu Pieśni, gdzie stały kontakt z płcią przeciwną zmniejszył jej wrażliwość na męskie uroki. Przelotnie zastanowiła się: Czy on jest przystojny? Czy jest atrakcyjny? Nie miała pewności. Przynajmniej interesujący. Oczywiście, które wyglądały tak niewinnie, usta, które wyglądały tak zmysłowo.

- Owszem, zauważyłaś - odparł Josif, wciąż z uśmiechem. - Jesteś wyrzutkiem.

Więc to było oczywiste; rozgniewały ją te słowa.

- Czyżby? - warknęła.

- Mamy ze sobą coś wspólnego. Oboje jesteśmy wyrzutkami. Typowy tekst na podrywkę. Kyaren westchnęła. Nauczyła

się bronić przed podrywkami - znudzeni studenci często próbowali ją uwodzić dla zabicia czasu. Raz czy dwa się zgodziła. Zawsze potem żałowała.

- Mając tak niewiele wspólnego, raczej nie zostaniemy przyjaciółmi. - Z powrotem zabrała się do jedzenia.

- Przyjaciółmi? Powinniśmy zostać wrogami - odparł Josif. - Możemy sobie pomóc, dopóki nienawidzimy się nawzajem.

Nie mogła się opanować. Podniosła głowę znad lunchu. Tylko dlatego, tłumaczyła sobie, że miała dość potraw zabarwionych lokalnym kolorytem - honduraskie jedzenie smakowało paskudnie. Odepchnęła tacę, odchyliła się na oparcie krzesła i czekała, co jeszcze powie Josif.

- Widzisz - ciągnął, zdobywszy uwagę słuchacza - kiedy mnie odrzucasz, masz tę satysfakcję, że czujesz się członkiem większości. To znaczy, że wprawdzie sama nie pasujesz, ale wiesz cholernie dobrze, kto odstaje.

Mimo woli parsknęła śmiechem, a on przechylił głowę i popatrzył na nią.

- Tyle co do teorii zimnej suki - skwitował.

- Powinieneś mnie zobaczyć w łóżku - zażartowała Kyaren, a potem zorientowała się ze zdumieniem, że zamiast ostudzić jego zapasy, sama zrobiła aluzję do seksu. On jednakże nie wykorzystał oczywistej okazji i zmienił temat.

- Popełniłaś dzisiaj duży błąd, że pytałaś Warvela o historię. Skąd miał wiedzieć? On nie zauważy wojny, nawet gdyby stanął na polu bitwy. Dla niego nie istnieją wydarzenia, jedynie trendy. To statystyczna krótkowzroczność, choroba endemiczna dla naszego zawodu.

- Ja tylko chciałam wiedzieć. Jak to wszystko działa. Niepotrzebnie to rozdmuchał. Zadziwiające, jak szybko rozchodzą się plotki.

Josif uśmiechnął się do niej, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Zniosła ten gest, chociaż nie przepadała za intymnym dotykiem.

- Strasznie się nudzę, a ty nie? - zapytał. - No wiesz, nudzi mnie ten cały interes.

Kiwnęła głową.

- Do cholery, kogo to wszystko obchodzi? Trzeba to robić, tak samo jak czyścić ścieki i uczyć dzieci czytania, ale nikt tego nie lubi.

- Ja lubię - sprzeciwiła się Kyaren. - Przynajmniej lubiłabym na wyższym poziomie.
- Wyższym niż co?
- Niż wprowadzanie do komputera danych o emeryturach.
- Nawet piętnaście szczebli wyżej też siedzą same głupki.
- Nie ja - zaprotestowała Kyaren, a potem zorientowała się, że protestuje zbyt gwałtownie. Czy naprawdę chciała zwierzyć się ze swoich ambicji temu chłopcu?
- A co, jesteś odporna na głupotę? Każdy, kto pozwala sobie decydować o życiu innych ludzi, jest durniem. - Josif roześmiał się z pewnym zakłopotaniem i wykonał ruch, jakby nakładał maskę na twarz, która ponownie przybrała niewinny, frywolny wyraz, bez odrobiny głębszych emocji, jakby rzeczywiście nałożył maskę.
- Nudzę cię - powiedział.
- Jakim cudem? Jesteś pierwszą osobą od trzech tygodni, która rozmawia ze mną o czymś innym niż statystyka.
- Wiesz, to dlatego, że cuchniesz kompetencją. Już na tydzień przed twoim przyjazdem wszyscy słyszeli o twoich wynikach na egzaminach w Princeton. Imponujące. Wszyscy byliśmy nastawieni przeciwko tobie.
- Teraz mówisz: „byliśmy”. Więc jednak przynależysz do grupy?

Josif pokręcił głową, jego twarz spoważniała.

- Nie. Ale z innych przyczyn niż ty. Ciebie odrzucają, bo jesteś od nich lepsza, bo się ciebie boją. Mnie odrzucają, ponieważ nie zasługuję nawet na pogardę.

Kiedy to powiedział, Kyaren zrozumiała, że sam wierzył w taką ocenę własnej osoby. Zrozumiała również, że jeśli pozwoli na przedłużanie rozmowy, nie pozbędzie się łatwo tego człowieka.

- Dziękuję za towarzystwo przy lunchu - powiedziała. -Chociaż wolę, żebyś nie przyzwyczajał się do mnie.

Zrobił zdziwioną minę.

- Co ja takiego powiedziałem? Dlaczego jesteś wściekła? Uśmiechnęła się zimno.

- Nie jestem wściekła - odparła swoim najlepszym „nie-zaciągniesz-mnie-do-łóżka” głosem, wystarczającym do zamrożenia tropikalnej rzeki. Wyobraziła sobie sople zwisające z nosa Josifa, kiedy odwróciła się do niego plecami, wyszła z jadalni i natychmiast tego pożałowała. Od tygodni nie nawiązała z nikim równie bliskiego kontaktu. Właściwie od lat - żadna z osób, które poznała w Princeton, nie okazywała jej tyle sympatii co on. A ona go odtrąciła, nawet nie znając jego imienia.

Nie wiedziała, że za nią idzie, dopóki nie dogonił jej w szklanym korytarzu, przecinającym pas dżungli pomiędzy jadalnią a budynkami biurowymi. Chwycił ją za ramię dostatecznie mocno, żeby nie mogła łatwo się wyrwać, ale nie tak mocno, żeby tego chciała. Nie zwolniła, ale on doskonale się dopasował do rytmu jej kroków.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Czego? - zapytała chłodno.

- Tego, że nie zostaniemy przyjaciółmi. Wiesz, potrzebuję przyjaciela. Nawet takiej zimnej, podejrzliwej, śmiertelnie wystraszonej paniusi jak ty. Chociaż oczywiście prowadzisz tak bogate życie towarzyskie, że najwcześniej za kilka miesięcy znajdziesz w terminarzu wolny wieczór, który możesz spędzić ze mną.

Odwróciła się do niego, bardziej odruchowo niż świadomie gotowa go odepchnąć, uwolnić ramię i samotnie wrócić do biura. Ale mimowolny uśmiech zepsuł cały efekt - w milczeniu usiłowała zgasić ten uśmiech, a on przedrzeźniał ją, komicznie krzywiąc twarz i próbując zrobić groźną minę, ale bez powodzenia. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Jestem Josif - powiedział. - Ty jesteś Kyaren, zgadza się? Przytaknęła, walcząc z chęcią do śmiechu.

- Udawajmy, że w twoich oczach jestem coś wart. Udawajmy, że chcesz spotkać się ze mną wieczorem. Udawajmy, że podasz mi numer twojego pokoju i pójdziemy na spacer po Strefie, żebyś nie myślała, że próbuję cię zaciągnąć do łóżka. Udawajmy, że mi ufasz.

Zaczęła udawać. To nie było trudne.

- Trzydzieści dwa siedemnaście - powiedziała. Josif puścił jej ramię i samotnie wróciła do biura, dziwnie rozradowana, zapomniawszy o porannej upokarzającej reprimendzie Warvela. Po raz pierwszy od przyjazdu na Ziemię poczuła do kogoś prawdziwą sympatię. Niezbyt wielką, ale wystarczającą, żeby spędzić z nim zabawny wieczór. Nawet miała ochotę się zabawić, chociaż nie bardzo wiedziała, na czym właściwie polega zabawa.

Co najdziwniejsze, siedziała przy komputerze zaledwie od kilku minut, kiedy jedna ze współpracowniczek, podobna do papugi kobieta, która wykonywała ekspertyzy ubezpieczeniowe dla całej populacji, podeszła do jej biurka i usiadła na krawędzi.

- Kyaren - powiedziała.

- Tak? - rzuciła podejrzliwie Kyaren, przygotowana na otwartą wrogość, chociaż w głębi duszy miała nadzieję na przyjacielską pogawędkę - akurat była w odpowiednim nastroju.

- Ten drań ze Zgonów, Josif. - Tak?

- Przyjacielskie ostrzeżenie. Nie zadawaj się z nim.

- Dlaczego?

Papuga nastroszyła się - widocznie nie przywykła, żeby ją wypytywano, kiedy dawała nieproszone rady.

- Bo to dziwka.

Kyaren zdążyła sobie wyrobić tak odmienną opinię o Josifie, że tylko zapytała ze zdumieniem:

- Co?

- Słyszałaś.

- Ale... on niczego nie próbował, niczego nie proponował.

- Nie tobie - odparła papuga, niecierpliwie przewracając oczami. - Jesteś kobietą.

Potem wstała i odeszła do własnego biurka, a Kyaren dalej wstukiwiała pieniądze w życie starych ludzi, zastanawiając się, czy to prawda, wmawiając sobie, że to nie robi różnicy, czując, że wizerunek Josifa jako homoseksualnej prostytutki całkowicie zniszczył radość z kwadransa spędzonego w jego towarzystwie.

Kusiło ją, żeby nie odpowiedzieć, kiedy usłyszała jego głos za drzwiami. Nie ma mnie, pomyślała. Nie dla ciebie.

Ale kiedy odezwał się ponownie, musiała wstać z łóżka i otworzyć drzwi. Tylko zęby go zobaczyć i przekonać się, czy to prawda.

- Cześć - powiedział uśmiechnięty Josif. Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jedno pytanie. Prawda albo kłamstwo. Czy jesteś homo-seksualną dziwką?

Jego twarz stała się brzydka, nie odpowiadał przez chwilę. Wreszcie odezwał się cicho:

- Widzisz? Nie musisz należeć do grupy, żeby obrzucić kogoś błotem.

Nie zaprzeczył, a ona zawsze czuła pogardę dla ludzi, którzy się sprzedawali. Zaczęła zamykać drzwi.

- Zaczekaj chwilę - poprosił.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Zadałaś dwa pytania.

- No dobrze - ustąpiła.

- Nie jestem dziwką - powiedział. - A to drugie gwarantuje, że z mojej strony nic ci nie grozi,

prawda?

To wszystko było wstrętne. Dzisiaj spotkało ją coś miłego, ale teraz mogła o nim myśleć jedynie w seksualnym kontekście. Oczywiście słyszała o homoseksualizmie; w wyobraźni postrzegała akt pomiędzy dwoma mężczyznami jako coś wstrętnego, a teraz mimo woli wciąż wyobrażała sobie Josifa podczas tego aktu. Budził w niej odrazę. Jego smukłość, delikatna twarz, niewinne oczy - były kłamliwe, zwodnicze, odpychające.

- Przepraszam - powiedziała. - Chcę zostać sama.

- Nie, nie chcesz - powiedział.

- Wiem, czego chcę.

- Nie, nie wiesz.

- No, jeśli sama nie wiem, ty na pewno nie wiesz.

- Owszem, wiem. - Ostrożnie pchnął skrzydło drzwi, prześliznął się pod jej ramieniem i wszedł do pokoju.

- Możesz wyjść - powiedziała.

- Mogę - zgodził się potulnie, siadając na krawędzi łóżka, jedyne duże meble w pokoju.

Kyaren ostentacyjnie usiadła na krześle.

- Kyaren - zaczął. - Dzisiaj mnie polubiłaś.

- Wcale nie - zaprzeczyła. A ponieważ wiedziała, że kłamie, ciągnęła z uporem: - Wcale cię nie polubiłam. Byłeś natrętny i nieznośny, narzuciłeś mi swoje towarzystwo.

- Daj spokój, przecież jesteśmy statystykami - odparł. - Nic nie jest całkowite. Powiedzmy, że byłem natrętny w siedemdziesięciu procentach, a ty na sześćdziesiąt procent nie chciałaś mojego towarzystwa. Spędzę z tobą tylko dziesięć procent nocy, więc zostaje nam spory margines. Skoncentruj się na tym, że mnie lubisz. Na przykład ja przymknąłem oko na fakt, że jesteś małostkowa jak flota imperialna. Z pewnością ty możesz przymknąć oko na fakt, że robię zboczone rzeczy. Tobie nic nie zrobię.

- Dlaczego mnie napastujesz?

- Wierz mi, nie chciałem być napastliwy.

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Patrzył na nią przez długą chwilę; potem łzy napłynęły mu do oczu, a twarz przybrała niewinny, bezbronny wyraz.

- Ponieważ - powiedział cicho - wciąż mam nadzieję, że nie zawsze będę jedyną ludzką istotą w tym zoo.

- Traktuj mnie jak jeszcze jedno zwierzę - odparła.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo jesteś czymś więcej.

Nie mogła pozostać obojętna na jego spojrzenie, oczy zaszkłone od łez. Czy to gra? Czy to tylko wyjątkowo skomplikowana podrywka? Potem zorientowała się, że jemu pewnie nie zależało na tym, na czym zwykle zależało podrywaczom.

- Czego chcesz?

Rozmyślnie przekręcił sens pytania. Z czystej przekory odpowiedział błędnie, a jednak zupełnie prawidłowo, pomyślała Kyaren.

- Chcę żyć wiecznie. Próbowała mu przerwać.

- Nie, chodziło mi o to...

Ale on nie pozwolił sobie przerwać. Podniósł głos, wstał z łóżka i krążył bez celu po ograniczonej przestrzeni pokoju.

- Chcę żyć wiecznie, otoczony rzeczami, które kocham. Milion książek i jedna osoba. Cała ludzkość obecna w przeszłości i tylko pojedynczy egzemplarz ludzkiej rasy obecny w teraźniejszości.

- Tylko jedna osoba? - zapytała. - Ja?

- Ty? - rzucił z szyderczym zaskoczeniem. Potem złagodził ton głosu. - Czemu nie? Przynajmniej na jakiś czas. Jedna osoba na raz.

- Cała ludzkość obecna w przeszłości - powtórzyła. - Aż tak lubisz swoją pracę w Sekcji Zgonów?

Roześmiał się.

- Historia, Kyaren. Jestem historykiem. Mam dyplomy trzech uniwersytetów. Napisałem referaty i rozprawy. Sraty-ta-ty, mowa trawa - burknął. - Z moją specjalnością nie mam szans, żeby dostać pracę na tej planecie. Albo dobrą posadę gdzie indziej.

Podszedł do Kyaren, uklęknął i położył jej głowę na kolanach. Chciała go odepchnąć, ale nie mogła się na to zdobyć.

- Kocham całą ludzkość w przeszłości. Kocham ciebie w teraźniejszości. - Szaleńczo wyszczerzył

zęby, podniósł rękę z wystawionymi paznokciami i żartobliwie drapnął ją po ramieniu. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Wygrał. Wiedziała o tym. Został i mówił.

Opowiadał o swojej historycznej obsesji, która zaczęła się w bibliotece w Seattle, Zachodnia Ameryka, mieście wzniesionym na ruinach wielkiego starożytnego miasta.

- Nie mogłem się dogadać z innymi dziećmi. Ale świetnie się dogadywałem z Napoleonem Bonaparte. Olive-rem Cromwellem. Douglasem MacArthurem. Hunem Attylą. - Nazwiska nic nie znaczyły dla Kyaren, lecz dla Josifa wyraźnie wiązały się z licznymi wspomnieniami. - Napoleona zawsze widzę w gęstym lesie. Czytałem o nim wśród drzew, potężnych drzew rosnących na gruncie tak wilgotnym, że prawie można tam pływać. Natomiast Cromwell zawsze siedzi w małej łódce na zatoce Pungent, w deszczu. Biblioteka kazała mi zapłacić za nowy wydruk książki... atrament zszedł z mojego egzemplarza. Marzyłem, żeby zmienić świat. Dopóki nie dorosłem i zrozumiałem, że marzenia nie wystarczą, żeby wpłynąć na bieg wydarzeń. A czytelnik książek nie kieruje ludźmi.

Tak się pogрузił we wspomnieniach, które wypływały z niego bez żadnej kontroli, a jednak w cudownie subtelnym porządku, że Kyaren również zaczęła wspominać, chociaż niczego nie powiedziała. Wychowała się wśród muzyki, wśród nieprzerwanych pieśni; tutaj jednak znalazła pieśń lepszą od wszystkich, jakie słyszała na Tew. Kadencje, melodie, tematy i wariacje jego głosu były werbalne, nie muzyczne, dlatego łatwiej do niej docierały, a kiedy wreszcie skończył, czuła się tak, jakby wysłuchiwała koncertu wirtuoza. Powściągnęła chęć, żeby nagrodzić go oklaskami - odebrałby to jako ironię,

Więc tylko westchnęła, zamknęła oczy i przypomniała sobie własne marzenia z czasów, kiedy została Mrukiem i pragnęła pewnego dnia zaśpiewać przed tysiącem ludzi, którzy będą ją podziwiali, będą zachwyceni i wzruszeni. Odbierano jej marzenia jedno po drugim, aż nic nie zostało, tylko blizna, która często krwawiła, lecz nigdy nie pękała. Westchnęła, a Josif źle ją zrozumiał.

- Przepraszam - powiedział. - Myślałem, że cię to obchodzi. - Wstał i ruszył do wyjścia.

Zatrzymała go, chwyciła go za rękę i odciągnęła od drzwi, które znowu się zamykały, ponieważ nie przestąpił progę.

- Nie odchodź - poprosiła.

- Znudziłem cię. Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie znudziłeś mnie. Po prostu nie rozumiem, dlaczego mi to mówisz.

Zaśmiał się cicho.

- Ponieważ od dawna jesteś pierwszą osobą, która wygląda tak, jakby chciała słuchać i potrafiła zrozumieć.

- Marzenia, marzenia, marzenia - powiedziała. - Nigdy nie dorosłeś.

- Owszem, dorosłem - zaprzeczył, a ból w jego głosie zranił jej uszy.

- Napijesz się? - zapytała.

- Wody - odparł.

- Tylko to mam - przyznała. - Więc dobrze się składa.

Przyniosła dwie szklanki, a Josif napił się z takim namaszczeniem, jakby kosztował wina poświęconego na ołtarzu. Spojrzenie miał posępne, kiedy powiedział do Kyaren:

- Oszukiwałem. Uniosła brew.

- Zmieniłem temat.

- Kiedy? - Poruszył tyle tematów w ciągu wieczoru. Zerknęła na przegub ręki. Rozmawiali ponad dwie godziny.

- Od samego początku. Zacząłem mówić o dzieciństwie, o marzeniach, historii i moim osobistym szaleństwie. Podczas gdy ciebie interesowała wyłącznie perwersja.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę o tym mówić.

- Ja chcę.

- Nie. Dobrze się bawiłam. Nie chcę tego zepsuć. Szybko dopił resztkę wody.

- Kyaren - powiedział. - Robią z tego brzydką rzecz, ale tak nie jest.

- Nie chcę wiedzieć, czy to jest brzydkie, czy nie.

- Nazywają mnie dziwką, a to nieprawda.

- Wierzę ci. Nie mówmy o tym więcej.

- Nie, do cholery! - rzucił gwałtownie. - Jak myślisz, co przeżywałem przez ostatnie parę godzin? Myślisz, że chodzę na przyjęcia i opowiadam ludziom historię mojego życia? Przyczepiłem się do ciebie, Kyaren, jak pijawka do rekina.

- Nie podoba mi się takie porównanie.

- Nie jestem poetą. Nie wiem, jaki ból wycierpiałas w życiu, że stałaś się taka, jaka jesteś, ale podobasz mi się taka, jaka jesteś, i chcę trochę pobyć z tobą, a kiedy tak mówię, to nie żartuję. Stanę się wszechobecny. Nie odczepisz się ode mnie. Za każdym razem, kiedy się obejrzysz, zobaczysz moją twarz. Nadepniesz na mnie, kiedy rano wstaniesz z łóżka, a kiedy w pracy zaswędzi cię stopa,

zajrzesz pod biurko i zobaczysz, jak cię łaskoczę. Rozumiesz? Zamierzam z tobą zostać.

- Dlaczego ze mną? - zapytała Kyaren.

- Myślisz, że wiem? Z taką nadętą absolwentką Princeton? Może dlatego - zgadywał - że słuchałaś mnie przez cały czas i nie zasnęłaś.

- Kilka razy mało brakowało.

- Przyjechałem tutaj jako kochanek Banta.

- Nie chcę tego słuchać.

- Bant kochał mnie, a ja kochałem Banta, więc kiedy tutaj przyjechał, zabrał mnie ze sobą, bo nie chciał się ze mną rozstawać, i załatwił mi posadę w Zgonach, bo sam kierował Demografią. Nie chciałem tutaj przyjechać. Chciałem tylko mieszkać obok biblioteki i czytać. Przez resztę życia. Ale Bant przywiózł mnie tutaj, a potem po roku znudził się mną. Czasami bywam nudny.

Kyaren postanowiła nie silić się na dowcipy.

- Zrobiłem się nudny, więc nie zabrał mnie ze sobą, kiedy go przeniesiono na stanowisko naczelnika Zatrudnienia. I nie uprzedził mnie, kiedy się przeprowadził do lepszego mieszkania. Ale nie odebrał mi posady. Łaskawie pozwolił mi zatrzymać posadę.

Josif płakał i nagle Kyaren zrozumiała coś, czego nikt nigdy jej nie powiedział o homoseksualizmie, pomimo wszelkich wyjaśnień; że kiedy Bant odszedł, dla Josifa nastąpił koniec świata, ponieważ kiedy Josif przywiązywał się do kogoś, nie umiał zerwać.

Lecz Kyaren nie wiedziała, jak powinna zareagować. W końcu prawie nie знаła Josifa. Dlaczego otworzył przed nią serce dziś wieczorem? Czego od niej oczekiwał? Jeśli spodziewał się, że teraz ona z kolei obnaży przed nim duszę, był w błędzie - Kyaren starannie ukrywała własne wspomnienia. Nie chciała opowiadać o swoim dzieciństwie w Domu Pieśni. Co mogła powiedzieć? Przez wiele lat byłam nieszczęśliwa, ponieważ brakowało mi zdolności, żeby dorównać minimalnym standardom Domu Pieśni? Nie chciała litości z powodu dziecięcych niepowodzeń. Chciała szacunku dla swojej obecnej kompetencji.

Szacunek jakoś nie pasował do sytuacji, kiedy mężczyzna płacze cicho z twarzą wciśniętą w jej kolana, siedząc na podłodze obok łóżka. Potrafiła odgadnąć tylko jeden powód takiego emocjonalnego wybuchu. Skoro nie chciał jej uwieść, w takim razie pragnął wyłącznie jej przyjaźni. Boleśnie przeżywała własną izolację; jeżeli on odczuwał połowę tego bólu, nic dziwnego, że chwycił się pierwszej osoby, która okazała mu choćby cień sympatii.

W takim razie, rozmyślała, dlaczego nie mam ochoty skorzystać z jego oferty?

Bo mu nie ufam, stwierdziła. Natychmiast zawstydziła się swojej podejrzliwości. Ukłękła, a potem usiadła obok niego, objęła jego ramiona, próbowała go pocieszyć.

Piętnaście minut później zaczął ją rozbierać. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Myślałam... - zaczęła.

- Statystyka - przerwał jej. - Tendencje. Skłonności. Mam w sześćdziesięciu dwóch procentach skłonność do mężczyzn, w trzydziestu dwóch procentach skłonność do kobiet i w siedmiu procentach skłonność do owiec. I w stu procentach skłonność do ciebie.

Miałam rację, że mu nie ufałam, szyderczo prychnęła cyniczna, poobijana część jej umysłu. To wszystko była podrywka.

Ale chwyciła przynętę i pozwoliła się omotać. Ponieważ inna część jej osobowości nie miała ostatnio wielu rozrywek; potrzebowała jego delikatnych rąk i cichych łez, jego kłamstw i czułości. Więc udawała, że wierzy, że on naprawdę jej potrzebuje, nawet kiedy powiedziała: „Czułam, że w końcu do tego dojdzie”. Nie powiedziała, że kiedy do tego doszło, niespodziewanie sama tego zapragnęła, że nie szukała już zabawy, tylko zaspokojenia potrzeb, że ten półmężczyzna w jeden wieczór potrafił dokonać tego, czego jeszcze nikt nie dokonał - zdobyć tyle jej zaufania, że przynajmniej przez krótki czas pozwoliła sobie go pożądać.

Więc pocieszyła go tej nocy, a co najdziwniejsze, sama również znalazła pociechę, chociaż nie powiedziała mu niczego o swojej samotności, nie mówiła ani słowa o swoich marzeniach. Przesuwając dłonie po jego gładkiej skórze, wspominała zimny, szorstki kamień Domu Pieśni i nie rozumiała, dlaczego jedno przypomina jej drugie.

Rozdział 2

- W przyszłym roku objadę imperium - ogłosił Riktors przy obiedzie, a dwustu prefektów zebranych za stołami zaczęło klaskać i wiwatować. Anset, siedzący obok Riktorsa, zauważył ze swojego miejsca, że radość była prawie szczerą - rzadki przypadek w pałacu. Uśmiechnął się do Riktorsa.

- Oni naprawdę się cieszą - powiedział cicho, tylko do Riktorsa. Ten lekko zmrużył oczy na znak, że usłyszał, że rozumiał. Potem wrzawa ucichła, a Riktors dodał:

- Nie tylko odwiedzę co najmniej jeden świat w każdej prefekturze, ale zabiorę również ze sobą mojego Słowika, żeby całe imperium usłyszało jego śpiew!

Oklaski i wiwaty zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Riktors spojrzął na Ansseta i zaśmiał się wesoło - chłopiec miał zaskoczona minę, a Riktors uwielbiał go zaskakiwać. To nie było łatwe.

Lecz kiedy w sali znów ucichło, Ansset powiedział spokojnie:

- Ale mnie tu nie będzie w przyszłym roku.

Usłyszało go dosyć ludzi, żeby szept obiegł główny stół. Riktors próbował zachować obojętność. Natychmiast zrozumiał, o czym mówił chłopiec. Riktors jakoś o tym zapomniał, chociaż właściwie nie zapomniał. Wiedział, że Ansset miał prawie piętnaście lat, że kontrakt Domu Pieśni dobiegał końca. Ale nie pozwolił sobie o tym myśleć, nie pozwolił sobie planować przyszłości bez Ansseta.

Spojrzął na Ansseta i poklepał go po dłoni.

- Później o tym porozmawiamy - obiecał. Ale Ansset wydawał się zaniepokojony. Podniósł głos.

- Riktorsie - powiedział - mam prawie piętnaście lat. Mój kontrakt wygasa za miesiąc.

Kilku prefektów jęknęło; większość jednak zrozumiała, że przy głównym stole zaszło coś niezgodnego z planem. Ansset zrobił coś, na co nikt inny się nie ośmielił - przypomniał imperatorowi o sprawach, o których władca wolał nie wiedzieć. Zapadło milczenie.

- Kontrakty można wznowić - powiedział Riktors, siląc się na jowialny ton. Pragnął jak najszybciej zmienić temat. Nie wiedział, jak zareagować na upór Ansseta. Dlaczego chłopiec tak nalegał?

Bez względu na powód, Ansset wciąż się upierał.

- Nie mój - odparł. - Za dwa miesiące mogę wracać do domu.

Teraz cała sala umilkła. Riktors siedział sztywno, ale drżały mu dłonie wsparte o krawędź stołu. Przez chwilę próbował odrzucić znaczenie słów Ansseta; lecz Riktors nie został imperatorem dlatego, że okłamywał sam siebie. Do domu, powiedział chłopiec. Rozmyślnie użył tego określenia - w obecności słuchaczy Ansset starannie dobierał słowa. „Mogę wracać do domu”, nie: „Muszę wracać do domu”. I nagle ostatnie kilka lat zniknęło; Riktors czuł, jak odpadają od niego, prują się i strzępią niczym tkanina rozpleciona na pojedyncze nici, pozbawione znaczenia, których już nie można połączyć w całość.

Przeminęły niezliczone dni rozmów, pieśni, które śpiewał mu Ansset, kiedy spacerowali nad rzeką. Razem dokazywali jak bracia; Riktors zapominał o godności imperatora, Ansset zapominał - a przynajmniej tak wierzył Riktors - o dawnej wrogości.

Czy ty mnie kochasz? - zapytał raz Riktors, otwierając się tak, jak nie otworzył się przed żadną inną osobą. A Ansset zaśpiewał mu o miłości. Riktors potraktował to jako odpowiedź twierdzącą.

I przez cały czas Ansset odliczał dni, czekał na swoje piętnaste urodziny, na wygaśnięcie kontraktu, na powrót do domu.

Powiniennem wiedzieć lepiej, powiedział sobie rozgoryczony Riktors. Powiniennem pamiętać, że ten chłopiec należał do

Mikala, zawsze będzie należał do Mikala, nigdy nie będzie mój. On mi nie przebaczył.

Wyobraził sobie powrót Ansseta do Domu Pieśni na Tew; wyobraził sobie, jak chłopiec obejmuje Esste, twardą kobietę, która miękła tylko wtedy, kiedy spoglądała na Słowika. Wyobraził sobie, że pyta Słowika: „I jak ci się żyło z mordercą?” I wyobraził sobie, że Ansset płacze; nie, nie Ansset, on nigdy nie płacze. Zachowa spokój, po prostu zaśpiewa jej o upokarzającym życiu z Riktorem Ashenem, imperatorem, zabójcą i żalonym miłośnikiem pieśni Ansseta. Wyobraził sobie, jak Esste i Ansset śmieją się wspominając noc, kiedy Riktors, znużony ciężarem władzy, przyszedł do Ansseta po uleczenie z jego rąk i zapłakał, zanim jeszcze chłopiec zaśpiewał pierwszą nutę. Mięczak, wyszedłem na mięczaka przed tym chłopcem, który nigdy nie okazuje nie chcianych emocji; widział mnie obnażonego i zamiast miłości, czuł do mnie wyłącznie pogardę.

Tylko przez chwilę Riktors siedział w milczeniu, ale przez ten czas zdążył przejść od zdumienia do urazy, upokorzenia i wreszcie furii. Podniósł się, nie kryjąc gniewu. Prefekci wpadli w panikę - wiedzieli, że ryzykownie jest obserwować potężnych ludzi w kłopotliwych sytuacjach, a nikt nie dorównywał potęgą Riktorsowi Mikalowi.

- Masz rację! - powiedział głośno Riktors. - Mój Słowik przypomni mi, że za miesiąc jego kontrakt wygasa i może wracać, jak się wyraził, do domu. Myślałem, że to jest jego dom, ale teraz widzę, że się myliłem. Słowik powróci na Tew, do swojego ukochanego Domu Pieśni, ponieważ Riktors Mikal dotrzymuje słowa. Skoro jednak najwyraźniej Słowik nie żywi do nas szacunku, nie zobaczy więcej swojego imperatora, a imperator nigdy już nie zgodzi się słuchać jego kłamliwych pieśni.

Z twarzą czerwoną i ściągniętą bólem Riktors odwrócił się i wyszedł. Kilku prefektów nieśmiało próbowało dotknąć jedzenia; reszta wstała natychmiast i wkrótce wszyscy opuścili salę, dyskutując między sobą, czy lepiej zostać na miejscu i okazać imperatorowi swoją niezłomną lojalność, czy powrócić szybko do swoich prefektur, żeby wszyscy mogli udawać, że nic się nie stało, że scena z Anssetem nigdy nie miała miejsca.

Po ich wyjściu Ansset siedział samotnie przy stole, patrząc na potrawy nie widzącym wzrokiem. Siedział tak w milczeniu, dopóki pałacowy majordom (stanowisko szambelana dawno zostało zniesione) podszedł do niego i kazał iść za sobą.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytał cicho Ansset. Majordom nie odpowiedział, tylko prowadził go labiryntem korytarzy. Wkrótce Ansset zorientował się, dokąd idą. Kiedy Riktors Ashen zmienił nazwisko i wprowadził się do pałacu, zamieszkał daleko od dawnych komnat Mikala - wybrał nowe pokoje na górnych piętrach budynku, skąd roztaczał się widok na trawniki i lasy. Teraz majordom otworzył przed Anssetem drzwi, które niegdyś były strzeżone przez najsilniejsze środki bezpieczeństwa w imperium. Znaleźli się w pokoju, gdzie na palenisku kominka wciąż leżał wystygły popiół; gdzie meble pozostały nietknięte, nie ruszone; gdzie długoletnia obecność Mikala odcisnęła niezatarty ślad na otoczeniu, na wszystkich wspomnieniach, które ten pokój budził w umyśle Ansseta.

Podłogę pokrywała cienka warstwa kurzu, jak we wszystkich nie używanych pałacowych

pomieszczeniach, które sprzątało najwyżej raz do roku. Anset powoli podszedł do kominka, wzbijając obłoczki kurzu za każdym krokiem. Urna, która niegdyś zawierała prochy Mikala, wciąż czekała przy palenisku. Anset odwrócił się do majordoma, który wreszcie przemówił.

- Riktors Imperator - urzędowym tonem wygłosił wyuczoną informację - powiedział, że skoro przy nim nie znalazłeś domu, zostaniesz tutaj, gdzie jest twój dom, dopóki Dom Pieśni nie przyśle po ciebie.

- Riktors źle mnie zrozumiał - powiedział Anset, ale majordom udał, że nie słyszy. Odwrócił się i wyszedł, a kiedy Anset próbował otworzyć drzwi, nie ustąpiły pod jego palcami.

Rozdział 3

Spędzali kolejne weekendy w Meksyku, największym mieście na tej półkuli. Josif wyruszał na obchód księgarni - zawsze istniał spory popyt na rzadkie i stare książki, a Josif miał nosa do interesów, potrafił wywęszyć książki sprzedawane grubo poniżej wartości. Potrafił również wywęszyć pozycje, które go interesowały - dawno nie wznawiane podręczniki historii, powieści sprzed wieków traktujące o czasach autora, pamiętniki i dzienniki.

- Mówią, że nie można napisać niczego oryginalnego o historii Ziemi, że wszystkie fakty są znane od lat - rzucił gwałtownie Josif. - Ale to było dawno temu, a teraz nikt już niczego nie pamięta. Jak się wtedy żyło.

- Kiedy? - zapytała Kyaren.

- Wtedy. W przeciwieństwie do teraz.

- Bardziej obchodzi mnie jutro - odpowiadała mu zawsze.

Ale kłamała. Przez pierwsze tygodnie spędzone razem obchodziła ją tylko teraźniejszość. Teraz było jej dobrze jak nigdy w życiu, ale nie wiedziała, jak długo to potrwa i czy jutro przyniesie jej tyle samo zadowolenia.

Kyaren pojechała do Meksyku ze względu na ludzi. Nigdzie we Wschodniej Ameryce, a na pewno nigdzie w Domu Pieśni nie było takich ludzi jak ci, którzy tłoczyli się na chodnikach Meksyku.

Zabroniono wszelkich pojazdów oprócz elektrycznych wózków, które dostarczały towary do sklepów; ludzie, pojedynczy ludzie musieli chodzić piechotą. A były ich miliony. I wydawało się, że wszyscy jednocześnie wylegli na ulice; nawet w deszcz spacerowali po mieście, wystawiając twarze na orzeźwiający deszcz, który spływał im po ubraniach. To było miasto, gdzie Kyaren mogła zaspokoić swój głód. Nie знаła nikogo, ale kochała wszystkich.

- Oni się poca - oświadczył Josif.

- Jesteś zbyt nieskazitelny - zgryźliwie odparta Kyaren.

- Poca się i depczą mi po nogach. Nie widzę powodu, żeby przebywać w tłumie dłużej, niż to konieczne.

- Lubię ich głosy.

- Właśnie to jest najgorsze. Największe miasto na świecie, a oni upierają się, żeby mówić po meksykańsku, w języku, który nie ma prawa istnieć.

Kyaren zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Na litość boską, Meksyk leży tylko pięć tysięcy kilometrów od Seattle. My nauczyliśmy się mówić jak reszta imperium. To zwykła próżność.

- Wiesz, to piękny język - oświadczyła Kyaren. - Uczyłam się go. Otwiera umysł.

- I wykręca język w gębie.

Josif nie miał cierpliwości do wybryków swojej rodzinnej planety.

- Czasami cholernie się wstydzę, że pochodzę z Ziemi.

- Kolebki ludzkości.

- Ci ludzie nie są prawdziwymi Meksykanami. Wiesz, jacy byli Meksykanie? Niscy i ciemni. Pokaż mi tutaj kogoś niskiego i ciemnego!

- Jakie to ma znaczenie, czy oni mogą wyprowadzić swój rodowód od pierwszej Meksykanki i jej męża? - zaprotestowała Kyaren. - Oni chcą być Meksykanami. A kiedy tu przyjeżdżam, ja też chcę być Meksykanką.

Te przyjacielskie sprzeczki zawsze kończyły się na spacerze - gdzie Kyaren rozmawiała ze sprzedawcami i sklepikarzami, a Josif szperał wśród półek z książkami, czyhając na atrakcyjny tytuł - albo w łóżku, gdzie lepiej się zgaźdzali.

Właśnie podczas weekendu w Meksyku postanowili, że objadą świat.

- Czemu nie wszechświat?

- Twoja ambicja jest niesmaczna - stwierdził Josif. Leżał nago na balkonie, ponieważ padało, a on lubił dotyk deszczu.

- No więc będziemy skromni. Skąd zaczniemy?

- Stąd.

- Mało praktyczne. Nie mamy bazy operacyjnej.

- Więc z Tegucigalpy. W tajemnicy przerobimy wszystkie programy komputerowe, żeby wykonywały nasze rozkazy. Potem obetniemy wszystkim pensje, dopóki się nie poddadzą.

Roześmieli się, bo to była zabawa. Ale zabawa, którą traktowali dostatecznie poważnie, żeby przeprowadzić rozeznanie. Polowali na słabe punkty, możliwości obalenia systemu. Próbowali również zdobyć ogólną znajomość systemu, zrozumieć jego działanie. Josif znał każdy kąt rządowej biblioteki w Meksyku i oboje spędzali czas na wyszukiwaniu danych o założeniu Tegucigalpy zaledwie trzysta lat wcześniej.

- Ta rzecz jest stosunkowo nowa. Połowę funkcji zainstalowano w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Dziesięć lat! A większość innych planet jest całkowicie skomputeryzowana od stuleci.

- Za bardzo krytykujesz Ziemię - zbesztła go Kyaren, ślęcząca nad protokołami z zebrań, które na ich poziomie dostępu były tak fatalnie zredagowane, że nie mogła z nich wycisnąć nic sensownego.

Wreszcie znaleźli haka, wcale nie w Meksyku, tylko w domu.

Kyaren czytała książkę o demografii, jedyną lekturę, którą mogła opuścić w Princeton. Książka podawała normy rozkładu wiekowego dla planety; zafascynowały ją te informacje, zwłaszcza zróżnicowania uzależnione od miejscowego klimatu, poziomu bezrobocia i stosunkowej zamożności. Dla zabawy sporządziła demograficzny rozkład wiekowy mieszkańców Ziemi, opierając się na łatwo dostępnych danych statystycznych, dotyczących zatrudnienia i gospodarki. Potem w pracy zrobiła sobie kilka minut przerwy, żeby sprawdzić wyniki swoich obliczeń.

Były błędne.

Od narodzin do emerytalnego wieku osiemdziesięciu lat liczby się zgadzały. Dopiero w przedziale od osiemdziesiątki do setki występowały znaczne odchylenia.

Za mało ludzi umierało w tym wieku.

Właściwie, stwierdziła Kyaren, prawie nikt nie umierał, w porównaniu z normalnymi wskaźnikami śmiertelności. A potem, w wieku od setki do stu dziesięciu lat, ludzie padali jak muchy, więc powyżej stu dziesięciu statystyki wyglądały normalnie.

Na pewno ktoś już to zauważył, pomyślała Kyaren. Ziemia powinna zasłynąć z niezwykle niskich

wskaźników umieralności. Przecież taka tendencja musiała się ujawnić - z pewnością wpływała na dystrybucję żywności i znacznie podwyższała koszty emerytur. Naukowcy na pewno próbowali wykryć przyczyny tego zjawiska.

A jednak nigdy o niczym takim nie słyszała.

W podręcznikach programowania, które przeglądali w bibliotece w Meksyku, Kyaren znalazła kilka mało znanych programów, pozwalających operatorowi sprawdzić program, zamiast użyć go do znajdowania i przetwarzania danych. Rozmawiała o tym z Josifem następnej nocy, którą spędzili w jego mieszkaniu, ponieważ było większe i pomieściło ich oboje, nie musieli składać podania o dodatkowe meble, co ujawniłoby ich związek.

- Sprawdzalam wyniki kilka razy i są prawidłowe.

- No, jedyne rozwiązanie to zabić kilku dodatkowych starszaków - odparł Josif, czytający kryminał z dwudziestego trzeciego wieku... oczywiście w przekładzie.

- Josif, coś tu nie gra. Coś nie pasuje.

- Kyaren - rzucił, próbując ukryć zniecierpliwienie - przecież to tylko zabawa. W rzeczywistości nie jesteśmy odpowiedzialni za cały świat. Tylko za zmarłych i nie całkiem zmarłych. I tylko za liczby.

- Chcę się dowiedzieć, czy ilość zgonów się zgadza, czy nie. Josif zamknął książkę.

- Kyaren, ilość zgonów się zgadza. W końcu to mój zawód. Pracuję w zgonach.

- Więc sprawdź, czy moje wyniki są prawidłowe. Sprawdził. Wyniki były prawidłowe.

- Twoje wyniki są prawidłowe. Może książka kłamie.

- To jest biblia demografii od trzystu lat. Ktoś by zauważył. Josif ponownie otworzył książkę.

- Cholerna Ziemia. Ludzie nawet nie wiedzą, kiedy umierać.

- Musiałeś to zauważyć - upierała się Kyaren. - Musiałeś wiedzieć, że większość zgonów skupia się w przedziale od stu do stu dziesięciu lat.

- Nigdy niczego takiego nie zauważyłem. Zajmujemy się jednostkami, nie zbiorowością. Zamykamy pliki, wiesz? Nie obserwujemy trendów.

- Chcę tylko sprawdzić kilka rzeczy. Pamiętasz ten program, który znaleźliśmy, do sprawdzania wpisów? Wykrywacz błędów?

-Tak.

- Pamiętasz numery?

- Kyaren, robisz się marudna.

Razem odtworzyli numerację i kod; Kyaren wyszła na kilka minut i sprawdziła je na bibliotecznym terminalu, żądając informacji, kiedy ostatnio korzystała z biblioteki. Program działał doskonale; właściwie był całkiem prosty, dlatego mogli go zapamiętać.

Następnego dnia podczas przerwy Kyaren wstukała pytanie o datę wprowadzenia informacji o zgonie pewnego obywatela w dystrykcie Quong-jung - sądziła, że pojedynczą śmierć łatwiej sprawdzić. Na ekranie powinna rozbłysnąć data wprowadzenia, nazwisko operatora, który wprowadził informację o zgonie, dane statystyczne dotyczące tej osoby oraz numer operacji.

Zamiast tego na ekranie rozbłysnął jaskrawy napis ZASTRZEŻONE, a na biurku Warvela zabrzączał głośny dzwonek.

Wszyscy natychmiast podnieśli wzrok i patrzyli, jak Warvel poderwał się zaniepokojony. Kyaren wiedziała, że na jego biurku błyska jej miejsce; rzeczywiście, kiedy zlokalizował winowajczynię, wściekle walnął ręką w biurko i podszedł do niej szybkim krokiem.

- Co ty wyprawiasz, Kyaren! - wrzasnął na nią.

Co miała odpowiedzieć - że bawiła się w zdobycie władzy nad światem? Że sprawdzała liczby, ponieważ nie pasowały do wyników jej obliczeń?

- Nie wiem - odparła, nie kryjąc zaskoczenia i zmieszania. - Ja tylko się bawiłam. Po prostu wstukiwалам byle jakie cyfry i słowa.

- Jakie cyfry i słowa? - warknął, pochylając się nad terminalem.

- Nie pamiętam - skłamała. - To zwykły przypadek.

- To zwykła głupota - skarcił ją ostro. - Są takie programy, że jeśli je wywołasz przez przypadek, zamrażają całą operację, dopóki nie przyjedzie cholerna policja, żeby sprawdzić, kto grzebał w systemie. Rozumiesz? Ten system jest zabezpieczony przed sabotażem, ale żadna idiotka nie musi tego udowadniać!

Kyaren przeprosiła wylewnie, ale kiedy Warvel, bynajmniej nie ułagodzony, wrócił do biurka, uświadomiła sobie, że okazywał więcej strachu niż gniewu. A reszta pracowników patrzyła na nią ponuro, gniewnie - i również ze strachem.

Co ja zrobiłam?

- Kyaren - powiedział Warvel, kiedy wychodziła z biura po zakończeniu dnia pracy. - Kyaren, za kilka dni kończy się twój czteromiesięczny staż. Obawiam się, że będę musiał ci wystawić negatywną opinię.

Kyaren poczuła się jak ogłuszona.

- Dlaczego?

- Nie pracujesz. Zwyczajnie się obijasz. Dajesz zły przykład i marnujesz czas.

- Kiedy się obijani? - zaprotestowała. Negatywna opinia z pierwszej pracy - zwłaszcza tak łatwej - mogła zniszczyć jej nadzieje na państwową karierę.

- Dostałem skargi od czternastu osób. Od każdego w tym biurze oprócz mnie i ciebie, Kyaren. Dość mają patrzeńia, jak się bawisz. Studiujesz starożytną historię i grasz w gry komputerowe, kiedy powinnaś pomagać starym ludziom w pokonaniu inflacji i wahań ekonomicznych. Nie siedzimy tutaj dla przyjemności, Kyaren, tylko żeby pomagać ludziom. Rozumiesz?

Przytaknęła.

- Właśnie to próbuję robić.

- Wystawię ci negatywną opinię, ale nie zwolnię cię, dopóki znowu nie narozrabiasz. Jasne? Trzy lata uczciwej pracy i wymażę negatywną opinię z twojego rejestru. Dasz sobie radę... jeśli w przyszłości będziesz pilnowała swoich spraw.

Wyszła. W domu Josif był zaskoczony.

- Czternaście skarg?

- Tak powiedział.

- Kyaren, mogłabyś odbyć stosunek seksualny z lampą na środku jadalni w czasie lunchu i wpłynęłyby najwyżej trzy skargi!

- Co oni mają przeciwko mnie? - zapytała. Josif spochmurniał.

- Mnie - powiedział. -Co?

- Mnie. Masz dość kłopotów. Dodając mnie... wiesz, ile kobiet próbowało mnie zaciągnąć do łóżka? Zdeklarowany homoseksualista jest nieodparcie pociągający dla pewnego rodzaju kobiet. Stanowi dla nich wyzwanie. Ja jako wyzwanie! A potem przyjeżdżasz ty i nagle spędzamy ze sobą każdy weekend. Te osoby, które nie są zazdrosne, pewnie są zgorszzone na myśl, do jakich perwersji cię zmuszam.

- Nie chodzi o ciebie.

- Więc o co?

- Oni się boją.

- Czego?

- Skąd mam wiedzieć?

Josif wstał z łóżka, podszedł do drzwi, oparł się o nie.

- Kyaren, chodzi o mnie. Musimy zerwać. Kiedy dzisiaj stąd wyjdiesz, to koniec.

Mówił szczerze. Nie rozumiała, dlaczego na samą myśl o ostatecznym zerwaniu czuła się tak, jakby spadała z wysokiej góry.

- Nie wyjdę stąd dzisiaj - oświadczyła. - Wyjdę jutro rano.

- Nie. Dla twojego dobra. Roześmiała się pogardliwie.

- Dla mojego dobra!

Patrzył na nią spod drzwi poważnym wzrokiem.

- Dla mojego dobra powinnam tu zostać. Potrząsnął głową.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytała z niedowierzaniem. - Mam odejść tak po prostu, bo ty uznałeś, że tak będzie dla mnie lepiej?

- Rzeczywiście to trochę głupie - przyznał.

I zaczęli się śmiać, Josif wrócił do łóżka, a potem nagle już się nie śmiali, tylko obejmowali się i wiedzieli, że nie mogą tego tak zwyczajnie przerwać, kiedy stanie się niewygodne.

- Josif - odezwała się Kyaren.

- Mmm? - Zanurzył twarz w jej włosach i chwycił je ustami.

- Josif, ja ich przestraszyłam. Oni się czegoś boją.

- Wyglądasz bardzo groźnie.

- W tym jest coś bardzo dziwnego. Dlaczego informacje o wpisywaniu zgonów mają być zastrzeżone?

Nie potrafili odgadnąć powodu.

Więc następnego dnia przy lunchu Josif podał jej kawałek papieru - rzadko używanego w centrum komputerowym - z dziesięcioma nazwiskami i numerami.

- Przyda ci się? - zapytał.

- Co to jest?

- Zmarli. Pierwszy dzisiejszy wpis. Powinni już być w twoim komputerze, bo wszystkich wpisałem.

To są ich numery identyfikacyjne, data wpisu sprzed kilku godzin. I tak kod datownika powie ci niewiele więcej. Możesz to wykorzystać?

Kyaren nie odważyła się zabrać kartki do biura - coś tak niezwykłego jak papier zwróciłoby uwagę, a ona wolala tego uniknąć. Więc zapamiętała pierwsze trzy pozycje i zostawiła listę na podłodze w ubikacji piętro niżej. Na pierwszej przerwie zeszła na dół, ale zamiast odczytać trzy kolejne nazwiska, poszła do Josifa.

- Na pewno to przepisałeś bez błędów?

Josif spojrzął na nazwiska i numery, wystukał je na swoim terminalu i pokazały się dane. Wszyscy jak najbardziej martwi.

- Na moim terminalu - oznajmiła Kyaren - oni wciąż żyją. Josif wstał od swojego terminalu i wyprowadził Kyaren na

korytarz. Tam powiedział cicho:

- Powinniśmy od razu się domyśleć. To szwindel. Ktoś pobiera te emerytury, ale nie ci ludzie. Bo oni nie żyją.

Kyaren oparła się o ścianę.

- Czy ty wiesz, ile to pieniędzy? Josif niezbyt się przejął.

- Chodź - powiedział.

- Dokąd?

- Wychodzimy z budynku, natychmiast.

Pociągnął ją za sobą. Pozwoliła się poprowadzić, chociaż w głowie miała kompletny zamęt.

- Dokąd idziemy?

Nie odpowiedział. Nie poszli do swoich pokoi. Skierowali się na lotnisko, położone na wschodnim skraju kompleksu.

- To nie pora na weekend w Meksyku - zaprotestowała Kyaren.

- Po prostu zgłoś, że zachorowałaś.

Stali przed terminalem biletowym. Kyaren zrobiła, czego żądał, posługując się swoim kodem biurowym. Potem Josif zajął jej miejsce przed terminalem i wystukał dwa bilety na swoje nazwisko, płacąc z własnego rachunku.

- Mogę zapłacić za siebie - powiedziała Kyaren.

Nie odpowiedział. Wziął bilety i oboje weszli na pokład śmigacza lecącego do Marakeszu. Dopiero kiedy śmigacz wystartował, Josif rozpoczął wyjaśnienia.

- Nie chodzi tylko o twoje biuro, Kyaren - powiedział. - Także o moje. W całą sprawę jest zamieszane mnóstwo ludzi, ze Zgonów, z Płatności, z Emerytur, nie wiadomo, skąd jeszcze. Jeśli cię przyłapali na zadawaniu pytań, z pewnością mają program, który zauważy, że właśnie wywołałaś nazwiska trzech osób, których zgony zarejestrowano dzisiaj, i że tuż przedtem ja wywołałem te same nazwiska. Komputer wie, że ktoś wykrył rozbieżności. A ja nie wiem, jak długo byśmy pożyli, gdybyśmy tam zostali.

- Przecież nie użyją przemocy! - obruszyła się Kyaren. Josif tylko ją pocałował i powiedział:

- Gdziekolwiek się wychowałaś, Kyaren, to był istny raj.

- Dokąd jedziemy? - zapytała ponownie.

- Oczywiście żeby to zgłosić. Niech policja się tym zajmie. Niech Babilon to załatwi. Oni mają władzę, żeby zamrozić wszystko i wszystkich na czas śledztwa. My nie mamy żadnej władzy.

- A jeśli się mylimy?

- Wtedy wyjedziemy szukać pracy milion lat świetlnych stąd.

Opowiedzieli swoją historyjkę pięciu różnym urzędnikom, zanim wreszcie znaleźli kogoś, kto zgodził się przyjąć odpowiedzialność za decyzję. Nie przedstawił się, ale on pierwszy wysłuchał ich spokojnie, nie okazując powątpiewania, zdenerwowania ani strachu.

- Tylko trzy nazwiska? - zapytał wreszcie, kiedy Josif i Kya-ren wszystko wyjaśnili.

Przytaknęli.

- Myśleliśmy, że niebezpiecznie będzie czekać i szukać następnych.

- Absolutna racja - zgodził się mężczyzna. Kiwnął głową, jakby naśladował ich zachowanie sprzed chwili. - Tak, to wymaga dochodzenia.

Patrzyli, jak podniósł słuchawkę, wybrał kod i zaczął wydawać polecenia w żargonie, którego nie rozumieli.

Jego twarz zafascynowała Kyaren, chociaż nie wiadomo dlaczego. Wyglądał dość przeciętnie - niezbyt wysoki mężczyzna, niespecjalnie przystojny, ale nie szczególnie brzydki. Włosy miał niezbyt długie, oczy niezbyt ciemne, rysy niezbyt regularne. Kyaren uświadomiła sobie nieustanną zmianę nie tyle wyrazu jego twarzy, ile sposobu, w jaki postrzegała tę twarz: niczym złudzenie optyczne, jego twarz wciąż oscylowała tam i z powrotem pomiędzy absolutną szczerością a zimną groźbą. Nikt nie podał im jego nazwiska ani nawet funkcji - po prostu przekazali mu trudny problem do rozwikłania, a on chętnie się tego podjął.

Wreszcie skończył rozmowę i ponownie zwrócił się do Josifa i Kyaren.

- Dobra robota - pochwalił.

Potem zaczął im opowiadać, bardzo cicho, o nich samych. Powiedział Kyaren rzeczy dotyczące Josifa, o których Josif nigdy nie wspominał: jak dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo po odejściu Banta; jak oblał cztery egzaminy na uniwersytecie w ostatnim terminie, a jednak przedstawił pracę, którą władze wydziału musiały jednogłośnie przyjąć; jak następnie władze wykopały go z uczelni z najgorszymi rekomendacjami, żeby nie mógł nigdzie dostać pracy w swojej specjalności.

- Nie za dobrze dogadujesz się z władzami, prawda, Josif? - zagadnął mężczyzna. Josif pokręcił głową.

Mężczyzna szybko zaczął mówić o Kyaren, o jej dorastaniu w Domu Pieśni, gdzie nie zdołała sprostać nawet najniższemu standardom, jej ucieczce z tego miejsca, gdzie uważano ją za gorszą, i jak od tamtej pory nikomu nawet nie wspomniała o Domu Pieśni.

- Nie pozwolisz, żeby ktoś dowiedział się o twoich porażkach, prawda, Kyaren? - zagadnął. Kyaren przytaknęła.

Z całą ostrością uświadomiła sobie fakt, że Josif tyle przed nią zataił - ważne sprawy, jeśli miała go zrozumieć. A jednak poczuła bardziej ulgę niż zawód. Ponieważ teraz on także poznał sprawy, które rozmyślnie przemilczała; nie mieli już przed sobą tajemnic.

Czy do tego zamierzał doprowadzić ten człowiek? Czy po prostu chciał im zrobić przykrość udowadniając, że ich związek znaczył mniej, niż myśleli? Zresztą nieważne. Kyaren ukradkiem zerknęła na Josifa, zobaczyła, że on również unika jej wzroku. To nie miało sensu. Więc patrzyła tak długo, aż sama siła jej spojrzenia zmusiła go, żeby na nią spojrzeć. A wtedy uśmiechnęła się.

- Cześć, nieznajomy - powiedziała, a on odwzajemnił uśmiech.

Mężczyzna odchrząknął.

- Wy dwoje trochę wyrastacie ponad przeciętność. Z rozmaitych głupich powodów niesłusznie trzymano was tam, gdzie nie mogliście w pełni zrealizować swoich zdolności. Więc daję wam szansę. Wykorzystajcie ją inteligentnie.

Chcieli prosić o wyjaśnienie, lecz on wyszedł nie dodając ani słowa. Dopiero Szeff Planetarnego Bezpieczeństwa powiedział im, co się z nimi stanie.

- Wyrzucono was z poprzedniej pracy - oznajmił tak pogodnie, jak mówi tylko człowiek posiadający ogromną władzę. - I dostaliście nową pracę.

Josif został asystentem ministra edukacji, zarządzał funduszami badawczymi. Kyaren otrzymała posadę specjalnej asystentki zarządcy Ziemi, gdzie miała dostęp praktycznie do całej planety. Nie imperialne urzędy, ale stanowiska wyjątkowo wysokie jak na nowicjuszy - praca, dzięki której nawiążą cenne kontakty na przyszłość i będą mieli mnóstwo okazji, żeby się wykazać.

W jednej chwili otrzymali szansę na samodzielne zrobienie kariery.

- Kim on jest, aniołem? Bogiem? - zapytał szefa Josif. Szef parsknął śmiechem.

- Większość ludzi stawia go na przeciwnym końcu hierarchii. Diabeł. Anioł Śmierci. Ale on wcale taki nie jest. Po prostu Szczur. Imperialny szczur, rozumiecie. Tworzy i niszczy ludzi, i odpowiada tylko przed imperatorem.

Wiedzieli już, jak sprawnie Szczur tworzy ludzi. Niszczenie zobaczyli kilka tygodni później, kiedy oglądali wiadomości w swoim apartamencie. Dzień w Babilonie był parny i deszczowy. O zachodzie słońca stanęli na balkonie i patrzyli, jak światło błyszczy na miliardach kropelek wody zwisających na źdźbłach trawy, a długie cienie drzew kładą się na bujnej sawannie w przypadkowych, lecz idealnych odstępach. Słoń kroczył ociężale przez wysoką trawę. Stado gazeli przemknęło daleko na północy. Kyaren i Josif czuli się wyczerpani po całym dniu pracy, całkowicie zjednoczeni z pięknem wieczoru, z rozkosznym nastrojem rozleniwienia. Wiedzieli, że tego dnia w Tegucigalpie zostanie ogłoszony wyrok na aferzystów, i czuli się zobowiązani oglądać transmisję.

Kiedy pokazywano migawki z procesu i na ławie oskarżonych wciąż przewijały się twarze byłych współpracowników, Kyaren poczuła się dziwnie nieswojo. Nie dlatego, że ich wydała - ale dlatego, że nie miała żadnych skrępowań. Czy równie chętnie zgodziłaby się ich zadenuncjować, gdyby nie odrzucili jej tak ostentacyjnie? Wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby przyszła do Sekcji Emerytur z pokorną miną, nie poprzedzana wspaniałymi wynikami egzaminów, nie uzbrojona w lodowatą rezerwę. Czy wówczas przyjęliby ją zyczliwie i stopniowo dopuścili do afery? Czy wtedy mogłaby ich zadenuncjować?

Nigdy się nie dowiem, pomyślała. Ponieważ gdyby przyszła z pokorną miną, nie byłaby sobą, więc nie mogła przewidzieć, jak by postąpiła.

Obok niej Josif zachłysnął się powietrzem. Kyaren uważniej spojrzała na ekran. Na ławie oskarżonych siedział następny mężczyzna, którego nie знаła.

- Kto to jest? - zapytała.

- Bant - odparł Josif, gryząc palce.

We wszystkich spekulacjach tego nie uwzględnili - że Bant, jako naczelnik Wydziału Demografii, oczywiście musiał być zamieszany w aferę. Kyaren nigdy go nie spotkała, ale miała wrażenie, że poznała go za pośrednictwem Josifa. Lecz znała tylko jego wesołość, jego niezłomne przekonanie, że miłość powinna być zabawna. Kyaren nie lubiła wyobrazać sobie Josifa w ramionach innego mężczyzny, ale Josif nie mógł się powstrzymać, żeby o tym nie mówić. Widocznie dla Banta pożądanie seksualne stanowiło tylko jeden aspekt pożądliwej natury; nie liczył się z uczuciami Josifa, podobnie jak nie liczył się z nikim.

Wszyscy oskarżeni zostali skazani. Wszyscy dostali od pięciu do trzydziestu lat ciężkich robót, deportację i stałe wygnanie z Ziemi, całkowity zakaz pracy w zawodzie. Wyrok był surowy. Widocznie nie dosyć surowy.

Spiker zaczął mówić, że koniecznie trzeba dać przykład, żeby inni nie doszli do wniosku, że warto zaryzykować grupową defraudację funduszy państwowych. Tymczasem na ekranie pojawiły się plecy mężczyzny, idącego w stronę szeregu więźniów. Więźniowie stali pod strażą, ze związanymi rękami. Na widok zbliżającego się mężczyzny ich twarze nagle skurczyły się ze strachu. Kamera cofnęła się, żeby pokazać przyczynę. Mężczyzna trzymał miecz. Nie laser, tylko miecz wykuty z metalu, tym bardziej groźny, że tak starożytny i barbarzyński.

- Szczur - powiedziała Kyaren, a Josif kiwnął głową. Ekran nie pokazał twarzy mężczyzny, ale oboje go rozpoznali.

Potem Szczur dotarł do pierwszego więźnia, zatrzymał się przed nim, ruszył dalej, przystanął przed następnym. Dopiero przy czwartym więźniu ręka oprawcy zadała cios. Ostrze trafiło w miejsce, gdzie szczęka dotyka ucha, prześliznęło się w lewo i wyszło w tym samym miejscu po drugiej stronie głowy. Przez chwilę więzień wydawał się zdziwiony, tylko zdziwiony. Potem na jego gardle pojawiła się czerwona linia i nagle krew buchnęła z rany, opryskując sąsiadów po obu stronach. Ciało zwiotczało, usta próbowały coś powiedzieć, oczy błagały o cofnięcie kary. Kara nie została cofnięta. Strażnik za plecami więźnia podtrzymał ciało, a kiedy głowa opadła do przodu, podniósł ją za włosy, żeby pokazać twarz. Przy tym ruchu rana rozwarła się niczym pysk piranii. Wreszcie krew przestała tryskać i Szczur kiwnął głową, wciąż odwrócony plecami do kamery. Strażnik puścił ciało, które osunęło się na podłogę.

Widocznie kamery sfilmowały tę egzekucję szczegółowo, ponieważ odbyła się jako pierwsza. Kiedy Szczur wędrował wzdłuż szeregu, podcinając gardło co trzeciego, co czwartego lub co piątego więźnia, nie pokazywano już zbliżeń konających ludzi, tylko kontynuowano program.

Kyaren i Josif tego nie zauważyli. Ponieważ od chwili, kiedy ostrze po raz pierwszy śmignęło w powietrzu i trafiło więźnia w gardło, Josif krzyczał. Kyaren próbowała odciągnąć go od ekranu, próbowała zasłonić mu oczy, żeby nie patrzył na śmierć tamtego człowieka, ale nawet wrzeszcząc przeraźliwie, Josif ani na chwilę nie oderwał spojrzenia od widoku krwi i agonii. A kiedy głowa więźnia opadła do przodu, Josif głośno zaszlochął:

- Bant! Bant!

Teraz wiedzieli, jak Szczur niszczył ludzi. On musiał wiedzieć, pomyślała Kyaren, musiał wiedzieć, co Josif czuł do Banta, dlatego postanowił go zabić, jakby mówił: „Możesz zadenuncjować przestępcę, ale musisz ponieść konsekwencje”.

Kyaren była pewna, że z rozmysłem wybierał ofiary, ponieważ kiedy dotarł do ostatnich sześciu ludzi, zwolnił i zaglądał każdemu w twarz. Więźniowie reagowali bardzo różnie: niektórzy próbowali przyjąć po stoicku perspektywę śmierci, niektórzy błagali o litość, niektórzy prawie wymiotowali ze strachu lub obrzydzenia. Za każdą osobą, którą mijał Szczur, następna miała coraz większą pewność, że zostanie ofiarą - jak dotąd Szczur nie oszczędził więcej niż czterech ludzi pod rząd. A potem dotarł do ostatniego.

Ostatni był Warvel, całkowicie przekonany, że zaraz umrze - pominięto już pięć osób przed nim. Kyaren, tuląc do siebie Josifa, który cicho płakał na jej ramieniu, poczuła wewnętrzną satysfakcję,

brzydką satysfakcją, że Warvel też umrze. Jeśli Bant, to na pewno Warvel.

Potem ramię Szczura wystrzeliło do przodu. Lecz nie żeby zabić, ponieważ dłoń była pusta. Szczur chwycił więźnia za kark, odciągnął go od strażnika. Warvel zatoczył się, prawie upadł, bo kolana ugięły się pod nim. Głośniki przekazały głos Szczura:

- Tego ułaskawiamy. Imperator ułaskawia tego człowieka. Wahrelowi zdjęto więzy, a głos spikera zaczął mówić, jak to zawsze należy pamiętać o imperatorze - ponieważ kiedy ktoś oszukuje i okrada ludzi, imperator wywiera zemstę w ich imieniu. „Lecz sprawiedliwość imperatora zawsze jest złagodzona miłosierdziem. Imperator zawsze pamięta, że nawet najgorszy zbrodniarz wciąż należy do poddanych imperatora”.

Warvel.

Bant.

- Czegokolwiek Szczur chciał nas nauczyć - szepnęła Kyaren tak cicho, że nawet ona ledwie słyszała wypowiedane przez siebie słowa. - Czegokolwiek Szczur chciał nas nauczyć, zrozumieliśmy lekcję. Zrozumieliśmy lekcję.

Dlatego też Kyaren i Josif byli w Babilonie, kiedy przeniesiono tam Ansseta.

Rozdział 4

Po raz pierwszy w życiu Ansset stracił pieśni.

Do tej pory wszystko, co mu się przydarzyło, wzbogacało jego muzykę. Nawet śmierć Mikala nauczyła go nowych pieśni i pogłębiła dawne melodie.

Spędził tylko jeden miesiąc w więzieniu, ale spędził ten czas bez pieśni. Nie dlatego, że postanowił milczeć. Początkowo od czasu do czasu próbował śpiewać. Nawet coś prostego, coś, czego nauczył się w dzieciństwie. Dźwięki płynęły swobodnie z jego gardła, ale nie było w tym muzyki. Każda piosenka brzmiała pusto i nie mógł się zmusić, żeby śpiewać dalej.

Ansset rozmyślał o śmierci, może dlatego, że nieustannie miał przed oczami urnę zawierającą prochy

Mikala, może dlatego, że czuł się pogrzebany żywcem w tym zakurzonym pokoju, pełnym pamiątek przeszłości. A może dlatego, że lekarstwa opóźniające dojrzewanie Słowika przestawały działać, zaś zmiany miały bardziej kłopotliwy przebieg z powodu tej sztucznej zwłoki. Anset często budził się w nocy, dręczony przez dziwne, niewyraźne sny. Mały na swój wiek, zaczął odczuwać niepokój; miał ochotę zmierzyć się w walce z jakimś przeciwnikiem, tęsknił za wysiłkiem fizycznym, którego był pozbawiony w zamknięciu.

Taka właśnie jest śmierć, myślał. Tak właśnie czują się zmarli, zamknięci w grobowcach albo przyłapani publicznie bez ciał. Duchy po prostu pragną czegoś dotknąć, ale nie mogą, pozbawione ciała; pragną ciepła, zimna, nawet rozkosznego bólu, ale odebrano im to wszystko.

Liczył dni. Pogrzebaczem z kominka zaznaczał każdy poranek w popiołach na palenisku, pomimo tego, że popioły pochodziły z ciała Mikala - albo właśnie dlatego. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy kontrakt się skończył i Anset mógł wrócić do domu.

Dlaczego Riktors tak opacznie go rozumiał? Przez wszystkie lata spędzone z Mikalem Anset nigdy nie musiał go okłamywać. Związek z Riktorem również był do pewnego stopnia uczciwy, chociaż obaj przemilczali pewne tematy. Nie łączyła ich więź ojca i syna, jak z Mikalem; raczej czuli się jak bracia, chociaż nie wiadomo, który z nich odgrywał rolę starszego brata, a który był młodszym, niesfornym, niedojrzałym, wymagającym stałej uwagi i opieki. A teraz, jedynie za sprawą kilku szczerych słów, Anset dotknął miejsca w Riktorsie, o którym nikt nie wiedział - ten człowiek był mściwy, zdolny do nieobliczalnego okrucieństwa nawet wobec bezbronnych.

Anset myślał, że zna Riktorsa - podobnie jak znał właściwie wszystkich. Inni ufali swoim oczom, Anset ufał swoim uszom. Nikt nie mógł go okłamać ani maskować się przed nim, dopóki mówił. Lecz Riktors Ashen maskował się przed nim, przynajmniej częściowo. Anset poczuł się równie niepewnie jak widzący człowiek, który nagle odkrył, że wilki są niewidzialne i podkradają się do niego w nocy.

W dniu, kiedy Anset skończył piętnaście lat, czekał z nadzieją, że drzwi się otworzą, że wejdzie majordom albo jeszcze lepiej, wysłannik Domu Pieśni, weźmie go za rękę i wyprowadzi stąd.

Majordom rzeczywiście przyszedł. Zjawił się pod wieczór i bez słowa wręczył Ansetowi kartkę papieru, zapisaną charakterem pisma Riktorsa.

Z przykrością zawiadamiam, że Dom Pieśni poinformował nas, że nie możesz tam wrócić. Według ich zdania służba u dwóch imperatorów zepsuła cię, dlatego nie życzą sobie twojego powrotu. Wiadomość podpisała Esste. Szkoda, że wiadomość przyszła wtedy, kiedy nie jesteś tu mile widziany. Obecnie musimy zdecydować, co z tobą zrobić, skoro ani my, ani Dom Pieśni nie możemy dłużejłożyć na twoje utrzymanie. Niewątpliwie odebrałeś to jako cios. Na pewno

rozumiesz, jak bardzo mi przykro.

Riktors Mikal, Imperator

Gdyby długie milczenie Ansseta w pokojach Mikala zakończyło się powrotem do Domu Pieśni, pomogłoby mu dorosnąć, podobnie jak milczenie i cierpienie w Wysokiej Sali z Esste pomogło mu dorosnąć. Ale kiedy przeczytał list, odpłynęły od niego wszystkie pieśni.

Nie, nie uwierzył w list od razu. Najpierw pomyślał, że to okrutny, potworny żart, ostatni mściwy gest Riktorsa, żeby Ans-set pożałował, że chciał opuścić Ziemię i powrócić do Domu Pieśni. Ale kiedy mijały godziny, ogarnęły go wątpliwości. Przez lata pobytu na Ziemi nie dostał ani słowa z Domu Pieśni. To było normalne, wiedział - ale oddalało go od tamtych wspomnień. Kamiennie ściany zatarły się w pamięci, zastąpione przez ogrody Susquehanny. Riktors stał się bardziej realny niż Esste, chociaż Esste wywoływała cieplejsze uczucia. Lecz z daleka od domu Ansset zaczął myśleć: może Esste zwyczajnie nim manipulowała. Może ich wspólne przeżycia w Wysokiej Sali były tylko częścią strategii - obliczonej na to, żeby go pokonać, a nie dzielić z nim doświadczenie. Może wysłano go na Ziemię jako ofiarę; może sceptycy mieli rację, może Dom Pieśni ugiął się pod presją Mikala i wysłał mu Słowika wiedząc, że imperator na niego nie zasługuje, że zniszczy Słowika, który nigdy nie będzie mógł wrócić do domu.

Może właśnie dlatego, po śmierci Mikala, Dom Pieśni zrobił coś nie do pomyślenia: pozwolił Anssetowi zostać z Riktorem Ashenem.

Wszystko pasowało. Im dłużej Ansset o tym myślał, tym lepiej pasowało, i zanim zasnął, długo walczył z rozpaczą. Wciąż jeszcze tliła się w nim nadzieja, że następnego dnia zjawią się wysłannicy Domu Pieśni, powiedzą mu, że to był okrutny żart Riktorsa, że przyjechali go zabrać; lecz nadzieja się rozwiewała i Ansset zrozumiał, że chociaż dawniej należał do tych kilku ludzi na Ziemi, którzy uważali się za niezależnych od imperatora, niemal mu równych - teraz całkowicie zależał od Riktorsa i wcale nie miał pewności, czy Riktors czuje się zobowiązany potraktować go łagodnie.

Tej nocy zawiodła go Kontrola i obudził się z głośnym płaczem. Próbował się opanować, ale nie potrafił. Nie mógł wiedzieć, że to proces dojrzewania przejściowo osłabił jego znajomość siebie. Uznał to za dowód, że Dom Pieśni miał rację - jest zepsuty.

Jeśli przedtem odczuwał niepokój, teraz wpadł w panikę. Pokoje wydawały się mniejsze niż kiedykolwiek, podłoga była nieznośnie miękka. Chciał ją uderzyć i poczuć twardy opór zamiast ustępliwości. Kurz, zepchnięty w kąty przez jego nieustanne spacerowanie, zaczął go drażnić; często kichał. Ciągłe łzy napływały mu do oczu; tłumaczył sobie, że to z powodu kurzu, ale wiedział, że przyczyną jest strach przed porzuceniem. Prawie przez całe życie, które pamiętał, otaczało go bezpieczeństwo, najpierw bezpieczeństwo Domu Pieśni, potem bezpieczeństwo miłości imperatora. Teraz, nagle, jedno i drugie zniknęło. Dawno zapomniane uczucie ponownie zaczęło nawiedzać jego sny. Ktoś go ukradł. Ktoś zabrał go od rodziny. Ktoś ukrył jego rodzinę gdzieś daleko, już nigdy nie zobaczy swoich bliskich, i budził się w ciemnościach zdjęty przerażeniem, lękając się poruszyć w łóżku, ponieważ gdyby tylko podniósł rękę, oni rzuciliby się na niego; zabrałiby go tam, gdzie nikt go nie

odnajdzie, gdzie do końca życia będzie mieszkał w małej celi na rozkołysanej łodzi, otoczony szyderczymi twarzami mężczyzn, którzy widzieli tylko jego nagość, nie jego duszę.

A potem, po tygodniu, długie milczenie dobiegło kresu. Przyszedł po niego majordom.

- Riktors chce cię zobaczyć - powiedział i ponieważ nie przekazywał zapamiętanej wiadomości, mówił swoim własnym głosem, ciepłym i pełnym współczucia. Anset drżał, kiedy do niego podchodził. Ujął wyciągniętą dłoń i pozwolił się wyprowadzić z pokojów Mikala do wspaniałych apartamentów Riktorsa.

Imperator czekał na niego stojąc przy oknie i spoglądając na las, gdzie liście zaczęły już żółknąć i czerwienieć. Na zewnątrz dmuchał ostry wiatr, ale oczywiście nie dochodził do komnaty. Majorom wprowadził Anseta i zostawił go samego z Riktorem, który niczym nie zdradził, że zauważył chłopca.

Chłopca? Po raz pierwszy Anset uświadomił sobie, że rośnie, że urósł. Riktors już nie górował nad nim jak wtedy, kiedy zabrał go z Domu Pieśni. Anset wciąż nie sięgał mu do ramienia, ale wiedział, że wkrótce dosięgnie. Poczł, że coraz bardziej dorównuje Riktorsowi - nie pod względem niezależności, bo tamto uczucie zniknęło, ale pod względem męskości. Moje dłonie są duże, pomyślał Anset.

Moje dłonie mogą wyrwać mu serce.

Zepchnął tę myśl na dno umysłu. Nie rozumiał swojej żądzy mordy; przecież dość miałem takich przeżyć w dzieciństwie, pomyślał.

Riktors odwrócił się od okna i Anset zobaczył jego oczy, zaczerwienione od płaczu.

- Przepraszam - powiedział Riktors. I znowu zapłakał. Żal był szczery, nieznośnie prawdziwy. Z przyzwyczajenia

Anset podszedł do mężczyzny. Ale przyzwyczajenie straciło moc

- dawniej objąłby Riktorsa i zaśpiewał mu, teraz tylko stanął obok, nie dotknął go i oczywiście nie zaśpiewał. Nie miał już żadnych pieśni dla Riktorsa.

- Gdybym mógł to cofnąć, cofnąłbym - powiedział Riktors.

- Ale ty dotknąłeś mnie bardziej, niż mogłem znieść. Tylko ty mogłeś mnie tak rozgniewać, zranić mnie tak głęboko.

Prawda dźwięczała w głosie Riktorsa. Z zamierającym sercem Anset rozumiał, że Riktors go nie oszukał. Imperator nie kłamał.

- Zaśpiewasz dla mnie? - poprosił Riktors.

Anset chciał powiedzieć „tak”. Ale nie mógł. Szukał w sobie pieśni, lecz żadnej nie znalazł. Zamiast

melodii łzy wezbrały mu w gardle; twarz mu się skurczyła i potrzęsnał głową bez słowa.

Riktors rzucił mu rozgoryczone spojrzenie i odwrócił wzrok.

- Tak myślałem. Wiedziałem, że nigdy mi nie przebaczysz. Anset potrzęsnał głową i usiłował wydobyć z siebie głos,

usiłował powiedzieć: „Przebaczam ci”. Ale nie odnalazł w sobie żadnego głosu. Nie odnalazł nic prócz cierpienia i strachu przed porzuceniem.

Riktors czekał, żeby Anset przemówił, zaprzeczył, przebaczył; kiedy stało się jasne, że Anset z własnej woli nie przerwie milczenia, Riktors zaczął chodzić. Po pokoju, dotykając okien i ścian. Wreszcie usiadł na łóżku, które po chwili wyczuło, że nie zamierzał się położyć, i utworzyło niewysokie oparcie wokół jego pleców.

- No więc nie będę cię dłużej karał, zatrzymując przy mnie w pałacu. Nie wrócisz na Tew. Nie mogę po prostu wyznaczyć ci renty, zasłużyłeś na lepsze traktowanie. Więc postanowiłem dać ci pracę.

Anset nie okazał zainteresowania.

- Nie zależy ci? No, ale mnie zależy - mówił Riktors do milczącego Anseta. - Zarządca Ziemi dostanie awans. Dam ci jego stanowisko. Będziesz przysyłał raporty bezpośrednio do imperialnej stolicy, żadnych prefektów pomiędzy nami. Major-dom chciał ci dać coś mniejszego, jakiś urząd nie związany z taką odpowiedzialnością. - Riktors parsknął śmiechem. - Ale ty nie jesteś przyzwyczajony do mniejszej odpowiedzialności, co? Przynajmniej znasz protokół. I dostaniesz bardzo dobry personel. Pokierują tobą, dopóki sam się nie nauczysz. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, możesz na mnie liczyć.

Riktors szukał na twarzy Anseta śladów jakiegoś uczucia, chociaż powinien był wiedzieć lepiej. Anset chciał mu coś pokazać, spełnić jego oczekiwania. Ale wszystkie siły skupił na utrzymaniu Kontroli, żeby nie rozbić szyby i nie wyskoczyć z pałacu przez okno, żeby nie krzyknąć, aż mu pęknie gardło. Więc nic nie odpowiedział i niczego po sobie nie pokazał.

- Ale nie chcę cię widzieć - zakończył Riktors. Anset wiedział, że to było kłamstwo.

- Nie, to kłamstwo. Muszę cię widzieć, nie mogę żyć bez ciebie. Zrozumiałem to wyraźnie, Anset. Pokazałeś mi, jak bardzo cię potrzebuję. Ale nie chcę ciebie potrzebować, nie ciebie, nie teraz. Więc nie mogę pragnąć cię widywać, dlatego nie będę cię widywał. Dopóki nie będziesz gotów mi przebaczyć. Dopóki nie będziesz gotów znowu dla mnie zaśpiewać.

Nie mogę śpiewać dla nikogo, chciał powiedzieć Anset.

- Więc zorganizuję ci szkolenie... wiesz, nie ma specjalnej szkoły dla zarządców planety. Najwięcej ci pomogą spotkania z obecnym zarządcą. A potem zabiorą cię do Babilonu. To piękne miejsce, jak mówią. Nigdy go nie widziałem. Jak już zamieszkas w Babilonie, nigdy się nie spotkamy. - Głos Riktorsa był wypełniony bólem, który rozdzierał Ansetowi serce. Przez chwilę chciał objąć tego

człowieka, który przecież był dawniej jego bratem i przyjacielem. Sądził, że zna Riktorsa, i nie potrafił nie kochać kogoś, kogo całkowicie rozumiał. Ale ja go wcale nie rozumiałem, uświadomił sobie. Riktors maskował się przede mną, wcale go nie znam.

Pomiędzy nimi wyrósł mur, którego Anset nie próbował obalić.

Natomiast Riktors próbował. Wstał z łóżka, podszedł do Anseta, uklęknął przed nim, objął go w pasie i zaszlochał, przyciskając twarz do jego biodra.

- Anset, proszę. Odwołaj to! Powiedz, że mnie kochasz, powiedz, że tutaj jest twój dom, zaśpiewaj dla mnie, Anset!

Lecz Anset zachował milczenie, a mężczyzna osunął się po jego ciele i leżał załamany u jego stóp. Wreszcie przestał szlochać i powiedział, nie podnosząc głowy:

- Idź. Wyjdź stąd. Nigdy mnie nie zobaczysz. Możesz rządzić Ziemią, ale mną już nie będziesz rządził. Odejdź.

Anset wysunął się z bezwładnych rąk Riktorsa i podszedł do drzwi. Otworzyły się pod jego dotykiem. Ale zanim wyszedł, Riktors krzyknął w rozpacz:

- Nic mi nie powiesz?

Anset odwrócił się szukając czegoś, żeby przełamać wewnętrzną ciszę. Wreszcie znalazł.

- Dziękuję ci - powiedział.

Znaczyło to: dziękuję, że troszczysz się o mnie, że wciąż ci zależy, że dajesz mi coś do roboty teraz, kiedy już nie mogę śpiewać, kiedy straciłem swój dom.

Ale Riktors usłyszał co innego. Usłyszał, że Anset mówi: dziękuję, że pozwalasz mi odejść, dziękuję, że nie zatrzymujesz mnie przy sobie, dziękuję, że pozwalasz mi mieszkać i pracować w Babilonie, gdzie nie będę już musiał dla ciebie śpiewać.

Dlatego ku zdziwieniu Anseta, kiedy wyrzucił te dwa słowa, całkowicie pozbawione muzyki, Riktors nie przyjął ich dobrze. Popatrzył tylko na Anseta, a w jego oczach chłopiec zobaczył zimną nienawiść. Spojrzenie trwało przez kilka minut, nieznośnie długo, aż wreszcie Anset nie mógł już wytrzymać nienawiści Riktorsa. Odwrócił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim, a wtedy uświadomił sobie, że przynajmniej nie jest już Słowikiem. Nowa praca nie będzie wymagała pieśni.

Ku swojemu zdziwieniu poczuł ulgę. Odrzucił muzykę niczym dokuczliwy ciężar. Dopiero dużo później zrozumiał, że brak śpiewu stanowił jeszcze większy ciężar, którego nie mógł tak łatwo zrzucić.

Rozdział 5

Mistrz Pieśni Onn samotnie powrócił do Domu Pieśni. Nikt nie spieszył się z przekazywaniem złych wiadomości; nikt go nie wyprzedził, żeby ogłosić całkowite fiasko jego misji.

Dlatego też Esste, czekając cierpliwie w Wysokiej Sali, usłyszała jako pierwsza, że Ansset nie wróci do domu.

- Nie pozwolono mi wylądować na Ziemi. Resztę pasażerów zabrał prom, a ja nawet nie postawiłem stopy na planecie.

- Wiadomość - powiedziała Esste. - Czy została przekazana we własnym języku Ansseta?

- To były osobiste przeprosiny od Riktorsa Mikala - odparł Onn i wyrecytował z pamięci: - „Z przykrością informuję, że Ansset, były Słowik, odmawia powrotu na Tew. Jego kontrakt wygasł, a ponieważ on nie jest przedmiotem ani dzieckiem, nie mogę go legalnie zmuszać. Mam nadzieję, że zrozumiecie, że dla jego bezpieczeństwa nie pozwolę nikomu z Domu Pieśni wylądować na Ziemi, dopóki on tu mieszka. Jest zajęty i szczęśliwy; nie martwcie się o niego”.

Esste i Onn popatrzyli na siebie w milczeniu, ale cisza pomiędzy nimi śpiewała.

- On kłamie - powiedziała wreszcie Esste.

- Jedno jest prawdą: Ansset nie śpiewa.

- Więc co robi?

Onn odpowiedział zbolalym głosem, ze zboląłą twarzą:

- Jest zarządcą Ziemi.

Esste gwałtownie wciągnęła powietrze. Siedziała w milczeniu, wpatrując się w pustkę. Onn mówił łagodnym głosem, śpiewał dla niej miękko i czule. Ale treść nie była łagodna. Riktors mógł zmusić Ansseta do pozostania - w to łatwo uwierzyć. Ale jak zmusił Ansseta do przyjęcia tak odpowiedzialnego stanowiska?

- On jest taki młody - zaśpiewała Esste.

- On nigdy nie był młody - odpowiedział melodyjnie Onn.

- Byłam dla niego okrutna.
- Zawsze okazywałaś mu tylko dobroć.
- Kiedy Riktors błagał mnie, żebym pozwoliła im zostać razem, powinnam była odmówić.
- Wszyscy Mistrzowie Pieśni zgodzili się, że on powinien zostać.

A potem krzyk, który nie był pieśnią, który wydarł się z głębi większej niż cała muzyka Esste.

- Anset, mój synu! Co ja ci zrobiłam, Anset, mój synu, mój synu!

Onn wyszedł, żeby nie widzieć, jak Esste traci Kontrolę. Co robiła samotnie w Wysokiej Sali, to jej prywatna sprawa. Zszedł po długich schodach krokiem ociążonym od żalu. Zdążył już przywyknąć do myśli, że Anset nie wraca. Esste nie zdążyła.

Obawiał się, że nigdy nie przywyknie do tej myśli. Nie minął ani jeden tydzień od wyjazdu Ansseta, żeby Esste o nim nie śpiewała, albo wymieniając jego imię, albo odtwarzając melodię, którą jej przyjaciele rozpoznawali - pieśń Ansseta, fragment melodii, którą mogło uformować tylko dziecięce gardło albo gardło Esste, ponieważ tak dobrze znała wszystkie jego pieśni. Na jego powrót wyczekiwano tak, jak na żadnego innego śpiewaka. Nie planowano żadnej uroczystości, tylko w sercach tych, którzy pragnęli go powitać. Ale czekały pieśni, gotowe wybuchnąć radością z powodu najwspanialszego Słowika. Przygotowano już miejsce dla Ansseta. Postanowiono, że zacznie uczyć natychmiast. To znaczyło, że jego głos będzie śpiewał przez cały dzień, będzie prowadził pieśni na dziedzińcu, będzie rozbrzmiewał wieczorami z wieży. To znaczyło, że kiedyś Anset zostanie Mistrzem Pieśni, może w Wysokiej Sali.

Onn miał czas przywyknąć do ruiny tych wszystkich planów. Lecz kiedy powoli schodził po stopniach, słyszał głuchy dźwięk swoich kroków na kamieniu, ponieważ wciąż nosił podróżne buty. Niewłaściwy wędrowiec powraca, pomyślał. W wyobraźni usłyszał ostatnią pieśń Ansseta przed laty, w wielkiej sali. Wspomnienie było zatarte. Melodia brzmiała jak wiatr na wieży i przeniknęła go chłodem.

Rozdział 6

Anset przebywał w Babilonie dopiero od tygodnia, kiedy się zgubił.

Za długo mieszkał w pałacu. Nie przyszło mu do głowy, że nie zna drogi. Rzeczywiście niemal natychmiast zorientował się w rozkładzie budynku zarządu, który przez dwa tygodnie dzielił z odchodzącym zarządcą, próbującym go zaznajomić z personelem, pracą i bieżącymi problemami. Nudne sprawy, ale w tych dniach Anset tęsknił za nudą. Pozwalała mu zapomnieć o sobie. Znacznie łatwiej było pograżyć się w rządowej pracy.

Formalnie nie miał odpowiedniego przygotowania. Nieformalnie jednak miał najlepsze przygotowanie na świecie. Długie godziny wysłuchiwanie zwierzeń Mikala i Riktorsa, opowieści o podejmowanych decyzjach. Jego pamięć stała się śmietniskiem imperialnych problemów; żaden planetarny problem nie mógł go zaskoczyć.

Czasami jednak zostawiano go samego. Możliwości przyswajania wiedzy są ograniczone i chociaż Anset wiedział, że nie ma powodu wstydzić się swoich metod nauki, ostro uświadamiał sobie fakt, że wszyscy uważają go za dziecko. Był mały i głos mu się nie zmienił dzięki lekom Domu Pieśni. Dlatego traktowali go opiekuńczo, nadopiekuńczo, myślał.

- Mogę zrobić więcej - powiedział pewnego dnia, kiedy skończyli przed zachodem słońca.

- Wystarczy na dzisiaj - odparł minister edukacji. - Kazali mi skończyć do czwartej, a już prawie piąta. Doskonale sobie radisz. - Potem minister zorientował się, że traktuje ucznia protekcjonalnie, próbował się poprawić, zrezygnował i wyszedł.

Pozostawiony sam sobie, Anset podszedł do okna i wyjrzał. Inne pokoje miały balkony, ten jednak wychodził na zachód. Słońce zachodziło nad budynkami, wzniesionymi na palach, żeby nie niszczyć ziemi porośniętej gęstą trawą. Anset zobaczył ptaka podrywającego się z trawy, zobaczył wielkiego ssaka wędrującego pod budynkami, kierującego się chyba na wschód, w stronę rzeki.

Chciał wyjść na dwór.

Oczywiście nikt nie wychodził na zewnątrz, nie przy takiej pogodzie. Za kilka miesięcy, kiedy Eufrat wyleje i równinę pokryje woda od horyzontu do horyzontu, wycieczkowe łodzie będą przepływać pomiędzy budynkami, wymijając hipopotamy, podczas gdy praca w betonowych pudłach, zakotwiczonych w skale niczym czaple ignorujące prądy, ponieważ ich łapy mocno tkwią w mule.

Teraz jednakże równina należała do zwierząt.

Ale wszystkie drzwi otwierały się pod palcami Anseta, wszystkie przyciski działały, kiedy ich używał. Więc zjechał windą na najniższy poziom, a potem wędrował, aż znalazł windę towarową. Wszedł, nacisnął jedyny guzik i czekał, kiedy winda jechała w dół.

Drzwi się otwarły i Anset wyszedł na trawę. Wieczór był upalny, ale lekki wietrzyk dmuchał pod budynkami. Powietrze pachniało zupełnie inaczej niż nad Susquehanną, ale całkiem przyjemnie, chociaż Anset wyczuwał ostrą woń zwierząt. Winda wysadziła go na środku przestrzeni pod budynkiem. Słońce właśnie się pokazało w szczelinie pomiędzy ziemią a drugim budynkiem na

zachodzie; cień Anseta zdawał się rozciągać na kilometr we wschodnią stronę.

Lecz od widoków i zapachów lepsze były dźwięki. W oddali Anset słyszał ryk jakiejś potężnej bestii; znacznie bliżej krzyczały ptaki, głosami bardziej dzikimi niż ćwierkanie małych ptaszków we Wschodniej Ameryce. Anset był tak oczarowany pięknem tych nowych dźwięków, że nawet nie zauważył, jak winda zniknęła, dopóki nie obejrzał się za jakimś ptakiem i nie odkrył pustki za plecami. Nie tylko winda, ale cały szyb podjechał w górę i właśnie powracał na miejsce, metalowy kwadrat wysoko nad głową, w podłodze pierwszego piętra.

Anset nie miał pojęcia, jak ściągnąć z powrotem windę. Przez chwilę poczuł strach. Potem pomyślał kwaśno, że tamci natychmiast zauważą jego nieobecność i przyjdą go szukać. Ciągłe go pytano, czy czegoś nie potrzebuje, prawie co dziesięć minut.

Skoro już uwolnił się od ludzi, skoro stał tutaj w trawie, z uszami pełnymi nowej muzyki, powinien to jak najlepiej wykorzystać. Budynki ciągnęły się w nieskończoność na wschodzie; na zachodzie tylko dwa budynki dzieliły go od otwartej równiny. Ruszył więc na zachód.

Nigdy w życiu nie widział tyle przestrzeni. Prawda, równina była usiana drzewami, więc jeśli sięgnął wzrokiem dostatecznie daleko, drzewa tworzyły cienką zieloną linię, wyznaczającą granice świata, zanim zniknął za krzywizną horyzontu. Lecz niebo wydawało się ogromne, ptaki znikały w nim tak łatwo, takie maleńkie na tle oślepiającego błękitu.

Anset próbował sobie wyobrazić równinę zalaną wodą, drzewa wznoszące się dzielnie nad powierzchnią, żeby wycieczkowicze mogli cumować łodzie do gałęzi i urządzać pikniki w cieniu. Ta kraina była bezlitośnie płaska - ani jednego wzniesienia. Anset zastanawiał się, co robiły wtedy zwierzęta. Pewnie migrowały, zdecydował, chociaż przez chwilę widział oczami duszy, jak strażnicy spędzają je w stada i przewożą na bezpieczne miejsce. Gigantyczna ewakuacja: człowiek chroniący przyrodę, odwrócenie starożytnych ról. Ale tak się działo tylko tutaj, w ogromnym Imperialnym Parku Gatunków, sięgającym od Morza Śródziemnego i Egejskiego po dolinę rzeki Indus. Tutaj martwą ziemię przywrócono do życia i tylko Babilon oraz nieliczne ośrodki turystyczne wtargnęły do wskrzeszonego królestwa zwierząt.

Kiedy słońce dotknęło horyzontu, ptasie głosy niemal oszalały i wiele nowych ptaków podniosło krzyk. O zmierzchu wszystkie zwierzęta przejawiają wzmożoną aktywność: jedne szukają ostatniej zdobyczy przed nocą, drugie wyruszają na żer po przespanym dniu.

Pieśń napełniła Anseta spokojem. Myślał, że już nigdy tego nie poczuje. Napięcie, którego dotąd nawet nie zauważał, stopniowo odpływało, mięśnie się rozluźniały. Niemal odruchowo Anset otworzył usta, żeby zaśpiewać. Niemal. Ponieważ sam odstęp czasu pomiędzy pieśniami obudził jego czujność. To było coś nowego. Natychmiast uświadomił sobie, że to była jego Pierwsza Pieśń. Dlatego kiedy zaczął śpiewać, tortury kalkulacji zniekształciły melodię. To, co powinien robić odruchowo, robił świadomie i dlatego poniósł klęskę, i nie mógł śpiewać. Próbował i oczywiście dźwięki popłynęły. Nie wiedział, że niepowodzenie w znacznym stopniu wynikało z braku praktyki, do czego z kolei przyczynił się fakt, że jego głos właśnie zaczął się zmieniać. Wiedział tylko, że to, co dawniej było naturalne jak oddychanie, jak chodzenie, teraz stało się całkowicie nienaturalne. Pieśń brzmiała ohydnie w jego uszach. Krzyknął głosem żalonym jak wrzask kormorana. Ptaki w

pobliżu umilkły, natychmiast wyczuwając, że on nie należy do nich.

Nie należę do was, powiedział bezgłośnie. Ani do nikogo. Moi najbliżsi mnie odepchnęli, a tutaj jestem obcy.

Tylko Kontrola powstrzymywała go od płaczu, ale stopniowo, kiedy wzbierały w nim emocje, rozumiał, że bez pieśni nie potrafi zachować Kontroli. Musiał mieć jakieś ujście.

Więc zapłakał, zakrzyczał z rozpaczą, zawył do nieba jak wilk. Sam się przestraszył tych zwierzęcych odgłosów. Jego głos brzmiał jak skarga rannego zwierzęcia; na szczęście drapieżniki nie dały się oszukać i zwabić do rzekomej ofiary.

Ktoś jednak przyszedł i kiedy zapadła cisza, a słońce znikło za odległymi drzewami, ktoś z tyłu dotknął łokcia Anseta. Chłopiec odwrócił się gwałtownie, przerażony, nie pamiętając, że czekał na ratunek.

Wyglądała znajomo i po chwili odnalazł ją we wspomnieniach. Dziwne, pamiętał ją z Domu Pieśni i z pałacu. Tylko jedna osoba prócz niego przebywała w obu tych miejscach.

- Kya-Kya - powiedział ochryłym głosem.

- Słyszałam twój krzyk - powiedziała. - Czy jesteś ranny?

- Nie - zaprzeczył natychmiast.

Spoglądali na siebie, nie wiedząc, jak się zachować. Wreszcie Kya-Kya przerwała milczenie.

- Wszyscy wpadli w panikę. Nikt nie wie, dokąd poszedłeś. Ale ja wiedziałam. Przynajmniej tak myślałam. Bo ja też kiedyś tutaj zesłam. Niewielu z nas schodzi na dół w suchej porze. Zwierzęta nie są najlepszym towarzystwem. Tylko przechodzą obok, potężne i wolne. Istoty ludzkie nie lubią oglądać cudzej potęgi i wolności. Robią się zazdrosne.

Roześmiała się, a on jej zawtórował. Ale bez wdzięku. Coś się popsuło.

- Pracujesz tutaj? - zapytał.

- Należę do twoich specjalnych asystentów. Jeszcze się nie spotkaliśmy. Zapisano mnie na przyszły tydzień. Nie jestem bardzo ważna.

Nie odpowiedział i Kya-Kya znowu czekała, dręczona niepewnością. Rozmawiała już z nim - zawsze z gniewem, kiedy zetknęli się najpierw w Domu Pieśni, a potem w pałacu. Ale prędzej ją szlag trafi, niż pozwoli, żeby taki drobiazg przeszkodził jej w karierze. Okropność, że zrobili tego chłopca jej bezpośrednim przełożonym, ona jednak potrafi to obrócić na swoją korzyść.

- Pokażę ci, jak wrócić. Jeśli chcesz wrócić.

Ciągle milczał. W jego twarzy było coś dziwnego, chociaż nie umiała tego określić. Twarz wydawała

się sztywna. Ale nie o to chodziło - przecież kiedy rozmawiała z nim w jego izbie w Domu Pieśni, a on zaśpiewał jej pocieszenie, też stał sztywno, z nieruchomą, wręcz nieludzką twarzą.

- Czy chcesz wrócić? - zapytała.

Nadal nie odpowiadał. Bezradna, niepewna, co począć z tym dzieckiem, które trzymało w ręku jej przyszłość (cokolwiek zrobię, Dom Pieśni zawsze powraca, żeby mnie prześladować - pomyślała to samo, co pomyślała już sto razy, odkąd się dowiedziała, że on zostanie zarządcą) czekała.

Wreszcie dostrzegła, co się zmieniło w jego twarzy - wcale nie była sztywna. To były tylko próby. Chłopiec drżał. Najdoskonalej opanowana istota w Domu Pieśni drżała. Głos mu się trząsał i załamywał, kiedy mówił:

- Nie wiem, gdzie jestem.

- Jesteś tylko dwa budynki od twojego... - a potem zrozumiała, że nie o to pytał.

- Pomóż mi - poprosił.

Nagle jej uczucia wykonały zwrot, stosunek do chłopca zmienił się diametralnie. Przygotowana była na walkę z tyranem, z potworem, z wyniosłym prominentem. Nie była przygotowana na spotkanie z dzieckiem potrzebującym pomocy.

- Jak mogę ci pomóc? - szepnęła.

- Nie znam drogi - wyznał.

- Kiedyś poznasz.

Wydawał się zniecierpliwony, bardziej przestraszony; maska opadała z jego twarzy.

- Straciłem... straciłem głos.

Nie rozumiała. Przecież z nią rozmawiał.

- Kya-Kya - powiedział - nie mogę już śpiewać.

Ze wszystkich ludzi na Ziemi jedynie Kya-Kya mogła zrozumieć, co to znaczyło, co to znaczyło dla niego.

- Wcale? - spytała niedowierzająco. Potrząsnął głową i łzy napłynęły mu do oczu.

Ten chłopiec był bezradny. Wciąż piękny, wciąż przyciągający wzrok, a jednak dopiero teraz naprawdę zobaczyła w nim dziecko. Stracił głos! Stracił jedyną rzecz, która zapewniła mu sukces w świecie, gdzie Kyaren poniosła sromotną klęskę!

Natychmiast zawstydziała się swojego podniecenia. Ona nigdy tego nie miała. On to stracił. Zmusiła

się, żeby porównać jego stratę z utratą własnego intelektu, od którego całkowicie zależała. Niepojęte. Słowik Mikala bez śpiewu?

- Dlaczego? - zapytała.

W odpowiedzi łza spłynęła mu po policzku. Otarł ją zawstydzony i tym gestem podbił jej serce. Kyaren stanęła po jego stronie. Ktoś wyrządził Ansetowi krzywdę, większą niż porwanie, większą niż śmierć Mikala. Wyciągnęła do niego ręce, objęła go i mówiła słowa, których nigdy nie spodziewała się przywołać nawet w myślach, nie tylko na usta.

Szeptem powtórzyła mu pieśń miłości, a on płakał w jej ramionach.

- Pomogę ci - powiedziała później. - Zrobię dla ciebie wszystko, co potrafię. I odzyskasz głos, zobaczysz.

Anset tylko potrząsnął głową. Ubranie na piersiach miała mokre w miejscu, gdzie spoczywała jego głowa.

Potem zaprowadziła go do słupa i dotknęła kontrolki, która sprowadzała windę, i odsunęła go od siebie na długość ramienia.

- Po raz pierwszy pomogę ci w ten sposób. Przy mnie możesz płakać. Mnie możesz powiedzieć wszystko i pokazać wszystko, co czujesz. Ale nikomu innemu, Anset. Dawniej myślałeś, że potrzebujesz Kontroli, ale naprawdę potrzebujesz jej teraz.

Kiwnął głową i prawie natychmiast jego twarz przybrała opanowany wyraz. Ten dzieciak nie zapomniał swoich sztuczek, pomyślała.

- Łatwiej mi jest - powiedział - kiedy mogę jakoś to z siebie wyrzucić. - Skoro nie mogę tego wyśpiewać; usłyszała te słowa wyraźnie, chociaż ich nie wymówił. A kiedy szedł obok niej przez korytarze budynków, gdzie wszyscy ich widzieli, przez oszklone mosty łączące budynki, z powrotem do kwatery zarządcy, przysunął się do Kyi-Kyi i wziął ją za rękę.

Przez lata nienawidziła Anseta jako symbolu wszystkich, którzy ją skrzywdzili. Zdumiało ją, jak łatwo rozplynęła się ta nienawiść tylko dlatego, że odsłonił się przed nią. Teraz, kiedy mogła go zranić, za nic nie chciała tego zrobić.

Szef personelu szalał z radości po powrocie Anseta, ale zwrócił się z pytaniami do Kyi-Kyi, nie do chłopca:

- Gdzie go znalazłaś? Gdzie on był? Anset odpowiedział chłodno:

- Znalazła mnie tam, gdzie spędzałem czas, Calipie, i wróciłem, kiedy miałem ochotę. - Z rozmysłem odwrócił się do Kyi--Kyi: - Spotkajmy się o ósmej rano, Kya-Kya. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła przy porannych spotkaniach. Calip, proszę o kolację natychmiast.

Calip był zdumiony. Tak się przyzwyczaił układać program zajęć dla Anseta i przedstawiać mu

ludzi, że wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Anset może mieć własne zdanie. Po chwili zakłopotania Calip kiwnął głową i wyszedł z pokoju.

Jak tylko zniknął za drzwiami, Anset spojrzał na Kyaren i uniósł brwi.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go Kyaren.

- Miał lepiej sobie radzić, ale nauczę się - obiecał Anset. Potem uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Lecz w jego uśmiechu dostrzegła cień strachu, ślad tamtej chwili, kiedy prosił ją o pomoc.

A kiedy Kyaren go pożegnała, w jej głosie usłyszał przyjaźń. I ku własnemu zdziwieniu był pewien, że jej przyjaźń płynęła z serca. Może jednak, pomyślał, może jakoś przeżyję.

Rozdział 7

- To bardzo ważne - powiedział minister narodowości latynoskich. - Doszło do rozlewu krwi. Trzydzieści osób zabitych, o tylu wiemy, z tego dziesięć w otwartej walce.

Anset kiwnął głową.

- Jest jeszcze jedna komplikacja, sir. Chociaż Urugwajczycy i Paragwajczycy zgadzają się na imperialny język na tym spotkaniu, Brazylijczycy upierają się przy portugalskim.

- Co jest absurdalne - wtrącił szef personelu - bo nawet Portugalczycy już nim nie mówią.

Anset nigdy nie rozumiał, po co istniało tyle języków. Uważał to za historyczną aberrację, którą na szczęście dawno naprawiono. A tutaj, w stolicy imperium, całkiem spory naród czepiał się anachronizmów tak uparcie, że wzbudził sprzeciw swoich władców.

- Czy mamy tłumacza? Szef personelu kiwnął głową.

- Ale to jeden z nich. Nikt tutaj nie zna portugalskiego. Anset spojrzał na Kyaren, która obdarzyła go uśmiechem. Siedziała obok niego, skromnie odsunięta od stołu, udając sekretarkę, ale gotowa w każdej chwili podsunąć mu wskazówkę. Studiowała ten problem od tygodni na polecenie

odchodzącego zarządcy - opracowała już kilka kompromisowych rozwiązań pogranicznego konfliktu, w zależności od tego, czy zwaśnione strony wykażą skłonność do współpracy. Ponieważ obecnie Brazylijczycy kontrolowali teren, ich skłonność do współpracy stanowiła klucz do rozwiązania. Lecz Brazylijczycy słynęli z nieustępliwości.

- Wprowadźcie ich - polecił Ansset.

Weszło po dwóch posłów każdej narodowości. W takim przypadku protokół wymagał, żeby wchodzili w kolejności od najstarszego, dla uniknięcia precedensu. Jednakże Ansset zauważył, że w składzie każdej delegacji znajdował się jeden bardzo, bardzo stary człowiek. Dziwne, że narody przywiązują wagę do takich rzeczy.

Szef personelu starannie wyjaśnił zasady dyskusji. Nie wolno przerywać. Każdy poseł, który przerwie wypowiedź innego posła, zostanie usunięty w trybie doraźnym, bez możliwości zastępstwa. Posłowie nie zabierają głosu bez pozwolenia Ansseta i uprzejmie słuchają innych mówców. Ansset był zdumiony, że takie pouczenia są konieczne. Na imperialnym dworze przyjmowano to za oczywistość.

Potem wszyscy czekali, aż brazylijski tłumacz przełoży wyjaśnienia na portugalski. Ansset obserwował uważnie. Jego podejrzenia okazały się uzasadnione. Brazylijscy posłowie prawie nie zwracali uwagi na tłumaczenie - doskonale władali językiem imperialnym.

Ansseta zafascynowało samo brzmienie obcego języka. Nigdy nie pomyślał, żeby układać wargi w ten sposób, używać nosa z takim efektownym skutkiem. Kusząca perspektywa. Kiedy tłumacz mówił, Ansset formował dźwięki wargami, czuł je w gardle. Bardziej niż indywidualne dźwięki wyczuwał kadencję, nastrój, rytm. Język portugalski był pełen ekspresji i Ansset wiedział, że nawet nie rozumiejąc znaczenia słów, potrafi posłużyć się tym językiem do osiągnięcia własnych celów.

Jak tylko tłumacz skończył, wszyscy posłowie unieśli znad stołu dłonie, zwrócone wnętrzem w stronę Ansseta - prośba o udzielenie głosu. Ansset impulsywnie odwrócił się do brazylijskiego ambasadora i zaczął śpiewać. Nie śpiewał tak jak dawniej. To była przemowa potraktowana jak melodia, czysta melodia i moc portugalskiego języka. Jeśli trafiały się wyraźne słowa, to tylko przypadkiem. Ansset mówił i mówił, uradowany, że nie stracił daru naśladownictwa, starannie modulując tę prostą melodię, żeby trafiła do serca Brazyli języków.

Dwaj brazylijscy posłowie, zgrzybiały starzec, jakby nieobecny duchem, i młodszy mężczyzna z zaciętym wyrazem twarzy, byli zaskoczeni słysząc własny język, potem zmieszani, kiedy daremnie próbowali rozszyfrować znaczenie słów. Nawet dla nich brzmiały jak doskonały portugalski. Ale to był tylko bełkot. Młodszy poseł gniewnie zmarszczył brwi sądząc, że z niego szyczą.

Lecz tymczasem głos Ansseta dotarł do nich i poczuli, że w powodzi bezsensownych słów Ansset przekazuje im życzliwość i zrozumienie. To piękny język, zdawał się mówić, i macie prawo być z niego dumni. Co w innych ustach byłoby szyderstwem, w ustach Ansseta stało się najwyższą pochwałą, a kiedy wreszcie umilkł, wpatrując się w Brazyli języków, oni wstali, okrążyli stół i podeszli do niego.

Gwardziści pod ścianami, co najmniej równie zmieszani jak reszta obecnych, sięgnęli po broń. Lecz odprężyli się, kiedy Calip dał im uspokajający znak. Najpierw stary Brazylijczyk, a potem młody uściskali Ansseta. Był to dziwaczny widok: starzec obejmuje pięknego chłopca, a potem wysoki mężczyzna pochyla się i przykłada szorstki policzek do gładkiej twarzy Ansseta.

Kiedy go obejmowali, Ansset szepnął w imperialnym:

- Błagam was, mówcie w imperialnym, żeby inni nas rozumieli.

Posel uśmiechnął się, odstąpił o krok i powiedział:

- Zarządca Ansset jest zbyt uprzejmy. Żaden inny gubernator nie starał się zrozumieć nas ani naszej miłości do ojczyzny. Prosił, żebyśmy mówili w imperialnym, i ze względu na niego zgadzam się.

Kya-Kya, zdumiona nie mniej niż inni, musiała zauważyć wyraz konsternacji na twarzy tłumacza. Miała pewność, że Brazylijczycy planowali strategię posługiwania się tłumaczem dla opóźniania rozmów, dyktowania własnego tempa, ponieważ ktokolwiek zabierał głos, tłumaczenie powodowało irytującą zwłokę. Teraz strategia została zarzucona i brazylijscy posłowie nie mogli już udawać, że nie znają imperialnego.

Spotkanie trwało i posłowie stopniowo przedstawiali swoje pretensje. W niespokojnym regionie Parana rdzenni mieszkańcy mówili po hiszpańsku i teraz, po tysiącletciach, wciąż używali tego języka. Jednakże przez ostatnie czterysta lat Brazylijczycy dążyli do hegemonii nad tym regionem - z powodzeniem, ponieważ zanim Mikal uczynił Ziemię swoją stolicą, istniał jedynie słaby rząd planetarny i niewielkie ograniczenia wobec rządów narodowych. Portugalska mniejszość stopniowo podupadała, kiedy hiszpańsko języczna większość zaczęła wywierać na nią coraz większy nacisk, żeby zrezygnowała z własnego języka. W dodatku na północy mówiono paragwajską wersją hiszpańskiego, niezrozumiałą dla Urugwajczyków, co jeszcze bardziej komplikowało sytuację. Od lat było dużo gadania o samookreśleniu, pomimo oficjalnych brazylijskich wypowiedzi o Jednym, Niepodzielnym Narodzie. Wreszcie gadanie doprowadziło do rozlewu krwi. Urugwajczycy i Paragwajczycy zażądali, żeby Brazylia zwróciła im terytorium. Niestety sporne terytorium stanowiło hydroelektryczny raj, toteż Brazylijczycy nie zamierzali oddać ponad pięćdziesięciu procent swojej niesolarnej energii innym narodom.

Kiedy posłowie zakończyli prezentację sprawy, Ansset poprosił ich, żeby przygotowali na piśmie jednostronicowe podsumowanie tego, co uważają za sprawiedliwe rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych stron. Potem odprawił ich do czasu, kiedy przeczyta ich propozycje.

W ścisłym gronie minister narodów latynoamerykańskich stał się wylewny.

- Jak tyś to zrobił? Co im powiedziałaś?

Ansset tylko uśmiechnął się w odpowiedzi i odwrócił się do Kyi-Kyi, która notowała gorączkowo przez całe spotkanie.

- Konflikt można rozwiązać. Tutaj nie ma sprzecznych interesów - oznajmiła. - Brazylijczycy chcą

zachować twarz, utrzymać swoje granice. Tego się trzymają. I potrzebują energii. Ale tamci żądają tylko zachowania swojej kultury. Chcą, żeby obywatelom mówiącym po hiszpańsku zezwolono na dominację we własnym kraju. Nie potrzebują i nawet nie mogą wykorzystać hydroelektrycznej energii w tym terenie. - Latinoamerykański minister kiwnął głową na zgodę. Razem zaczęli szkicować kompromisowe rozwiązanie, zanim jeszcze wpłynęły propozycje stron. Nadszedł wieczór, zanim wezwano z powrotem posłów. Kyaren zachwycała się wyglądem Ansseta - równie świeżym i pogodnym jak rano. Jakby nie wykonał żadnej pracy, jakby rozwiązanie problemów przyszło łatwo. Przeczytał posłom swój kompromis, po czym wręczył każdemu kopię.

- Musimy to przestudiować - powiedział młodszy poseł z Paragwaju.

- Chyba nie ma potrzeby - odparł Ansset zgodnie z radą Kyaren. - Bardzo niewiele różni się od waszej propozycji. Zresztą bardzo nas cieszy, że potraktowaliście problem tak uczciwie. - Ansset zaczął zręcznie zbijać kolejne obiekcje. Kyaren i latynoski minister ustalili z nim dokładnie, które punkty można zmienić i jak bardzo. Głos Ansseta był samym rozsądkiem, łagodny, ciepły i życzliwy, mówiący o miłości i szacunku dla posłów. Dziękuję, że zgodziliście się trochę ustąpić w tym miejscu, dla dobra pokoju. A w tym miejscu, rozumiecie, dlaczego nie mogę ustąpić, ponieważ tamci się nie zgodzą, i całkiem słusznie. Ale możemy ustąpić tutaj, czy to pomoże? Ach, tak myślałem, że pomoże.

Każdy poseł był całkowicie przekonany, że Ansset trzyma jego stronę w dyskusji, a kiedy skończyli późno w nocy, urzędnicy przygotowali kopię nowej ugody i wszyscy posłowie oraz Ansset złożyli pod nią podpisy.

A potem, kiedy zaświtała już nadzieja na pokój, Ansset uważnie przyjrzał się zebranym. Nadal nie wyglądał na zmęczonego. „Kontrola”, pomyślała Kyaren.

- Przyjaciele - powiedział Ansset - dzisiaj zdobyliście mój wielki szacunek. Działaliście szybko, mądrze i uczciwie. Zdaję sobie sprawę, że niektóre wasze rządy przeczytają te kompromisy i zapragną je zmienić. Nie chcę, żebyście musieli wyklócać się z własnymi rządami. I z pewnością nie chcę, żebyście tutaj wrócili z tymi samymi pretensjami. Dlatego powiedzcie swoim rządóm bardzo grzecznie, że jeśli w ciągu pięciu dni nie przyjmą tej ugody dokładnie w takiej formie, jak została tutaj spisana, wykluczę ten rząd z udziału w kompromisie, a jeśli dalej będzie stawiał opór, odsunę go od władzy. Żądam, żeby ten rozsądny dokument potraktowano jak prawo. Czy mnie rozumiecie? Rozumieli.

- Ale nie ma potrzeby im mówić, jaki będę nieprzejednany, dopóki nie zaczną wysuwać zastrzeżeń. Ufam waszej dyskrecji i rozsądkowi, które nauczyłem się dzisiaj cenić wyżej od własnych. A teraz chodźmy spać; na pewno wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Kiedy Ansset wstał od stołu, posłowie spontanicznie nagrodzili go oklaskami.

Lecz wieczór jeszcze się nie skończył. Ansset, Kyaren i latynoski minister wyszli z sali zebrań do małego pokoiku, gdzie czekał na nich odchodzący zarządca. Przez cały dzień obserwował rozmowy na wideo. Teraz miał skrytykować działania Ansseta, żeby chłopiec mógł się uczyć na błędach.

- Ale ty nie popełniłeś żadnych błędów - powiedział zarządca z uśmiechem, który wydał się Kyaren nieszczerzy. - Więc mogę odejść z lekkim sercem.

I wyszedł.

- On może sobie mówić o lekkim sercu - mruknął Ansset do Kyaren - ale jakoś mnie nie polubił.

Kyaren parsknęła śmiechem.

- Wyjaśnisz Anssetowi, dlaczego? - zapytała latynoskiego ministra.

Minister nie miał ochoty do śmiechu.

- Nie zamierzam dyskredytować byłego zarządcy, Ansset, ale dotąd nikt nie potrafił sobie poradzić z Brazylijczykami. Po

raz pierwszy na zakończenie konferencji zarządca nie musiał grozić, że wyśle przeciwko nim zbrojne oddziały. Ansset uśmiechnął się.

- To dumni ludzie - oznajmił. - Polubiłem ich.

Potem minister wyszedł, a Ansset usiadł. Na jego twarzy wreszcie odbiło się zmęczenie. Ręce mu drżały.

- To najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu - powiedział cicho.

- Potem będzie łatwiej - pocieszyła go Kyaren, wciąż zdumiona, że ten chłopiec okazuje słabość.

- Patrz - powiedział Ansset. - Trzęsę się. Dawniej nigdy się nie trząłem.

Bo dawniej śpiewałeś, pomyślała Kyaren. Oboje dobrze wiedzieli, dlaczego Ansset nie potrafi już zachować idealnej Kontroli. Pomogła mu wstać z ławki.

- Idziesz do łóżka? - zapytała. Ansset pokręcił głową.

- Wątpię. Nie mógłbym zasnąć. A gdybym się zmusił, zapłaciłbym za to jutro. Na przykład wybiciem szyby i gryzieniem szkła. - Wyraźnie wstydział się swojej nowej słabości.

- Więc może pójdziesz ze mną? - zaproponowała Kyaren. - Nie jadłam kolacji. Możemy zjeść razem i trochę pogadać dla relaksu. Jeśli masz ochotę.

Ansset miał ochotę.

Rozdział 8

Josifa obudził bardziej zapach niż dźwięk. Przynajmniej zapach jako pierwszy dotarł do jego świadomości, aromat prawdziwego jedzenia gotowanego w kuchni, zamiast słabej woni potraw z automatu. Josif spojrział na zegar. Pierwsza nad ranem. Położył się trzy godziny wcześniej, wiedząc, że Kyaren wróci późno. Ale w kuchni gotowało się prawdziwe jedzenie - chociaż często pozwalali sobie na ten luksus, możliwy dzięki niedawnej podwyżce pensji, prawdziwe jedzenie zawsze jadali razem.

Potem usłyszał głosy. Raczej ciche. Głos Kyaren rozpoznał po intonacji. Drugiego głosu nie znał. Brzmiał kobieco. Josif odprężył się wewnątrz, wstał z łóżka, narzucił szlafrok i sennie wszedł do frontowego pokoju.

W kuchni Kyaren robiła sałatkę, rozmawiając z chłopcem w wieku około dwunastu, trzynastu lat. Stali odwróceny plecami do Josifa.

- A jednak załatwiłeś ich po mistrzowsku - mówiła Kyaren. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Usłyszałem ich pieśni i zaśpiewałem je. To łatwe.

- Dla ciebie - odparła Kyaren. - No, ale przecież śpiewałeś.

Chłopiec roześmiał się. Josif odebrał ten dźwięk nie tyle uszami, ile całym ciałem. Ciarki przeszły mu po kręgosłupie. Wiedział teraz, kim było to dziecko - jedyne dziecko, którego głos posiadał taką siłę. Anset. Josif nigdy go nie spotkał, widział tylko zdjęcia. Ale nie chciał, żeby chłopiec się odwrócił. Patrzył na niego z tyłu i widział, jak jego włosy wiją się lekko na karku i przyklejają się do skóry, spoconej od kuchennego ciepła; widział, jak tors zwęża się i przechodzi w smukłą talię, a potem linia ciała wcale się nie rozszerza, tylko gładko spływa w szczupłe biodra i silne, dobrze ukształtowane nogi. Chłopiec poruszał się z wdziękiem; to pochylał się, żeby obserwować ręce Kyaren przy pracy, to znowu prostował się, żeby widzieć jej twarz.

- Śpiewałem? - powtórzył. - Jeśli to był śpiew, to papugi mówią.

- To był śpiew - oświadczyła Kyaren. - No, ale ja nigdy nie miałam słuchu.

Dom Pieśni, oczywiście. Josif wiedział od Szczura, że Kya-ren wychowała się w Domu Pieśni. Ale nigdy o tym nie rozmawiali. Ta sprawa widocznie znajdowała się na liście tematów, których Kyaren wolała nie poruszać. Josif nigdy nie pomyślał, w każdym razie nie na serio, że Kyaren mogła znać Anseta. Zupełnie jakby pochodzili z jednego miasta na Ziemi. Nawet jeśli Seattle, z którego sam pochodził, nie było żadną metropolią, zawsze wydawało mu się absurdalne, kiedy ludzie pytali: „Z

Seattle? No to pewnie znasz mojego kuzyna?” Nazwa nic dla niego nie znaczyła. Ale Dom Pieśni nie był żadnym miastem, tylko szkołą, prawda? I Kyaren знаła tego chłopca. Który również przypadkowo był zarządcą planety, czyli kluczem do ich kariery.

Josifowi przyszło do głowy, że Ansset może im pomóc. Ale ta myśl utonęła pod lawiną znacznie silniejszych myśli i uczuć. Ponieważ wtedy Ansset odwrócił się i spojrział na niego.

Zdjęcia nie oddawały mu sprawiedliwości. Josif nie spodziewał się takich oczu, które odnalazły jego twarz, jakby Ansset szukał go przez długi czas; ust, które rozchyliły się leciutko, zapowiedzią namiętności i uśmiechu; świetlistej skóry, która wydawała się gładka jak marmur, a jednak ciepła i miękka niczym ziemia w słońcu. Josif był piękny jako dziecko, ale przy tym chłopcu czuł się brzydki. Ręce Josifa pragnęły choćby dotknąć dziecięcego policzka - przecież nie mógł być tak doskonały, jak wyglądał.

- Cześć - powiedział Ansset.

Kyaren odwróciła się, zaskoczona. Kiedy zobaczyła Josifa, odetchnęła.

- Och, Josif. Myślałam, że śpisz.

- Spałem - odparł Josif, zdumiony, że w ogóle mógł mówić.

- Jak długo tu stoisz?

Ansset odpowiedział zamiast niego:

- Kilka minut. Słyszałem, jak wszedł.

- Dlaczego się nie odezwałeś?

Znowu odpowiedział Ansset, chociaż pytanie skierowano do Josifa.

- Wiedziałem, że nam nie zagraża. Wszedł z sypialni. Domyśliłem się, że to twój przyjaciel Josif.

- Tak - przyznała Kyaren niepewnym tonem. Josif zorientował się, że nigdy nie wspominała o nim Anssetowi - była zdumiona, że Ansset o nim wie.

Widocznie Ansset również zauważył jej wahanie.

- Och, Kyaren, chyba nie myślałaś, że pozwolą mi przyjaźnić się z tobą, zanim cię nie sprawdzą? - Wydawał się ubawiony. - Są tacy sumienni. Na pewno dokładnie wiedzą, gdzie teraz jestem i co robimy.

- Czy oni nas podsłuchują? - przestraszyła się Kyaren.

- Nie mają pozwolenia - odparł Ansset - ale pewnie tak. Jeśli nie miejscowi, to imperialne szpicle. Nie, nie przejmuj się tym. Oni pewnie tylko monitorują puls i liczbę osób. Pozwalają mi na trochę

prywatności. Mam prawo tego wymagać. - Jego głos promieniował spokojem. Kyaren i Josif wyraźnie się odprężyli.

Salatka była gotowa. Kyaren posypała ją gorącymi pieczarkami.

- Nie spodziewałem się prawdziwego jedzenia - powiedział Ansset.

- Zwykle jadamy z automatów - odparła Kyaren i podczas całego posiłku rozmawiali o zaletach, wadach, kosztach i niebezpieczeństwach prawdziwego jedzenia. Oczywiście w pałacu Ansset nigdy nie próbował jedzenia z maszyny - stół imperatora ma swoje przywileje.

Josif mówił niewiele i niewiele jadł. Próbował sam siebie przekonać, że to z powodu zmęczenia. Lecz oczy miał szeroko otwarte i jego uwaga nie osłabła ani na chwilę. Obserwował Kyaren i Ansseta, głównie jednak Ansseta; patrzył, jak jego dłonie rysują wdzięczne linie w powietrzu, jak jego oczy rozbłyskują radośnie po skosztowaniu potrawy, po celnym dowcipie lub bez powodu, po prostu dlatego, że cieszył się chwilą obecną.

Każde słowo Ansseta mówiło o miłości, a milczenie Josifa odpowiadało.

- Jak myślisz, Josif? - zagadnęła go Kyaren i zorientował się, że nie słuchał rozmowy.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba się zdrzemnąłem.

- Z szeroko otwartymi oczami? - zaśmiała się Kyaren. Głos miała zmęczony.

Ansset spojrział uważnie na Josifa. Josif sądził, że chłopiec próbuje mu coś przekazać; wiedział, że Josif skłamał, że Josif wcale nie drzemał.

- Dlaczego nie pójdziesz do łóżka? - zaproponował mu Ansset. - Jesteś zmęczony.

Josif kiwnął głową.

- Pójdę.

- Ja też już lepiej pójdę - powiedział Ansset. - Było cudownie. Dziękuję.

Wstał i ruszył do drzwi. Kyaren odprowadziła go, rozmawiając po drodze. Josif jednakże zlekceważył uprzejmość i wrócił do sypialni. Nie potrzebował czasu do namysłu. Wiedział, co musi zrobić. Ansset nie był tylko przypadkowym znajomym, tylko zwykłym przełożonym. Kyaren będzie go zapraszała, znowu i znowu. Więc Josif zaczął zdejmować ubrania z półek i wkładać do torby.

Był jednak zmęczony i wkrótce usiadł na krawędzi łóżka, trzymając brzegi torby wypełnionej do połowy, zastanawiając się, co to pomoże. Sama myśl o opuszczeniu Kyaren wprawiała go w przerażenie. Myśl o pozostaniu była jeszcze gorsza.

Już to kiedyś robiłem, pomyślał. To wszystko już było i co dobrego mi przyniosło?

Przypomniawszy sobie Pyotera i wtedy już nie mógł wstać, dokończyć pakowania, wyjść. Kochał Pyotera pierwszą miłością. To właśnie Pyoter nauczył Josifa, nieśmiałego chłopca wyjątkowe jego urody, jak dawać i przyjmować miłość. Josif odkrył wtedy coś, czego nie wiedział o sobie. Że kiedy komuś ufał, nie ukrywał niczego. Że kiedy kochał, nie mógł pokochać nikogo innego. On i Pyoter chodzili wszędzie razem, robili wszystko razem. Tak często mówili „my”, że słowo „ja” z trudem przechodziło im przez usta. Zaledwie rok różnicy wieku uczynił ich przyjaźń tak chłopięcą, tak ostentacyjną, że nikt nie dostrzegał w tym żadnych seksualnych podtekstów; lecz Josif nauczył się również, że nie potrafi kochać bez uprawiania miłości, że jedno jest częścią drugiego, ośrodkiem tęsknoty. Więc on i Pyoter dzielili wszystko i wydawało się, że tak zostanie na zawsze.

Aż do Banta. Bant od razu wiedział. Josif nigdy nie zrozumiał, co spowodowało zmianę. Po prostu jednego dnia wszystko było tak samo: Bant, daleki przyjaciel, i Pyoter, przesłaniający cały świat. A potem następnego dnia wszystko się zmieniło. Pyoter stał się obcy, a Bant, który wreszcie wziął Josifa do łóżka, całkowicie go zastąpił.

Josifa przerażało, że mógł się zmienić tak szybko, że jego uczucia odmieniły się w ciągu jednej nocy. Nie chciał myśleć, że powodem jest seks; odtworzył przebieg wydarzeń i dostrzegł zarodki zmian już przed miesiącami, kiedy Bant zatrudnił go jako sekretarza i zaczęli ze sobą żartować w biurze. Teraz Josif przypominał sobie dotknięcia, gesty, uśmiechy; zmieniał się przez cały czas, ale zauważył to ponieważ.

Nie mógł znieść swojej nielojalności w stosunku do Pyotera. Tygodniami próbował utrzymać ich związek. Nie miał szans. Pyoter nie był głupcem i cierpiał coraz bardziej, w miarę jak coraz wyraźniej wychodziło na jaw, że Josif już do niego nie należy. I wreszcie Pyoter powiedział: „Dlaczego nie odszedłeś od razu, zamiast tak mnie rozdzierać po kawałku?” Tym razem, pomyślał Josif, tym razem muszę odejść. Zanim zniszczę Kyaren. Ponieważ nie potrafię się oprzeć temu chłopcu i prędzej czy później nadejdzie zmiana, jeśli nadal będę go widywał. Wkrótce już nie do Kyaren będę kierował swoje myśli i uczucia; i nawet jeśli ten chłopiec nigdy nie zostanie moim przyjacielem, wkrótce dostanę takiej obsesji na jego punkcie, podobnie jak na punkcie Banta, że nie wytrzymam dłużej z Kyaren.

Torba leżała u jego stóp, do połowy napełniona. Dlaczego nie odchodzę?, zapytał siebie Josif. Dlaczego ciągle tu siedzę? Wiem, co mam zrobić, znam przyczynę, taki już jestem i jedyny sposób, żeby mnie powstrzymać, to powstrzymać wszystko, a jednak siedzę tutaj i jeszcze się nie spakowałem, i nie odchodzę, więc dlaczego?

Odpowiedź stała w drzwiach, ze zdumioną miną.

- Co ty robisz? - zapytała Kyaren.

- Pakuję się - odparł Josif, ale już wtedy wiedział, że nie odejdzie. Nie potrafił opuścić Pyotera ani Banta z własnej woli; nie będzie umiał opuścić Kyaren. Nie panuję nad sobą, uświadomił sobie Josif. Oddałem się jej i nie potrafię podjąć decyzji, żeby się uwolnić.

- Dlaczego? - zapytała Kyaren, już urażona, ponieważ nie pojmowała jego zachowania.

Jeśli zostanę, zniszczę ją tak, jak zniszczyłem Pyotera.

- Zostaniemy przyjaciółmi - powiedział Josif.

- Co się stało? Dlaczego teraz, o trzeciej nad ranem? Co ja zrobiłam?

- Anset - odpowiedział Josif. Nie rozumiała.

- Jak możesz być zazdrosny o niego? On ma dopiero piętnaście lat! Dają im leki w Domu Pieśni, on jest bezpłodny, opóźniają dojrzewanie o całe lata... on prawie nie ma płci, Josif...

- Nie jestem o niego zazdrosny - odparł Josif.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, a potem zrozumiała.

- Ciągle te sześćdziesiąt dwa procent, tak? - rzuciła.

- Nie - zaprzeczył. - Po prostu widzę potencjał. Chcę tego uniknąć.

- Nie ma żadnego potencjału.

- Nie rozumiesz.

- Cholernie dobrze rozumiem. To znaczy, że przez cały czas tylko grzałam ci łóżko, dopóki nie znalazłeś pięknego chłopca na moje miejsce?

Może lepiej to odłożyć, pomyślał Josif. Stanowczo lepiej to odłożyć. Nie mogę tego dzisiaj zrobić. Bo Anset to tylko potencjał, a Kyaren jest rzeczywista, kocham ją teraz i nie mogę znieść bólu i gniewu w jej głosie.

- Nie - powiedział cicho, żarliwie. - Kyaren, ty niczego nie rozumiesz. Nie wybrałem ciebie. Nie wybrałem Banta. Te rzeczy po prostu się zdarzają. Nie mam nad tym żadnej kontroli.

- Więc wystarczył ci jeden wieczór i nagle zapomniałeś, że mnie kochasz...

- Nie! - krzyknął w rozpacz. - Nie! Kyaren, ja po prostu wiem, że to jest możliwe, i nie chcę, żeby to się stało, nie rozumiesz?

- Nie rozumiem - powiedziała. - Jeśli mnie kochasz, to mnie kochasz.

Josif wstał i podszedł do niej, przewracając po drodze torbę.

- Kyaren, nie chcę od ciebie odejść.

- Więc nie odchodź.

- Chcę odejść dlatego, że cię Kocham.

Jeśli mnie kochasz, zostaniesz - powiedziała.

Wiedział już od chwili, kiedy stanęła w drzwiach. Nie mógł jej zostawić. Zmiana, kiedy nadejdzie, dokona się w sposób nieodwracalny i wtedy on ją opuści, ponieważ pokocha kogoś innego, a coś mu nie pozwala kochać dwóch osób jednocześnie. Ale teraz najważniejszą osobą była Kyaren i nie mógł od niej odejść, ponieważ chciała, żeby został.

- Skrzywdzę cię - powiedział.

- Nie możesz bardziej mnie skrzywdzić niż odejść teraz, bez powodu.

Zastanowił się, czy miała rację, czy łatwiej było odejść bez powodu, czy z powodu, który pojawi się w przyszłości. Na pewno teraz było łatwiej. Na pewno łatwiej było to znieść, jeśli nie wiedziałeś, kto odebrał ci serce ukochanego. Ale może nie; Kyaren była kobietą, a Josif nie rozumiał kobiet. Może jednak miała rację i łatwiej będzie poczekać.

- Poza tym dlaczego myślisz, Josif, że Ansset kiedyś ci ulegnie? Wiesz, oparł się dwóm imperatorom.

Miała rację. Miała rację i sam to rozumiał, więc podszedł do torby, wypakował ubrania i porozkładał na półkach.

- On nigdy mnie nie zechce - powiedział. - Głupiec ze mnie. Po prostu jestem zmęczony. - Rozebrał się i położył do łóżka.

Kochali się w milczeniu i kilkakrotnie Josif zadziwił Kyaren siłą swojej namiętności. Nie wiedziała, że pomimo wszelkich wysiłków wciąż widział pierścionki włosów na karku Ans-seta, miękki policzek, którego dotykał tylko w wyobraźni, ale który przez to stał się jeszcze miękniejszy. Josif usiłował wyrzucić z pamięci twarz Ansseta. Daremnie.

Po wszystkim Kyaren westchnęła z zadowoleniem i pocałowała go. Ona myśli, że już jest lepiej, pomyślał rozgoryczony Josif. Ona myśli, że mnie zatrzymała. Łatwiej by mnie zatrzymała, gdyby teraz pozwoliła mi odejść.

Kiedy zaczęła oddychać głęboko i regularnie, podniósł się na łokciu i spojrzał na jej twarz, którą zawsze odwracała od niego we śnie. Delikatnie pogładził jej policzek; jej wargi poruszyły się odruchowo, niemal jak u noworodka szukającego matczynej piersi.

- Ostrzegłem cię - powiedział cicho, tak cicho, że słowa nawet nie wydostały się z gardła. - Ostrzegłem cię.

Potem zrezygnował, przekręcił się na wznak i starał się zasnąć, z ciężkim sercem, ponieważ jeden jedyny raz próbował zapanować nad swoim życiem, ale nie dał rady.

Lecz Kyaren nie spała albo obudziło ją jego dotknięcie.

- Josif - powiedziała. - Chcę mieć z tobą dziecko.

- Nie - szepnął.

- Proszę - powiedziała. A ponieważ był zmęczony i nie potrafił niczego jej odmówić, i ponieważ wiedział, że wkrótce odmówi jej wszystkiego, opanował się i znowu się kochali. W następnym tygodniu Kyaren zaszła w ciążę, a kiedy Josif zobaczył, jaka jest szczęśliwa i jak sam troszczy się o nią, ogarnęły go wątpliwości: może jednak nie miał racji, może Ansset nic dla niego nie znaczy.

Josif nalegał, żeby wzięli ślub, ze względu na dziecko i ponieważ chciał się jeszcze mocniej związać z Kyaren. Teraz już nigdy nie wyrzucę cię z serca. Zawsze będę cię kochał.

Kłamię, pomyślał i tym razem miał rację.

Rozdział 9

Inspekcja to był pomysł Ansseta. Riktors właśnie powrócił z inspekcji prefektur, która przyniosła doskonałe rezultaty. „Więc dlaczego nie ja?” - zapytał Ansset. Im więcej o tym mówił, tym bardziej pomysł podobał się doradcom.

- Na planecie zawsze występują różnice regionalne - mówił Ansset - i większość planet wykształca własne dialekty, czasem nawet języki. Ale na Ziemi są narody. Jeżeli imperator powinien utrzymywać kontakt z każdą prefekturą, to zarządca Ziemi powinien utrzymywać kontakt z każdym narodem.

Kyaren usłyszała dodatkowe wyjaśnienia:

- Statystyki i liczby, którymi się bawicie przez cały czas, nic dla mnie nie znaczą. Nie umiem myśleć

w ten sposób. Przedstawiasz mi swoje wnioski, a ja nie rozumiem, skąd się wzięły. Ale kiedy ich zobaczę, kiedy usłyszę ich głosy, kiedy poznam pieśni ludzi i przywódców, zrozumiem ich lepiej.

- Lepiej?

- Niż teraz. I w pewien sposób lepiej, niż ty ich rozumiesz,

choć twoje komputery zapamiętują każdy stary ślizgacz przetopiony na złom.

Więc wyjechali na inspekcję i Anset zabrał ze sobą wszystkich głównych doradców, i pozwolił im zabrać małżonków, jeżeli mieli kontrakty. W ten sposób Josif też pojechał, chociaż nie należał do grona doradców.

Podróż rozpoczęła się w obu Amerykach: Urugwaj, Paragwaj, Brazylia, Titicaca, Panama, Meksyk, Wschodnia Ameryka, Zachodnia Ameryka i Quebec. W Meksyku Josif i Kyaren zostali dodatkowe trzy dni, żeby ponownie odwiedzić miejsca, które odwiedzali na początku swojej miłości. Oczywiście mieli ze sobą syna, małego Efraima - Josif wybrał to imię, ponieważ tak nazwał swojego ulubionego syna biblijny Józef przed tysiącami lat.

- Historia - prychnęła Kyaren. - Śmieszne imię. - Wcale jej się nie podobało.

Efraim skończył dopiero rok, lecz uważał się za znakomitego atletę. Miał wyjątkowo dobrą koordynację jak na swój wiek, ale zabrakło mu zręczności i złamał sobie rękę, kiedy spadł z półki w ruinach Stadionu Olimpijskiego.

- Efraim świetnie sobie radzi - poskarżyła się Kyaren. - To ty doprowadzasz mnie do szału, Josif.

- Martwię się.

- Za bardzo się martwisz - oświadczyła Kyaren. - Nic mu nie będzie. Wystarczą dwa tygodnie odpoczynku. Opiekuję się nim. Ty go denerwujesz.

- Nie mogę siedzieć beczynnym - zaprotestował Josif. Tak więc postanowili, że Josif przyłączy się do inspekcji w Quebec i spotkają się ponownie w Europie, kiedy Efraim wyzdrowieje.

- Może lepiej ty pojedziesz, a ja zostanę? W końcu to ty jesteś osobistym doradcą. Ja jestem tylko małżonkiem.

- Anset mnie nie potrzebuje. A Efraim nie potrzebuje ciebie. Oglądaj sobie widoki, studiuj historię i pozwól Efraimowi spokojnie wyzdrowieć, zamiast ciągle zabawiać ojca. Wczoraj miał czkawkę przez pół godziny, tak go rozśmieszyleś.

- No więc pojedę, skoro chcesz się mnie pozbyć. Pocałowała go.

- Wynoś się - rozkazała. Wszedł, trochę żalując, że ją zostawia, ale ucieszony, że nie straci tygodni w starej Europie, gdzie przetrwało więcej starożytnych narodów niż w innych rejonach świata.

Ansset zauważył go niemal natychmiast.

- Już do nas wróciłeś?

- Kyaren została z dzieckiem. Wyrzuciła mnie. Byłem niezdolny.

- Mam nadzieję, że chłopiec szybko wyzdrowieje.

A potem znowu sprawy państwowe, spotkanie z samozwańczym królem Quebecu - tytuł ledwie tolerowany przez imperatora, ponieważ królowie Quebecu byli należycie służalczy i serdecznie znienawidzeni przez swoich poddanych. Nie groziła tam rebelia, więc nie trzeba było rozwiązywać żadnych problemów.

W ciągu następnych kilku dni Ansset i Josif coraz bardziej zbliżali się do siebie. Początkowo Ansset myślał, że spotykają się przypadkowo. Potem uświadomił sobie, że sam organizuje te spotkania, że celowo odwiedza miejsca, gdzie spodziewa się znaleźć Josifa. Przez ostatnie miesiące rzadko się kontaktowali - chociaż Ansset poznał po głosie, że Josif nie czuje do niego antypatii, Josif wciąż go unikał, nie brał udziału w rozmowach, zostawiał go samego z Kyaren. Nie musiał tłumaczyć się ze swojej nieśmiałości przed Anssetem. Ansset to szanował. Teraz jednak stracił Kyaren, swoją najbliższą powiernicę i przyjaciółkę, musiał z kimś pogadać. Więc nie unikał spotkań z Josifem. Nawet wyraźnie okazywał, że pragnie jego towarzystwa. Zapraszał go na posiłki, zabierał na spacer, rozmawiał z nim wieczorami. Ansset nie rozumiał, dlaczego Josif zawsze jakoś niechętnie wyrażał zgodę, a jednak nigdy nie odrzucił zaproszenia. Stopniowo, kiedy mijały dni w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, Stratfordzie i Baile Atha Cliath, deszczowe dni, rozkosznie chłodne i nastrojowo mgliste, Josif stracił swoją powściągliwość i Ansset zaczął rozumieć, dlaczego Kyaren tak się do niego przywiązała.

Ansset zauważył również, że Josif pożąda go seksualnie. Setki mężczyzn i kobiet okazywało to przedtem. Ansset przywykł do tego, musiał sobie z tym radzić przez wszystkie lata spędzone w pałacu. Ale Josif zachowywał się inaczej. W jego głosie było mniej żądzy, a więcej czułości, wpływającej z przywiązania. Intrygował Ansseta, chociaż dawniej takie sprawy go odstręczały. Teraz był zaniepokojony. Urósł siedemnaście centymetrów, odkąd objął stanowisko w Babilonie, głos miał coraz głębszy. Zmienił się też pod innymi względami. Dręczyły go pragnienia, których nie potrafił zaspokoić, pytania, których nie ośmielił się zadawać, ponieważ znał już słowną odpowiedź, a tej drugiej odpowiedzi lękał się poznać.

W Domu Pieśni niewiele się mówiło o lekach podawanych śpiewakom i Słowikom. Tylko tyle, że opóźniały dojrzewanie i powodowały skutki uboczne. Szeptano również, że gorzej działały na mężczyzn niż na kobiety, ale pod jakim względem gorzej i na czym w ogóle polegało złe działanie, tego nie wyjaśniono. Lekarstwa dawały im pięć lat dodatkowego dzieciństwa, pięć lat więcej z pięknymi dziecięcymi głosami.

No, Ansset stracił swoje pieśni, więc nie potrzebował już głosu, jedynie do prymitywnych piosenek, którymi podporządkowywał sobie wszystkich narodowych przywódców - łatwa sztuczka, której wstydził się za każdym razem. Pięć dodatkowych lat dzieciństwa minęło, więc chciał wiedzieć, co będzie dalej.

Po spotkaniu z przywódcą Walińczyków, człowiekiem o szorstkich manierach, którego celtycki brzmiał jednak pięknie w uszach Ansseta, zarządca planety i wiceminister kolonizacji razem pojechali do zamku Caernarvon. Zamek nakryto ochronną kopułą przed tysiącami lat - ostatnia brytyjska budowla, gdzie zachowało się kilka oryginalnych kamieni. Razem spacerowali po murach, spoglądali z góry na gęstą zieleń trawy i drzew, na błękit wody oddzielającej zamek od wyspy Angelsea. Jedynym śladem nowoczesności był ślizgacz pilnowany przez gwardzistów i pas niższej trawy na szlaku, którego używały pojazdy. Oczywiście w zamku byli też inni - przerobiono go na luksusowy hotel i goście mieli tu zanoćować. Służby bezpieczeństwa dokonywały ostatniego przeglądu. Ale tam, gdzie stali Ansset i Josif, nie było nikogo. Ptaki podfrwały nad morskimi falami.

- Co to za miejsce? - zapytał Ansset. - Dlaczego tak wygląda?

- Zamek przypominał okręt wojenny - odpowiedział Josif. - Wszyscy ludzie kryli się tutaj, kiedy wróg atakował, a mury powstrzymywały atak.

- Więc wtedy nie było laserów.

- Ani bomb i artylerii. Tylko łuki i strzały, i włócznie. I kilka innych specjalności. Wylewali z murów wrzący olej na ludzi, którzy próbowali się wspinać.

Ansset spuścił wzrok, z łatwością kryjąc odrazę, zaciekawiony, jak daleko było do ziemi.

- Nawet na murach było niebezpiecznie.

- Ci ludzie żyli w czasach przemocy.

Ansset pomyślał o obecnych czasach przemocy.

- Jak my wszyscy.

- Wtedy było inaczej. Kto miał miecz, ten miał władzę. Rządził wszystkimi słabszymi od niego. Ciągłe prowadzili wojny. Ciągłe zabijali się nawzajem. Walczyli o ziemię.

- Mikal zakończył wojny - powiedział Ansset. Josif roześmiał się.

- Tak, bo wszystkie powyrywał. To chyba jedyny sposób, żeby zaprowadzić pokój. Próbowano innych sposobów. Wszystkie zawiodły. - Josif przesunął dłonią po szorstkim kamieniu.

- Mieszkałem kiedyś w takim miejscu - wyznał Ansset.

- W Domu Pieśni? Nie wiedziałem, że przypomina zamek.

- Nikt nie wylewa wrzącego oleju, jeśli o to ci chodzi. I mur nie powstrzyma wrogiej armii dłużej niż, powiedzmy, pół godziny. Ale jest z kamienia, jak ten.

Ansset usiadł, zdjął buty i stanął bosy na kamieniach.

- Czuję się, jakbym wrócił do domu.

Pobiegł lekko po murze do wieżyczki i wspiął się po krętych schodach na górę. Josif ruszył za nim. Anset stał na szczycie wieży, w najwyższym punkcie zamku, czując zawrót głowy. Przypomniał sobie Wysoką Salę, tylko że tutaj nigdy nie docierało zimno ani wiatr, ponieważ cały zamek nakrywała niemal przezroczyta kopuła. Anset zaczął rozumieć znaczenie wieku. Dom Pieśni miał tysiąc lat. Ludzie mieszkali na Tew przez dwa tysiące lat, zanim zbudowano Dom Pieśni. A kiedy zasiedlono Tew, trzy tysiące lat temu, ten zamek stał już od szesnastu tysięcy lat, spędził już dziesięć tysięcy lat pod kopułą.

- Jesteśmy tacy starzy - powiedział Anset. Josif kiwnął głową.

- Nie zapomnieliśmy niczego przez ten cały czas. I niczego się nie nauczyliśmy.

Anset uśmiechnął się.

- Może czegoś się nauczyliśmy.

- Niektórzy z nas.

- Jesteś taki surowy.

- Może - odparł Josif. - Już nie budujemy takich zamków. Jesteśmy zbyt wyrafinowani. Po prostu umieszczamy flotę na orbicie wokół planety, więc zamiast fortecy na brzegu morza mamy fortece, które rzucają cień na każdy centymetr gruntu. Dawniej były straszne czasy, Anset, ale miały pewne zalety.

- Słyszałem, że wypróżniali się i przechowywali odchody.

- Nie mieli konwerterów.

- W stosach. I rozrzucali je po polach, żeby zebrać większe plony.

- W Chinach.

-Och.

- Pod jednym względem było lepiej. Człowiek miał się gdzie ukryć.

W głosie Josifa brzmiała taka tęsknota, że Anset się zaniepokoił.

- Ukryć?

- Dziewicze, nie odkryte kraje. Wystarczyło tylko popłynąć do Irlandii. Człowiek mógł się ukryć przed swoimi wrogami.

- Czy ty masz wrogów? - zapytał Anset. Josif zaśmiał się gorzko.

- Tylko siebie. Jestem swoim jedynym wrogiem.

Odkąd Ansset został uwięziony w pokojach Mikala, jeszcze nigdy nie tęsknił tak bardzo za swoimi pieśniami. Ale nie miał pieśni, nie mógł zaśpiewać pocieszenia i ukoić lęków, które dręczyły Josifa. Wiedział, że Josif częściowo obawiał się również jego; chciał mu zaśpiewać pieśń miłości, powiedzieć mu, że Ansset nigdy go nie skrzywdzi, że przez ostatnie kilka miesięcy, a zwłaszcza przez ostatnie kilka dni, pokochał go tak, jak kochał również Kyaren, że ich dwoje, każde w inny sposób, wypełniało częściowo tę ogromną pustkę, pozostałą w nim po stracie pieśni.

Ale nie mógł zaśpiewać i nie mógł tego powiedzieć, więc wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał Josifa po ramieniu.

Ku jego zdziwieniu Josif natychmiast odsunął się, i zbiegł po schodach. Ansset popędził za nim i prawie wpadł na niego, kiedy Josif zatrzymał się w drzwiach, które prowadziły na ścieżkę biegnącą po szczycie murów. Odwrócił się do Ansseta z twarzą dziwnie wykrzywioną.

- Co się stało? - zapytał Ansset.

- Kyaren przyjeżdża jutro.

- Wiem. Czekam na nią. Tęskniłem za nią.

- Ja też.

- Ale cieszę się, że nas zostawiła - powiedział Ansset. - Bo nigdy bym ciebie nie pokochał.

Wtedy Josif odszedł, a zdezorientowany Ansset nie pobiegł za nim.

Przez resztę popołudnia i przez cały wieczór Ansset głowił się nad tą zagadką. Wiedział, że Josif go kocha i wiedział, że Josif kocha Kyaren - w takich sprawach nie można kłamać. Więc skąd te trudności? Dlaczego Josif tak cierpi?

Poszedł do pokoju Josifa i zastał tam kogoś innego.

- Gdzie jest Josif? - zapytał, a ochroniarz, któremu przydzielono tę kwaterę, wzruszył ramionami.

- Ja tylko śpię, gdzie mi kazali, sir - powiedział. Ansset poszedł prosto do Calipa, który zarządzał przydziałami pokoiów.

- Gdzie jest Josif?

Calip zrobił zdziwioną minę.

- Pan nie wie? Powiedział, że pan kazał mu się przenieść do innego pokoju. Żeby miał bliżej do biblioteki.

- Do jakiego pokoju?

Calip nie odpowiedział od razu. Wiercił się niespokojnie, wreszcie zapytał:

- Sir, czy pan wiedział, że Josif jest homoseksualistą?

- Nie on jeden - odparł Ansset. - Czy macie specjalne pokoje dla homoseksualistów?

- Nie byłem pewien, czy pan wie. Myśleliśmy... myśleliśmy, że był taki poruszony, bo robił panu propozycje. A pan go odtrącił.

- To wyłącznie moja sprawa. On nie robił mi propozycji. On jest moim przyjacielem i chcę wiedzieć, w którym pokoju mieszka.

- Prosił, żeby panu nie mówić. Chce być sam, tak powiedział.

- Pracujesz dla niego czy dla mnie?

- Sir - wyjąkał zdenerwowany Calip - uważamy, że on ma rację. Wasza przyjaźń to piękna sprawa, ale posunęła się już dostatecznie daleko.

- Jestem czy nie jestem zarządcą planety? - zapytał Ansset lodowatym tonem.

Calip natychmiast się przestraszył - głos Ansseta nadal miał władzę nad ludźmi, zwłaszcza kiedy naśladował najgroźniejszy, rozkazujący głos Mikala.

- Tak, sir - powiedział Calip. - Przepraszam.

- Czy ktoś ci zabronił wykonywać moje rozkazy? Zbierając całą odwagę, Calip zaprotestował:

- Sir, ja tylko staram się panu doradzić, kiedy widzę, że pan popełnia błąd.

- Uważasz mnie za głupca? - zapytał Ansset. - Myślisz, że przeżyłem tyle lat w pałacu i nie nauczyłem się troszczyć o własną skórę?

Calip potrząsnął głową.

- Kiedy czegoś żądam, twoim jedynym obowiązkiem, Calip, jest spełnić moje żądanie jak najszybciej. W którym pokoju mieszka Josif?

Calip mu powiedział. Ale głos miał drżący z gniewu.

- Za często słucha pan niewłaściwych ludzi, sir - oświadczył. - Powinien pan czasami posłuchać mnie.

Anssetowi przyszło do głowy, że Calip ma trochę racji. Ostatecznie Mikal i Riktors słuchali swoich doradców za każdym razem, zanim podjęli ważną decyzję. Tymczasem Ansset stopniowo zamykał się przed wszystkimi oprócz Kyaren i ostatnio Josifa. Lecz w tym przypadku rady Calipa były niepotrzebne i nietaktowne. Według prawa Ansset był dorosły. Calip nie powinien się wtrącać

pomiędzy przyjaciół.

Znalazł pokój Josifa bez trudności, ale zawahał się, zanim zapukał. Ponownie próbował zrozumieć motyw Josifa, przyczyny tak nagłej ucieczki. Niczego nie wymyślił. Emocje Josifa nie stanowiły dla Ansseta zagadki - chłopiec doskonale wiedział, czego chce i czego nie chce ten mężczyzna. Josif chciał Ansseta i nie chciał, a Ansset nie wiedział, dlaczego. Nie z powodu Kyaren - ona nie była zazdrosna i nie miałyby pretensji, gdyby Josif chciał się kochać z Anssetem. A jednak Josif zachowywał się tak, jakby sam dotyk Ansseta był trujący, chociaż przecież pragnął tego dotyku.

Ansset nic nie rozumiał, musiał zrozumieć, dlatego zapukał i drzwi się otwały.

Josif natychmiast próbował zamknąć drzwi, ale Ansset wśliznął się do środka. A kiedy Josif chciał wyjść, Ansset zamknął drzwi i spojrzał mu w oczy.

- Dlaczego walczysz ze sobą? - zapytał mężczyznę.

- Pragnę tego, czego nie chcę pragnąć - odparł głucho Josif. - Proszę, zostaw mnie.

- Ale dlaczego nie możesz dostać, czego pragniesz? - zapytał Ansset, dotykając policzka Josifa.

Na twarzy Josifa wyraźnie odbiła się walka. Chciał odepchnąć rękę Ansseta, ale nie zrobił tego. Zrobił to, czego chciał bardziej. Kiedy palce Ansseta zsunęły się na szyję Josifa, on wyciągnął rękę, pogładził twarz Ansseta, obrysował kontury jego ust i oczu.

A potem nagle odwrócił się, podszedł do łóżka i rzucił się na brzuch.

- Nie! - krzyknął. - Nie kocham cię!

Ansset usiadł obok niego na łóżku, przesunął dłonie po jego plecach.

- Owszem, kochasz - odparł. - Dlaczego ciągle zaprzeczasz?

- Nie. Nie mogę.

- Za późno, Josif. Nie potrafisz mnie okłamać, sam wiesz. Josif przekreślił się na wznak, dalej od Ansseta, i podniósł oczy na chłopca.

- Czy tak?

- Wiem, czego chcesz - powiedział Ansset - i zgadzam się.

A wtedy walka w twarzy i głosie Josifa dobiegła końca i Josif skapitulował, chociaż Ansset wciąż nie wiedział, o co toczyła się bitwa i jaka forteca upadła. Josif zwyciężył, ale Josif również przegrał; a jednak zdobył to, czego pragnął.

Dotyk Josifa nie przypominał dotknięć gwardzisty, który pożądliwie obmacywał Ansseta w pierwszym dniu pobytu na Ziemi. Jego oczy nie przypominały oczu pederastów odwiedzających

pałac, którzy prawie nie słyszeli pieśni Ansseta, zajęci oglądaniem jego ciała. Usta Josifa na jego skórze przemawiały bardziej elokwentnie niż wtedy, kiedy dotykały tylko powietrza. I pytania Ansseta znalazły odpowiedź.

A potem nagle, kiedy odczucia były najbardziej intensywne, zaskoczył go ostry ból w pachwinie. Anset nie zachował Kontroli - wydał cichy, mimowolny okrzyk. Josif nie zwrócił na to uwagi albo źle go zrozumiał. Tymczasem ból narastał i narastał, skupiał się w lędźwiach i rozchodził po całym ciele falami ognia. Na pewno taki ból nie jest normalny, pomyślał przerażony Anset. Na pewno ludzie nie czują tego za każdym razem. Słyszałbym o tym. Wiedziałbym o tym.

I nadszedł orgazm, nie jako rozkosz, lecz jako straszliwy ból, większy, niż mogła wytrzymać Kontrola, większy, niż mógł wyrazić głos. Anset milcząco skręcał się na łóżku, z twarzą wykrzywioną w męce, z ustami otwartymi do krzyku zbyt bolesnego, żeby zamienił się w dźwięk.

Josif był przerażony. Co takiego zrobił? Anset okropnie cierpiał; Josif nigdy przedtem nie widział, żeby chłopiec pokazywał po sobie ból. A przecież Josif wiedział, że nie powinno być żadnego bólu, nie przy takim łagodnym, delikatnym połączeniu.

- Co się stało? - zapytał.

Anset nie mógł wydobyć z siebie głosu, tylko wstrząsnął się tak gwałtownie, że spadł z łóżka.

- Anset! - krzyknął Josif.

Głowa Ansseta walnęła o ścianę. Raz, drugi, trzeci. Chłopiec jakby tego nie zauważał. Ślina pociekła mu z ust, nagie ciało wygięło się w łuk, potem brutalnie uderzyło o podłogę. Josif wiedział, że Anset był na granicy orgazmu, lecz zamiast rozkoszy, którą pragnął podarować chłopcu, nastąpił koszmar.

Josif nigdy w życiu nie chciał nikomu sprawić bólu; zabijała go sama świadomość, że kogoś skrzywdził. I nigdy w życiu nie widział takiego bólu, jak ból Ansseta. Każdy konwulsyjny spazm chłopięcego ciała odbierał jak cios.

- Anset! - jęknął. - Anset, ja tylko chciałem cię kochać! Z głosem Josifa dźwięczącym w uszach, Anset wreszcie uderzył głową dostatecznie mocno, żeby stracić przytomność. Tylko w ten sposób mógł uciec od bólu, który dawno przekroczył granice wytrzymałości, stał się nieskończony i wieczny, wyłączny powód jego istnienia. Ból stał się Ansetem, a potem zapadła ciemność, krzyki ucichły, i Anset wreszcie uwolnił się od męki.

Obudziło go blade światło poranka, wpadające przez okno. Zobaczył kamienne ściany, ale niezbyt grube; wciąż znajdował się w zamku, w jednym z budynków na dziedzińcu. Wyczuł ruch w pokoju. Odwrócił głowę. Calip i dwóch lekarzy stali obok niego.

- Co się stało? - zapytał Anset słabym głosem. Trzej mężczyźni natychmiast podnieśli wzrok.

- Czy on się obudził? - zapytał Calip jednego z lekarzy.

- Obudziłem się - odpowiedział Anset. Calip pochylił się nad nim.

- Sir, pan majaczył przez całą noc. Dwie godziny trwało, zanim dowiedzieliśmy się dostatecznie dużo o pańskim przypadku, żeby zmniejszyć ból.

- To mogło pana zabić - odezwał się jeden z lekarzy. - Gdyby pan miał słabsze serce, już by pan nie żył.

- Co to było? - zapytał głucho Ansset.

- Medykamenty Domu Pieśni. Nie można cofnąć tego, co oni panu zrobili. Ale odkryliśmy obiecującą kombinację leków i ponieważ tylko w ten sposób mogliśmy uratować panu życie, zastosowaliśmy antykurację, która zadziałała, do pewnego stopnia. Zdumiony jestem, że pozwolili panu zostać tutaj po ukończeniu piętnastu lat, nie informując nas o sposobie leczenia.

- Z czego to wynikło? - szepnął Ansset.

- Powinien był pan mnie posłuchać - odparł Calip.

- Myślisz, że tego nie wiem? - rzucił niecierpliwie Ansset.

- Leki Domu Pieśni zamieniają dla pana orgazm w torturę - wyjaśnił lekarz. - Kimkolwiek była pańska kochanka, znała się na rzeczy.

- Czy tak będzie za każdym razem?

- Nie - zaprzeczył lekarz. Zerknął na swojego kolegę, a potem na Calipa. Calip kiwnął głową.

- No więc - ciągnął lekarz - pańskie ciało wytwarza mechanizm samokontroli. Jak regulacja urodzin, tylko silniejszy. To się nigdy więcej nie powtórzy, ponieważ jest pan całkowitym impotentem albo będzie taki przy najmniejszej zapowiedzi bólu. Pańskie ciało nie chce znowu przez to przechodzić.

- On ma dopiero siedemnaście lat - powiedział drugi lekarz do Calipa.

- Czy on teraz wyzdrowieje? - zwrócił się Calip do obu lekarzy.

- Jest wyczerpany, ale nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń oprócz kilku siniaków. Przez kilka dni będzie pana bolała głowa. - Lekarz odgarnął włosy z czoła Ansseta. - Proszę się nie martwić, sir. Mogło być gorzej. Nie odczuje pan straty.

Ansset zdobył się na słaby uśmiech. Nie bardzo się przejął - rzeczywiście nie wiedział, co stracił. Ale po wyjściu lekarzy przypomniał sobie dotyk Josifa i to, co czuł, zanim pojawił się ból - nigdy już tego nie poczuje. A jednak chciał zobaczyć Josifa. Chciał go zapewnić, że to nie była jego wina. Dostatecznie dobrze poznał Josifa, żeby wyobrazić sobie okropne wyrzuty sumienia dręczące tego mężczyznę, który zadał ból, chociaż pragnął dawać rozkosz.

- Muszę porozmawiać z Josifem.

- On wyjechał - odparł Calip.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nie pokazał się od rana, a ja nie kazałem go szukać. Naprawdę mało mnie obchodzi, dokąd się wyniósł.

Calip wyszedł z pokoju, a Ansset znowu zasnął, pokonany przez zmęczenie.

Obudził się i zobaczył obok Kyaren, ze zmartwioną miną.

- Kyaren - szepnął.

- Powiedzieli mi - wyznała. - Ansset, tak mi przykro.

- Niepotrzebnie - odparł Ansset. - Josif nie mógł wiedzieć. Ja też nie wiedziałem. To wina Domu Pieśni. Mogli mnie uprzedzić.

Kyaren przytaknęła, ale głowę miała zaprzątniętą czym innym.

- Calip nie zgodzi się szukać Josifa. Ciągłe powtarza, że ma nadzieję, iż Josif spadnie ze skały. Pada deszcz. Ty nic nie wiesz, Ansset. Josif już dawniej próbował popełnić samobójstwo. Kilka lat temu, ale może znowu spróbować.

Ansset natychmiast się zaniepokoił. Usiadł i ze zdumieniem stwierdził, że głowa wcale go bardzo nie boli. Czuł się osłabiony, ale nie bezwładny.

- Więc musimy go znaleźć. Wezwij szefa ochrony. Szef ochrony zjawił się po chwili.

- Musimy zorganizować poszukiwania Josifa - oznajmił Ansset. - Trudno mi uwierzyć, że do tej pory nie podjęto poszukiwań.

Szef wpatrywał się w podłogę.

- Właściwie nie - przyznał.

- On może popełnić samobójstwo - ostrzegł Ansset, nie kryjąc oburzenia.

- Calip nie zarządził poszukiwań, sir, ale ja i tak bym odmówił.

Ansset nie mógł uwierzyć w niesubordynację tych ludzi, na których nauczył się polegać przez ostatnie dwa lata.

- Więc usunąłbym pana ze stanowiska, co niniejszym czynię.

- Jak pan sobie życzy, sir. Ale nie organizowałem poszukiwań Josifa, ponieważ wiem, gdzie on jest.

Głos miał wciąż niepewny - wprawdzie wiedział, gdzie jest Josif, ale nie wiedział, w jakim stanie jest Josif, pomyślał Ans-set.

- Gdzie on jest? Kto go zatrzymał?

- Imperialna Służba Bezpieczeństwa, sir. To oczywiste. Nie wiedzieliśmy, co się panu stało. Podejrzewaliśmy zamach na pańskie życie. Dopiero po trzech godzinach badań wykryliśmy przyczynę. Zawiadomiliśmy również imperatora. Zostawił mi rozkaz, żebym natychmiast go zawiadomił, jeśli coś się panu stanie.

- Imperialna Bezpieka ma Josifa - powtórzyła tępo Kyaren.

- Dlaczego mi nie powiedziano?

- Szczur zabronił mi mówić, dopóki pan sam nie zapyta.

- Szczur wydaje panu rozkazy, żeby nie zawiadamiać mnie o ważnych sprawach?

Szef miał niewyraźną minę.

- Imperator zawsze potwierdza słowa Szczura. Musi pan zrozumieć, sir, że znaleźliśmy pana w takim stanie, z Josifem w takim stanie...

- W jakim stanie? - wtrąciła Kyaren.

- Był całkiem nagi - odpowiedział uprzejmie szef. I wrzeszczał na całe gardło. Myśleliśmy, że próbował pana wykorzystać. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Z pederastami nigdy nie wiadomo.

Kyaren spoliczkowała szefa, który przyjął to spokojnie.

- Wy nie macie z nimi do czynienia tak jak ja - powiedział. - Podobne historie ciągle się zdarzają.

- Jakie historie? - warknął Anset, ujmując drżące dłonie Kyaren. - Ciągłe się zdarza, że lekarstwa Domu Pieśni prawie zabijają ludzi?

- Chodziło mi o przemoc. Pederasci już tacy są.

- Nie Josif - sprzeciwił się Anset. - Josif wcale taki nie jest. I dlatego pańska teoria jest gównem warta. - Użył najbardziej obraźliwego tonu; posługiwał się wulgaryzmami tylko w razie potrzeby i z satysfakcją zauważył, że szef aż zamrugał. - Teraz proszę zamówić dla nas bezpośredni lot do Susquehanny.

- Nie ma takich lotów z Caernaryon.

- Teraz są. A najbliższy za piętnaście minut.

Wystartowali po piętnastu minutach, Anset i Kyaren w pustym komercyjnym odrzutowcu. Obsługiwał ich tylko jeden steward, którego natychmiast odprawili. Strażnicy z ochrony, całkowicie wbrew regulaminowi, lecieli za nimi drugim samolotem. Anset wciąż czuł się osłabiony, ale napięcie pomogło mu przetrzymać jazdę na lotnisko. Teraz odprężył się i pograżył w myślach, nie

całkiem śpiący, nie całkiem rozbudzony.

Po chwili jednak zorientował się, że Kyaren potrzebuje towarzystwa bardziej, niż on potrzebował wypoczynku. Nieruchoma, wpatrywała się w ocean za oknem; ale dłonie zacisnęła na poręczach fotela tak mocno, że aż zbieleły, a fotel zeszywniał od nacisku.

- Kyaren - odezwał się Ansset. - Nic mu nie będzie. Bardzo szybko to wyjaśnię z Riktorem.

Kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała.

- Jest coś jeszcze, prawda? Przytaknęła.

- Czy to ci przeszkadza, że Josif i ja byliśmy razem? Myślałem, że nie, ale on zachowywał się, jakby myślał inaczej.

- Nie - odparła. - Nie przeszkadza mi, że byliście razem. - Ale?

- Ale co?

- Pomyślałaś: „ale”. Nie przeszkadza ci, ale. Spuściła oczy i nerwowo spłotła palce.

- Ansset, nasze pierwsze spotkanie. Dwa lata temu, kiedy zaprosiłam cię do domu na sałatkę.

Ansset uśmiechnął się.

- Pamiętam.

- Josif mi powiedział. Że prawie się w tobie zakochał.

- Miałaś coś przeciwko?

- Niby dlaczego? - odpowiedziała głosem drżącym z emocji. - Przecież jest mnóstwo miłości, po co się martwić? Kocham i jego, i ciebie, sam wiesz, a ty kochasz nas oboje, ale on ciągle mówił, że potrafi tylko... Że jeśli cię pokocha, przestanie mnie kochać. Tak powiedział. Powiedział, że gdyby kiedyś kochał się z tobą, to tylko wtedy.

- Kiedy?

- Gdyby przestał mnie kochać.

Dla Ansseta to nie miało sensu. Ale potem uświadomił sobie, że jak dotąd, świadomie czy nieświadomie, zawsze kochał po kolei. Esste, a potem Mikal, a potem Riktors, a potem Kyaren. Ale czy kochał Kyaren mniej dlatego, że pokochał Josifa? Oczywiście nie.

Teraz jednak zachowanie Josifa nabrało sensu. Jeśli naprawdę tak myślał, w jakiś perwersyjny sposób miał rację, że tak długo opierał się własnemu pożądaniu, tak długo wzbraniał się przed przyjaźnią z Anssetem wiedząc, ile go będzie kosztować, jeśli przyjaźń przerodzi się w coś

większego.

- Gdzie jest Efraim? - zapytał Ansset.

- Zostawiłam go w Caernarvon u żony ministra informacji.

Josif wciąż cię kocha - powiedział Ansset.

Spojrzała na niego i próbowała uśmiechem wyrazić zgodę. Ale bez przekonania. Josif został aresztowany przez Imperialną Służbę Bezpieczeństwa, ponieważ zrobił coś, co według niego oznaczało koniec ich związku. A co z Efraimem?

- Zawsze pozostaje kontrakt - wyjąkała Kyaren i rozplakała się. Ansset objął ją ramieniem, przygarnął jej głowę do piersi. Ze zdziwieniem zauważył, że jest od niej wyższy. Rósł. Wkrótce wyrośnie na mężczyznę. Zastanowił się, co to znaczy. Z pewnością nie mógł wymagać od siebie więcej jako od mężczyzny, niż wymagano od niego, kiedy był dzieckiem. Z pewnością nie można wymagać więcej.

Rozdział 10

Riktors przyjął ich w wielkiej sali.

Nie było strażników. Tylko Szczur. Lecz Ansset i Kyaren wiedzieli, że Szczur stanowi wystarczającą straż.

Wprowadził ich pałacowy majordom, ale na skinienie Riktorsa wyszedł. Kyaren bardzo wyraźnie wyczuwała napięcie w powietrzu. Ansset niczego po sobie nie pokazywał, ale Kyaren wiedziała, że to mylne wrażenie. Nadal posługiwał się Kontrolą w razie potrzeby. Natomiast Riktors nie ukrywał napięcia. Kyaren jeszcze nigdy nie widziała go z bliska. Wyglądał jak prawdziwy imperator, któremu nikt nie ośmielił się sprzeciwić. A jednak zdradzał oznaki strachu. Zupełnie jakby Ansset trzymał broń, która mogła go zranić. Zupełnie jakby obawiał się, że Ansset użyje tej broni.

Wiedziała, że ci dwaj nie widzieli się od dwóch lat. Wiedziała również od Ansseta, że nie rozstali się w przyjaźni. Pozornie jednak wydawali się zadowoleni ze spotkania; Kyaren nie sądziła, żeby udawali.

- Tęskniłem za tobą - powiedział Riktors.

- A ja za tobą - odparł Ansset.

- Moi słudzy mówią, że dobrze sobie radzisz.

- Lepiej, niż się spodziewałem, nie tak dobrze, jak miałem nadzieję.

- Podejdź tutaj - poprosił Riktors.

Ansset podszedł bliżej, zatrzymał się kilka metrów przed tronem i ukląkł, dotykając głową podłogi. Riktors niecierpliwym gestem kazał mu wstać.

- Nie musisz robić takich rzeczy, nie na osobności.

- Ale przyszedłem prosić imperatora o łaskę.

- Wiem, po co przyszedłeś - powiedział Riktors z pociemniałą twarzą. - Porozmawiamy o tym później. Jak się czujesz?

- Zdrowie służy mi umiarkowanie, ludzie pomagają mi w granicach rozsądku. Przyszedłem po Josifa. On nie popełnił żadnego przestępstwa.

- Czyżby? - zapytał Riktors.

I nagle Kyaren poczuła ciężar na sercu. Opuściło ją coś, co dopiero po chwili rozpoznała jako ufność. Nie spodziewała się oporu - zwykła pomyłka, która zostanie naprawiona, jak tylko przedstawią wyjaśnienie. Jaką zbrodnię popełnił Josif? Dlaczego imperator zwlekał?

Poznała odpowiedź, kiedy postawiła pytanie. Josif kochał się ze Słowikiem Mikala. Nawet imperator nie kochał się ze Słowikiem Mikala. Josif dostał to, o co imperator nigdy nawet nie prosił. Ale czy imperator tego pragnął? Czy taki był powód jego gniewu i zwlekania?

- On jest niewinny - powiedział Ansset powoli i do jego głosu zakradła się groźba. - Chcę go zobaczyć.

- Czy potrafisz myśleć tylko o tym Josifie? - zapytał imperator. - Dawniej najpierw zaśpiewałbyś dla mnie. Kiedyś przychodziłeś do mnie pełen pieśni.

Ansset nie odpowiedział.

- Dwa lata! - krzyknął Riktors, nie panując nad głosem. - Przez dwa lata nawet mnie nie odwiedziłeś, nawet nie próbowałeś.

- Nie myślałem, że chcesz mnie widzieć.

- Chcę? - Riktors odzyskał trochę godności. - Odkąd tu zamieszkałem, to miejsce było pełne twoich

pieśni. A potem odszedłeś. Przez dwa lata cisza. I paplanie głupców. Zaśpiewaj dla mnie, Ansset.

Ansset milczał.

Riktors wpatrywał się w niego i Kyaren zrozumiała, że to była cena, jaką spodziewał się uzyskać. Pieśń w zamian za wolność Josifa. Tania zapłata, gdyby Ansset miał jeszcze w sobie jakieś pieśni. Riktors nie wiedział. Skąd miał wiedzieć?

- Zaśpiewaj dla mnie, Ansset! - krzyknął Riktors.

- On nie może - odezwała się Kyaren. Spojrzała na Ansseta, który stał bez ruchu, spokojnie patrząc na Riktorsa. Kontrola. Kolejna umiejętność, której nie potrafiła opanować w Domu Pieśni.

- Co to znaczy: nie może? - zapytał Riktors.

- To znaczy, że stracił swoje pieśni. Nie zaśpiewał niczego, odkąd stąd wyjechał. Odkąd ty...

- Odkąd co? - Prowokował ją, żeby mówiła dalej, żeby odważyła się go potępić.

- Odkąd zamknąłeś go w pokojach Mikala na miesiąc. - Wystarczyło jej odwagi.

- On nie mógł stracić swoich pieśni - upierał się Riktors. - Szkolił się od trzeciego roku życia.

- Mógł i stracił. Nie rozumiesz? On nie uczył się pieśni. Uczył się, jak je odkrywać w sobie. Jak je wydobywać z głębi na powierzchnię. Myślisz, że zapamiętał je wszystkie i potem wybierał odpowiednią pieśń na daną okazję? Te pieśni płynęły z jego duszy, a ty go złamałeś i teraz on już nie potrafi ich odnaleźć. - Zdumiał ją własny gniew. Słuchała Ansseta ze współczuciem. Nigdy nie uświadomiła sobie, jak bardzo znenawidziła Riktorsa przez wzgląd na Ansseta. Dziwne, bo przecież Ans-set nigdy nie wspominał Riktorsa z nienawiścią. Tylko z bólem.

Riktors nie zwrócił uwagi na jej impertynencki ton, tylko spojrzał pytająco na Ansseta.

- Czy to prawda? Ansset kiwnął głową.

Riktors ukrył twarz w dłoniach, oparł łokcie na poręczach tronu.

- Co ja zrobiłem - powiedział. Zacisnął palce we włosach. On naprawdę boleje nad stratą Ansseta, pomyślała Kyaren i zrozumiała, że pomimo wyrządzonej krzywdy ten człowiek wciąż kochał Ansseta. Dlatego niezręcznie spróbowała złagodzić cios, który właśnie zadała.

- To nie tylko twoja wina - powiedziała. - Naprawdę winien jest Dom Pieśni. To, co mu zrobili. Porzucili go tutaj. Nie wiesz, ile Dom Pieśni znaczy dla... dla ludzi takich jak on. O mało nie powiedziała: „dla nas”. - Ja wiem, że to są dranie, którzy nie troszczą się o nas, tylko nakładają nam łańcuchy i nigdy nie wypuszczają nas na wolność.

Obok niej Ansset kręcił głową.

- To prawda, Anset. Już dostatecznie źle zrobili, że porzucili cię tutaj bez uprzedzenia, ale żeby nawet cię nie ostrzegli przed... przed tym, co się stało, przed skutkami lekarstw... - nie dokończyła. Po prostu odwróciła się do Riktorsa, który wydawał się nie słuchać, i powiedziała:

- To Dom Pieśni najbardziej go skrzywdził.

Usłyszał. Wyprostował się i jakby doznał ulgi, chociaż nadal było w nim napięcie, widoczne nawet dla Kyaren, która go nie знаła.

- Tak - powtórzył. - To Dom Pieśni najbardziej go skrzywdził. Nagle Anset postąpił krok do przodu, w stronę tronu. Był

rozniewany. Kyaren zdziwiła się - przecież to ona ciągle mówiła, a jednak Anset rozniewał się na Riktorsa.

- To było kłamstwo - oświadczył Anset. Riktors spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Znam twój głos, Riktorsie, znam go tak dobrze jak własny

1 to było kłamstwo, nie jakieś drobne kłamstwo, Riktorsie, ale kłamstwo, które wiele dla ciebie znaczy, więc chcę wiedzieć, dlaczego skłamałeś!

Riktors nie odpowiedział. Po chwili odwrócił wzrok od Anseta i zerknął na Szczura, który natychmiast ruszył do przodu.

- Zostań na miejscu! - rozkazał Anset, a Szczur, zdumiony siłą jego głosu, posłuchał. Anset ponownie zwrócił się do Riktorsa:

- Więc to nie Dom Pieśni najbardziej mnie skrzywdził? Riktors potrząsnął głową.

- Gdzie leży kłamstwo, Riktorsie? Oderwano mnie od Domu Pieśni, co kosztowało mnie więcej niż każda inna strata, więcej nawet niż strata Mikala, niż strata twojej przyjaźni. A ty mówisz, że nie Dom Pieśni skrzywdził mnie najbardziej? Więc kto? Kto oderwał mnie od nich?

Riktors jeszcze raz zaapelował do Szczura:

- On jest niebezpieczny, Szczurze. Szczur pokręcił głową.

- Będę wiedział, kiedy spróbuje cię zaatakować.

Kyaren widziała wyraźnie, że Riktors nie podziela tej pewności. Lecz opuściło ją wszelkie współczucie i litość dla tego człowieka. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że ktoś mógł postąpić tak okrutnie jak Riktors.

- Więc to wszystko było kłamstwo - powiedziała w ciszy. - Dom Pieśni wcale go nie odrzucił. Dom Pieśni chciał jego powrotu.

Riktors milczał.

- Sprytnie to rozegrałeś - powiedział do niego Anset. - Podczas całej naszej rozmowy, tamtego ostatniego dnia, nie okłamałeś mnie ani razu. Ani razu. A ja myślałem, że twoje napięcie bierze się z żalu, że odchodzę.

Wreszcie Riktors odezwał się ochryłym głosem.

- Żałowałem, że odchodzisz.

- Dokądkolwiek. Do kogokolwiek. Byłem twój, prawda? Miałem najbardziej kochać ciebie, prawda? Jeśli uważałem Dom Pieśni za swój dom, nie mogłeś tego znieść, prawda? Skoro kochałem Dom Pieśni bardziej niż ten pałac, odebrałeś mi Dom Pieśni, tak? Tylko że musiałeś tak wszystko wykręcić, żebym w rezultacie ich znienawidził, a nie ciebie. Nie mogłeś pozwolić, żebym cię znienawidził.

Słowa zdawały się uderzać w Riktorsa, aż syknął pod gradem ciosów. Wprawdzie Anset stracił pieśni, ale jego głos wciąż był potężnym narzędziem, którego używał, żeby atakować Riktorsa.

- Pragnąłem twoich pieśni - wyznał Riktors.

- Pragnąłeś moich pieśni - odparł Anset z goryczą - bardziej, niż pragnąłeś mojego szczęścia. Więc odebrałeś mi szczęście i ukradłeś moje pieśni.

A wtedy w głowie Kyaren coś zaskoczyło i zrozumiała, że Riktors nie więził Josifa jako zakładnika w zamian za pieśni.

- Anset - odezwała się. - Josif.

Anset przypomniał sobie i maska Kontroli ponownie pojawiła się na jego twarzy. Wystarczy czasu na nienawiść, kiedy Josif odzyska wolność.

- Chcę Josifa. Teraz - zażądał Anset.

- Nie - sprzeciwił się Riktors.

- Jeszcze nie skończyłeś? - rzucił Anset. - Myślisz, że możesz jeszcze coś uratować? Czy też postanowiłeś, że jeśli ty nie dostaniesz mojej miłości - bo nie dostaniesz, Riktorsie, nie dostaniesz - to nikt nie dostanie. Jeśli kiedyś mnie kochałeś, Riktorsie, oddasz mi Josifa. Zaraz.

„Nie dostaniesz, Riktorsie, nie dostaniesz”.

„Jeśli kiedyś mnie kochałeś, Riktorsie”.

Słowa mocno uderzyły w Riktorsa; zmienił się na twarzy, chociaż Kyaren nie wiedziała, czy pod wpływem gniewu, czy żalu.

- Wezwij straż - rozkazał.

- Nie - zaprotestował Szczur. Riktors podniósł się z tronu.

- Wezwij straż! - ryknął. Szczur wyszedł i wrócił po chwili z dwoma strażnikami.

- Zaprowadźcie ich do więźnia. Do Josifa.

Gwardziści wymienili spojrzenia, potem popatrzyli na Szczura, który kiwnął głową i szepnął coś do nich. Gwardziści mieli niepewne miny, ale ruszyli przodem, prowadząc Ansseta i Kyaren.

- On nam nic nie zrobi, prawda? - szepnęła Kyaren. Ansset potrząsnął głową.

- Riktors nigdy nie wyrządzi mi krzywdy bezpośrednio, ani tobie, dopóki jesteś ze mną. A dopóki jesteś ze mną, nikt mi ciebie nie odbierze.

Kyaren spojrzała na jego twarz. Pod cienką warstwą Kontroli zobaczyła zabójcę i ogarnął ją strach. Coś takiego nie powinno nigdy spotkać Ansseta, nie jego.

- W jaki sposób nie dopuścili do ciebie wysłanników z Domu Pieśni? - zapytała. - Jeśli naprawdę chcieli twojego powrotu...

- Imperium kontroluje porty kosmiczne. Poza tym, skoro mógł mnie okłamać, ich także mógł okłamać. Ale to już przeszłość. Zdążymy wszystko naprawić, kiedy już odzyskamy Josifa.

Kyaren czuła się zagubiona w pałacowym labiryncie, straciła wszelkie poczucie kierunku. Wiedziała tylko, że schodzili coraz niżej. Do więzienia, jak przypuszczała. Potem jednak skręcili tam, gdzie Ansset nie spodziewał się zakrętu - z rozpędu poszedł dalej i musiał się cofnąć o kilka kroków.

- Co się stało? - zapytała Kyaren.

- On nie jest w więzieniu.

- Więc gdzie?

- W szpitalu - odpowiedział Ansset. Gwardziści zatrzymali się przed drzwiami.

- On jest pod silną narkozą. Nie wygląda najlepiej, ale Szczur powiedział, żeby go wam pokazać w takim stanie. Przepraszam.

Potem gwardzista otworzył drzwi, weszli do środka i zobaczyli Josifa.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nic mu nie jest, tylko nafaszerowano go narkotykami. Zobaczył ich, ale w jego oczach nie zabłysło rozpoznanie. Twarz miał rozluźnioną, szczęka mu lekko opadała. Siedział na wąskim łóżku, oparty o ścianę, z rozłożonymi nogami, z ramionami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż boków. Wyglądał, jakby nigdy nie zamierzał się poruszyć.

Potem Kyaren spojrziała niżej, między jego nogi, akurat kiedy Anset zobaczył to i próbował zasłonić jej widok. Nie zdążył.

Krzyknęła, odepchnęła go i wciąż krzycząc, podbiegła do Josifa, chwyciła go za ramiona, przycisnęła do siebie, objęła w agonii żalu. Oparł się na niej całym ciężarem, głowa mu obwisała, z ust pociekła ślina. Kyaren wciąż słyszała własne histeryczne krzyki; stopniowo zdołała się opanować, aż wreszcie nawet jej spazmatyczne szlochy ustały i w pokoju znowu zrobiło się cicho. Spojrzała na Anseta. Jego twarz wyglądała strasznie, nie z powodu widocznych na niej uczuć, ale ponieważ nie pokazywała żadnych uczuć.

Kyaren ostrożnie oparła Josifa z powrotem o ścianę. Głowa przekreśliła mu się w prawo, więc nie widział jej, tylko po prostu wpatrywał się w ścianę. Narkotyki w pełni nad nim panowały.

- Jutro chcą mu założyć sondę na stałe - powiedział gwardzista.

Anset zignorował go, a Kyaren próbowała. Chcieli go ominąć, ale gwardzista podniósł broń. To nie był laser - tylko środek usypiający.

- Szczur powiedział, że kiedy to zobaczycie, nie wolno wam wrócić do wielkiej sali.

Anset nawet się nie zatrzymał, tylko poderwał stopę. Ręka mężczyzny złamała się w nadgarstku; broń upadła na podłogę, ramię zwisało bezwładnie. Po chwili odezwał się ból, gwardzista zatoczył się i ustąpił im z drogi. Drugi okazał się zbyt powolny - Anset rozerwał mu twarz obiema rękami. Kyaren pobiegła za Słowikiem, przycisnęła się obok wrzeszczącego mężczyzny, który klęczał zakrywając twarz rękami i krew ciekła mu spomiędzy palców.

Nie przyszli tą samą drogą, na pewno. Anset jednak sprawiał wrażenie, że doskonale wie, dokąd idzie. Kyaren pomyślała, że Anset wolał omijać te korytarze, gdzie czekali gwardziści. Wolał także unikać drzwi i wreszcie wtargnął do wielkiej sali głównym wejściem, które stało otwarte.

Kyaren dotarła do drzwi w chwilę po nim, lecz on już przemierzył połowę sali, kierując się nie w stronę Riktorsa, lecz w stronę Szczura. Nagle wyskoczył w powietrze i Kyaren spodziewała się, że w ataku furii zmasakruje imperialnego zabójcę.

Lecz po chwili Szczur i Anset zwarli się w walce. Żaden ruch Anseta nie zdołał przebić obrony Szczura; ani jeden cios Szczura nie dosięgnął ciała Anseta.

Wreszcie, wyczerpani, znieruchomieli w mocnym uścisku; każdy obawiał się poruszyć, żeby przeciwnik nie wykorzystał tego ruchu przeciwko niemu. Usta Anseta znalazły się tuż przy uchu Szczura. Jęknął cicho, zrozpaczony, że nie potrafi wyrazić swojej udręki ani ciałem, ani głosem. Nie mógł zabić, nie mógł zaśpiewać i nie mógł znaleźć innego sposobu, żeby wyrzucić z siebie to, co domagało się ujścia.

Szczur triumfalnie szepnął mu do ucha:

- Nie zapomniłeś niczego.

Riktors odezwał się z tronu, gdzie zasiadł ponownie, uspokojony, że Anset nie jego zaatakował, uspokojony, że żaden z przeciwników nie mógł zdobyć przewagi.

- Jak myślisz, kto cię nauczył zabijać w ten sposób, Anset?

- Zabiłem swojego nauczyciela - powiedział Anset.

- Powiedziano ci, że zabiłeś swojego nauczyciela - sprostował Riktors. - To było kłamstwo.

- Nigdy mi nie dorównasz - oświadczył Szczur.

- Służyłeś Mikalowi, przysięgałeś mu wierność - powiedział Anset.

- Służę imperatorowi - odparł Szczur. - Mikal był stary. To było o jedną zdradę, o jeden cios za wiele. Coś w Ansecie pękło. Tama runęła i cały ból nagromadzony przez lata, kiedy myślał, że Dom Pieśni go nie chce, cały żal nad okaleczeniem Josifa, cała wściekłość na kłamstwo Riktorsa, cała wypełniająca go nienawiść i pragnienie zemsty, których nie mógł wyrazić - wszystko w jednej chwili wyrwało się na zewnątrz.

Anset znowu zaśpiewał.

Nie była to subtelna pieśń, jak wszystkie dawniejsze. Stracił wiele ze swojej techniki w latach milczenia, nie starał się już, żeby wypełnić głosem pokój albo wydobyć wszelkie niuanse z melodii. Była to pieśń instynktowna, nie opierała się na umiejętnościach wpojonych Ansetowi przez Dom Pieśni, tylko na tkwiącej w nim mocy, którą Dom Pieśni dopiero stopniowo odkrył; ta moc pozwalała mu dokładnie zrozumieć serca i umysły ludzi, kształtować je, manipulować nimi i zmieniać, dopóki nie poczuli tego, co Anset kazał im czuć.

Pieśń brzmiała okropnie, nawet dla Kyaren, która stała pod ścianą i która nie rozumiała wszystkiego, ponieważ nie śpiewano dla niej.

Ale dla Riktorsa, który rozumiał niemal wszystko, to był koniec świata. Wszystkie jego zbrodnie powróciły z przeszłości i wbrew woli owładnęły nim wyrzuty sumienia, straszliwe poczucie winy, jak oczy Boga zagładające w jego duszę, jak zęby diabła wgryzające się w jego serce; Furie trzepotały skrzydłami na krawędzi pola widzenia; podniósł głos w przeraźliwym wrzasku, który zagłuszył wszelkie inne dźwięki, ale nie pieśń Anseta.

Ponieważ pieśń trwała.

Płynęła dalej, wypełniona barwami miłości Anseta do Riktorsa, zdradzonej; miłości Mikala do Anseta, zniszczonej; nieśmiałej, czulej i namiętnej nocy Anseta z Josifem, utraconej na zawsze. Zamroczyła ją rozpacz Anseta, kiedy wydarto z jego ciała największą radość, jaką mógł poznać, i zastąpiono najgorszym cierpieniem, jakie mógł znieść. Głęboki ból i rozpacz wypełniły powietrze, spotęgowane przez długie, długie miesiące milczenia, kiedy Anset utracił swoje pieśni i częściowo utracił Kontrolę. Teraz odrzucił Kontrolę. Teraz nic go nie powstrzymywało.

Pałacowy majordom słyszał pieśń Anseta niczym przedśmiertny skowyt leśnego zwierzęcia, ale

żaden inny dźwięk nie wydostawał się z sali. A potem majordom usłyszał wrzask Riktorsa. Zawołał strażę; pobiegł do sali; otworzył drzwi; zobaczył.

Ansset, z twarzą uniesioną do sufitu, pieśń wylewa mu się z gardła niczym wulkaniczna erupcja, pozornie nieskończona, pozornie śmiertelna dla świata. Rozłożone ramiona, rozczapierzone palce, nogi szeroko rozstawione, jakby ziemia drżała i ledwie mógł stać prosto.

Kyaren, skulona pod drzwiami, płacze nad tymi fragmentami pieśni, które zdołała zrozumieć.

Riktors Mikal, imperator całej ludzkości, leży na podłodze, szłocha, błaga o przebaczenie, czołga się w poszukiwaniu miejsca, gdzie nie dociera pieśń. Lecz pieśń go odnalazła, trafiła go tak celnie, że postradał zmysły. Podarł na sobie ubranie, krew płynęła mu z twarzy, którą orał paznokciami. Kilka godzin wcześniej był pogodny i nietykalny; teraz pokonała go pieśń.

Ale nie cała pieśń. Niektórych fragmentów Riktors Mikal nie mógł zrozumieć. Esste miała rację co do Riktorsa, kiedy wyczuła, że podobnie jak przedtem Mikal, znał granice okrucieństwa. Riktors, podobnie jak Mikal, kochał ludzkość, czuł się odpowiedzialny za ludzkość. Jeśli zabijał, to z konieczności. A kiedy osiągał cel, przestawał zabijać. Riktors nie rozumiał całej pieśni, bo chociaż miał w sobie więcej okrucieństwa, niż Esste podejrzewała, miał też w sobie dobroć.

Lecz pieśń częściowo opowiadała o śmierci i umiłowaniu śmierci; mówiła o zabijaniu i umiłowaniu zabijania. Pieśń głosiła, że trzeba odpokutować za zbrodnię, że jedyną ceną jest śmierć i tylko ten, kto ukochał śmierć, może zapłacić taką cenę.

Tylko jedna osoba w sali rozumiała ten fragment pieśni.

Majordom spojrział wreszcie na Szczura, który jako jedyny milczał. Rozszarpał sobie brzuch własnymi rękami; własnymi rękami wyrzucał wnętrzności na podłogę. Wypatroszył się w kolejnych fontannach krwi. Na jego twarzy malowała się ekstaza; on jeden w sali znalazł środki wyrazu adekwatne do wymagań pieśni.

Niszczył sam siebie rytmicznymi ruchami, aż wreszcie odnalazł serce; ostatkiem sił wyrwał je z piersi, ścisnął w dłoniach. Dopiero wtedy spuścił wzrok. Patrzył na swoje ręce, kiedy miażdżyły krwawy organ. Odprawił pokutę. Mógł umrzeć.

A kiedy osunął się na podłogę, pieśń dobiegła końca, wrzaski Riktorsa ucichły i w sali słychać było tylko ciężki oddech majordoma oraz ciche łkanie Kyaren, skulonej pod ścianą.

Rozdział 1

Mógł zapanować chaos. Wiadomość mogła się rozejść i tysiące żołnierzy, zarządców, prefektów i buntowników z każdego skrawka imperium mogło rozpętać wojnę secesyjną, która zniszczyłaby wszystko, co zbudował Mikal, a Riktors utrzymał.

Mogli.

Ale wojna nie wybuchła. Ponieważ pałacowy majordom był człowiekiem, który zdawał sobie sprawę, że nie podoła narzuconej mu odpowiedzialności. Ponieważ Kyaren była kobietą, która wykazała wielką przytomność umysłu i odłożyła żalobę na później.

Riktors Ashen zapadł w śpiączkę, a kiedy się ocknął, nie chciał mówić; chociaż jego oczy reagowały na światło, nie mrugał, kiedy coś rzucano mu w twarz; nie odpowiadał na pytania; kiedy podniesiono mu ręce, trzymał je w górze, dopóki ktoś ich nie opuścił. Wykluczone, żeby mógł dalej rządzić imperium. Nie wiadomo było, kiedy wyzdrowieje i czy w ogóle wyzdrowieje.

Lecz tylko nieliczni wiedzieli, że coś się stało. Majordom natychmiast otoczył ścisłym nadzorem tę część pałacu, gdzie nie mógł ukryć prawdy. Apartamenty Riktorsa, w których imperator leżał doglądany przez dwóch lekarzy, świadomych, że nigdy nie wyjdą stamtąd żywi, jeśli coś się nie zmieni. Pokój Ansseta, gdzie chłopiec władający idealną Kontrolą, teraz już prawie mężczyzna, postarzały z żalu, szlochał histerycznie przez cały czas, kiedy nie spał. Więzienna cela, gdzie Josif ocknął się z narkotycznego otępienia i popełnił samobójstwo wpychając sobie prześcieradło do gardła, dopóki się nie udusił. Pokoje, gdzie majordom i Kyaren przyjmowali imperialnych urzędników i przekazywali im polecenia Riktorsa, jakby sam Riktors był zajęty gdzie indziej. Tych spośród ministrów i doradców, którzy zwykle mieli łatwy dostęp do imperatora, wysłano daleko w delegacje, żeby nie zastanawiali się, dlaczego imperator ich unika. Jednego z nich wyznaczono, żeby zastąpił Ansseta na stanowisku zarządcy Ziemi. A kiedy ktoś pytał, dlaczego Riktors od tak dawna nie zwołuje rady, majordom odpowiadał: „Riktors sprowadził swojego Słowika z powrotem do domu i chcą być sami”. Wszyscy kiwali głowami i zdawało im się, że rozumieją.

Ale nie można było tego ciągnąć w nieskończoność. Musieli podjąć decyzję, która ich przerastała. Oboje, major i Kyaren, mieli talent do rządzenia, a ponieważ rozpaczliwie potrzebowali pomocy, polegali na sobie nawzajem i nie byli zazdrośni, i stopniowo zaczęli myśleć jak jedna osoba niemal w każdej sytuacji; nawet jeśli jedno z nich podejmowało decyzję samotnie, drugie nieodmiennie zgadzało się z opinią pierwszego. A jednak potrzebowali pomocy i zaledwie po dwóch tygodniach Kyaren postanowiła zrobić to, co wiedziała, że powinna zrobić prawie od początku.

Za zgodą majora wysłała wiadomość na Tew, prośbę do Esste, żeby opuściła Wysoką Salę i przyjechała uzdrowić chore imperium.

Rozdział 2

Jest cicho, cisza tak czarna jak ciemność za najdalszą gwiazdą. Ale w tej ciszy Ansset słyszy pieśń i budzi się. Tym razem nie płacze po przebudzeniu; nie widzi przed sobą Josifa, uśmiechniętego skromnie i nieśmiało, jakby nie czuł własnego okaleczenia; nie widzi Mikala rozsypującego się w popiół; nie widzi żadnych bolesnych obrazów z przeszłości. Tym razem pieśń kontroluje jego przebudzenie, słodka pieśń w pokoju na szczycie wysokiej kamiennej wieży, gdzie mgła przesącza się przez okiennice. Ta pieśń jest jak pieszczota matczynej ręki we włosach dziecka; ta pieśń otula go i pociesza, więc Ansset wyciąga rękę i po omacku szuka twarzy w ciemnościach. Znajduje twarz i gładzi po czole.

- Matko - mówi. A ona odpowiada:

- Och, moje dziecko.

A potem mówi pieśnią, a on rozumie każde słowo, chociaż melodia nie ma słów. Opowiada mu o swojej samotności bez niego, śpiewa cicho o swojej radości ze spotkania. Mówi mu, że jego życie wciąż jest bogate w możliwości, a on nie potrafi zwałpić w jej pieśń.

Próbuje jej odpowiedzieć pieśnią, ponieważ dawniej znał ten język. Lecz jego storturowany głos nie dźwięczy tak, jak powinien. Zaczyna się, brzmi słabo i żałośnie, i Ansset płacze nad własną porażką.

Ale ona znowu przytula go i pociesza, i płacze razem z nim, kryjąc twarz w jego włosach, i mówi:

- Już dobrze, Ansset, mój synu, mój synu.

I ku jego zdziwieniu ona ma rację. Ansset znowu zasypia, ukołysany w jej ramionach, i ciemność odchodzi, czerń światła i czerń dźwięku. Odnalazł ją i ona nadal go kocha.

Rozdział 3

Esste została przez rok i czyniła ciche cuda. - Nigdy nie chciałam osobiście mieszać się do tych spraw - powiedziała do Kyaren, kiedy nadszedł czas wyjazdu.

- Szkoda, że odjeżdżasz.

- To nie jest moja prawdziwa praca, Kya-Kya. Moja prawdziwa praca czeka w Domu Pieśni. To jest twoja praca. Dobrze sobie radzisz.

W ciągu rocznego pobytu Esste uzdrowiła pałac, jednocześnie utrzymując imperium w całości. Ludzkość tkwiła w chaosie przez ponad dwadzieścia tysięcy lat, tworzyła imperium od niecałego stulecia. Łatwo mogło znowu się rozpaść. Lecz mocny głos Esste działał zręcznie i przemyślnie; kiedy przyszedł czas ogłosić o chorobie Riktorsa, zdążyła już pozyskać zaufanie, wzbudzić strach lub szacunek ludzi, na których musiała polegać. Nie podejmowała decyzji - to należało do Kyaren i majora, którzy najlepiej orientowali się w sytuacji. Esste tylko mówiła i śpiewała, i przynosiła ukojenie milionom głosów, które domagały się pomocy i rozkazów od stolicy; które szukały słabości i zepsucia w stolicy. Noże nie znalazły żadnych dziur w zbroi. Pod koniec roku umocniono i zabezpieczono regencję.

Jednakże dla Esste znacznie większe znaczenie miała praca z Ansetem i Riktorem. To jej pieśni w końcu wyrwały Riktorsa z katalepsji. Znalazła antidotum na furję Anseta. I chociaż Riktors nie odzywał się przez siedem miesięcy, to patrzył przytomniej, obserwował ludzi krzątających się po pokoju, grzecznie zjadał posiłki i sam zajmował się własną toaletą, ku wielkiej uldze jego lekarzy. A po siedmiu miesiącach wreszcie odpowiedział na pytanie. Odpowiedź była wulgarna i zaszokowała służącego, który ją usłyszał, lecz Esste tylko roześmiała się, podeszła do Riktorsa i objęła go.

- Ty stara dziwko - powiedział i oczy mu się zwęziły. - Zajęłaś moje miejsce.

- Tylko trzymałam je dla ciebie, Riktorsie. Dopóki nie będziesz gotowy do powrotu.

Wkrótce jednak okazało się, że Riktors nigdy nie będzie gotowy do powrotu na swoje miejsce. Po pewnym czasie nawet poweselał, często jednak miewał napady ciężkiej melancholii. Poddawał się kaprysom, a potem nagle zmieniał zdanie - raz zostawił trzydziestu myśliwych przeczesujących las i wrócił piechotą do pałacu, wywołując ogólną panikę, dopóki nie znaleziono go, jak nago przepływał rzekę, żeby się podkraść do gęsi, które lądowały w wirach przy brzegu. Nie potrafił się skupić na sprawach państwowych. Kiedy proszono go o decyzje, działał pospiesznie i nierozważnie, chciał jak najszybciej pozbyć się problemów, nie zważał na to, czy zostały rozwiązane prawidłowo. Nie

cierpiał na amnezję. Pamiętał dobrze, że dawniej bardzo mu zależało na tych sprawach.

- Ale teraz mnie przytłaczają. Krępują mnie jak niewygodny mundur. Jestem okropnym imperatorem, prawda?

- Wcale nie - zaprzeczyła Esste - dopóki nie wtrącasz się do tych, którzy z własnej woli chcą dźwigać ten ciężar.

Riktors wyjrzał przez okno na chmury zbierające się ponad lasem.

- Więc mój tron już jest zajęty?

- To nie jest twój tron, Riktorsie - odparła Esste. - To jest tron Mikala. Zasiadłeś na nim i zajmowałeś go przez chwilę. Ale teraz zrobił się niewygodny... jak sam narzekałeś. Nadal możesz służyć. Jeśli pozostaniesz przy życiu i pokażesz się publicznie co jakiś czas, utrzymasz zjednoczone imperium. Inni będą decydować o sprawach, które już ciebie nie obchodzą. To chyba sprawiedliwe.

- Czyżby?

- Na co ci teraz władza? Używałeś już władzy i prawie zabiłeś wszystko, co kochałeś.

Spojrzał na nią ze zgrozą.

- Myślałem, że o tym nie rozmawiamy.

- Nie rozmawiamy. Chyba że potrzebujesz upomnienia.

Tak więc Riktors mieszkał w swoich pałacowych apartamentach i korzystał do woli z rozrywek, i pokazywał się publicznie, żeby obywatele wiedzieli, że imperator żyje. Ale wszystkie sprawy prowadzili jego podwładni. Stopniowo, w miarę jak mijał rok, Esste wycofywała się z uczestnictwa, opuszczała zebrania, a major i Kyaren rządzili razem, oboje jeszcze nie dość silni, żeby rządzić samodzielnie, oboje zadowoleni, że nie muszą tego próbować.

Wyleczenie Riktorsa, przynajmniej częściowe, nie było jedynym zadaniem Esste. Był jeszcze przypadek Efraima, w pewien sposób najłatwiejszy; w pewien sposób najtrudniejszy.

Efraim miał zaledwie rok, kiedy odebrano mu i zabito ojca, ale boleśnie odczuwał stratę. Płakał za ojcem, za ojcowską czułością i wesołością, i Kyaren nie mogła go pocieszyć. Więc zabrała go Esste i śpiewała mu, dopóki nie znalazła pieśni spełniającej pragnienia chłopca.

- Ale nie zostanę tutaj na zawsze - powiedziała Esste - a on musi mieć kogoś, kto zastąpi mu ojca.

Major szybko się połapał i odwrócił się do Kyaren.

- On mieszka w pałacu i ja też. To wygodne, prawda?

I zanim upłynęło sześć miesięcy pobytu Esste, Efraim mówił na majora „tata”, a zanim Esste

wyjechała, Kyaren i major podpisali kontrakt.

- Zawsze nazywam cię majorem - powiedziała Esste pewnego dnia. - Czy nie masz imienia?

Major roześmiał się.

- Kiedy objąłem to stanowisko, Riktors oznajmił, że nie mam imienia. „Straciłeś swoje imię”, powiedział. „Nazywasz się major i należysz do mnie”. No, teraz chyba do niego nie należę. Ale przywykłem, że nie mam innego imienia.

Tak więc Efraim został uleczony, a Kyaren razem z nim, niemal przypadkowo. Och, wcale nie przeżywała takiej namiętności, jakiej doświadczyła z Josifem. Ale miała już dosyć namiętności. Wspólna praca również dawała oparcie i przynosiła pociechę. Kyaren dzieliła z majorem każdą chwilę swojego życia, i on dzielił z nią każdą chwilę swojego życia. Czasami złościли się na siebie, ale nigdy nie byli samotni.

Lecz te wszystkie uzdrowienia - Riktorsa, Efraima, Kyaren, imperium - nie były najważniejszym zadaniem Esste.

Ansset odmawiał śpiewu.

Jak tylko przeszła mu histeria i powrócił do równowagi, Esste chciała usłyszeć jego głos.

- Pieśni można utracić - powiedziała - ale pieśni można odzyskać.

- Nie wątpię w to - odpowiedział. - Lecz zaśpiewałem już swoją ostatnią pieśń.

Nie próbowała go namawiać. Miała tylko nadzieję, że przed wyjazdem zdąży zobaczyć w nim zmianę.

Oczywiście widziała zmiany. Ansset zawsze był łagodniejszy od Riktorsa, toteż cierpienie, które wypaliło w nim wszelką nienawiść, nie pozbawiło go osobowości. Często był wesoły i bawił się z Efraimem jak z młodszym bratem, idealnie naśladowując jego dziecięcy sposób mówienia.

- Wydaje mi się, jakbym miała dwoje dzieci - powiedziała ze śmiechem Kyaren pewnego dnia.

- Jedno dorośnie szybciej niż drugie - przepowiedziała Esste i miała rację. Już po kilku miesiącach Ansset zaczął się interesować sprawami państwowymi. Należał do tych niewielu mieszkańców pałacu, którzy przebywali w pobliżu zarówno Mi-kala, jak Riktorsa. Znał wielu ludzi, których nie znali Kyaren i major. Co więcej, znacznie lepiej niż Esste rozumiał, co ludzie mieli do powiedzenia, co naprawdę myśleli, czego naprawdę chcieli, i umiał im odpowiadać w taki sposób, że odchodzili zadowoleni. Wykorzystywał resztki pieśni, które uczyniły go dobrym zarządcą Ziemi. Teraz, pod nieobecność imperatora, kiedy Esste coraz bardziej odsuwała się od rządów, Ansset zaczął przejmować publiczną rolę; spotykał się z ludźmi, których nie należało dopuszczać do Riktorsa, z niebezpiecznymi ludźmi, z którymi Kyaren i major nie potrafili sobie poradzić.

I to działało. Kyaren i major pozostali praktycznie nieznani w całym imperium, natomiast Ansset

zdobył sławę dorównującą sławie Riktorsa i Mikala. I chociaż nigdy już nie słyszano, żeby śpiewał w pałacu jak dawniej, wciąż nazywano go Słowikiem i ludzie go kochali.

Lecz nie był naprawdę szczęśliwy, pomimo śmiechu i ciężkiej pracy. W dniu wyjazdu Esste wzięła go na stronę, żeby porozmawiać.

- Matko Esste, pozwól mi jechać z tobą - poprosił.

- Nie - odparła.

- Matko Esste - powtórzył - czy nie zostałem na Ziemi dość długo? Mam dziewiętnaście lat. Powinienem wrócić do domu cztery lata temu.

- Cztery lata temu mogłeś wrócić do domu, Ansset, ale dzisiaj nie możesz.

Przycisnął twarz do jej rąk.

- Matko, odnalazłem cię zaledwie kilka dni przed wyjazdem z Domu Pieśni. Dopiero teraz spędziłem z tobą cały rok. Nie opuszczaj mnie znowu.

Esste westchnęła i w tym westchnieniu zabrzmiała pieśń miłości i żalu, którą Ansset usłyszał i zrozumiał, lecz nie przyjął.

- Nie chcę żalu. Chcę wrócić do domu.

- I co byś tam robił, Ansset?

O tym nie pomyślał, ponieważ chyba w głębi duszy wiedział, że prawda go zaboli, a ostatnio starał się unikać bólu.

Co by tam robił? Nie mógł śpiewać, więc nie mógł uczyć. Rządził światem i pomagał rządzić imperium - czy zadowoliliby się rolą Ślepca, prowadzącego drobne interesy Domu Pieśni? Tam byłby bezużyteczny, a na domiar złego musiałby nieustannie wspominać wszystko, co utracił. Ponieważ w Domu Pieśni nie dało się uciec od pieśni; dzieci śpiewały w korytarzach, muzyka wylewała się z okien na dziedziniec, szeptała w ścianach i wibrowała delikatnie w kamieniach pod nogami. Ansset cierpiałby nawet bardziej niż Kyaren, bo ona przynajmniej nigdy nie śpiewała, więc nie zdawała sobie sprawy, czego jej brakuje. Dla niemowy lepiej mieszkać wśród innych głuchoniemych, gdzie nie zatęskni za utraconym głosem i gdzie nikt nie zauważy jego milczenia.

- Nie robiłbym nic - odparł Ansset. - Tylko kochał cię.

- Zapamiętam to - powiedziała. - Całym sercem. Objęła go mocno i znowu zapłakała, ponieważ się rozstawali - przy nim nie musiała zachowywać Kontroli.

- Zanim wyjadę, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Co tylko zechcesz.

- Chcę - powiedziała - żebyś poszedł ze mną odwiedzić Riktorsa.

Twarz mu stwardniała, potrząsnął głową.

- Ansset, on jest innym człowiekiem.

- Tym bardziej nie muszę go widzieć.

- Ansset - mówiła surowym tonem, a on słuchał. - Ansset, są w tobie miejsca, których nie mogę wyleczyć, i są miejsca w Riktorsie, których nie mogę wyleczyć. Jego zraniła twoja pieśń; ciebie skrzywdziła jego ingerencja w twoje życie. Nie myślisz, że możesz wyleczyć to, czego ja nie potrafię?

Ansset milczał.

- Ansset - powtórzyła rozkazująco. - Wiesz, że ciągle go kochasz.

- Nie - zaprzeczył.

- Ansset, ty nigdy nie kochałeś połowicznie. Dawałeś bez ograniczeń i przyjmowałeś bez zastrzeżeń, i nie mogłeś tego odrzucić tylko dlatego, że sprawiło ci ból.

I powoli poprowadziła go do pokojów Riktorsa. Riktors stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz, jak to miał we zwyczaju. Obserwował ptaki siadające na trawnikach. Minęło kilka minut, zanim się odwrócił. Najpierw zobaczył tylko Esste i uśmiechnął się. Potem zobaczył Ansseta i spochmurniał.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Obaj czekali na powrót straszliwych emocji, ale emocje nie wróciły. Pozostał smutek i żal, wspomnienie przyjaźni i bólu, lecz sam ból zniknął, a wyrzuty sumienia zbladły. Ansset ze zdumieniem odkrył, że prawie nie czuje nienawiści, więc podszedł bliżej do Riktorsa, a Riktors też podszedł bliżej.

Nie będę twoim przyjacielem jak dawniej, powiedział milcząco Ansset do tego mężczyzny, któremu teraz dorównywał wzrostem, ponieważ urósł, a Riktors się przygarbił. Ale będę twoim przyjacielem tak, jak potrafię.

W milczeniu pomiędzy nimi oczy Riktorsa wydawały się mówić to samo.

- Cześć - odezwał się Ansset.

- Cześć - odpowiedział Riktors.

Niewiele więcej powiedzieli, ponieważ niewiele więcej było do powiedzenia. Ale kiedy Esste wyszła z pokoju, razem stanęli przy oknie i patrzyli na polujące jastrzębie, wykrzykując ostrzeżenia do ptaków, które rozpaczliwie próbowały przeżyć.

Rozdział 4

Riktors umarł trzy lata później, na wiosnę. W swojej ostatniej woli prosił, żeby imperium uznało Ansseta za jego dziedzica. To wydawało się naturalne, ponieważ Riktors nie miał dzieci, a z Anssetem łączyła go legendarna miłość. Więc Ansset otrzymał koronę i rządził przez sześćdziesiąt lat, dopóki nie przekroczył osiemdziesiątki, zawsze z pomocą Kyaren i majora; prywatnie uważali się za równych sobie, chociaż to Ansset nosił koronę.

Darżono ich miłością, jakiej nigdy nie zdobyli sobie Mikal i Riktors, posiadający wielu wrogów. Stopniowo opowieści o Anssecie, Mikalu, Riktorsie, Kyaren i majorze nabierały coraz większego rozgłosu; stały się mitem, w którym ludzie znajdowali oparcie, ponieważ był prawdziwy. Opowiadano te historie nie na publicznych zebraniach, gdzie wychwalanie władców imperium należało do polityki, ale w prywatnych domach, gdzie dorośli dziwili się cierpieniom wielkich ludzi, a każde dziecko marzyło, żeby zostać Słowikiem, kochanym przez wszystkich, i pewnego dnia zasiąść jako imperator na złotym tronie w Susquehannie.

Legandy bawiły Ansseta, ponieważ tak je rozdmuchano w trakcie przekazu, i wzruszały Kyaren, ponieważ stanowiły odbicie ludzkiej miłości. Ale niczego nie zmieniły. W centrum rządu, otoczeni przez problemy tysiąca światów, stworzyli razem rodzinę. Spotykali się co wieczór, major i Kyaren jako mąż i żona, Efraim jako najstarszy syn i Ansset jako wuj, który nigdy się nie ożenił, który zachowywał się trochę jak starszy brat, który bawił się z dziećmi i rozmawiał z dorosłymi, ale później odchodził samotnie do swojej sypialni, gdzie rodzinne hałasy docierały stłumione, jakby z wielkiej odległości.

Należycie do mnie, ale nie należycie do mnie, mówił Ansset. Należę do was, ale prawie tego nie widzicie.

Nie był nieszczęśliwy.

Ale nie był także szczęśliwy.

Rozdział 5

- Nieładnie zwałać nam coś takiego na głowę - odezwała się cierpko Kyaren.
- Jeśli się spodziewasz, że któreś z nas przyjmie koronę, to się rozczarujesz - dorzucił major.
- Nie dałbym ci korony, nawet gdybyś sam poprosił - odparł Anset z uśmiechem. - Starzeję się, a ty jesteś jeszcze starszy. Więc do diabła z tobą. - Odwrócił się i spojrzał na drugi koniec pokoju, gdzie Efraim rozmawiał z dwoma braćmi, trzymając w ramionach najmłodszego wnuka. - Efraim - zawołał. - Chcesz zostać imperatorem?

Efraim roześmiał się, ale potem zobaczył, że Anset nie żartuje. Podeszedł do stołu, gdzie siedzieli jego rodzice i wuj.

- Mówisz serio? - zapytał.
- Jesteś gotowy? Ja wyjeżdżam.
- Dokąd?
- Jakie to ma znaczenie?
- Nie bądź taki tajemniczy - wtrąciła Kyaren. - Jemu się wydaje, że Dom Pieśni usycha z tęsknoty za nim.

Anset wciąż się uśmiechał, wciąż obserwował twarz Efraima.

- Naprawdę abdykujesz?
- Efraim - rzucił Anset z pewnym zniecierpliwieniem - cholernie dobrze wiesz, że kiedyś zostaniesz imperatorem. Ile moich dzieci tutaj widzisz? Teraz pytam cię: czy jesteś gotowy?
- Tak - odpowiedział poważnie Efraim.
- Kiedy Mikal abdykował, to mu zabrało tylko parę tygodni. Ja nie będę tak długo zwlekał. Do jutra.
- Czemu tak szybko? - zapytała Kyaren.
- Podjąłem decyzję. Chcę to zrobić. Niepotrzebnie marnuję czas na czekanie.
- Jeśli chcesz tylko pojechać z wizytą, jedź, Anset - powiedział major. - Zostań na Tew kilka

miesiący. Potem zdecydujesz.

- Nie rozumiesz - odparł Ansset. - Nie chcę tam jechać jako imperator. Chcę tam pojechać jako Ansset. Nawet nie jako Ansset, były Słowik. Po prostu Ansset, który chętnie będzie zamiatał, sprzątał ze stołów czy robił cokolwiek, co tylko mu każą. Nie rozumiesz? Tutaj jest twój dom i mój też, w pewnym sensie...

- W każdym sensie.

- Nie. Ponieważ tutaj jest twoje miejsce. Ale ja urodziłem

się do czegoś innego. Nie przynależę tutaj. Wychowałem się wśród pieśni. Chcę wśród nich umrzeć.

- Esste nie żyje, Ansset. Umarła wiele lat temu. Masz tam kogoś znajomego? Będziesz zupełnie obcy.

- Kyaren zrobiła zmartwioną minę, lecz Ansset wyciągnął rękę i żartobliwie wygładził zmarszczki na jej czole. - Nie fatyguj się - burknęła, odpychając jego dłoń. - Mam je na stałe.

- Nie wracam, żeby zobaczyć Esste. Nie wracam do nikogo. Efraim położył rękę na ramieniu wuja.

- Chcesz odnaleźć Ansseta, prawda? Jakiegoś małego chłopca albo dziewczynkę z głosem, który porusza kamienie?

Ansset śmiejąc się poklepał Efraima po dłoni.

- Drugiego mnie? Nigdy nie znajdę drugiego Ansseta, Efraimie! Jeśli pojedę tam szukać, nigdy niczego nie znajdę. Wprawdzie nie śpiewałem długo, ale nikt już nie będzie tak śpiewał.

I Kyaren zrozumiała, że ze wszystkich życiowych osiągnięć, ze wszystkich trudnych zadań Ansset wciąż najbardziej szczycił się tym, czego dokonał w wieku dziesięciu lat.

Do stworzenia legendy w pełni wystarczyły opowieści krążące przed abdykacją Ansseta. Lecz należało dodać jeszcze jedną opowieść, dla której Ansset opuścił Ziemię, porzucił swój urząd, zostawił resztę swoich pieniędzy na stacji i zjawił się bez grosza pod drzwiami Domu Pieśni.

Wpuszczono go do środka.

Rozdział 1

Ansset sprawował urząd imperatora dopiero od trzydziestu lat, kiedy praca Esste dobiegła końca. W lecie Esste poczuła, że koniec się zbliża; znużyło ją wykonywanie wciąż tej samej pracy, którą już dawno opanowała do perfekcji. Nie zainteresowali jej żadni uczniowie. Nie miała już bliskich

przyjaciół wśród nauczycieli, poza Onnem. Coraz bardziej oddalała się od życia w Domu Pieśni, chociaż nadal kierowała tym życiem z Wysokiej Sali.

Na jesieni Esste zaczęła tęsknić za tym, co bezpowrotnie utraciła. Tęskniła za swoim dzieciństwem. Tęskniła za kochankiem w kryształowym pałacu. Tęskniła za Ansetem, pięknym chłopcem, którego trzymała w ramionach i kochała tak, jak nie kochała nikogo innego.

Ale tęsknoty nic nie mogło zaspokoić; w kryształowym pałacu na pewno mieszkała już inna miłość; Esste-dziewczyna umarła, zrzuciła młodą skórę i pozostała z niej tylko skorupa, kobieta o twardej twarzy, odziana w ciemną szatę; Anset zaś, imperator ludzkości, już nie był dzieckiem i nie mogła go wziąć w ramiona.

Och, bawiła się myślą o kolejnej podróży do Susquehanny. Przedtem jednak pojechała, żeby pomóc imperium w potrzebie. Nie mogła usprawiedliwić takiej podróży tylko dla własnej satysfakcji, zwłaszcza jeśli wiedziała, że wcale nie zaspokoi swojej prawdziwej potrzeby.

Wszystkie pieśni muszą się skończyć, zanim je poznamy, powiada maksyma. Tego, co nie ma granic, nie można uznać za całość. Tak więc Esste postanowiła przeprowadzić ostateczną granicę w swoim życiu, żeby wszystkie jej prace i wszystkie dni można było ogarnąć myślą, zrozumieć, a nawet wyśpiewać.

Była zima i śnieg gęsto sypał za oknami Wysokiej Sali. Esste nie postanowiła z góry, że właśnie ten dzień wybierze spośród innych. Może zdecydowało piękno śniegu; może świadomość, że mróz szybko ją zabierze w takiej zamieci. Wysłała z różnymi poleceniami tych, którzy mogli ją znaleźć zbyt szybko. Potem otworzyła wszystkie okiennice i wpuściła wiatr do środka, zdjęła ubranie i położyła się na kamieniach na środku pokoju.

Wiatr smagał jej ciało, zasypywał je płatkami śniegu, które topniały coraz wolniej. Esste ukryła się za murem Kontroli i rozmyślała. Zaśpiewała w życiu wiele pieśni, ale co powinna zaśpiewać na koniec? Jaką pieśń pogrzebową powinna usłyszeć Wysoka Sala?

Za długo się zastanawiała i wreszcie nie zaśpiewała nic, leżąc na kamiennej podłodze. Pod koniec Kontrola ją zawiodła, jak zwykle w skrajnych przypadkach. Lecz wpełzając niemrawo pod koc, Esste częścią świadomości zauważyła z satysfakcją, że wykonała zadanie. Koce nic nie pomogą. W Wysokiej Sali śnieg leżał na dwa cale. Jutro przyjdzie tutaj nowy Mistrz Pieśni i Dom Pieśni pozna nowe melodie.

Rozdział 2

Onn był zajęty.

Było mnóstwo roboty, a kilku najważniejszych Głuchych i Ślepych wysłano jednocześnie z poleceniami, co czasami się zdarzało, lecz powodowało znaczną niewygodę.

- Czasami - zwierzył się Onn młodemu mistrzowi - myślę, że równie dobrze mógłbym być Głuchym, tyle czasu spędzam z muzyką.

Ale to mu nie przeszkadzało. Był dobrym śpiewakiem, dobrym nauczycielem, godnym szacunku. Jednak w przeciwieństwie do wielu mistrzów i Mistrzów Pieśni, odpowiedzialnych za sprawne funkcjonowanie Domu Pieśni, był również dobrym administratorem. Załatwiał sprawy. Pamiętał o szczegółach. Więc chociaż większość mistrzów wołała przerzucić prawie wszystkie zadania i decyzje na barki Ślepców, Onn postawił sobie za punkt honoru, żeby wiedzieć jak najwięcej o działalności Domu Pieśni i pomagać Esste ze wszystkich sił.

Co ważniejsze, robił to z wdziękiem. Toteż dla wszystkich zainteresowanych stało się jasne, że to on zostanie następnym Mistrzem Pieśni w Wysokiej Sali, kiedy Esste postanowi odejść. On sam również doszedłby do tego wniosku, gdyby nie był taki zajęty.

Kiedy Mistrz Pieśni z Wysokiej Sali nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano, po prostu nie odpowiadał na pukanie do drzwi. Taka była przyjęta praktyka. Tylko Głusi i Ślepcy wykonujący swoje obowiązki mogli pogwałcić ten zwyczaj, ponieważ, zgodnie z etykietą Domu Pieśni, formalnie nie istnieli. Głuchy, którego zadaniem było zmiatanie pokoju, po prostu zamiatał pokój, a osoba szukająca tam prywatności nie zwracała na niego uwagi - chociaż gdyby student lub nauczyciel chcieli wejść bez pozwolenia, uznano by to za grubiaństwo.

Takie zwyczaje panowały w Domu Pieśni. Lecz Onn musiał uzyskać od komputera odpowiedź na pytanie, co wymagało narady z Esste. Sprawa wydawała się wtedy pilna, chociaż kilka godzin później Onn nawet nie pamiętał, czego dotyczyła. Poszedł do Wysokiej Sali i zapukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Gdyby Onnem kierowała ambicja, a nie poświęcenie, wziąłby pod uwagę możliwość, że Esste nie odpowiada, ponieważ postanowiła porzucić pracę, odszedłby na palcach i cierpliwie zaczekał. Albo gdyby Onn nie był tak pewny siebie, nie ośmieliłby się otworzyć drzwi. Lecz Onn był ofiarny i pewny siebie, więc otworzył drzwi i znalazł trupa Esste, zimnego pod grubą powłoką śniegu.

Zasmuciła go śmierć Esste i długo siedział przy zwłokach w wyziębionym pokoju (zamknawszy okiennice i włączwszy ogrzewanie), oplakując utratę jej przyjaźni, ponieważ bardzo ją kochał.

Lecz pamiętał też o odpowiedzialności. To on odnalazł ciało. Zatem on musiał zawiadomić osobę, która zostanie następnym Mistrzem Pieśni w Wysokiej Sali. Tylko że sam był jedynym logicznym

kandydatem na to stanowisko. A nie mógł mianować sam siebie. Zwyczaj tego zabraniał.

Przez chwilę walczył z pokusą - ostatecznie był tylko człowiekiem - żeby natychmiast wyjść, zostawić wszystko nienaruszone i czekać cierpliwie, aż jakiś Głuchy albo Ślepy znajdzie zwłoki, co zresztą stanowiło naturalną kolej rzeczy.

Ale Onn był uczciwy i rozumiał, że skoro już raz pogwałcił obyczaj i wszedł bez pozwolenia, sam ten postępek wystarczył, żeby zamknąć mu drogę do awansu. Skoro zlekceważył grzeczność i wtargnął nieproszony do prywatnego pokoju, okazał się zbyt bezmyślny, żeby zostać Mistrzem Pieśni w Wysokiej Sali.

Ale kto inny? Nieprzypadkowo Onn był najbardziej oczywistym kandydatem - nie tylko dlatego, że się wyróżniał, ale również dlatego, że nikt inny nie nadawał się na to stanowisko. Wśród Mistrzów Pieśni i starszych mistrzów znajdowało się wielu uzdolnionych śpiewaków i nauczycieli - ostatecznie wybrano ich ze względu na talent do śpiewu i nauczania. Ale czy znajdzie się osoba obdarzona tak silną wolą, tak mądra, tak ofiarna, żeby potrafiła bezpiecznie pokierować Domem Pieśni?

Przez wszystkie lata istnienia Domu Pieśni zawsze ktoś taki się znalazł, łatwy wybór albo przynajmniej zrozumiały wybór. Zawsze jeden z Mistrzów Pieśni czekał gotowy, a jeśli nie jeden z nich, to wyróżniający się młody mistrz, którego kandydatura sama się narzucała.

Tym razem nie było nikogo. Och, dwie czy trzy osoby nadawały się z grubsza, lecz Onn nie życzył sobie takich zwierzchników, ponieważ jedna osoba miała skłonność do podejmowania pochopnych decyzji, druga lubiła się sprzeczać o drobiazgi, a trzecia była zanadto roztargniona, żeby na niej polegać. Ktoś zawsze musiałby naprawiać ich błędy. To nie do przyjęcia.

Do wieczora Onn wpadł w rozpacz. Zabarykadował drzwi - nie ma sensu ryzykować, że jakiś Głuchy wejdzie przypadkiem i plotka się rozniesie - i siedział przemoczony, nieszczęśliwy wśród resztek śniegu, tworzącego kałuże na podłodze. Nie chciał wychodzić z pokoju, dopóki nie podejmie decyzji. Ale nie mógł nic zdecydować.

Więc wcześniej rano wstał po niespokojnym śnie, przestawił zamek w drzwiach na własną dłoń, zablokował drzwi za sobą i zaczął krążyć po korytarzach i Komnatach, po Wspólnych Salach, toaletach i kuchniach, w nadziei, że wpadnie na jakiś olśniewający pomysł albo że wreszcie pozbędzie się niezdecydowania i wybierze kogoś na miejsce Esste.

Po południu, przygnębiony i zniechęcony, wstąpił do Wspólnej Sali, gdzie uczyły się Bryzy. Szukał tylko pociechy; młode głosy nie były tak wyćwiczone, żeby zmuszały słuchacza do wyłączenia uwagi, lecz dostatecznie wprawione, żeby sprawiały przyjemność swoim harmonijnym brzmieniem.

Siedząc z tyłu, Onn obserwował nauczycielkę i słuchał jej głosu. Oczywiście natychmiast ją rozpoznał. Była wystarczająco utalentowana, żeby uczyć w Izbach i Komnatach - głos miała czysty i subtelny. Lecz nie była już młoda i nie spodziewała się awansu na mistrza albo Mistrza Pieśni, dlatego poprosiła, żeby zostawiono ją we Wspólnych Salach, ponieważ kochała dzieci i nie wstydziła się ani nie była rozczarowana, że spędzi życie na ich uczeniu. Esste natychmiast wyraziła

zgode, gdyż dzieci powinny uczyć się od możliwie najlepszych głosów, a ta kobieta była najlepszą śpiewaczką ze wszystkich nauczycieli we Wspólnych Salach.

Wobec dzieci była łagodna, lecz wymagająca, kochająca, lecz skrupulatna. Dzieci ją lubiły; zwykle sprzeczki, nieuniknione wśród uczniów w tym wieku, łatwo dawały się ułagodzić i każde dziecko ze wzruszającą gorliwością starało się zaśpiewać jak najlepiej, żeby zasłużyć na pochwałę nauczycielki. Czasami, kiedy zaśpiewały wyjątkowo dobrze, przyłączała się do nich, niezbyt głośno, w subtelnej i pięknej harmonii, która ekscytowała dzieci i inspirowała je do lepszego śpiewania.

Onn podjął decyzję, zanim to sobie uświadomił. Nagle zorientował się, że szuka argumentów przeciwko kandydaturze, którą wybrał całkiem bezwiednie. Brakuje jej doświadczenia, powiedział sobie, chociaż w gruncie rzeczy tylko on naprawdę posiadał doświadczenie odpowiednie do pracy w Wysokiej Sali. Jest za cicha, zbyt nieśmiała, żeby nagiąć do swojej woli Dom Pieśni, upierał się, ale wiedział, że kierowała dziećmi za pomocą miłości, nie siły, i tak samo mogła pokierować Domem Pieśni.

Wreszcie wszystkie obiekcje sprowadziły się do jednej: litości. Ona uwielbiała uczyć małe dzieci, a w Wysokiej Sali będzie miała czas tylko na jedno dziecko lub dwoje, i to z Izb i Komnat. Nie uszczęśliwi jej rezygnacja z pracy, którą tak kochała, na rzecz zadania, które w opinii jej samej i wielu innych przerastało jej możliwości.

Onn jednakże miał pewność. Obserwując ją wiedział, że właśnie ona powinna zająć miejsce Esste. A jeśli to będzie dla niej trudne, jeśli będzie musiała coś poświęcić - no cóż, Dom Pieśni wymagał wiele od swoich dzieci, a ona chętnie spełni swój obowiązek, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Domu Pieśni.

Wstał, a ona zakończyła pieśń i zapytała, czego sobie życzy.

- Rruk - powiedział - Esste nie żyje.

Z przyjemnością zauważył, że wcale nie przyszło jej do głowy, że została powołana na miejsce Esste. Okazała tylko szczerze zmartwienie i żal po ukochanej Mistrzyni Pieśni. Zaśpiewała swój smutek, a dzieci przyłączyły się ostrożnie. Rozpoczęła pieśń wykorzystując całą posiadaną technikę, kiedy jednak dzieci próbowały się włączyć, niemal odruchowo uprościła melodię, dostosowała do ich poziomu i razem wzruszająco zaśpiewali o miłości, którą musi zakończyć śmierć. Pieśń chwyciła Onna za serce. Rruk była wspaniałą kobietą. Dokonał słusznego wyboru.

Kiedy skończyła śpiewać, wypowiedział słowa, które miały jej sprawić wiele bólu.

- Rruk, znalazłem jej ciało i proszę, żebyś zajęła się przygotowaniem do pogrzebu.

Zrozumiała natychmiast i utrzymała Kontrolę, ale powiedziała cicho:

- Mistrzu Onnie, przypadek, który zaprowadził cię do jej ciała, był okrutny, ale przypadek, który zaprowadził cię do mnie, jest szaleństwem.

- Niemniej to twoje zadanie.

- Więc je wykonam. Ale nie tylko ja będę żałowała, że po raz pierwszy nasz zwyczaj zawiódł i nie wskazał osoby odpowiedniej na to stanowisko.

Rozmawiali śpiewem, głosami kontrolowanymi, lecz wibrującymi od emocji, których nie rejestrowały niedostatecznie wyćwiczone uszy dzieci.

- Nasz zwyczaj nie zawiódł - odparł Onn. - Przekonasz się o tym w swoim czasie.

Potem Rruk wyszła z klasy, a uczniowie rozbiegli się, żeby przekazać nowiny, i cały Dom Pieśni rozbrzmiał żałobą po Esste,

I wszędzie rozlegały się szepty zdumienia, że nie Onn został następcą, że po raz pierwszy w historii wybrał na Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali kogoś, kto nawet nie był mistrzynią, tylko zwykłą nauczycielką Bryz.

Onn i Rruk starannie zajęli się ciałem Esste. Naga staruszka wydawała się niezwykle krucha, wcale nie przypominała symbolu siły, jaki stanowiła za życia. Lecz przecież żyła wśród ludzi, dla których ciało nic nie znaczyło, dla których liczył się tylko głos, a według tego kryterium nikt potężniejszy nie mieszkał w Domu Pieśni od wielu pokoleń. Onn i Rruk śpiewali i rozmawiali podczas pracy: Rruk zadawała wiele pytań, Onn zaś próbował w ciągu kilku godzin nauczyć ją tego, co jemu zabrało kilka lat.

Wreszcie pod wpływem frustracji zawołała:

- Nigdy się nie nauczę! A on obiecał:

- Będę ci pomagał we wszystkim, przez cały czas.

Rruk się zgodziła i zamiast od razu sięgnąć po władzę jako Mistrzynie Pieśni, początkowo tylko przekazywała decyzje Onna. Takiej sytuacji nie dało się ukryć i niektórzy uważali, że Onn powinien być wybrać ich, ale wybrał Rruk, najślabszą, żeby rządzić Domem Pieśni za jej pośrednictwem.

Stopniowo jednak Rruk zaczęła samodzielnie wypełniać swoje obowiązki i stopniowo mieszkańcy Domu Pieśni zrozumieli, że dzięki niej czuli się bardziej szczęśliwi; że chociaż muzyka nie poprawiła się dostrzegalnie ani nie pogorszyła, we wszystkich pieśniach brzmiało trochę więcej szczęścia. Rruk traktowała dzieci z takim samym szacunkiem jak dorosłych; okazywała dorosłym tyle samo cierpliwości i miłości co dzieciom. I to działało. A kiedy Onn zmarł kilka lat później, nie było wątpliwości, że wybrał właściwie - wielu nawet twierdziło, że los był łaskawy dla Domu Pieśni, skoro Rruk została Mistrzynie Pieśni w Wysokiej Sali zamiast Onna - ponieważ Dom Pieśni nie utracił jego doświadczenia, a zdobył dodatkowo wyrozumiałość Rruk.

Dlatego też Rruk była Mistrzynie Pieśni w Wysokiej Sali, kiedy Anset wrócił do domu.

Rozdział 3

Oczywiście odźwierna go nie rozpoznała. Minęło zbyt wiele lat i chociaż odźwierna była Mrukiem w czasie, kiedy Ans-set śpiewał w Izbach i Komnatkach, nie kojarzyła tego starca o pobrużdżonej twarzy i siwych włosach z pięknym jasnowłosym dzieckiem, którego pieśni brzmiały tak czysto i mocno.

Lecz Dom Pieśni nie odmawiał nikomu miłosierdzia, a widać było, że stary człowiek przy drzwiach nie opływa w bogactwa - ubrany był skromnie, nie miał bagażu i nie nosił żadnych ozdób. Nie wyjaśnił, w jakiej sprawie przychodzi, powiedział tylko, że chce rozmawiać z Mistrzem Pieśni z Wysokiej Sali, co naturalnie było wykluczone. Dopóki jednak chciał czekać w poczekalni, nic nie stało na przeszkodzie, a kiedy odźwierna zobaczyła, że starzec nie przyniósł ze sobą jedzenia, zaprowadziła go do kuchni i pozwoliła przyłączyć się do posiłku grupy uczniów z Izb i Komnat.

On jednak nie nadużywał cudzej grzeczności. Po zakończeniu posiłku wrócił do poczekalni i tam siedział, dopóki nie podano następnego posiłku.

Starzec nie odzywał się do dzieci. Jadł powoli i ostrożnie, pilnując własnego talerza. Dzieci poczuły się przy nim swobodnie, rozmawiały i śpiewały. On nigdy się nie przyłączał ani nie reagował.

W końcu ten stary człowiek w kuchni stał się ich powodem do dumy. Przecież mieszkali w Domu Pieśni już od pięciu czy sześciu lat i znali wszystkich dorosłych, zwłaszcza tych starszych; nowi to byli zwykle śpiewacy i Słowiki wracający do domu po ukończeniu piętnastu lat oraz poszukiwacze przywożący nowych do Wspólnej Sali. Niesłychane, żeby ktoś nowy był jednocześnie stary.

W oczach dzieci stanowił tajemnicę. Opowiadano o nim rozmaite historie: jak to popełnił straszliwe zbrodnie na odległej planecie i teraz ukrywał się w Domu Pieśni; jak to był dziadkiem słynnego śpiewaka i przyjechał szpiegować własnego wnuka; jak to był głuchoniemym, który wyczuwał pieśni poprzez wibracje stołu (dlatego kilkoro dzieci zatkało sobie uszy watą i obmacywało stoły podczas posiłków, próbując coś wyczuć); jak to był Słowikiem, który zawiódł i teraz próbował odzyskać miejsce w Domu Pieśni. Niektóre historie niewiele odbiegały od prawdy; niektóre były tak fantastyczne i bajkowe, że nawet najbardziej łatwowierne dzieci nie dały się nabrać, chociaż chętnie ich słuchały. Lecz żadna z niezliczonych opowieści o starym człowieku w Tęczowej Kuchni nigdy nie dotarła do dorosłych.

Dlatego Rruk tylko przez przypadek dowiedziała się o starym człowieku. Zwykle pomagał sprzątać po posiłkach. Tęczową kucharką była Ślepa, wspomagana przez dwójkę młodych Głuchych, którzy

krążyli od kuchni do kuchni. Pewnego dnia Głusi spóźniali się ze sprzątaniami, więc starzec wstał i zaczął zmywać naczynia. Kucharka była spostrzegawczą kobietą i zauważyła, że dłonie starca, chociaż silne, nigdy przedtem nie wykonywały żadnej fizycznej pracy - wnętrza dłoni były miękkie jak u dziecka. Ale starzec starannie oczyścił naczynia, i bardzo szybko dwójka młodych Głuchych odkryła, że jeśli spóźnią się na sprzątanie w Tęczowej Kuchni, wcale nie muszą sprzątać.

Kucharka wspomniała o tym odźwiernej, która pewnego dnia odprowadziła starca do kuchni, a odźwierna wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Niech poczuje, że zarabia na swoje utrzymanie.

Kucharka jednak wierzyła, że ktoś stojący wyżej niż odźwierna zezwolił na pobyt starca.

Dopiero kiedy starzec nieostrożnie dotknął garnka, który zostawiono na ogniu zamiast przenieść na stół, kucharka zauważyła, co się stało. Stary człowiek na pewno boleśnie się oparzył. Ale nie powiedział ani słowa, w żaden sposób nie okazał bólu. Po prostu wrócił do pracy i dalej zmywał naczynia po kolacji, chociaż z pewnością odczuwał dokuczliwy ból. Kucharka zaniepokoiła się. Znała tylko dwie możliwe przyczyny faktu, że starzec dotknął gorącego garnka i nawet nie mrugnął.

- Albo on jest trędowaty i nie ma czucia w rękach, w co wątpię, bo nigdy nie upuszcza naczyń, albo posiada Kontrolę.

- Kontrolę? - zapytał naczelny kucharz. - A kim on jest?

- Odźwierna go wpuściła. Chyba z litości.

- Powinna była mnie zawiadomić. Dodatkowa gęba do wyżywienia, a ja o niczym nie wiem i nawet nie uwzględniłem tego w budżecie!

Tęczowa kucharka wzruszyła ramionami.

- Nigdy niczego nam nie brakowało.

- Chodzi o zasadę. Albo jesteśmy zorganizowani, albo nie.

Więc naczelny kucharz zawiadomił zaopatrzeniowca, a zaopatrzeniowiec zawiadomił ochronę, a ochrona zapytała odźwierną, co tu się wyprawia, do cholery.

- On jest głodny i chyba bardzo ubogi.

- Jak długo to trwa?

- Jakies trzy miesiące, mniej więcej. Więcej.

- Nie prowadzimy hotelu. Trzeba go grzecznie poprosić, żeby się wyniósł. Po co tu przyszedł?

- Żeby się spotkać z Mistrzynią Pieśni z Wysokiej Sali.

- Pozbądź się go. Żadnych posiłków. Grzecznie, ale stanowczo. W końcu po to jest odźwierna.

Więc odźwierna bardzo grzecznie powiedziała staremu człowiekowi, że nie wolno mu więcej jadać w Domu Pieśni. Nie odpowiedział. Tylko siedział w poczekalni. Pięć dni później odźwierna zjawiała się u szefa ochrony.

- On zamierza zagłodzić się na śmierć w poczekalni. Szef ochrony zszedł na dół, żeby porozmawiać ze starcem.

- Czego chcesz, stary człowieku?

- Przyszedłem zobaczyć się z Mistrzynią Pieśni z Wysokiej Sali.

- Kim jesteś? Brak odpowiedzi.

- Nie wpuszczamy do niej byle kogo. Ona jest bardzo zajęta.

- Ucieszy się, jak mnie zobaczy.

- Wątpię. Nie masz pojęcia, co tu się dzieje.

Znowu brak odpowiedzi. Czy stary się uśmiechnął? Szef ochrony był zanadto zirytowany, żeby się tym przejmować.

Gdyby starzec zachowywał się natrętnie lub hałaśliwie, mogliby go usunąć siłą. Ale w miarę możliwości unikano stosowania siły, a ponieważ stary wyraźnie zamierzał zostać w poczekalni, dopóki nie umrze z głodu, szef ochrony poszedł do Wysokiej Sali porozmawiać z Rruk.

- Skoro on tak koniecznie chce mnie widzieć i skoro wygląda niegroźnie, to powinien mnie zobaczyć.

Tak więc Rruk zeszła po schodach i przez labirynt korytarzy dotarła do poczekalni, gdzie siedział stary człowiek.

W jej oczach był piękny. Oczywiście pomarszczony, ale oczy miał jednocześnie mądre i niewinne, jakby wszystko widział i wszystko wybaczył. Usta, które rozchyliły się w uśmiechu na jej widok, wyglądały dziecinnie. Żadna skaza ani plama nie szpeciła jego skóry, przezroczystej ze starości, a jednak szorstkiej w porównaniu ze śnieżnobiałymi włosami. Zmarszczki, powstałe bardziej z bólu niż od śmiechu, wryły na jego twarzy całą historię jego życia. Starzec wyciągnął ramiona do Rruk.

- Rruk - powiedział i objął ją.

A ona, ku zdumieniu odźwiernej i szefa ochrony, powiedziała:

- Ansset. Wróciłeś do domu.

Istniał tylko jeden Ansset, który mógł wrócić do Domu Pieśni. Dla odźwiernej Ansset był dzieckiem, które tak pięknie

śpiewało przed swoim odjazdem. Dla szefa ochrony, który go nie znał, Anset był imperatorem wszechświata.

Dla Rruk był ukochanym przyjacielem, za którym tęskniła i którego gorzko opłakiwała, kiedy nie wrócił do domu przed sześćdziesięciu z górą laty.

Rozdział 4

- Zmieniłeś się - powiedziała Rruk.

- Ty też.

Rruk porównała obecną siebie z niezdarnym dzieckiem, którym była dawniej.

- Nie tak bardzo, jak myślisz. Anset, dlaczego im nie powiedziałeś, kim jesteś?

Anset oparł się o okiennicę w Wysokiej Sali.

- Powiem odzwiernej, kim jestem, i po dziesięciu minutach cały Dom Pieśni będzie wiedział, że przyjechałem. Zgodzisz się na moją wizytę, a potem po kilku dniach weźmiesz mnie na stronę i powiesz: „Nie możesz tu zostać”.

- Nie możesz.

- Ale zostałem - odparł Anset. - Przez kilka miesięcy. Nie jestem jeszcze taki stary, ale mam wrażenie, że znowu przeżywam swoje dzieciństwo. Dzieci są piękne. Kiedy byłem w ich wieku, nie wiedziałem o tym.

- Ani ja.

- One też nie wiedzą. Wiesz, rzucają w siebie chlebem, kiedy kucharka nie patrzy. Okropne naruszenie Kontroli.

- Dzieci nie mogą zachować absolutnej Kontroli. Przynajmniej większość dzieci.

- Rruk, tak długo mnie nie było. Pozwól mi zostać.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Mogę robić to, co robiłem. Czy wam zaszkodziłem? Po prostu traktuj mnie jak kolejnego Ślepcę. Przecież tym jestem. Słowik, który wrócił do domu i nie może uczyć.

Rruk słuchała go i jej pozorny spokój maskował coraz większe wewnętrzne wzburzenie. Nie wyrządził żadnej szkody podczas miesięcy spędzonych w Domu Pieśni, a jednak to się sprzeciwiało zwyczajowi.

- Nie obchodzą mnie zwyczaje - oznajmił Ansset. - Moje życie nie było całkiem zwyczajne.

- Esste postanowiła...

- Esste nie żyje - odparł Ansset szorstkim tonem, ale Rruk wykryła ślad czułości w jego głosie. - Teraz ty rządzisz w Wysokiej Sali. Esste mnie kochała, ale współczucie nie było w jej stylu.

- Esste słyszała, jak próbujesz śpiewać.

- Nie mogę śpiewać. Nie będę śpiewać.

- A jednak śpiewasz, nawet bezwiednie. Kiedy mówisz, melodie twojego głosu wyrażają więcej, niż wielu z nas potrafi wyrazić w pieśniach.

Ansset odwrócił wzrok.

- Nie słyszałeś własnych pieśni, Ansset. Zbyt wiele przeszedłeś w ostatnich latach. Właściwie w pierwszych latach życia. Twój głos jest pełen dalekich światów. Pełen zbyt bolesnych wspomnień i ciężaru odpowiedzialności. Każdy, kto cię usłyszy, ulegnie twoim wpływom.

- Boisz się, że zepsuję dzieci?

- I nauczycieli. I mnie.

Ansset namyślał się przez chwilę.

- Do tej pory milczałem. Mogę zachować milczenie. Mogę być niemy w Domu Pieśni.

- Jak długo wytrzymasz?

- Przecież mogę poszukać samotności. Pozwól mi swobodnie wchodzić i wychodzić z Domu Pieśni, pozwól mi wędrować po Tew, kiedy poczuję potrzebę mówienia, a potem wracać do domu.

- To już nie jest twój dom.

A wtedy Kontrola zawiodła i Anset zaczął błagać twarzą i głosem.

- Rruk, to jest mój dom. Przez sześćdziesiąt pięć lat tutaj był mój dom, chociaż zabroniono mi powrotu. Próbowałem nie wracać. Rządziłem w pałacu zbyt wiele lat. Żyłem wśród ludzi, których kochałem, ale Rruk, jak długo można przeżyć bez tych kamieni?

I Rruk przypomniała sobie własny angaż śpiewaczki, lata spędzone na Umusuwee, gdzie ją kochano i rozpieszczano, gdzie nazywała swoich patronów ojcem i matką; a jednak, kiedy skończyła piętnaście lat, radośnie wracała do domu, ponieważ dżungla bywa piękna i słodka, lecz zimne kamienie ukształtowały jej duszę i nie mogła znieść zbyt długiego rozstania z nimi.

- Co się kryje w tych murach, Anset, że mają nad nami taką władzę?

Anset spojrział na nią pytająco.

- Anset, nie umiem podjąć bezstronnej decyzji. Rozumiem, co czujesz, chyba rozumiem, ale Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali nie może kierować się litością.

- Litość - powiedział, całkowicie odzyskując Kontrolę.

- Muszę działać dla dobra Domu Pieśni. A twoja obecność tutaj wprowadzi zbyt wiele zamieszania. Konsekwencje możemy odczuwać przez całe stulecia.

- Litość - powtórzył Anset. - Źle cię zrozumiałem. Prosiłem tylko, żebyś kierowała się miłością.

Teraz z kolei Rruk zamilkła. Miłość. Słusznie, pomyślała, po to istniejemy. Miłość, pokój i piękno, po to stworzono Dom Pieśni. A jedno z naszych najlepszych dzieci, jedno z najzdolniejszych - nie, najlepszy Słowik, jaki narodził się w Domu Pieśni - prosi o miłość, której nie mogę mu dać ze strachu.

Rruk uznała to za niesprawiedliwe. Wyrzucenie Anseta wydawało jej się niesprawiedliwe, bez względu na logiczne przyczyny. Rruk różniła się od Esste; nie kierowała się wyłącznie logiką i zdrowym rozsądkiem.

- Gdyby w tej sprawie wymagano rozsądnej decyzji, wówczas w Wysokiej Sali powinien rządzić rozsądny Mistrz Pieśni - powiedziała. - Ale ja nie podejmuję takich decyzji. Nie mam ochoty pozwolić ci zostać, ale jeszcze bardziej nie chcę kazać ci odejść.

- Dziękuję ci - szepnął Anset.

- Milczenie w tych murach. Żadne dziecko nie może usłyszeć twojego głosu, ani mruknięcia. Będziesz służył jako Głuchy. A kiedy nie będziesz mógł wytrzymać milczenia, możesz odejść, dokąd zechcesz. Weź tyle pieniędzy, ile potrzebujesz... choćbyś wydawał garściami, nie wyczerpiesz tego, co nam zapłacono za twoje usługi, kiedy wyjechałeś na Ziemię.

- I mogę wracać?

- Tak często, jak zechcesz. Pod warunkiem, że tutaj zachowasz milczenie. I wybaczysz mi, jeśli zabronię Ślepym i Głuchym opowiadać śpiewakom, kim jesteś.

Ansset odrzucił Kontrolę i uśmiechnął się do niej, objął ją i zaśpiewał:

Nigdy cię nie skrzywdzę,

Zawsze ci pomogę.

Jeśli jesteś głodna,

Oddam ci jedzenie.

Jeżeli się boisz,

Zostanę przy tobie.

Kocham cię teraz,

A miłość nie ma końca.

Pieśń rozdarła serce Rruk, tylko na chwilę. Ponieważ brzmiała okropnie. Głos nie dorównywał nawet nieszkolonym głosom dzieci. Był to głos starego człowieka, który zbyt wiele mówił i wcale nie śpiewał przez zbyt wiele lat. Brakowało modulacji, brakowało kontroli, nawet melodia brzmiała fałszywie. Co za strata! - krzyknęła Rruk w duchu. Czy tylko tyle zostało?

A jednak w głosie wciąż dźwięczała moc. Ansset nie otrzymał mocy w Domu Pieśni, narodził się z nią i spotęgował ją poprzez własne cierpienia, więc kiedy zaśpiewał Rruk pieśń miłości, wzruszył ją głęboko. Przypomniała sobie własny słaby głos, śpiewający dla niego te słowa dawno temu, jakby przed milionem lat, jakby wczoraj. Przypomniała sobie jego lojalność wobec niej, kiedy nic go nie zmuszało do lojalności. I już się nie wahała, czy powinna pozwolić mu zostać.

- Możesz rozmawiać ze mną - powiedziała. - Z nikim innym, ale przy mnie nie musisz milczeć.

- Zepsuję twój głos tak jak inne. Potrząsnęła głową.

- Nic, co pochodzi od ciebie, nie może mi zaszkodzić. Kiedy słyszę twój głos, przypominam sobie Pożegnanie Ansseta. Wiesz, zostało jeszcze wśród nas kilkoro, którzy pamiętają. Dzięki temu zachowujemy pokorę, ponieważ wiemy, do czego jest zdolny głos. I dzięki temu zachowam czystość.

- Dziękuję ci - powtórzył, a potem opuścił Wysoką Salę i zszedł po schodach do tych miejsc w Domu Pieśni, gdzie nikt więcej nie miał usłyszeć jego głosu.

Rozdział 5

Po kilkudniowej przerwie stary człowiek powrócił do Tęczowej Kuchni. Dzieci wpadły w zachwyty. Obawiały się, że tajemniczy starzec zniknął na dobre. Pilnie wypatrywały jakiejś wskazówki co do przyczyn zniknięcia. On jednak zachowywał się jakby nigdy nic. A po posiłku pomagał kucharce jak dawniej.

Teraz jednak stary człowiek nie zniknął po posiłkach. Pojawiał się na korytarzach, w Izbach, we Wspólnych Salach. Wykonywał prace należące zwykle do młodych Głuchych - sprzątał, zamiatał, słał łóżka, prał pościel. Wchodził w milczeniu, bez pukania, jak każdy Głuchy, lecz w przeciwieństwie do Głuchych nie ignorowano jego obecności. Oczywiście nikt z nim nie rozmawiał, lecz odprowadzano go wzrokiem, ukradkiem śledzono każde jego poruszenie, chociaż nie robił nic szczególnego. On sam był szczególny - ponieważ albo Dom Pieśni złamał tysiącletnią tradycję i pozwolił tu pracować komuś, kto nigdy nie śpiewał tutaj jako dziecko, albo stary człowiek był niegdyś śpiewakiem, a za jego obecną degradacją kryła się jakaś tajemnica.

Oczywiście wśród nauczycieli również krążyły plotki. Próbowali zaspokoić ciekawość, wkrótce jednak przekonali się, że Głusi i Ślepi pod żadnym pozorem nie chcą rozmawiać o starym człowieku. Rruk wyraźnie dała do zrozumienia, że nie zgadza się na żadne śledztwo. Więc plotkowali. Oczywiście imię Ansseta również wypłynęło razem z imionami innych śpiewaków, którzy nie wrócili albo nie znaleźli dla siebie miejsca w Domu Pieśni, lecz żadne z imion nie wydawało się prawdopodobne, a kandydaturę Ansseta szybko odrzucono. Ostatecznie kiedy ktoś był imperatorem, trudno sobie wyobrazić, że zamiata podłogi.

Tylko dwie osoby miały pewność oprócz Rruk, Głuchych i Ślepych.

Jedną był nowy mistrz pieśni Ller, który przez wiele lat prowadził poszukiwania, a po powrocie zastał w Domu Pieśni starego człowieka, cichego i wszędobylskiego jak duch. Rozpoznał go natychmiast - lata nie zatarły rysów twarzy, którą Ller zapamiętał w dzieciństwie. Bawił się pomysłem, żeby przyłapać gdzieś Ansseta samotnie, podejść do niego i powitać go z całą miłością i szacunkiem, jakimi go darzył. Potem jednak zmienił zdanie. Skoro Ansset milczał i ukrywał własną tożsamość w Domu Pieśni, widocznie miał ważne powody, więc dopóki Ller nie otrzyma zezwolenia, by naruszyć tę anonimowość i milczenie, powinien zachować spokój. Lecz za każdym razem, kiedy widział starego człowieka, powracały do niego wspomnienia dzieciństwa i nie mógł

opanować żalu na widok największego ze wszystkich śpiewaków, który upadł tak nisko.

Druga osoba, która rozpoznała Ansseta, nigdy przedtem go nie widziała, nigdy nie słyszała jego śpiewu, a jednak w sercu była równie pewna jak Ller. Nazywała się Fiimma. Znała legendy o Anssecie i uczyniła z niego swój ideał. Nie w sensie dorównania - nie zamierzała współzawodniczyć z tym dawno zmarłym Słowikiem. Marzyła jednak, żeby dotykać ludzkich serc, żeby pamiętano ją równie długo, wspomniano równie serdecznie jak Ansseta. Była za młoda, żeby marzyć o nieśmiertelności, wiedziała jednak o śmierci więcej niż większość dzieci w jej wieku. Widziała, jak zabito jej rodziców, kiedy miała niecałe dwa lata, i chociaż nigdy o tym nie mówiła, pamiętała wszystko wyraźnie. Nie miała przez to koszmarów; stosunkowo łatwo dźwigała ciężar wspomnień. Ale niczego nie zapomniała; często widziała przed sobą śmierć i rozumiała, że tylko przypadek ocalił ją przed złodziejami.

Dlatego marzyła, żeby żyć wiecznie w legendzie, jak Ans-set, i zadała sobie wiele trudu, żeby dowiedzieć się o nim wszystkiego, co tylko możliwe. Wypytywała nauczycieli, którzy znali go przed laty, o jego zachowanie, wyraz jego twarzy. Niewiele jej pomogli. Więc wyobraziła sobie resztę. Jak powinien wyglądać, mówić, chodzić człowiek taki jak Ansset? Dlaczego nie powrócił do Domu Pieśni? Czego pragnął w głębi serca?

Stopniowo, widując starego człowieka w Tęczowej Kuchni i słysząc plotki na jego temat, zaczęła się zastanawiać, czy on nie jest Anssetem. Początkowo spodobał jej się tylko oryginalny pomysł - nie wierzyła w to. Lecz w miarę jak mijały dni i tygodnie, nabierała większej pewności. Ansset, który został imperatorem, mógł wrócić do domu właśnie w ten sposób, milczący i nieznany. Kto wie, jakie przeszkody powstrzymały go od powrotu? Potem znikł na kilka dni i wrócił jako Głuchy, który mógł swobodnie wędrować po korytarzach Domu Pieśni. Podjęto decyzję, myślała Fiimma, niełatwą decyzję, dlatego stary człowiek nie odezwał się ani słowem, odkąd pozwolono mu zostać. Czy Ansset zgodziłby się na milczenie jako warunek pozostania?

Fiimma uważała, że tak.

Wreszcie nabrała takiej pewności, że przy kolacji w Tęczowej Kuchni umyślnie usiadła obok niego. Zwykle siadywał sam, ale jeśli zdziwił się jej towarzystwem, nie okazał tego, tylko dalej łamał chleb i wrzucał do gulaszu.

- Znam cię - szepnęła.

Nie odpowiedział i nie przestał łamać chleba.

- Jesteś Ansset, prawda?

Znowu nie pokazał po sobie, że ją usłyszał.

- Jeśli jesteś Anssetem - powiedziała - to dalej łam chleb. Jeśli nie jesteś Anssetem, odgryź kęs z bochenka.

Myślała, że postąpiła bardzo sprytnie, ale starzec po prostu wrzucił resztę chleba do gulaszu.

Potem jadł, całkowicie ignorując jej obecność. Kilka innych dzieci zauważyło jej zachowanie i komentowało to między sobą. Fiimma obawiała się, że siedząc obok starego złamała jakąś zasadę; z pewnością niczego nie osiągnęła, próbując go zmusić do rozmowy.

Nie mogła jednak dać za wygraną. Prosiła go:

- Anset, jeśli to ty, chcę, żebyś mnie uczył. Chcę się nauczyć wszystkich twoich pieśni.

Czy zawahał się i zgubił rytm? Czy na chwilę przestał jeść, żeby pomyśleć? Nie była pewna, ale wciąż miała nadzieję.

- Anset, ja się nauczę twoich pieśni! Musisz mnie uczyć! Potem, wyczerpawszy do końca zapas odwagi, zostawiła go i usiadła z innymi dziećmi, które koniecznie chciały wiedzieć, co powiedziała staremu człowiekowi i czy jej odpowiedział. Nie wyjawiała im niczego. Czuła, że starzec gniewałby się na nią, gdyby zdradziła komuś swoje przekonanie, że on jest Ansetem. Czy rzeczywiście jest Ansetem? Odepchnęła od siebie wątpliwości.

Następnego dnia stary człowiek nie zjawił się w Tęczowej Kuchni i więcej nie przychodził, dopóki Fiimma tam jadała.

Rozdział 6

Milczenie stało się nieznośne znacznie wcześniej, niż Ans-set się spodziewał. Może powróciły wspomnienia milczącego zamknięcia w pokojach Mikala, kiedy miał piętnaście lat. Może, podobnie jak wszyscy starzy ludzie, z wiekiem stał się gadatliwy i śluby milczenia ciążyły mu bardziej niż komuś młodemu. Tak czy owak zatęsknił za rozmową, więc po cichu poszedł do Rruk, uzyskał jej zezwolenie i wyruszył na swoją pierwszą przepustkę, jak je nazywał w myślach.

Na pierwszych kilku przepustkach nie opuszczał terenów Domu Pieśni. Nie musiał, ponieważ do Domu Pieśni należała ponad jedna trzecia jedyne go kontynentu planety. Tygodniami wędrował po lasach Doliny Pieśni, omijając wycieczki dzieci. Odnalazł jezioro otoczone pierścieniem gór, gdzie Esste po raz pierwszy powiedziała mu, że go kocha, po raz pierwszy pokazała mu prawdziwą potęgę Kontroli.

Ze zdziwieniem odkrył, że ścieżka zniknęła. Czy już nie zabierano żadnych dzieci do tego miejsca?

Na pewno zabierano -przez las wciąż prowadziły drogi dla ślizgaczy i trawa rosła tam niżej, wyraźny znak, że od czasu do czasu przyjeżdżają goście. Ale od podnóża wodospadu żadna ścieżka nie wspinała się na szczyt. Próbował przypomnieć sobie trasę wspinaczki; wreszcie, bardzo zmęczony, dotarł na górę i ujrzał jezioro.

Czas nie tknął tego miejsca. Jeśli drzewa były starsze, Ans-set tego nie zauważył. Jeśli woda zmieniła barwę, Ansset nie pamiętał, jak wyglądała przedtem. Ptaki wciąż sfruwały nad wodę i nurkowały po ryby; wiatr wciąż wygrywał nienatrętną melodię na liściach i szpilkach drzew.

Jestem stary, pomyślał Ansset leżąc nad wodą. Pamiętam odległą przeszłość znacznie lepiej, niż pamiętam dzień wczorajszy. Ponieważ kiedy zamykał oczy, widział Esste obok siebie, słyszał jej głos. Tutaj, w samotności odrzucił wszelką Kontrolę i pozwolił płynąć łzom pamięci; gorące słońce wysuszało łzy, które zbierały się w kącikach oczu. Ale płacz, nawet najdłuższy, nie przynosił ukojenia.

Więc Ansset zaśpiewał.

Po tak długim milczeniu jego głos brzmiał żałośnie. Byle Mruk spisałby się lepiej. Wiek wyczytniał sztuczki z tonacją, modulacja praktycznie nie istniała. Tylko surowy tembr starego głosu, nadużywanego w młodości.

Dawniej Ansset potrafił śpiewać z ptakami i wzbogacać ich pieśni. Teraz ptaki umilkły, kiedy zaśpiewał, potraktowały go jak intruza.

Wtedy zapłakał z całego serca i przysiągł, że nigdy już się tak nie upokorzy.

Ale zbyt długo obywatel się bez pieśni w pałacu i Domu Pieśni. Przez wiele lat nie śpiewał, żeby inni nie usłyszeli jego pustki, jego porażki. Tutaj, głęboko w lesie nie było nikogo i gdyby zaśpiewał źle, nie usłyszałby tego nikt inny. Więc jeszcze tego samego dnia, kiedy złożył przysięgę, złamał ją i ponownie zaśpiewał. Nie wypadło lepiej, ale tym razem poczuł się trochę różnie.

Jeśli mam tylko taki głos, pomyślał, zawsze to jakiś głos.

Nikt inny nie usłyszy więcej jego śpiewu, tego był pewien. Ale on usłyszy siebie i wyśpiewa wreszcie to, co tłumił w sobie zbyt długo. Pieśń była brzydka, nie brzmiała tak, jak chciał, ale spełniła swoje zadanie. Opróżniła jego nazbyt wypełnione wnętrze i w tych chrapliwych dźwiękach odnalazł pewną pociechę.

Na pierwszej przepustce poznał Dolinę Pieśni tak, jak niewielu ją znało, ponieważ nikt nie przyjeżdżał tutaj dla przyjemności, bez nadzoru. Lecz Dolina budziła zbyt wiele wspomnień i była zbyt samotna - lubił samotność, ale nie mógł długo sam wytrzymać.

Na drugiej przepustce odwiedził jeden z trzech azylów Domu Pieśni.

Nie mógł odwiedzić miejsca zwanego Ustroniem, na brzegach największego jeziora planety, ponieważ tam przyjeżdżali nauczyciele i mistrzowie z Domu Pieśni, kiedy potrzebowali spokoju do

pracy. Tam obowiązywałby go ślub milczenia.

Natomiast dwa pozostałe były dla niego otwarte.

Daleko na południu leżała Strażnica, wyspa piasku i skał, obmywana przez fale płytkiego morza. Odnaczała się groźnym pięknem, a kamienne miasto Strażnica, wzniesione na północnym krańcu, stanowiło miejsce wypoczynku, wysepkę zieleni wśród jałowego pustkowia. Dawniej Strażnica była fortecą, w czasach, kiedy Dom Pieśni był wioską, a światem wstrząsała wojna. Teraz tam odchodzili przegrani.

Co roku setki śpiewaków wyjeżdżały z Domu Pieśni, żeby służyć innym do piętnastego roku życia. Tylko kilku na dekadę zostawało Słowikami, ale śpiewaków również ceniono wysoko i wszystkich chętnie witano w domu po powrocie.

Niektórzy śpiewacy tak dobrze się adaptowali do nowego świata, że nie chcieli wracać do domu. Poszukiwacz wysłany po nich próbował ich namawiać przez kilka dni, ale jeśli namowy nie skutkowały, nie stosowano przymusu. Dom Pieśni płacił za ich edukację do dwudziestego drugiego roku życia, tak jak w przypadku Głuchych.

Niektórzy śpiewacy wracali do Domu Pieśni i szybko znajdowali radość w uczeniu, odnosili sukcesy jako nauczyciele i pozostawali w Domu Pieśni do końca życia, z wyjątkiem wyjazdów do Ustronia. Po pewnym czasie, jeśli się sprawdzili, zostawali Mistrzami Pieśni. I rządzili Domem Pieśni.

Istniały jednak inne przypadki. Nie wszyscy, którzy wracali na Tew, nadawali się na nauczycieli, więc trzeba było znaleźć dla nich miejsce. I nie wszyscy śpiewacy wytrzymywali do końca kontraktu. Niektórzy nie mogli znieść zewnętrznego świata, potrzebowali znajomych kamiennych ścian, odosobnienia, rygoru i rutyny. Niektórzy tracili zmysły. „Cena muzyki”, mówili zarządcy Domu Pieśni i troskliwie opiekowali się tymi, którzy zapłacili najwyższą cenę: zyskali głos, lecz postradali rozum.

Oni właśnie przyjeżdżali do Strażnicy i Anset mógł z nimi rozmawiać, ponieważ nigdy już nie wracali do Domu Pieśni.

Morze pomiędzy Pustynią Zmruż-Oko a wyspą Strażnicą było płytkie, rzadko ponad dwa metry głębokości, pełne ruchomych mielizn, więc prawie można było je przejść na piechotę, gdyby nie palące słońce i niepewne dno. Z tych względów podróż odbywała się w niewygodnej płaskodennej barce, pod osłoną baldachimu. Pilotował Anseta młody Głuchy, który spędzał tam trzy miesiące w roku, obsługując prom. Głuchy gadał jak najęty -rzadko zdarzali się goście - a w jego głosie Anset słyszał spokój tego miejsca. Chociaż ląd był pustynny, a woda płytka, istniało tutaj życie. Ryby poruszały się leniwie w wodzie. Ptaki wyławiały je i zjadały w powietrzu. Wielkie owady spacerowały po wodzie albo żyły tuż pod powierzchnią, zasysając powietrze z góry.

- Tutaj skupia się wszelkie życie - powiedział chłopiec. -Ryby nie mogą żyć pod wodą bez owadów, które żyją na powierzchni albo tuż pod powierzchnią. Ptaki nie mogą żyć bez łowienia ryb. A owady zjadają rośliny rozwijające się na powierzchni. Całe życie istnieje dzięki tej cienkiej warstwie wody, która styka się z powietrzem.

Chłopiec dużo się nauczył. Nie miał głosu, ale miał bystry umysł i serce, i znalazł tutaj miejsce dla siebie. Jeśli nie mógł żyć w wodzie, mógł żyć w powietrzu.

Powiedział nawet:

- Wiesz, Dom Pieśni nie może żyć bez wysyłania śpiewaków do zewnętrznego świata.

- A zewnętrzny świat, wszystkie zewnętrzne światy chyba nie mogą naprawdę żyć bez Domu Pieśni - odparł Anset.

Chłopiec parsknął śmiechem.

- Och, myślę, że muzyka jest tylko luksusem, tak uważam. Piękna, ale nie zaspokaja żadnej potrzeby.

Anset zachował swój sprzeciw dla siebie. I nawet zastanowił się przelotnie, czy chłopiec nie ma racji.

W Strażnicy mieszkało tylko siedem osób, więc dla Anseta nie zabrakło miejsca. Troje z nich było Ślepcami, więc tylko czworo było obłąkanych.

Jedną z szalonych była dziewczyna, nie więcej niż dwudziestoletnia, która codziennie schodziła z chłodnej wieży nad morze, gdzie leżała naga, do połowy zanurzona w wodzie. Jej ciało poruszało się wraz z przyływem. A kiedy zrywał się wiatr, śpiewała piękną, żalostną melodię, która nigdy się nie powtarzała, lecz wydawała się zawsze niezmienna - pieśń samotności, umysłu tak spokojnego i tak pozornie pustego jak morze. Kiedy wiatr ustawał, ona także milkła, więc przez większość czasu leżała w milczeniu. Nie rozmawiała z nikim i zdawała się nie zauważać ludzi, chociaż zjadała, co przed nią postawiono, i posłusznie wykonywała nieliczne polecenia.

Następnym szaleńcem był stary człowiek, który spędził w Strażnicy prawie całe życie. Odbывał długie wycieczki poza miasto i wydawał się zupełnie normalny. „Wyleczono mnie dawno temu”, mówił, „ale wolałem tu zostać”. Skórę miał brązową od słońca. Zbierał na brzegu skorupiaki, stanowiące ważną część jadłospisu Strażnicy. Opowiadał w kółko te same historie i jeśli mu nie przerywano, powtarzał je tej samej osobie przez cały dzień i pół nocy. Anset pewnego razu pozwolił mu się wygadać. Stary mówił i mówił, aż wreszcie zasnął. Nie zmienił ani jednej historii. Anset zapytał jednego ze Ślepców. „Nie”, odparł Ślepiec, „żadna z tych historii nie jest prawdziwa”.

Pozostałą dwójkę szaleńców trzymano zamkniętych w pokojach, gdzie widywali ich tylko Ślepcy, którzy się nimi opiekowali. Czasami Anset słyszał ich śpiew, ale zawsze zbyt odległy, żeby słyszeć wyraźnie.

Anset odwiedził Strażnicę tylko raz; nie mógł tam wytrzymać. Ci ludzie, pomyślał, zapłacili wyższą cenę niż ja za swoje pieśni, a jednak otrzymali mniej. Samotny na skalistych wzgórzach za wieżami miasta, zaśpiewał i rozpoznał w swojej pieśni nowe echa, nowe emocje.

I zaśpiewał razem z dziewczyną, która leżała częściowo zanurzona w morzu, a ona nie umilkła na

dźwięk jego głosu. Raz nawet spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a on pomyślał, że jego głos chyba nie brzmi tak okropnie. Zaśpiewał jej pieśń miłości, a następnego dnia opuścił Strażnicę.

Kolejnym azylem, znacznie większym od pozostałych, był Przylądek. Tutaj mieszkała większość Ślepców, śpiewaków, którzy po powrocie odkryli, że właściwie nie lubią uczyć, że nie nadają się na nauczycieli. Przylądek był miastem ludzi, którzy nieustannie śpiewali, ale spędzali czas na innych zajęciach niż muzyka.

Przylądek również wznosił się na brzegu morza, wielki kamienny budynek (ponieważ dzieci Domu Pieśni zawsze tęskniły do kamienia), górujący nad wzburzonym, lodowatym morzem. Nie było tam dzieci, przynajmniej w sensie wieku, lecz dziecięce gry i zabawy nieustannie odbywały się w lasach, na polach i w zimnych wodach zatoki. Jak wyjaśniła Rruk Ansetowi, zanim pojechał na Przylądek: „Oni poświęcili większość swojego dzieciństwa, śpiewając dla przyjemności innych ludzi. Teraz nareszcie mogą zachowywać się jak dzieci”.

Ale mieszkańcy Przylądka nie tylko się bawili. Mieli również ogromne biblioteki i nauczycieli, którzy przyswajali sobie wiedzę o wszechświecie i przekazywali młodszym Ślepcom to, czego się dowiedzieli, aż wreszcie umierali, zwykle zadowoleni z życia. Oczywiście sami nigdy nie nazywali siebie Ślepcami - tutaj byli po prostu ludźmi, prowadzili normalny tryb życia. Tych, którzy wykazywali wyjątkowe zdolności administracyjne i organizacyjne, sprowadzano do Domu Pieśni; reszta była szczęśliwa na Przylądku.

Lecz Anset nie czuł się szczęśliwy. Miasto było pięknie położone, ludzie uprzejmi, ale panował tu zbyt wielki tłok; wprawdzie nie zabroniono mu rozmawiać z mieszkańcami, zorientował się jednak, że dziwnie na niego patrzą, ponieważ nigdy nie śpiewał. Wkrótce odkryli, kim jest - jego tożsamość nie była tajemnicą wśród Ślepców - i chociaż traktowali go z szacunkiem, nie miał szans na nawiązanie przyjaźni. Dla większości z nich jego splątane życie stanowiło niepojętą zagadkę, dlatego woleli go unikać.

Nic więc dziwnego, że chociaż Anset odwiedzał Przylądek kilka razy, zwykle wracał do Domu Pieśni już po tygodniu. Rozmowy ze Ślepcami i samotne śpiewanie w lesie lub na pustyni nie mogły mu zastąpić dziecięcych pieśni.

Po pewnym czasie pojawił się następny powód do powrotu. Anset nigdy nie zamierzał złamać ślubu milczenia; wstyd mu było, że jednak nie zasłużył na zaufanie Rruk, że nie potrafił zachować Kontroli. Ale wiedział, że niektórych obietnic nie można dotrzymać. A niektórych nie należy dotrzymywać. Tak więc pewnego dnia, w cichym pokoiku w Domu Pieśni, gdzie niegdyś Esste nauczyła go sięgać głosem do wszystkich kątów, zaśpiewał.

Gdyby Ller nie był nauczycielem Fiimmy, mógł niczego nie zauważyć. A gdyby Fiimma była gorszą śpiewaczką, Ller nie przejąłby się tak bardzo, żeby złożyć raport. Ale Fiimma wyraźnie zapowiadała się na Słowika. A zmianę w jej pieśniach, niezrozumiałą dla innego Mistrza Pieśni, Ller łatwo mógł wyjaśnić. Ponieważ wiedział o obecności Ansseta w Domu Pieśni. I rozpoznał jego muzykę w dziwnych nowych pieśniach Fiimmy.

Początkowo myślał, że to chwilowe potknięcie, że Fiimma przypadkiem podsłuchała gdzieś Ansseta i włączyła jego głos do swojej muzyki. Lecz obce tematy uparcie powracały. Fiimma śpiewała pieśni wymagające doświadczenia, jakiego nie posiadała. Zawsze śpiewała o śmierci, ale teraz śpiewała o zabijaniu; śpiewała o namiętności, jakiej nigdy nie przeżywała; jej pieśni mówiły o bólu i cierpieniu, jakich nie mogła zaznać, nie przez kilka krótkich lat swojego życia.

- Fiimmo - powiedział Ller. - Ja wiem.

Fiimma posiadała Kontrolę. Nie okazała ani śladu zdziwienia, ani odrobiny strachu, który na pewno czuła.

- Czy on ci powiedział, że złożył śluby milczenia? Przytaknęła.

- Chodź ze mną.

Ller zaprowadził ją do Wysokiej Sali, gdzie czekała Rruk. Rruk wiele razy słyszała śpiew Fiimmy - dziewczynka od początku dobrze się zapowiadała.

- Chciałbym, żebyś posłuchała śpiewu Fiimmy - zwrócił się Ller do Rruk.

Ale Fiimma nie chciała śpiewać.

- Więc sam muszę ci powiedzieć - oświadczył Ller. - Wiem, że Ansset jest tutaj. Myślałem, że jestem jedynym śpiewakiem, który wie. Ale Fiimma słyszała jego śpiew. Zniekształcił jej głos.

- Dodał piękna mojemu głosowi - odezwała się Fiimma.

- Ona śpiewa o rzeczach, o jakich nie powinna wiedzieć. Rruk spojrzała na dziewczynkę, ale mówiła do Llera.

- Ller, mój przyjacielu, Ansset często śpiewał o rzeczach, o jakich nie wiedział. Czerpał tę wiedzę z głosów ludzi, którzy do niego mówili, jak żaden śpiewak przedtem.

- Ale Fiimma nigdy nie przejawiała takich uzdolnień. Nie

ma żadnych wątpliwości, Rruk. On nie tylko śpiewał w Domu Pieśni, ale także uczył Fiimmę. Nie wiem, jakie warunki narzuciłaś Anssetowi, ale uważam, że powinnaś to wiedzieć. Jej głos został skażony.

I wtedy Fiimma zaśpiewała, rozwiewając wszelkie wątpliwości co do wpływu Ansseta. Widocznie kiedy przedtem śpiewała dla Llera, ukrywała rzeczy, których nauczyła się od Ansseta. Dopiero teraz jej głos zabrzmiał pełną siłą; całkowicie różnił się od głosu, który Fiimma posiadała zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Pieśń była zbyt potężna jak na możliwości dziecka. Fiimma poznała uczucia, których nigdy nie powinna doświadczać. Nauczyła się sztuczek, subtelnych manipulacji i zniekształceń głosu, które budziły trwożne zdumienie, które nieodparcie przykuwały uwagę, które o mało nie przełamały Kontroli Rruk i Llera. Pieśń była piękna, ale straszna, zupełnie jakby nie płynęła z ust dziecka.

- Co on ci zrobił? - zapytała Rruk, kiedy pieśń dobiegła końca.

- Nauczył mnie mojego najpiękniejszego głosu - odparła Fiimma. - Słyszałaś? Czy to nie było piękne?

Rruk nie odpowiedziała. Wezwała tylko głównego nadzorcę i kazała mu znaleźć Ansseta.

Rozdział 8

- Zaufałam ci - powiedziała Rruk do Ansseta. Ansset nie odpowiadał.

- Uczyłeś Fiimmę. Śpiewałeś jej. I świadomie nauczyłeś ją rzeczy, których nie powinna poznać.

- Tak - potwierdził cicho.

- Szkoda jest nieodwracalna. Ona już nigdy nie odzyska własnego głosu. Utraciła czystość. Była naszym najlepszym głosem od lat.

- Wciąż taka jest.

- Ona już nie jest sobą. Ansset, jak mogłeś? Dlaczego to zrobiłeś?

Milczał przez chwilę, potem podjął decyzję.

- Ona wiedziała, kim jestem - powiedział.

- Nie mogła wiedzieć.

- Nikt jej nie mówił. Po prostu wiedziała. Kiedy to zauważyłem, trzymałem się od niej jak najdalej. Przez dwa lata kryłem się na jej widok. Ponieważ ona wiedziała.

- Dlaczego nie mogłeś dalej jej unikać?

- Ona mi nie pozwoliła. Chodziła za mną. Chciała, żebym ją uczył. Odkąd tu przyjechała, ciągle o mnie słyszała i chciała poznać mój głos. Więc pewnego dnia poszła za mną do pokoju, którego nikt nie używa, gdzie chodzę czasami z powodu... z powodu wspomnień. I zaczęła mnie błagać.

Rruk wstała i odsunęła się od niego.

- Powiedz mi, w jaki sposób cię zmusiła. Powiedz mi, dlaczego po prostu nie wyszedłeś.

- Chciałem. Ale ty nie rozumiesz, Rruk. Ona chciała usłyszeć mój głos. Chciała usłyszeć, jak śpiewam.

- Myślałam, że nie możesz śpiewać.

- Nie mogę. I tak jej powiedziałem. Złamałem przysięgę i powiedziałem do niej: „Nie mam żadnych pieśni. Straciłem je przed laty”.

I kiedy to powiedział, Rruk zrozumiała. Ponieważ jego słowa były pieśnią i to wystarczyło, żeby przełamać wszelkie bariery.

- Zrozum, ona to zaśpiewała - ciągnął Ansset. - Wzięła moje słowa i uczucia i zaśpiewała mi je z powrotem. Pięknym głosem. Wzięła mój nieszczęsny głos i zmieniła go w pieśń. Pieśń, jaką sam bym zaśpiewał, gdybym mógł. Wtedy nie mogłem się powstrzymać. Nie chciałem się powstrzymać.

Rruk odwróciła się do niego twarzą. Zachowała Kontrolę, ale on wiedział - albo zdawało mu się, że wie - co ona myśli.

- Rruk, moja przyjaciółko - podjął - codziennie słyszysz setkę dzieci śpiewających swoje piosenki. Dotknęłaś ich wszystkich, śpiewałaś dla nich wszystkich w wielkiej sali i wiesz, że kiedy śpiewacy odjadą i powrócą, przez wszystkie nadchodzące lata twój głos zachowa się wśród ich głosów.

Ale nie mój! Nigdy! Och, może moje dziecinne piosenki, zanim wyjechałem. Ale wtedy jeszcze nie żyłem. Jeszcze się nie nauczyłem. Rruk, znam rzeczy, które nie powinny być zapomniane. Ale nie mogę ich nikomu przekazać, tylko w pieśni, i tylko ktoś, kto sam śpiewa, może zrozumieć mój głos. Wiesz, o co mi chodzi?

Nie mogę mieć dzieci. W Susquehannie mieszkałem z rodziną, która mnie kochała, ale to nie były

moje dzieci. Nie mogłem im dać tego, co tkwiło we mnie bardzo głęboko, ponieważ oni nie słyszeli pieśni. A potem przyjechałem tutaj, gdzie mogłem mówić do wszystkich tak, żeby mnie rozumieli, ale musiałem milczeć. W porządku, milczenie było moją ceną, wiem, że trzeba płacić za szczęście, i płaciłem chętnie.

Ale Fiimma. Fiimma jest moim dzieckiem.

Rruk potrząsnęła głową i zaśpiewała mu cicho, że żałuje, ale będzie musiał odejść. Złamał dane słowo i skrzywdził dziecko, więc musi odejść. Co należy zrobić z dzieckiem, Rruk zdecyduje później.

Przez chwilę zdawało się, że Ansset przyjmie wyrok w milczeniu. Wstał i ruszył do drzwi. Ale zamiast wyjść, odwrócił się i krzyknął na nią. I krzyk stał się pieśnią. Opowiadał, jaką radość sprawiło mu znalezienie Fiimmy, chociaż wcale jej nie szukał. Opowiadał, jaką mękę sprawiała mu świadomość, że jego pieśni umarły na zawsze, że jego głos, nawet poprawiony podczas samotnych ćwiczeń w lasach i na pustkowiach, jest nieodwracalnie zniszczony, niezdolny wyrazić rzeczy ukryte w jego wnętrzu.

- Brzmi słabo i brzydko, Rruk, ale ona słucha. Ona rozumie. Tłumaczy to na swój dziecienny głos i wychodzi piękno.

- I brzydota. Są w tobie brzydkie rzeczy, Ansset.

- Tak! I tutaj też są brzydkie rzeczy. Niektóre żyją, oddychają i żałośnie próbują śpiewać w Strażnicy. Niektóre bawią się jak zabłąkane dzieci na Przylądku i udają, że przez resztę życia mają coś ważnego do roboty. Ale wiedzą, że to kłamstwo! Wiedzą, że ich życie dobiegło kresu, kiedy skończyli piętnaście lat, wrócili do domu i nie mogli zostać nauczycielami. Przeżywają swoje życie w ciągu piętnastu lat, a cała reszta, następne sto lat jest niczym! To ma być piękne?

- Ty żyłeś dłużej niż piętnaście lat - przypomniała mu Rruk.

- Tak. Doświadczyłem wszystkiego. I przetrwałem. Poznałem metody przetrwania, Rruk. Myślisz, że ktoś tak kruchy i utalentowany jak Fiimma wytrzymałby długo w zewnętrznym świecie? Myślisz, że ona wytrzymałaby to, przez co ja przeszedłem?

- Nie.

- Teraz wytrzyma. Ponieważ teraz ona zna moje sposoby. Wie, jak zachować nadzieję, kiedy straciło się już wszystko. Wie, ponieważ ja ją tego nauczyłem, i to właśnie pokazuje w swoich pieśniach. Ta wiedza jest brutalna i surowa, ale w niej staje się piękna. Myślisz, że zaszkodzi jej pieśniom? Zmienia się, ale publiczność na zewnątrz... wiem, czego oni chcą. Oni chcą jej. Takiej, jaka jest teraz. O wiele bardziej, niż chcieliby jej przedtem.

- Nauczyłeś się przemawiać w Susquehannie - zauważyła Rruk.

Roześmiał się i znowu ruszył do drzwi.

- Ktoś musi wygłaszać mowy.

- Dobrze to robisz.

- Rruk - powiedział, wciąż odwrócony do niej plecami. -Gdyby chodziło o kogoś innego, nie o Fiimmę. Gdyby nie była tak doskonałą śpiewaczką. Gdyby tak bardzo nie pragnęła mojego głosu. Nigdy nie złamałbym danego ci słowa.

Rruk podeszła do Ansseta, stojącego przy drzwiach. Dotknęła jego ramienia, przesunęła palcami po jego plecach. Odwrócił się do niej, a ona wzięła jego twarz w dłonie, przyciągnęła bliżej i pocałowała w oczy i usta.

- Kochałam cię - powiedziała - przez całe życie. I zapłakała.

Rozdział 9

Wiadomość, roznoszona przez Głuchych, szybko rozeszła się po Domu Pieśni. Dzieci miały wrócić do Wspólnych Sal i Izb, gdzie Ślepy będą się nimi opiekować i zabierać na posiłki w razie potrzeby. Wszyscy nauczyciele i wychowawcy, wszyscy mistrzowie, starsi mistrzowie, Mistrzowie Pieśni i wszyscy poszukiwacze przebywający w domu - wszyscy mieli stawić się w wielkiej sali, ponieważ Mistrzynie Pieśni z Wysokiej Sali pragnie do nich przemówić.

Nie śpiewać. Mówić.

Więc przyszli, zaniepokojeni, wypytujac na głos i po cichu, co się dzieje.

Rruk stanęła przed nimi; znowu panowała nad sobą, więc nikt nie przypuszczał, że niedawno straciła Kontrolę. Za nią na kamiennym podeście stał Ansset, stary człowiek. Spośród nauczycieli tylko Ller go rozpoznał i zdziwił się - przecież tego starca należało usunąć po cichu, a nie przyprowadzać na ogólne zebranie. A jednak Ller poczuł dreszcz nadziei. Może Słowik Mikala znowu zaśpiewa. Absurdalne życzenie - słyszał przecież, jak straszliwie jego pieśni zmieniły głos Fiimmy. Ale wciąż miał nadzieję. Ponieważ znał głos Ansseta, a kto raz go usłyszał, ten zawsze za nim tęsknił.

Rruk mówiła wyraźnie, ale nie śpiewała. Tych słów nie chciała powierzyć pieśni.

- W taki sposób zostałam Mistrzynią Pieśni z Wysokiej Sali - przypomniała zebranym. - Nikt o mnie nie pomyślał oprócz Onna, który sam powinien był zająć to miejsce. Lecz przypadek kształtuje Dom Pieśni. Przed laty wprowadzono zwyczaj, że zdajemy się na przypadek, kiedy wybieramy zarządcę Domu Pieśni, który akurat był gotowy w chwili śmierci poprzedniego Mistrza Pieśni z Wysokiej Sali. Przypadek powołał mnie na to stanowisko, gdzie moim obowiązkiem jest strzec bezpieczeństwa Domu Pieśni.

- Lecz chodzi nie tylko o bezpieczeństwo. Ściany Domu Pieśni nie po to zbudowano z kamienia, żeby uczyniły nas miękkimi. Zbudowano je z kamienia, żeby uczyniły nas silnymi. I czasami coś musi się zmienić. Czasami coś musi się zdarzyć, nawet jeśli można temu zapobiec. Czasami musimy wpuścić coś nowego do Domu Pieśni.

Dopiero wtedy Ller zauważył Fiimmę, siedzącą w odległym kącie, jedyną uczennicę na sali.

- Coś nowego się zdarzyło - oznajmiła Rruk i skinęła na dziewczynę, która czekała w kąciku. Wydawała się przerażona, nie dlatego, że okazywała strach, ale ponieważ nie okazywała niczego, kiedy powoli wstała i weszła na scenę.

- Śpiewaj - rozkazała Rruk. I Fiimma zaśpiewała.

A kiedy pieśń ucichła, nauczyciele byli poruszeni. Nie mogli się powstrzymać. Zaśpiewali dla niej odpowiedź. Gdyż zamiast dziecięcej niewinności i prostoty, zamiast zwykłej wirtuozerii, pieśń Fiimmy sięgnęła głębin, jakich większość słuchaczy nigdy nie poznała. Wydarła z nich uczucia, jakich nigdy sami w sobie nie odkryli. Fiimma śpiewała tak, jakby była starsza niż Ziemia, jakby cały ból tysiącleci ludzkiej historii przetoczył się po niej i zostawił na niej blizny, lecz pozostawił jej także mądrość i nadzieję.

Więc zaśpiewali jej to, czego nie mogli utrzymać w sobie; zaśpiewali swój zachwyt, swój podziw, swoją wdzięczność; przede wszystkim zaśpiewali swoją własną nadzieję, podszyconą przez jej pieśń, chociaż wcale nie wiedzieli, że potrzebują nadziei; wcale nie wiedzieli, że wciąż rozpaczają.

Wreszcie ich pieśni dobiegły końca i znowu zapadła cisza. Rruk odesłała Fiimmę z powrotem do kąta. Dziewczynka raz potknęła się po drodze - zabrakło jej sił. Ller wiedział, ile ją kosztowała ta pieśń. Widocznie Fiimma doszła do wniosku, że los Ansseta spoczywa w jej rękach, dlatego zaśpiewała lepiej, niż sama się spodziewała, z przywiązania do Ansseta, z miłości do tego starego, starego człowieka.

- Śpiewacy - przemówiła ponownie Rruk, jej nieśpiewny głos szorstko zabrzmiał w ciszy. - Sami wyraźnie słyszeliście, że coś się stało temu dziecku. Doświadczyła czegoś, czego dzieci z Domu Pieśni nigdy nie miały doświadczyć. Ale nie wiem. Czy to jej zaszkodziło. Czy to jej pomogło. Czym była jej pieśń? A to, co ją zmieniło, czy to się należy nam wszystkim i wszystkim dzieciom?

Ller milczał. Wiedział, jak ważne jest, żeby dziecko odnalazło swój własny głos. Lecz głos Fiimmy, kiedy śpiewała, wciąż był jej własnym głosem. Nie głosem dziecka sprzed kilku miesięcy. Ale też nie głosem Ansseta. Wciąż jej własny głos; lecz ciemniejszy, bogatszy. Ale nie czarny. Bo chociaż ciemność w jej głosie pogłębiła się od nauk Ansseta, jasność stała się jaśniejsza.

Nikt nie odpowiadał. Nie byli przygotowani - ani na pieśń Fiimmy, ani na dylemat, który postawiła przed nimi Rruk. Zbyt mało wiedzieli. Dziwna moc pieśni Fiimmy wyraźnie płynęła z cierpienia, lecz głos Rruk nie zapowiadał dla nich żadnych cierpień w przyszłości. Nawet kiedy mówiła zamiast śpiewać, wszyscy rozumieli dostatecznie wyraźnie, że sama obawia się rozwiązania, które wybrała. Więc zachowali milczenie.

- Nieładnie postępujecie - skarciła ich Rruk. - Każecie mi zdecydować. Więc jeśli podejmę złą decyzję, wina spadnie wyłącznie na mnie.

Wtedy Ller wstał i przemówił, ponieważ nie mógł jej zostawić samej.

- Jestem nauczycielem Fiimmy - wyjaśnił, chociaż wszyscy już to wiedzieli. - Powinienem być zazdrosny, że jej pieśń zmienił ktoś inny. Powinienem się złościć, że moja praca z nią poszła na marne. Ale nie jestem zły ani zazdrosny. Każde z was mnie zrozumie. Gdybym przyszedł do was i powiedział, że znam sposób, żeby dwukrotnie zwiększyć skalę głosu waszych dzieci, czy nie przyjęlibyście propozycji? Gdybym przyszedł do was i powiedział, że potrafię sprawić, żeby wasze dzieci śpiewały dwa razy głośniej, a jednak jeszcze bardziej miękko niż teraz, czy nie skorzystalibyście z okazji? Wszyscy wiecie, że najważniejsze jest uczucie zawarte w pieśni. To, co się stało z Fiimmą, zwiększyło skalę jej emocji nie dwukrotnie, lecz tysiącrotnie. Zmieniło jej pieśni. Sam wiem najlepiej, jak bardzo się zmieniły, i nie wszystkie zmiany są szczęśliwe. Ale czy istnieje cokolwiek, czego to dziecko nie potrafi zaśpiewać? Czy istnieje cokolwiek, czego to dziecko nie potrafi wytrzymać i przetrwać? Zdaję sobie sprawę z zagrożeń wynikających z propozycji Rruk, ale zagrożenia stanowią cenę. A za tę cenę możemy zdobyć potęgę, jakiej nigdy nie mieliśmy.

Pod koniec swojej przemowy Ller śpiewał, a kiedy zakończył pieśń, rozległy się liczne pomruki aprobaty, chociaż wyraźnie zabarwionej strachem. To jednak wystarczyło. Rruk rozłożyła ramiona i krzyknęła:

- Dziękuję wam, że stanęliście przy mnie!

Potem wysłała ich, żeby przyprowadzili swoje dzieci do wielkiej sali.

Rozdział 10

Ansset zaśpiewał dla nich.

Początkowo nie rozumieli, dlaczego ich sprowadzono, żeby wysłuchali tego starca. Nie pożąдали dźwięku jego głosu tak jak Fiimma. Dla nich brzmiał szorstko. Fałszywie. Zbyt słabo. Pieśń była surowa, nie wykończona.

Lecz po chwili, po godzinie zaczęli rozumieć. A zrozumiawszy, poczuli. Surowe melodie stanowiły jedynie intencje - słuchacze zaczęli odbierać treści, które on chciał im przekazać. Zaczęli rozumieć historie opowiadane jego głosem i odczuwali dokładnie to, co on.

Zaśpiewał im swoje życie. Zaśpiewał od początku, swoje porwanie, swoje życie w Domu Pieśni, swoje milczenie i mękę, które wreszcie zostały przełamane i uleczone przez Esste podczas ich wspólnej próby w Wysokiej Sali. Zaśpiewał im o Mikalu. Zaśpiewał im pieśni o swoim porwaniu, o zabijaniu i o żałobie po śmierci Mikala. Zaśpiewał im o Riktorsie Ashenie i zaśpiewał im swoją rozpacz, kiedy Dom Pieśni nie chciał go przyjąć. Zaśpiewał im o Kyaren, która ofiarowała mu przyjaźń, kiedy najbardziej tego potrzebował; zaśpiewał im o rządzeniu Ziemią. A kiedy ponownie przeżywał każde wydarzenie, czuł prawie to samo co wtedy, w przeszłości. I ponieważ przeżywał wszystko tak mocno, publiczność równie mocno to przeżywała, bo chociaż Anset stracił głos, zyskał jeszcze większą moc i potrafił, pomimo swojej słabości, dotykać ludzkich serc jak żaden inny śpiewak.

A kiedy zaśpiewał o swojej miłości do Josifa i o śmierci Josifa, kiedy zaśpiewał o straszliwej pieśni, która zniszczyła umysł Riktorsa i zabiła Szczura, słuchacze nie mogli tego znieść. Na całej sali załamała się Kontrola.

Pokonał ich nie tylko głos Ansseta, ale także wyczerpanie. Anset nie śpiewał szybko, ponieważ niektóre pieśni wymagają czasu. Dopiero czwartego dnia śpiewu, kiedy jego głos często załamywał się ze zmęczenia, a czasami opadał do szeptu, nie mogąc utrzymać melodii - dopiero wtedy doprowadził ich na skraj szaleństwa, gdzie sam przebywał.

Przez jedną okropną godzinę Ller i Rruk bali się, że popełniono błąd, że słuchacze nie wytrzymają tego, co Anset z nimi robi, że otrzymali cios, po którym Dom Pieśni nigdy się nie podźwignie.

Lecz Anset śpiewał dalej. Zaśpiewał uzdrawiający wpływ pieśni Esste; zaśpiewał łagodną miłość Kyaren, majora i ich rodziny; zaśpiewał o pogodzeniu z Riktorem; zaśpiewał o latach służenia imperium i jak wreszcie pokochał wszystkich, których napotkał w życiu.

I zaśpiewał o powrocie do domu.

Pod koniec szóstego dnia jego głos ucichł i praca dobiegła końca.

Skutki dały się odczuć dopiero po pewnym czasie. Początkowo wszystkie pieśni we wszystkich Wspólnych Salach i Komnatach brzmiały gorzej; wszystkie dzieci uginały się pod ciężarem nowego daru. Lecz po kilku dniach niektóre dzieci zaczęły wplatać wątki z życia Ansseta do swoich pieśni. Po kilku tygodniach wszystkie wchłonęły ten przekaz w mniejszym lub większym stopniu. Nauczyciele również skorzystali z tego doświadczenia i wszystkie melodie w salach Domu Pieśni nabrały nowej głębi.

Tamtego roku nawet głosy śpiewaków, którzy wyjeżdżali z Domu Pieśni, brzmiały jak głosy Słowików. A Słowiki śpiewały tak pięknie, tak potężnie, że w całym imperium mówiono: „Coś się stało z Domem Pieśni”. Ludzie, którzy słyszeli śpiew Ansseta, kiedy jeszcze był dzieckiem w pałacu, czasami przypominali sobie, gdzie dawniej słuchali takich pieśni. „Oni śpiewają jak Słowik Mikala”, powiadali. „Nigdy nie myślałem, że znowu to usłyszę, ale oni śpiewają jak Słowik Mikala”.

Rozdział 11

Kiedy Ansset zaśpiewał swoje życie dzieciom z Domu Pieśni, poczuł się tak, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. Poszedł razem z Rruk do Wysokiej Sali i próbował jej wytłumaczyć, co czuje.

- Nie wiedziałem, że to właśnie chciałem zrobić. Ale po to wróciłem do domu.

- Wiem - powiedziała Rruk.

Teraz już nie przejmował się Kontrolą. Rruk widziała w nim wszystko, całe jego życie, kiedy odsłonił się do końca na scenie w wielkiej sali. Teraz nie miał już żadnych tajemnic. Więc przez godzinę płakał z ulgi, a potem siedział w milczeniu obok Rruk przez następną godzinę, a potem:

- Co chcesz teraz robić? - zapytała Rruk. - Nic już cię nie zmusza do milczenia. Możesz tutaj mieszkać, jeśli chcesz. Możesz robić wszystko, czego zapragniesz.

Ansset namyślał się, ale niezbyt długo.

- Nie - powiedział. - Zrobiłem tutaj wszystko, po co przyjechałem.

- Och - mruknęła. - Ale co ci jeszcze zostało? Dokąd pójdziesz?

- Donikąd - odparł. A potem: - Czy wykonałem Pracę?

- Tak - odpowiedziała wiedząc, że tym jednym słowem pozwoliła mu umrzeć.

- Czy wykonałem Pracę godną tego pokoju? - zapytał.

I chociaż nikt przedtem nie dostąpił takiego wyróżnienia, Rruk znowu odpowiedziała: - Tak.

- Teraz? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała i kiedy wychodziła z pokoju, on

otwierał wszystkie okiennice i wpuszczał do środka chłód późnej jesieni. Tylko Mistrzom Pieśni z Wysokiej Sali pozwalano wybierać porę zakończenia pracy, aż do dzisiaj. Ale to absurd, pomyślała Rruk, żeby odmawiać największemu Słowikowi prawa do śmierci przyznawanego innym, znacznie mniej zasługującym na ten zaszczyt.

Zanim przekroczyła próg, przemówił do niej.

- Rruk - powiedział. Obejrzała się na niego.

- Ty pierwsza dałaś mi miłość - powiedział - i ostatnia.

- Oni wszyscy cię kochają - oświadczyła, nie próbując nawet powstrzymać łez.

- Może - odparł. - Myślałem, że umrę i zniknę z wszechświata, Rruk. Ale dzięki tobie oni wszyscy są moimi dziećmi.

Uśmiechnął się do niej, a ona z wysiłkiem odwzajemniła uśmiech, podbiegła do niego i objęła go ostatni raz, jakby oboje wciąż byli dziećmi, a nie starą kobietą i starym mężczyzną, którzy znali się zbyt dobrze, a jednak prawie się nie znali. Potem Rruk odwróciła się i wyszła, i zamknęła za sobą drzwi. Trzy dni później zimno i głód dokonały swego dzieła. Anset tak bardzo chciał odejść, że nie zawahał się ani na chwilę, nawet w ostatnich krytycznych momentach nie próbował szukać ciepła pod kocem. Umarł nagi na kamiennej podłodze i Rruk pomyślała później, że nigdy jeszcze nie widziała kogoś leżącego tak wygodnie, pomimo twardych kamieni, pomimo wiatru smagającego bezlitośnie całe ciało.

Pogrzeb opóźniono ze względu na przyjazd imperatora. Rodzice Efraima, Kyaren i major, przyjechali pierwsi. Kyaren nie płakała, chociaż prawie się załamała, kiedy wyznała Rruk w zaufaniu:

- Wiedziałam, że on umrze, ale nigdy nie myślałam, że odejdzie tak szybko, że już nigdy go nie zobaczę.

Łamiąc kolejny obyczaj - chociaż gwałcenie tabu stało się powszechne w Domu Pieśni - Efraim, Kyaren i major wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych i słuchali pieśni; i nikt ich nie potępiał, kiedy szlochali niepowstrzymanie przy żałobnej pieśni Fimmy.

Ze wszystkich mieszkańców Domu Pieśni tylko Rruk była obecna przy pochówku, oczywiście oprócz Głuchych, którzy wykonywali pracę grabarzy.

- Nie jest to widok sprzyjający pieśniom - powiedziała do Kyaren, stojącej obok niej nad grobem - kiedy kogoś wkładają do ziemi. Ziemia zamyka się nad nim tak ostatecznie.

Dwie kobiety, ostatnie dwie osoby, które kochały Anseta w dzieciństwie, stały obejmując się w pół, kiedy Głusi wrzucali ziemię do grobu.

- Wiesz, on nie umarł - powiedziała Kyaren. - Ludzie nigdy o nim nie zapomną. Zawsze będą go pamiętać.

Ale Rruk wiedziała, że każde wspomnienie, nawet najważniejsze, kiedyś zblaknie i w końcu Anset stanie się tylko imieniem, zagubionym w książkach studiowanych przez pedantów. Może jego imię przetrwa w podaniach ludowych, ale przekazy zniekształcą do niepoznaki historię jego życia - opowieści o Słowiku Mikala już teraz znacznie przerastały rzeczywistość: wspanialsze, szlachetniejsze, a więc mniej bolesne.

Lecz część Anseta przeżyje. Choć nikt nie rozpozna w niej Anseta. Bo kiedy śpiewacy i Słowiki opuszczą Tew i rozproszą się po galaktyce, zabiorą ze sobą to, czego nauczyli się z głosów mieszkańców Domu Pieśni. A teraz potężny nurt w tych głosach będzie życiem Anseta, które im oddał nieodwołalnie, na wieczność, wiecznie silny, wiecznie pełen piękna, bólu i nadziei.